

# MARTA GUZOWSKA

REGUŁA NR 1

MARGINESY





MARTA  
GUZOWSKA

REGUŁA NR 1

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna Dedykacja **I. ZŁOTE RUNO** 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13  
14 15 16 17 18 19 20 21 **II. ZĘBY SMOKA** 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31 32 33  
34 35 36 37 **III. MEDEA** 38 39 40 41 42 43 44 45 46 47 48 49 EPILOG  
POSŁOWIE

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA Redakcja KAROLINA MACIOS  
Korekta JOLANTA KUCHARSKA, JAN JAROSZUK Projekt okładki i stron  
tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI Zdjęcia na okładce © Leemage / UIG via

Getty Images; Bruce Tuten / Flickr Łamanie **manufaktura** |  
manufaktu-ar.com Copyright © by Marta Guzowska

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017 Warszawa 2017

Wydanie pierwsze ISBN 978-83-65780-51-5 Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl Konwersja: eLitera s.c.

*Dla Wieśka, chociaż nie ma tam nic o kościach*

I

**ZŁOTE RUNO**

To jest początek tej historii. W Stambule, na lotnisku, gdzie nachodzi mnie myśl, że przemytnika, zwłaszcza przemytnika amatora, naprawdę łatwo rozpoznać. Aż dziwne, że komuś chce się jeszcze w to bawić.

Stoję w kolejce do kontroli bagażu podręcznego. Kolejka jest długa, jakby rozdawali za darmo diamenty. Nudzę się, ziewam co chwila, bo w ogóle się nie wyspałam, i nie tylko dlatego, że dochodzi siódma rano, a ja sterczę tu od godziny. Ogonek ludzi wije się po całej hali, gdyż przepisy wymagają wyjęcia z torby laptopa i telefonu i ułożenia ich na oddzielnej tacce. Co prawda dopiero koniec sierpnia, ale na lotnisku przez okrągły rok klimatyzację ustawiają na siedemnaście stopni. Każdy, kto nie chce wrócić do domu z zapaleniem płuc, ma na sobie jeszcze coś oprócz bluzki albo koszuli, co musi zdjąć i ułożyć na kolejnej tacce. Potem kolej na buty. Na niektórych lotniskach delikwenta przepuszcza się przez bramkę i dopiero kiedy ta zapiszczy, każą mu się cofnąć i zasuwać jeszcze raz, bosy. Jednak w Stambule nikt się nie patyczkuje, buty trzeba zdjąć od razu. Trzecia tacka. Jeśli kiedyś będziecie stąd lecieć, nie wkładajcie dziurawych skarpetek. Czwarta tacka to bagaż podręczny. Zdarza się i piąta: torebka (kobiety) lub torba na laptopa (zmęczeni faceci w wymiętych garniturach). Pięć tacek na osobę. Plus, u wybranych, kontrola ręcznym skanerem i obmacywanie. Właściwie u wszystkich, bo bramka piszczy co chwila: u kobiet aktywują ją metalowe fiszbiny w stanikach, a faceci z zasady nie pamiętają o drobnych w kieszeniach.

Stanowisk odprawy jest kilkanaście. Moja kolejka nie wygląda na najdłuższą, na najkrótszą zresztą też nie, mimo to nie zmieniam miejsca. Nowe lotnisko w Stambule zostało otwarte dopiero kilka lat temu i nie wymieniono jeszcze całego sprzętu na nowoczesny. Punkt kontroli, do którego czekam, ma na przykład stary aparat rentgenowski zamiast mikrofalowego.

Posuwam się naprzód w ślamazarnym tempie. Szybciej już wróciłabym do domu autobusem. Słaniam się ze zmęczenia, a poza tym jestem głodna, spragniona i chce mi się siusiu. I z każdą minutą tracę nadzieję na zaspokojenie jakiegokolwiek z tych potrzeb przed wejściem do samolotu. Żeby odwrócić uwagę od pełnego pęcherza i pustego żołądka, obserwuję innych kolejkowiczów. Widzę co najmniej trzech przemytników amatorów. Może nawet czterech, ale tego grubasa nie jestem pewna.

Różne agencje od narkotyków opracowały wytyczne, żeby pomóc na pierwszy rzut oka wyłowić przemytnika. W punktach, wtedy obsłudze lotniska łatwiej zapamiętać.

Punkt pierwszy: przemytnik się poci. Na klimatyzowanym lotnisku, gdzie każdy, bez względu na porę roku, szczelniej otula się swetrem, przemytnik ociera czoło. Włosy faceta w garniturze, trzy miejsca od czoła kolejki, są wilgotne nad

kołnierzykiem na karku. Jedna z dwóch dziewczyn z małymi plecakami tuż przede mną, ta w dżinsach i traperach, z kolczykiem w nosie, ma ciemne kółka na podkoszulku pod pachami widoczne, kiedy rozchyła się jej kurtka. Ojciec dwójki dzieci, na oko w wieku wczesnoszkolnym i przedszkolnym, co chwila ociera górną wargę rękawkiem T-shirta. Grubas też się poci, ale grubasy pocą się z zasady, dlatego jego nie jestem pewna.

Kolejka przesuwa się o metr.

Punkt drugi: przemytnik cały czas jest czymś zajęty, bo naczytał się przed wyjazdem o mowie ciała i boi się, że zdradzi go sztywność ramion albo spóźniony czas reakcji. Facet w garniturze czyta książkę. Nie trzyma jej do góry nogami, ale egzemplarz ma pożółkłe kartki i pozwijaną okładkę w pastelowym kolorze z – dostrzegam to nawet z mojego miejsca w kolejce – dwiema kobietami w powłóczystych sukniach. Na kilometr widać, że to z bookcrossingu. Ktoś powinien mu doradzić zakup czytnika – bardziej pasuje do garnituru.

Dziewczyna w traperach i z kolczykiem wbija wzrok w telefon. To o wiele sprytniejsze: należy do grupy wiekowej, której przedstawiciele prędeż pozwolą się pozbawić ręki niż smartfona. Niestety diabeł tkwi w szczegółach: wcześniej, kiedy sprawdzała pocztę, musiała wyjąć z plecaka okulary, a teraz nie ma ich na nosie.

Ojcu dwójki dzieci jest najłatwiej, bo musi pilnować potomstwa. To dostatecznie absorbujące zajęcie, no i wygląda naturalnie. Jednak, podobnie jak pozostała dwójka, intensywnie mruga, jakby coś wpadło mu do oka.

Kolejny metr. Umrę na tym lotnisku ze starości.

Punkt trzeci: choćby przemytnik nie wiadomo ile naczytał się o mowie ciała, ona i tak go zdradzi. I facet w garniturze, i dziewczyna z kolczykiem, i ojciec dwójki dzieci mają usztywnione karki, jak osoby świeżo po zdjęciu kołnierza gipsowego. W ogóle nie ruszają ramionami, przestępują z nogi na nogę i żadne nie potrafi się powstrzymać przed zerkaniem na strażników przy bramce. W morzu pogrążonych w półletargu osób, które gapią się tępo przed siebie albo przeciwnie, co rusz nerwowo spoglądają na zegarek w obawie, że przez tę cholerną kontrolę spóźnią się na samolot, ta trójka wystaje jak złamane palce, do tego w gipsie.

Przemytnika łatwo namierzyć, trudniej domyślić się, co przemyca. Najczęściej oczywiście są to narkotyki, ale Turcja jest przecież krajem o bogatym dziedzictwie kulturowym i trochę tego dziedzictwa można kupić po korzystnej cenie na bazarach, przez znajomych albo nawet znaleźć samemu, kiedy zwiedza się wykopaliska. Facet w garniturze i dziewczyna mogą w zasadzie przewozić wszystko, poczynając od kokainy, a skończywszy na złotych monetach z czasów Hadriana, ale to raczej ona jest typowym słupem – wygląda na to, że przydałaby się jej kasa. Facet ma na sobie zbyt elegancki garnitur, zbyt kosztowny zegarek, a teczka, którą przesuwa nogą, bo udaje zaczytanego w tanim romansie, jest z miękkiej skóry i dobrze wyprawiona, co widać nawet z daleka. Wyraźnie nosi się



tak na co dzień, bo nie obciąża marynarki, nie potrząsa przegubem i w ogóle nie zwraca uwagi na teczkę, chociaż jej dno po kontakcie z posadzką stambulskiego lotniska nigdy już nie będzie takie samo. On nie potrzebuje dodatkowej kasy. Przydałby mi się za to kawałek prawdziwej starożytnej rzeźby na półce nad kominkiem. Albo naczynie sprzed kilku tysięcy lat. Albo kilka antycznych monet... Natomiast ojciec dzieciom na bank przemyca zabytek. Nie wygląda na menela, a poza tym dzieci są raczej własne, a nie wypożyczone. Nie narażałby potomstwa na kontakt z siecią przestępców narkotykowych. Niestety chyba nie przeczytał rozdziału na temat obowiązujących w Turcji przepisów prawnych. Jak go złapią, będzie miał szczęście, jeśli zobaczy ślub młodszego na żywo, nie na zdjęciach. I to tylko dlatego, że młodzi ludzie coraz później się żenią.

Porządny profesjonalista nie popełnia tych wszystkich błędów. To się robi inaczej. Kiedy ja przemycam zabytek przez granicę, używam najsilniejszego antyperspirantu, wkładam ciemną bluzkę z materiału, na którym nie widać plam, i pudruję twarz. Nie czytam, nie udaję, że przeglądam wiadomości na smartfonie, i nie wynajduję sobie żadnych idiotycznych zajęć. Mam inną metodę kontrolowania mowy ciała – po prostu nie przesypiam nocy przed podróżą, a gdy przewożę coś dużego, to nawet dwóch nocy. Efekt? Słaniam się ze zmęczenia, oczy są podkrążone jak u pobitej żony i nie mogę opanować przeraźliwego ziewania. Ramiona trzymam opuszczone, bo nawet mały podręczny plecak wydaje mi się za ciężki, i garbię się z tego samego powodu. Nie spinam mięśni – po prostu nie mam na to siły. Ledwo oprę się o ścianę, już zasypiam. Oczy mi łzawią, a tępy wyraz twarzy odzwierciedla stan mojego umysłu, a raczej jego brak. Nie myślę o tym, co przemycam, na niczym nie jestem w stanie się skupić. Koszmarnie niewyspany człowiek po prostu nie może się bać. W starciu z brakiem snu przegrywa nawet adrenalina.

Tak jak teraz.

Jestem archeolożką i złodziejką. No co się tak patrzycie? Zakładam, że od czasu do czasu też musicie coś zjeść. Pensja naukowca ledwo starcza na jedzenie, a ja do tego lubię też czasem fajnie się ubrać, pójść do knajpy, nawet wyjechać, i niekoniecznie na wykopaliska. Na to wszystko potrzeba pieniędzy. A pensja naukowca... Zresztą już to ustaliliśmy.

Ustaliliśmy też już chyba, że nie jestem amatorką. Spędziłam kilkanaście lat, ucząc się wszystkiego o antycznej biżuterii, kilkanaście wyjętych z życiorysu lat, żeby zostać jedną z najbardziej cenionych na świecie specjalistek. Dlatego wiem, co warto kraść i gdzie. Wiem, w jakich magazynach, muzeach lub na stanowiskach znaleźć można skarby, które nigdy nie ujrzą światła dziennego, bo nie ma pieniędzy na konserwację i dodatkowego strażnika do pilnowania w muzealnej gablocie (o systemie alarmowym nie będę nawet wspominać). Tak się składa, że doskonale znam te wszystkie miejsca i mogę spokojnie wynieść skarby, a szansa na odkrycie kradzieży w tym stuleciu jest równie pewna jak to, że polecę w kosmos (nie wybieram się). Jeszcze jedno: wiem, kiedy warto kraść. Złodziejstwo to taki sam fach, jak archeologia, budowanie mostów czy pisanie książek: najważniejsze są warsztat i doświadczenie. Nie kradnę na żywioł. Każdą kradzież mam opracowaną do perfekcji. Każdą akcję poprzedzają miesiące, jeśli nie lata ślęczenia nad wykopaliskowymi dziennikami, kartami zabytków i starymi pamiątkami.

Do muzealnego magazynu nie wchodzi się z bronią w rękę, jak na filmach. Nie włamuje się przez okienko, nie używa nożyc do drutu, żeby przeciąć kable systemu alarmowego (zresztą gdzie niby miałabym sobie schować takie nożyce – wystawałyby z plecaka). Zazwyczaj wystarczą dwie spinki do włosów, bo większość magazynów zamyka się na prosty zamek albo kłódkę, a internet pełen jest instruktażowych filmików, jak je otwierać. Można wcześniej potrenować w domu.

Nie, otworzyć magazyn potrafi prawie każdy, ale nie każdy potrafi coś w nim znaleźć. To znaczy coś, co nie jest kupą skorup, poklejonym glinianym naczyniem albo ceramicznymi przęślikami, tylko na przykład złotą bransoletą, diademem czy wykonaną z czystego złota zawieszka w kształcie ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Dokładnie taką, jaką teraz mam w plecaku. Żeby znaleźć takie skarby w muzealnym magazynie, trzeba po prostu wiedzieć, gdzie szukać. Bo inaczej albo ktoś przyłapie was na gorącym uczynku, albo szukając, umrzecie ze starości i sami zamienicie się w szkielet.

A ja to wszystko wiem i do tego mam swoje reguły. Jedenaście reguł dobrej złodziejki.

Nie kłam. Najlepsze rezultaty daje mieszanka kłamstwa i prawdy.

Najłatwiej ukryć się w pełnym świetle.

Zawsze trzeba próbować, nawet na łożu śmierci.

Nie wychodź przed szereg.

Rźnij głupa, jak długo się da.

Nigdy nie biegnij.

Zachowuj się, jakbyś cały czas był na podsłuchu.

Żadnych kontaktów z policją!

Jeśli chcesz coś znaleźć, musisz zrozumieć, co siedzi w głowie tego, kto to schował.

Żadnych taksówek.

Jednak najważniejsza jest reguła numer jeden: nie ufaj nikomu.

Skrupulatnie się do nich stosuję i dlatego ciągle chodzę na wolności. Co nie znaczy, że jeszcze długo.

Nienawidzę telefonów komórkowych, ale jeszcze nie wymyśliłam, jak bez nich żyć. Latanie, oprócz innych zalet, ma dodatkowo tę, że trzeba przełączyć komórkę na tryb samolotowy albo w ogóle ją wyłączyć. I przynajmniej na chwilę dostaje się gwarancję świętego spokoju. Niestety nikt nie wpadł jeszcze na to, że można by też zakazać pasażerom rozmawiać na lotnisku. Na przykład powiedzieć im, że to wpływa na lądowanie samolotów, na start albo radar. Przecież dzisiaj każde dziecko wie, jak ważny jest radar. Czy to naprawdę takie trudne wymyślić jakąś zgrabną historyjkę?

Moja komórka dzwoni jak wściekła. Grzebię w plecaku i kątem oka widzę, że nie tylko ja obserwuję trójkę przemytników. Przy ostatnim stanowisku stoi dwoje agentów. Ona ma źle dopasowaną spódnicę i buty na szerokich, średniej wysokości obcasach, w których można wygodnie chodzić i szybko biegać. On w rozpiętej marynarce, z identyfikatorem na smyczy zawieszonym na szyi, opiera się ramieniem o monitor, a koszula wyszła mu ze spodni. Nie rozmawiają. Ich oczy przesuwają się wzdłuż linii znudzonych i zniecierpliwionych pasażerów i zatrzymują na dłużej na dziewczynie przede mną, tej z kolczykiem. Agentka pochyła się do agenta i mówi coś do niego. On prostuje się i obciąga marynarkę. Nie spuszczam ich z oka i przez to popełniam pierwszy tego dnia błąd – wyciągam z plecaka komórkę i odbieram, nie patrząc na numer.

– Jak tam Stambuł, moja droga? Piękny jak zawsze, prawda? Tylko to nowe lotnisko jest paskudne, choć i tak lepsze niż stare. Przypominało stodołę, pamiętasz?

Gatunek ludzki przetrwał tysiąclecia ewolucji dzięki instynktom. Niestety nie zawsze są to właściwe instynkty. Tekst o lotnisku powoduje, że najpierw odruchowo zerkam na halę odlotów i dopiero potem dociera do mnie, kto mówi.

Konstantinos. Kiedyś mój zaufany wspólnik. Ja kradłam zabytki, a on znajdował na nie kupców. Dobrych kupców, którzy nie targowali się o cenę. Co prawda on brał za to lwią część zysku... Od roku to mój największy wróg, a konkretnie od momentu, kiedy próbował mnie zabić.

Wciskam czerwony guzik i chowam telefon do kieszeni. Kolejka przesuwa się o kolejne pół metra. Facet w garniturze, ten z drogą teczką i romanssem z bookcrossingu, jest już na samym początku. Widzę, jak trzęsą mu się dłonie, gdy wyjmuje z kieszeni drobne, rozpina pasek i pociąga za sznurowadła. Książkę kładzie na tacce najpierw tytułem do góry, a potem szybko ją odwraca. Z kosztownej teczki wyjmuje płaski laptop, którego też darmo nie dawali. Nie, zdecydowanie facet nie wygląda na takiego, co sam łązi po wykopaliskach. Ten antyczny drobiazg do ozdoby salonu na pewno kupił od złodzieja. Jednak ta dwójka przy ostatnim monitorze go olewa: agent odwraca się i mówi coś do

strażników, agentka nie spuszcza wzroku z dziewczyny z kolczykiem.

Telefon w mojej kieszeni dzwoni znowu. Zamierzam go zignorować, ale ludzie zawsze się gapią, jeśli nie odbierasz, a reguła numer pięć, jedna z reguł dobrej złodziejki, to: nie wychodź przed szereg. Wyjmuję aparat, odrzucam połączenie i przełączam go na wibracje. Chętnie wyłączyłabym w ogóle, jednak – powtórzę – jeszcze nie wymyśliłam sposobu, jak bez szkody dla moich spraw cofnąć się do średniowiecza. Telefon wciąż wibruje w mojej kieszeni, kiedy strażnik daje znak i facet w garniturze przechodzi przez bramkę. Bramka brzęczy. Baba w mundurze, która wygląda jak enerdowska zapaśniczka (i niewykluczone, że kiedyś nią była), podaje mu jeszcze jedną tackę. Facet grzebie po kieszeniach.

Komórka mnie rozprasza. Wyciągam ją i gdy odrzucam rozmowę, prawie natychmiast znowu zaczyna wibrować. Facet ponownie przechodzi przez bramkę. Bramka brzęczy. Strażniczka pokazuje mu gestem, żeby przesunął się do przodu, i zaczyna omiatać go urządzeniem, które wygląda jak wielki czarny lizak na patyku. Telefon nieruchomieje, ale tylko na chwilę. Dziewczyna z kolczykiem ogląda się i patrzy na moją dłoń. Wzdycham i naciskam zieloną słuchawkę.

– Moja droga, nareszcie. Posłuchaj, wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać. Powiem ci więc tylko dwa słowa...

Przerywam mu bez wahania.

– O, ja też mam ci do powiedzenia dwa słowa. Pierdol! Się!

W słuchawce na moment zapada cisza. Przekładam aparat do drugiej ręki. Strażniczka z lizakiem mówi coś do obsługi. Jeden z techników wstaje od monitora i odsuwa na bok tacki faceta z teczką. Strażniczka daje znak i mężczyzna, teraz już bez teczki i w samych skarpetkach, drepcze za nią. Kolejka przesuwa się o następny metr.

– Nie te słowa miałem na myśli. Wiesz, że nie lubię, jak ktoś używa brzydkich wyrazów.

– Wiem – potwierdzam.

Konstantinos chrząka.

– Słowa, które chciałem powiedzieć, to „złote runo”.

Jestem tak zdziwiona, że odrywam wzrok od faceta w skarpetkach i odwracam się tyłem, co niewiele zmienia, bo za mną też stoją ludzie.

– Dobrze usłyszałaś. Złote runo. Wiem, jak je znaleźć.

Milczę. Oddycham równo i spokojnie.

– No i co ty na to, moja droga?

Obracam się z powrotem twarzą do czoła kolejki. Ludzie przesunęli się o krok do przodu. Gość w skarpetkach zniknął. Wspinam się na palce i rozglądam w tłumie po drugiej stronie bamek, ale nigdzie go nie widzę. Naprawdę przez tego gnojka po drugiej stronie linii straciłam najlepszą zabawę!

– Nadal mam ci do powiedzenia tylko dwa słowa – mówię. – Te same, co

wcześniej.

Wciskam z całej siły czerwony przycisk i dostrzegam, jak gapi się na mnie jakaś baba z kokiem. Posyłam jej odpowiednie spojrzenie, a ona szybko poprawia fryzurę i odwraca głowę.

Kolejka znów przesuwa się o metr. Teraz do obserwowania zostali mi tylko dziewczyna z kolczykiem i ojciec dzieciom, a właściwie tylko ona, bo on stoi daleko za mną i kiedy przejdę przez bramkę, stracę go z pola widzenia.

Wciskam aparat do kieszeni i daję kolejny krok do przodu. Zerkam na agentów. Teraz on mówi coś do niej, ale ona unosi dłoń w uniwersalnym geście „poczekaj” i odbiera telefon. Rozmawia przez chwilę, a jej oczy nie przestają skanować ludzi w kolejce. Znowu zatrzymuje wzrok na dziewczynie z kolczykiem przede mną. Kiwa głową, mówi coś jeszcze i gdy się rozłącza, razem z partnerem ruszają do przodu. Idą powoli. Nie rozglądają się, tylko przyglądają twarzom. Ludzie różnie reagują – jedni cofają się o krok, inni garbią się, jeszcze inni spuszczaają wzrok. Każdy ma coś na sumieniu, jakieś drobne grzeszki, które w takim momencie uparcie się przypominają.

Przyglądam się dziewczynie z kolczykiem. Plamy potu pod jej pachami się powiększają. Wpatruje się intensywnie w ekran smartfona, a ciało ma całkiem sztywne. Oddycha przez usta. Kiedy agenci ją mijają, głośno wypuszcza powietrze z płuc. Podchodzą do mnie. Kobieta macha mi przed nosem identyfikatorem i mówi po angielsku:

– Ochrona lotniska. Pani pozwoli z nami.

Teraz pół lotniska gapi się na mnie. A ja jestem tak zdziwiona, że nie mogę wykrztusić ani słowa. Przecież zrobiłam wszystko jak trzeba!

Idę potulnie z agentami, mijamy setki takich samych szarych drzwi po obu stronach korytarza, już kolejnego, w który skręciliśmy. Nie odnalazłabym drogi powrotnej, choćby zależało od tego moje życie. W końcu zatrzymujemy się przed jakimiś drzwiami. Ona naciska klamkę, on przepuszcza mnie przodem. W środku stoi kilka stołów, przy każdym krzesła. Pewnie pokój służy do obowiązkowych cotygodniowych zebrań personelu, gorszych niż tortury.

– Spóźnię się na samolot – mówię jeszcze na korytarzu. – Będziecie musieli mi zapłacić za bilet. Za dwa bilety, mam przesiadkę.

– Mhm – mruczy agentka.

Nie trzyma mnie za ramię. Nie musi, i tak nie miałam szansy uciec im na lotnisku.

– Mój główny bagaż został już odprawiony – przypomina mi się jeszcze. – Jeśli nie wejdę na pokład, ogłoszą alarm terrorystyczny.

Agent daje znak dłonią, bym weszła.

– Proszę się nie martwić, proszę pani. Zajmiemy się wszystkim.

Nie zabierają mi komórki ani paszportu, tylko jedno z nich podchodzi do okna i sprawdza, czy na pewno nie da się go otworzyć. Niepotrzebnie się wysila, do ziemi są ze cztery pietra, a ja cierpię na lęk wysokości.

– Proszę usiąść. – Mężczyzna wskazuje twarde krzesło. W ogóle są uprzedzająco grzeczni. – Napije się pani czegoś?

– Chętnie. Najlepiej na pokładzie samolotu. Myślę, że mimo oszczędności w liniach lotniczych stewardesy nadal serwują napoje.

Zachowują się, jakby mnie nie usłyszeli. To bardzo irytujące.

– Muszę skorzystać z toalety – dodaję jeszcze. – Chyba nie chcecie, żebym zasikała wam podłogę.

Na to też nie reagują. Za to, gdy dzwoni telefon, kobieta od razu wyjmuje go z kieszeni i przykłada do ucha. Słucha przez chwilę tego, co ma do powiedzenia ten ktoś po drugiej stronie, i bez słowa się rozłącza. Agent patrzy na nią, a ona wskazuje mu głową drzwi.

– Proszę tu poczekać – mówi do mnie. – Za chwilę ktoś się panią zajmie.

– A może powiecie mi przynajmniej, o co...

Wychodzą. I przekręcają klucz w zamku.

Nie żeby zamki były dla mnie przeszkodą. Zawsze mam przy sobie kilka wsuwek do włosów, praktycznych przy prostszych yale'owskich typach. Bardziej skomplikowane wkładki wymagają lepszego sprzętu, ale nie szykowałam się przecież dzisiaj na włam. Po długim i bardzo męczącym sezonie wykopaliskowym zamierzam tylko wrócić do domu.

Wyjmuję z plecaka wsuwkę i podchodzę do drzwi. Majstruję w zamku

i automatycznie zaczynam liczyć. Trzydzieści siedem sekund, cholera! Naprawdę muszę więcej ćwiczyć. Naciskam klamkę i ostrożnie wyglądam na korytarz. Pusty. Cofam się i zamykam za sobą cicho drzwi. Jeszcze rzut oka przez okno, ale tam widzę dokładnie to, co człowiek spodziewa się zobaczyć na lotnisku: betonową płytę, jeżdżące w tę i z powrotem pojazdy w dziwnych kształtach, a w oddali samoloty. Wyjście jest tylko jedno. Zrzucam plecak na ramię i znów stoję w progu, kiedy komórka zaczyna mi wibrować w kieszeni. Wyszarpuję ją i sprawdzam ekran. Konstantinos!

– To nie jest najlepszy moment! – warczę i się rozłączam.

Wystawiam głowę na korytarz. Problem w tym, że nie pamiętam, jak wrócić. Wiem tylko, że przyszedliśmy z prawej strony, ale gdzie wcześniej skręciliśmy i ile razy – tego już nie. Nie chcę błąkać się po lotnisku, aż umrę z głodu albo ktoś aresztuje mnie za szpiegostwo.

Znów ten pieprzony telefon!

– Moja droga, wiem, że jesteś zirytowana – odzywa się, zanim zdążam cokolwiek powiedzieć. – Też bym był, gdybym siedział w jakimś pokoju na lotnisku i patrzył, jak odlatuje mój samolot.

Odwracam się powoli, wchodzę do pokoju i zamykam za sobą drzwi. Zrzucam plecak na podłogę, a sama siadam na krześle.

– Słucham.

– Moja droga, moja droga, nie musisz się tak bardzo denerwować. Ja tylko chciałem chwilę z tobą porozmawiać.

– I dlatego kazałeś mnie aresztować?

– Oj tam, zaraz aresztować. Poprosiłem tych miłych ludzi, żeby mi trochę pomogli zwrócić twoją uwagę. Dzięki temu możemy przez chwilę spokojnie pogadać w miejscu, gdzie nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Rozglądam się po pokoju.

– Tak, to właśnie to miejsce. Słucham.

– Już ci powiedziałem, o co chodzi. O złote runo. Wiem, gdzie go szukać. I miałbym na nie kupca.

– Chcesz, żebym coś dla ciebie ukradła? – upewniam się.

– Nie coś, złote runo. Mam zainteresowanego klienta. To naprawdę wielka...

– Po tym, jak w zeszłym roku kazałeś mnie śledzić psychopacie?

– Nie śledzić, tylko...

– Który miał mnie na twój rozkaz zabić? I nie zrobił tego tylko dlatego, że jeden z twoich klientów chciał mojej ekspertyzy?

Konstantinos przez dłuższą chwilę milczy. Kiedy się odzywa, jego głos nadaje się do chłodzenia napojów w upalny dzień.

– A ty, moja droga, zniszczyłaś moją reputację. Zamiast pozwolić mi sprzedać kupcowi po cichu skarb Schliemanna, doprowadziłaś do jego ujawnienia.



Podałś moje nazwisko dziennikarzom i zmusiłaś mnie do cyrku w świetle kamer. Wiesz, ile kosztowało mnie odzyskanie zaufania klientów? Ciągle płacę za twój wyskok.

– Masz całkowitą rację, czuję się winna. – Uderzam otwartą dłonią w stół. W pustym pokoju brzmi to jak wystrzał. – Zdecydowanie powinnam była dać się zabić, byle tylko nie zepsuć ci planów.

– Pomyślałem, że tym razem podzielimy się po połowie.

– Tym razem?

– Wspaniale nam się pracowało razem, moja droga...

– Dopóki nie próbowałeś mnie zabić.

– Do końca życia będziesz mi to wypominać?

– Nie, tylko dzisiaj. Bo potem, już do końca życia, nie zamierzam z tobą rozmawiać.

Urywam, ale się nie rozłączam. Odsuwam tylko na chwilę telefon od ucha i patrzę na niego w milczeniu, a wtedy Konstantinos znów zaczyna mówić.

– No dobrze. Rozumiem twój żal. Jestem przygotowany na wymówki, jednak może poczekajmy z tym na stosowniejszą chwilę i skupmy się na naszej pracy.

– Naszej?

– Simona, proszę cię. Nie chcesz się dowiedzieć, co z tym złotym runem?

Gdy milczę, Konstantinos chrząka po drugiej stronie słuchawki.

– No więc posłuchaj. Kilka dni temu miałem w tej sprawie bardzo interesujący telefon...

– Zaczekaj – przerywam mu, a on czeka bez słowa skargi, chociaż tego nie lubi. Przeciągam tę ciszę, aż wreszcie czuję, że zaraz wybuchnie. Chyba wystarczy.

– Ale ty wiesz, Konstantine, że historia o złotym runie to tylko bajka, prawda?

Ta historia idzie jakoś tak.

Akurat w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć dlaczego, ale w każdym razie król Atamas, który panował w Orchomenos (to w Grecji, a w ogóle dawno, dawno temu), postanowił zabić swoje dzieci z pierwszego małżeństwa, Fryksosa i Helle. Zdaje się, że miała w tym udział druga żona, klasyczna bajka o macosze, tak jak choćby w *Królewnie Śnieżce*. W każdym razie, jak już wspomniałam, to historia ze starożytnej Grecji, więc Atamas zamiast wysłać dzieci do lasu, postanowił je złożyć w ofierze na ołtarzu w gaju Zeusa. Jednak ktoś (duch zmarłej matki? Sam Zeus? W greckich mitach trudno się połapać) zesłał dzieciom uskrzydłonego barana o złotym runie. Baran uratował dzieci i zabrał je daleko, za morze. Dziewczynka, Helle, zmęczona lub po prostu jeszcze za mała, spadła do wody i zginęła – na jej cześć Grecy nazwali Hellespontem cieśninę, którą my nazywamy Dardanelami i którą doskonale widać z Troi, czyli miejsca, gdzie Konstantinos chciał mnie zabić. Ale to całkiem inna historia.

Wracając do złotego runa: Fryksos na grzbiecie barana doleciał do Kolchidy, po drugiej stronie Morza Czarnego. Tam zarznął go na ołtarzu Posejdona (ładne podziękowanie za uratowanie życia, nie ma co!), a złotą skórę zawiesił na drzewie w świętym gaju. I to właśnie było złote runo.

Po tę skórę wyruszył potem Jazon, syn Ajzona z Jolkos (to też w Grecji i też dawno temu). Po dokonaniu wysiłku umysłowego (starożytni herosi mieli pod dostatkiem testosteronu, za to z myśleniem bywało u nich różnie) doszedł do wniosku, że sam nie poradzi sobie z tym zadaniem, więc kazał zbudować statek Argo i zgromadził jako załogę pięćdziesięciu zabijaków z całej Grecji. Bohaterowie mieli po drodze wiele przygód, które głównie polegały na tym, że gwałcili kobiety i mordowali mężczyzn, a czasem sami ginęli. Aż w końcu dotarli do Ai na Kolchidzie, gdzie Jazon zdobył złote runo, a potem (z przerwami na mordowanie i gwałcenie, głównie mordowanie) zawiózł do Grecji i złożył w darze Zeusowi – w tym samym gaju, na tym samym ołtarzu, gdzie wcześniej miał zostać zamordowany Fryksos. Koniec historii.

– Wiesz, że to bajka, prawda? – powtarzam do słuchawki. – Mit grecki. Historia symboliczna, odzwierciedlająca...

– Nie do końca.

– Chcesz mi teraz wmówić, że to zdarzyło się naprawdę? Latający baran ze złotym futrem, wyprawa bohaterów, ziejące ogniem byki, zęby smoka...

– Większość mitów bazuje na jakichś wydarzeniach historycznych.

– Na jakichś, dobrze to powiedziałeś. W tym przypadku chodzi zapewne o układ sił politycznych w Grecji i eksplorację rejonów Morza Czarnego przez Greków, a nie o złotą skórę zdartą z barana.

Nie odpowiada. Przez chwilę milczymy oboje.

– Moja droga, nie będziemy przecież omawiać takich szczegółów przez telefon – odzywa się w końcu.

– Też uważam, że to nie najlepszy pomysł, ale innej okazji nie będzie. Spieszę na samolot, który... – odsuwam komórkę od ucha i spoglądam na godzinę na wyświetlaczu – ...który właśnie mi uciekł. Zamierzam więc wydostać się stąd, wysikać się, zrobić karczemną awanturę i spróbować wrócić do domu innym samolotem. Dokładnie w tej kolejności.

– Toaleta jest za drugimi drzwiami na prawo – mówi Konstantinos.

– Znasz na pamięć rozkład toalet w korytarzach dla personelu na lotnisku w Stambule?

– Nie, tylko akurat przed nią stoję.

Rozłączam się i powoli odkładam telefon na stół. Wbijam wzrok w drzwi, a te otwierają się po czterdziestu sekundach.

– Witaj, moja droga. – Konstantinos rozgląda się po pokoju. – Wyglądasz na zmęczoną. Nieprzespana noc?

To naprawdę irytujące, kiedy ktoś tak dobrze zna twoje metody.

– Wpadłeś pogadać o tym, jak maskować cienie pod oczami?

Podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. Sam prezentuje się kwitnąco mimo nieludzkiej godziny: w eleganckim garniturze, śnieżnobiałej koszuli i dobranym pod kolor oczu krawacie. Nawet włosy na skroniach nie posiwiły mu bardziej od czasu, kiedy widziałam go ostatnio, zresztą siwizna nadaje mu wygląd angielskiego lorda. Ten przemytnik amator z drogą teczką powinien mu czyścić buty (notabene, lśnią tak, że mogłabym poprawić w nich makijaż).

– Nie, wpadłem pogadać o tym, jak zorganizować kradzież, która cię ustawi do końca życia.

Wstaję z krzesła i sięgam najpierw po telefon, a potem po plecak i przerzucam przez ramię jego pasek.

– Po pierwsze, mówiłeś to samo przy diademie Heleny.

– To tylko twoja wina...

– ...że jeszcze żyję? – Nie spuszczam z niego wzroku, aż wzrusza ramionami. – A po drugie nie zamierzam z tobą pracować. Ani teraz, ani nigdy.

Jestem już w progu, gdy słyszę za plecami:

– Złota zawieszka w kształcie ptaka z rozłożonymi skrzydłami. Datowana pomiędzy ósmym a szóstym wiekiem przed naszą erą. Ozdobiona filigranem i granulowaniem. Piękna robota. Z Artemizjonu w Efezie, który nazywa się dzisiaj Selçuk. Nie jest bezcenna, ale bardzo, bardzo cenna.

Zatrzymuję się z dłonią na klamce.

– Przy okazji nie wykonano jej z czystego złota. Do metalu domieszano odrobinę miedzi i srebra, co, oczywiście, w niczym nie obniża wartości.

Odwracam się plecami do drzwi.

– Masz ją w plecaku. Schowaną w szkatułce wykonanej z miedzi, ze sporą domieszką srebra. Szkatułka jest w kształcie prawosławnego krzyża, czyli podobnym do zawieszki. Specjalnie taką wyszukałaś, co w Stambule nie jest trudne, w tym mieście można dostać wszystko. Zapłaciłaś za nią czterdzieści lirów na straganie obok Hagii Sophii. Przeplaciłaś, moja droga. W tanich sklepikach na tyłach Wielkiego Bazaru wzięliby od ciebie góra dziesięć lirów i jeszcze poczęstowali herbatą.

– Nienawidzę tureckiej herbaty – rzucam, patrząc mu w oczy, a on zaczyna się śmiać.

– Wiesz, jak działa rentgen. Zresztą dlatego ustawiłaś się w tej dłuższej kolejce. Krótsza była do stanowiska kontroli z nowoczesnym aparatem do prześwietlania, w oparciu o mikrofałę, nie promienie Roentgena. A ty jeszcze nie sprawdzałaś, co dokładnie w takim aparacie widać, a czego nie. Woliałaś nie ryzykować. – Nabiera powietrza w płuca. – Rentgen za to znasz, wiesz, że sprawa jest prosta. Metal, z którego zrobiono szkatułkę, pochłonie promieniowanie i nie będzie można zobaczyć, co jest w środku. Właściwie niepotrzebnie się kłopotowałaś o tę szkatułkę, wystarczyłoby jakiegokolwiek metalowe pudełko.

W ciszy, jaka zapada, słyszę swój oddech.

– Ale ty lubisz mieć wszystko dopracowane co do najdrobniejszego szczegółu. Szkatułka jest zapakowana w ozdobne pudełko i przewiązana wstążką z wielką kokardą. Czerwoną albo różową, wiesz przecież, moja droga, że jako mężczyzna mam problemy z subtelnym rozróżnieniem kolorów.

Milczę.

– Oczywiście strażniczka na bramce kazałaby ci wyjąć pudełko, gdyż na monitorze trudno im rozpoznać, co to. A ty bez ociągania wyjęłabyś je razem z rachunkiem z bazaru, wydrukowanym na ozdobnym papierze i z dołączonym certyfikatem ze zdjęciem szkatułki oraz z zaświadczeniem, że jest całkowicie, absolutnie współczesna i wyprodukowana w Chinach albo Pakistanie na potrzeby przemysłu turystycznego. Strażniczce nie chciałoby się jej otwierać i blokować kolejki. Zerknęłaby raz na zdjęcie na certyfikacie, drugi raz na monitor i trzeci raz na ciebie. Zdjęcie pasowałoby do obrazu na monitorze, a twoja mowa ciała powiedziałaby jej tylko, że masz za sobą męczący dzień albo i noc. Oddałaby ci szkatułkę i może nawet życzyła przyjemnej podróży. Wszystko zajęłoby mniej więcej tyle czasu, co przeciętnemu mężczyźnie wywleczenie paska ze spodni.

Ciągle milczę.

– Drugie drzwi na prawo – przypomina mi w końcu Konstantinos. – Jak wrócisz z łazienki, porozmawiamy.

Zatrząskuję za sobą z furją drzwi do kabiny w toalecie. Sikam, a potem opieram się o umywalkę i długo patrzę w lustro. Zamykam na chwilę oczy, ale

natychmiast je otwieram, bo kiedy są zamknięte, widzę pod powiekami zwłoki Tiny. Jej długie jasne włosy, falujące na wodzie i małe szare rybki obgryzające jej palce i nos. Chciała oszukać Konstantinosa, próbowała mu wmówić, że kopia złotego diademu Heleny to oryginał wykonany przed prawie pięcioma tysiącami lat. Poza tym nie zrobiła mu nic złego! Nie okradła go, nie okaleczyła... Kiedy zorientował się, że kłamie, mógł ją po prostu wyrzucić za drzwi razem z naszymi. Zamiast tego kazał ją zabić, bo, jak twierdzi, brzydzi się oszustwem.

Minął już rok, a ja czasem jeszcze budzę się w nocy z krzykiem, kiedy w moim śnie Tina nagle otwiera pod wodą oczy i pyta: „Dlaczego mnie nie ostrzegłaś, Simono?”. (Odpowiedź brzmi: bo nie wiedziałam, że masz zamiar zdradzić z Konstantinosem, kretynko!)

Więc nie dziwcie się, że zwlekam z powrotem do pokoju.

Kiedy w końcu wracam, nie jest sam. Zatrzymuję się gwałtownie w progu i robię głęboki wdech.

– Nie będę pracować z tym zbrodniarzem!

– Zbrodniarzem był Yannis – przypomina mi Petros oparty o ścianę koło okna.

Muszę przyznać mu rację. To Yannis powiedział bułgarskiemu kierowcy ciężarówki, którą jechaliśmy stopem, że jestem prostytutką i jak będę niegrzeczna, pozwoli mu się ze mną zabawić. To był Yannis, nie Petros. Petros tylko stał z boku i patrzył.

Teraz też mi się przygląda. Żuje gumę, pewnie wolałby papierosa, ale wszędzie zainstalowane są czujniki dymu.

– Wyglądasz jakoś inaczej niż rok temu – mówi.

Czy ja wiem? Zawsze byłam szczupła, jak się za dnia pracuje jako archeolożka, a nocami jako złodziejka, trudno przytyć. Wyglądam przeciętnie: średni wzrost i włosy obcięte prosto, do ramion, by dało się je upiąć na różne sposoby, co bardzo ułatwia życie – gdyby ktoś zobaczył mnie w akcji, miałyby kłopoty z opisaniem mojego wyglądu policji. Jednak Petros ma rację, dzisiaj moje oczy są brązowe. Kiedy widziałam się z nim rok temu, nie nosiłam kolorowych szkieł kontaktowych.

Mam genetyczną skazę: moje tęczówki są turkusowe, jak morska woda na podkolorowanych zdjęciach w folderach turystycznych. Intensywnie turkusowe tęczówki ma tylko bardzo mały promil populacji. Jestem pewna, że nigdy nie spotkaliście nikogo o takich oczach, bo inaczej nigdy byście go nie zapomnieli. Dlatego właśnie korzystam z kolorowych szkieł i dwóch paszportów (to akurat nietrudne, wystarczy zgłosić, że jeden się zgubiło, i wyrobić następny, z nowym zdjęciem).

– Petros jest nam potrzebny. – Konstantinos staje obok niego i wygląda przez

okno, nie przestając tłumaczyć mi jak dziecku. – To skomplikowane zadanie. Będzie cię ochraniał, poza tym ułatwi załatwianie spraw z urzędnikami, jeśli to będzie konieczne.

– Tak jak przy diademie Heleny?

– Hej, nie zrobiłem ci nic złego – broni się Petros.

– Ani nic dobrego.

– Moi drodzy. – Konstantinos odwraca się od okna i unosi obie ręce. – To nie jest czas ani miejsce. Usiądźmy.

Podchodzi do najbliższego krzesła, odsuwa je i siada. Petros robi to samo. Waham się, ale wygląda na to, że nie mam innego wyjścia.

– Zanim zacniemy rozmawiać o szczegółach – zwracam się do mojego byłego współnika – wyjaśnijmy sobie, czy ty, Konstantine, naprawdę wierzysz w bajki.

Patrzy na mnie, jakby nie mógł się zdecydować, czy powinien się roześmiać, czy wkurzyć.

– Złote runo to nie bajka – odpowiada w końcu, a ja podstawiam mu pod twarz lewą dłoń i zaczynam liczyć na palcach.

– Latający baran, ziejące ogniem byki, zęby smoka zasiane w ziemi, z których potem wyrosli wojownicy, czarodziejka Medea...

Konstantinos delikatnie opuszcza moją dłoń na blat stołu.

– Wiesz o tym – mówi powoli – że większość badaczy uważa, jakoby Kolchida naprawdę istniała na terenie dzisiejszej...

– Mogła sobie leżeć, gdzie chciała. Nie twierdzę, że każdy element mitu został zmyślony.

– W Kolchidzie wydobywano złoto, potwierdziły to badania archeologiczne.

Otwieram usta, żeby znów mu przerwać, ale on unosi palec.

– Tamtejsze depozyty złotonośne były w rzekach. To drobinki złota wymieszane z piaskiem. Wydobywano je, przeczesując dna koryt baraniami skórą!

Patrzy na mnie z tryumfem. Czego się spodziewa? Okrzyków radości?

– Może to i prawda – odpowiadam. – Nie wykluczam, że w ten sposób mogła się narodzić legenda o złotym runie. Czy dobrze rozumiem: chcesz, żebym przywiozła ci starą, śmierdzącą baranią skórę z kilkoma drobinkami złota w sierści? Wiesz co, znajdź sobie kogoś innego do tej roboty.

– Moja droga. – We wzroku Konstantinosa widzę politowanie. – Myślisz, że zależy mi na jakiejś starej skórze? O ile materiał organiczny w ogóle mógłby zachować się przez tyle setek lat?

– Cholera wie – mruczę pod nosem, a na głos dodaję: – Konstantine, to wszystko są jakieś kosmiczne bzdury.

– Moja droga...

– Może i kiedyś przeczesywano koryta rzek śmierzdzącymi baraniami skórami, jednak mit o złotym runie narodził się prawdopodobnie przy okazji handlu bursztynem. Do Grecji w epoce brązu docierało go przecież sporo. Tajemniczy surowiec, ani kamień, ani metal, ale o barwie złota. Elektryzował wełnę, stąd przecież grecka nazwa elektron. Przywozili go dziwni ludzie z Północy, to świetny surowiec na mit.

– Złote runo to nie bursztyn.

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś to wiedział na sto procent.

– Bo wiem.

– Ciekawe skąd.

Otwiera usta, jakby chciał mi odpowiedzieć, ale się rozmyśla. Przez chwilę milczymy oboje. W końcu poprawia się wygodniej na krześle i mówi:

– Zastanów się, moja droga, co łączy skóry zwierząt z metalem.

Skóry zwierząt? Z metalem? Nic!

Wysikałam się już, ale nadal chce mi się pić i jeść. Nie przespałam nocy i jest mi zimno, bo nie przewidziałam, że tyle czasu będę siedzieć w siedemnastu stopniach, i mam na sobie tylko cienką kurtkę. Naprawdę ostatnią rzeczą, o jakiej teraz marzę, jest rozwiązywanie idiotycznych zagadek.

Pocieram dłonią czoło i wzdycham, a Konstantinos niewłaściwie interpretuje mój gest.

– Tak jest, pomyśl, moja droga. Skóry zwierząt i metal. Pomyśl przez chwilę. Odchyłam się do tyłu na krześle i prostuję plecy.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – cedzę. – Bo chyba nie masz na myśli miedzianych ingotów?

A on w odpowiedzi klaszcze w dłonie i szczyrzy się od ucha do ucha. Patrząc na niego i oczom nie wierzę, bo raczej dba o elegancję w życiu codziennym i nigdy nie zachowuje się spontanicznie.

– Brawo! Brawo, moja droga!

Na pewno nie wiecie, co to są ingoty, i za to was akurat nie winię. To spore kawały metalu w kształcie plus minus prostokąta z wyciągniętymi narożnikami. Archeologom kojarzą się z rozpiętą do wysuszenia skórą zwierzęcia. Co prawda wątpię, czy wśród moich kolegów znalazłby się ktoś, kto naprawdę widział rozpiętą do wysuszenia zwierzęcą skórę, ale nie wymagajmy zbyt wiele od wykładowców akademickich.

– Niektóre mają nawet na powierzchni takie bąbelki, wyglądają całkiem jak runo barana – dodaje Konstantinos.

– To są pęcherzyki gazu. – Znowu wzdycham. – Uwalniane podczas procesu stygnięcia metalu po odlaniu, z całą pewnością niezaprojektowane specjalnie.

– No, to ty już wiesz najlepiej, moja droga. W końcu skoro z nas dwojga ty znasz się na starożytnej biżuterii, to i na metodach wytopu metalu pewnie też.

– No właśnie, Konstantine. Z nas dwojga ja się na tym znam. I dlatego zauważyłam jeden drobiazg, który najwyraźniej umknął twojej uwadze. Wszystkie miedziane ingoty, jak sama nazwa wskazuje, wykonywane były z miedzi. Symbol chemiczny Cu, od łacińskiego *cuprum*, liczba atomowa dwadzieścia dziewięć. Nie ze złota, symbol chemiczny Au, od łacińskiego *aurum*, liczba atomowa siedemdziesiąt dziewięć.

– Wszystkie, moja droga, z wyjątkiem jednego.



Próbuję się powstrzymać przed ziewaniem, ale nie daję rady. To odruch, reakcja organizmu na brak tlenu w zamkniętym pomieszczeniu. Konstantinos uśmiecha się i wstaje od stołu.

– Chodźmy stąd. – Przysuwa równo krzesło, jak grzeczny uczeń. – Musisz napić się kawy.

– Muszę zjeść śniadanie – prostuję, a on się krzywi.

– Tu, na lotnisku raczej nie znajdziemy niczego dobrego.

– Ja będę jadła, ty możesz patrzeć – oznajmiam i zarzucam sobie plecak na ramię.

Kiedy wychodzimy z pokoju, nikt nas nie zatrzymuje, zresztą nie wiem, kto miałby to zrobić, bo na korytarzu nie ma żywego ducha. Idziemy, Konstantinos i Petros przodem, a ja za nimi, bo tracę orientację już przy drugim zakręcie. Burczy mi w brzuchu. Gdyby mnie tu zostawili, czekałaby mnie śmierć głodowa. Też wolałabym pojechać do miasta. Nic tu po mnie, tym bardziej że po tym, jak nie stawiałam się na samolot, moją walizkę i tak już pewnie komisyjnie zdetonowano na wypadek, gdyby zawierała bombę. Jednak z lotniska do centrum jedzie się godzinę – obgryzłabym z głodu wszystkie paznokcie.

Korytarze wreszcie się kończą i wychodzimy na znany mi już teren: ciąg butików i restauracji przed bramkami do samolotów. Nie wiem, w jaki sposób przedostaliśmy się na tę część lotniska, omijając stanowiska kontroli, ale na pewno nie będę o to pytać. Burczy mi w brzuchu coraz głośniejsze. Konstantinos pokazuje restaurację, która chyba nie należy do żadnej sieci. Jak się okazuje, to jej jedyna zaleta, bo pieczywo w koszyczku jest stare, a kelnera w ogóle nie widać. Ale siadamy przy stoliku.

– No dobrze. – Napycham sobie usta chlebem. – Założmy, że mit o złotym runie bazuje na faktach. Założmy, że jednym z tych faktów jest ingot, sztaba w kształcie skóry barana, z czystego złota.

– Jest – mówi Konstantinos i najwyraźniej w to wierzy.

– Założmy, że ta sztaba pochodzi z epoki brązu i byłaby wielką archeologiczną sensacją...

– Chyba nie muszę ci tego tłumaczyć, moja droga. Jeśli wszystkie znane do tej pory ingoty są miedziane i tylko jeden jedyny został wykonany z czystego złota, to chyba wiesz, jaką ma wartość.

Wiem, a w każdym razie mogę to sobie wyobrazić.

– Dobra, założmy, że taka sztaba naprawdę istnieje. – Rozglądam się, ale kelnera nadal nie widać. – I założmy, że ty wiesz, gdzie ona się znajduje...

– Nie wiem.

Jak to? Gapię się na niego bez słowa. Chętnie otworzyłabym usta, ale nie

mogę, bo mam w nich pełno suchego chleba.

– Nie wiesz... – cedzę przez zęby, kiedy w końcu udaje mi się przełknąć.

– Ty musisz ją znaleźć.

– No tak. – Rwę kolejny kawałek chleba. Obrus przede mną jest usiany okruchami. – Dzisiaj świat nieco się skurczył przez te wszystkie samoloty, internet i telefonię komórkową, a życie ludzkie wydłużyło, medycyna potrafi czynić cuda. Jednak ludzie nie żyją tak długo, Konstantine. Nie zdążę przed śmiercią przeszukać wszystkich miejsc na kuli ziemskiej.

– Moja droga – pochyła się nad blatem i syczy – postawmy sprawę jasno, bo już mi się znudziło twoje pyskowanie. Albo znajdziesz dla mnie tę złotą sztabę, albo wykonam jeden telefon, tylko jeden, i za chwilę wpadnie tutaj oddział policji razem ze wszystkimi tureckimi służbami bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że jeszcze pamiętasz, ile się siedzi w tym kraju za przemyt zabytków?

Aż za dobrze. Nie mówię tego głośno, bo Konstantinos jest naprawdę zły. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Odpycha się dłońmi od stołu, mierzy mnie spojrzeniem i ciężko oddycha. Czoło mu poczerwieniało.

Sęk w tym, że ja też jestem zła. Poza tym niewyspana, zmęczona, głodna i mam dosyć tego, że ilekroć pojawia się Konstantinos, cierpię głód, chłód i niewygody. Czy ja nie mogę raz normalnie czegoś ukraść, jak ludzie? Odchyłam się na krzesło i odwzajemniam mu się takim samym złym spojrzeniem. Pewnie dlatego nie zauważamy, kiedy zjawia się kelner. Podaje menu najpierw Petrosowi, dwie karty kładzie na stole przede mną i przed Konstantinosem, po czym zmywa się, zanim zdążam zamówić coś do picia. Twarz mojego byłego współnika powoli przybiera normalny kolor. Widzę, jak rozluźnia palce zaciśnięte na krawędzi blatu. Głęboko wciąga i wypuszcza powietrze.

– Simona...

Chyba pierwszy raz nazywa mnie imieniem, a nie „moja droga”. Z wrażenia nie wiem, co odpowiedzieć.

– Simona, nie chcę prowadzić z tobą wojny. Jeszcze do niedawna byliśmy... no może nie przyjaciółmi, ale dobrymi partnerami. Nasza współpraca świetnie się układała.

– To prawda. – Kiwam głową. – A konkretnie do ubiegłego roku. Kiedy z chciwości...

– Chciwość jest cechą wstrętną i grzeszną.

– Słyszałam to już milion razy!

– Simona... Daj już spokój – mówi nieco ciszej i patrzy na mnie bardziej pojednawczo. – Przestańmy na chwilę rozmawiać o przeszłości.

Ciężko oddycham. Patrzę mu prosto w oczy.

– Proszę, powiedz to głośno. Tak, teraz, głośno i przy świadku, że nie masz ochoty na tę grę. Że nie masz ochoty znaleźć złotego runa, sprawdzić, czy to

rzeczywiście bajka, legenda albo mit, czy może prawda. Że nie masz ochoty dowiedzieć się, czy gdzieś na świecie może rzeczywiście istnieje sztaba w kształcie zwierzęcej skóry, wykonana nie z miedzi, ale z czystego złota. Że nie masz ochoty...

Urywa, bo widzi moją minę. Minę, która mówi: mam. Mam ochotę. I to jak jasna cholera!

Wzdycham, przyłapana na gorącym uczynku. Przeczesałem palcami włosy i znów oglądam się za kelnerem.

– Powiem ci, co wiem, dobrze?

Kiwam tylko głową, bo nie chcę dać mu tej satysfakcji i wypowiedzieć tego głośno.

– Ktoś do mnie zadzwonił. Z Moskwy...

Nienawidzę tego miasta! Kiedy byłem tam ostatnim razem, okropnie się przeziębiam, od wytrycha w bucie zrobił mi się wielki bąbel i musiałam podróżować ponad trzydzieści godzin autobusem. Dziękuję bardzo!

– Mój kontakt powiedział mi, kto wie, gdzie jest złote runo.

– Kto wie...? A kim jest twój kontakt?

– Chwileczkę. – Konstantinos unosi palce gestem „cierpliwości”. – Musisz pojechać do Moskwy...

– Nie mam zamiar...

– ...a stamtąd do Czelabińska.

– Do Czelabińska? Nawet nie wiem, gdzie to jest.

– Nic nie szkodzi, to i tak nie koniec twojej podróży. W Czelabińsku przejmą cię organizatorzy konferencji w Arkaim.

– Arkaim, jasne, to dla odmiany mówi mi wszystko.

– Nic nie szkodzi – powtarza cierpliwie. – Sam nie wiem dokładnie, gdzie to jest, gdzieś w stepie, na granicy z Kazachstanem, zresztą nieważne, bo zajmą się tobą organizatorzy konferencji.

– Konferencji?

– Tak, międzynarodowej konferencji. Wśród zaproszonych specjalistów z całego świata będzie pewien facet, który powie nam, gdzie jest złote runo.

– Nam?

– Oj, ciężko dzisiaj się z tobą rozmawia. Powie tobie i Petrosowi.

– I Petrosowi...

Kelner podchodzi wreszcie do stołu. Ostrożnie, jakby się bał, że ktoś go pobije. I słusznie, mam ochotę komuś przywalić. Petros! Student Konstantinosa, a tak naprawdę jego cyngiel od brudnej roboty, przydatny, kiedy trzeba kogoś przekupić. Albo zabić...

Biorę głęboki wdech, zaciskam pięści i zamawiam jajecznicę na bekonie, mało wysmażonym. Kelner oznajmia, że nie mają. W takim razie omlet. Też

wyszedł. Sałatkę z kurczakiem? Teraz kiwa głową, a ja mam nadzieję, że warzywa zebrano już w tym stuleciu, a nie jeszcze w poprzednim.

Petros czyta kartę, nie może się zdecydować i mówi kelnerowi, żeby przyszedł za chwilę. Konstantinos prosi tylko o wodę mineralną Perrier z plasterkiem cytryny. O dziwo to mają.

– Kim jest ten facet?

– Facet?

– Facet, który wie, gdzie jest złote runo.

Konstantinos natychmiast przysuwa się do stołu i pochyla w moją stronę.

– Słyszałaś kiedyś o jakimś Johnie Rudence?

Kręcę głową. Rudenko to dziwne nazwisko i gdybym je kiedykolwiek usłyszała, na pewno zapadłoby mi w pamięć.

– To jest... – Zniża głos, chociaż nikt nas nie podsłuchuje. – Wybitny archeolog, ale dziwak. Naturalizowany Rosjanin. Kto dobrowolnie przyjąłby rosyjskie obywatelstwo, no sama powiedz?

Gérard Depardieu, na przykład. Konstantinos najwyraźniej nie czyta serwisów plotkarskich.

– Podobno Rudenko to ekscentryk. Mieszka niedaleko tego całego Arkaim, w chacie bez prądu, komputera i telefonu, więc nie można normalnie się z nim skontaktować. Trzeba tam po prostu pojechać.

– I on wie, gdzie jest złote runo.

– Tak twierdzi mój kontakt.

– No dobrze, to jeszcze raz: kim jest twój kontakt?

Konstantinos przybiera tajemniczą minę.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Bo?

– Bo nie mogę. – Odsuwa się na znak, że nie chce o tym rozmawiać.

W sumie aż tak bardzo mnie to nie interesuje. Wracam do ciekawszego tematu.

– No dobrze, Rudenko mieszka w chacie, chodzi w tkanej w domu sukmanie, jak Tołstoj, i wie, gdzie jest złote runo. – Spoglądam na niego, a on przytakuje. – Sam przed chwilą powiedziałeś, że to byłaby archeologiczna sensacja. I akurat w tym jednym punkcie zgadzam się z tobą. Dlaczego więc nie opublikował jeszcze runa i nie zabezpieczył w muzeum?

Albo sam go nie ukradł, jeśli ma choć trochę oleju w głowie.

Konstantinos wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Najwyraźniej to naprawdę dziwak.

Najwyraźniej. Zastanawiam się przez chwilę i mówię w końcu:

– Posłuchaj, może rzeczywiście ten Rudenko naprawdę istnieje i wszystko wie, ale nie mogę przecież wylądować tak po prostu w środku konferencji

archeologicznej. Zgłoszenia na takie imprezy przyjmowane są wiele miesięcy wcześniej.

Spoglądam na niego powątpiewająco, a on tylko chrząka, wyjmując z kieszeni wyprasowaną, śnieżnobiałą chustkę i ociera lewy kącik ust.

- Mam znajomości – mówi.
- Zgłosiłeś mnie bez pytania.
- Wiedziałem, że się zgodzisz.

Kręcę głową. Jak zawsze o wszystkim pomyślał.

– A temat mojego wystąpienia?  
– Wzajemne wpływy w zakresie technik złotniczych w drugim i trzecim tysiącleciu przed naszą erą we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego – recytuje z pamięci.

To temat mniej więcej tak szeroki jak „wpływ oddychania na atmosferę”. Mogę powiedzieć wszystko.

– Petrosa też zgłosiłeś? Przecież on jest studentem, nie sądzę, by organizatorzy konferencji akceptowali studenckie referaty.

– On będzie osobą towarzyszącą. Powiesz, że jest twoim kochankiem.

Oboje z Petroszem patrzymy na siebie i parskamy śmiechem. Petros jest gejem. Powiedział mi to kilka miesięcy temu, kiedy omal przez niego nie zginęłam. Konstantinos chyba nie wie, z czego się śmiejemy, bo przybiera naburmuszoną minę.

Kelner przychodzi wreszcie z talerzami. Sałata jest przywiedła, kurczak najwyraźniej zdechł ze starości, a przed śmiercią głodował, ale i tak rzucam się na jedzenie. Mój były współnik popija swoją wodę i przypatruje się ludziom.

– O wszystkim pomyślałeś – mówię z pełnymi ustami.  
– Załatwiłem nawet, że ktoś się tobą zajmie. Zgłosi się do ciebie na miejscu w Arkaim i udzieli ci wszelkiej pomocy, jakiej będziesz potrzebować.

– W Arkaim, na granicy z Kazachstanem, w samym środku największego zadupia...

– Daj już spokój. Tam mają studentów, obiecali oddelegować kogoś specjalnie dla ciebie i Petrosa. Będziesz podróżować jak księżniczka.

Wątpię w to, jednak odpuszczam, bo zaprzęta mnie coś innego.

– Skąd wiesz, że Rudenko w ogóle będzie chciał ze mną rozmawiać? Skoro żyje gdzieś w chacie na tym zadupiu, to raczej nie jest bardzo towarzyski.

– Na pewno będzie chciał.

– I na pewno od razu, podczas pierwszego spotkania, opowie mi wszystko o lokalizacji złotego runa, które, przypominam, o ile naprawdę istnieje...

– Istnieje!

– ...o ile naprawdę istnieje, jest największym archeologicznym odkryciem nie tylko tego stulecia, ale i dwóch poprzednich.

- Powie ci.
- Skąd ta pewność?
- Sama zobaczysz.

Przygryzam wargi. Moja reguła numer jeden mówi wyraźnie: nie ufaj nikomu, a już na pewno nie Konstantinosowi. Gdy on ma w tym interes, gotów mi nieba przychylić, a jeśli tylko stanę się dla niego niewygodna, każe mnie zamknąć. Albo zabić. Nie mam jednak wyjścia – trzyma mnie w garści, może w każdej chwili wezwać ochronę lotniska i kazać przeszukać mój podręczny plecak. A poza tym...

Poza tym jest jeszcze złote runo. Nie wiadomo, czy naprawdę istnieje. Ale jeśli tak...

Chętnie zjadłabym jeszcze jedną sałatkę, jednak kelner chyba wyjechał na zaległy urlop w dalekie strony. Wychyłam duszkiem zimną już kawę. Konstantinos czeka, aż odstawię filiżankę, i dopiero wtedy mówi:

– A ten wisiołek... Ten z Efezu... – Podrywam głowę i napotykam jego poważne spojrzenie. – Lepiej mi go oddaj.

– Chyba oszalałeś!

– Nie możesz z nim jechać do Rosji – tłumaczy cierpliwie jak dziecku.

Ma rację. Nienawidzę go za to. Schyłam się i wydaję z plecaka pudełko opakowane jak prezent i rachunek z certyfikatem.

– Odpalę ci dwadzieścia procent – rzuca, odsuwając krzesło, więc szurające nogi zagłuszają moje zgrzytanie zębami.

Ale sami powiedzcie, czy mam jakieś wyjście?

Spoglądam na drugą stronę lotniskowej hali, na szyby od sufitu do podłogi. Za nimi świeci słońce, jednak to Turcja – w Czelabińsku czy innym miejscu na rosyjskich stepach na początku września pewnie panują już mrozy. Nawet gdyby mojej walizki nie trafił szlag, miałam tam tylko letnie ciuchy, i to takie na wykopaliska, a nie lubię wygłaszać referatów przed międzynarodową publicznością w przetartych od siedzenia na ziemi bojówkach i w powyciąganym T-shircie niewiadomego koloru, bo spłowił od słońca i prania w tureckich proszkach.

– Kupisz sobie w sklepie wolnoctwom – kwituje mój problem Konstantinos.

– Tu jest drogo. Chyba że za mnie zapłacisz.

– Żartujesz, moja droga? Już niedługo będziesz bogata, wrzucisz to sobie w koszty.

Zawsze wiedziałam, że straszne z niego skąpiradło.

– „Niedługo” to pojęcie względne. Wolałabym kupić coś w mieście.

– Już nie zdążysz. Wasz samolot odlatuje za – spogląda na zegarek – dwie godziny.

Według bajki o złotym runie, którą Konstantinos uparcie wciska mi jako prawdę, Argonauci wyruszyli z Pagazaj (w Grecji) w kierunku Lemnos (też w Grecji), pokonali cieśniny i wzdłuż południowych wybrzeży Morza Czarnego dotarli do Kolchidy (nie w Grecji). To była ciężka i długa podróż. Musieli zatrzymywać się po drodze wiele razy i nie przepuścili żadnej okazji do dobrej zabawy. Na Lemnos bzykali się z miejscowymi kobietami, na półwyspie Gelibolu zabili króla Kyzikosa (przez pomyłkę), w Myzji urządzili sobie idiotyczne (testosteron!) zawody w wiosłowaniu, aż trzeba ich było potem reanimować. Gdzieś w tamtej okolicy stracili Hylasa, który poszedł do lasu po drewno i już nie wrócił. Na wyspie Bebrykos na morzu Marmara stoczyli pojedynek bokserski z królem Amykosem. Amykos zaliczył śmiertelny cios w skroń. Jego podwładni byli tym oburzeni, ale kiedy dali temu wyraz, zostali zdziesiątkowani. W Tracji Argonauci przynajmniej raz potrafili się zachować i pomogli ślepemu królowi Fineusowi, gdy ten prawie umierał z głodu, bo skrzydlate harpie porwały mu jedzenie (albo zanieczyszczały fekaliami, istnieją też bardziej obrzydliwe wersje mitów greckich). W podzięce otrzymali kilka użytecznych rad co do dalszej żeglugi. Później przepłynęli pomiędzy ruchomymi skałami, zobaczyli Apolla we własnej osobie (zrobiło to spore wrażenie na nieokrzesanych facetach), walczyli z dzikiem i z ptakami wystrzeliwującymi pióra z brązu jak strzały, zaokrętowali kilku nowych członków załogi na miejsce tych, którzy dali się zabić po drodze, i zapłodnili jeszcze kilka kobiet. Nie można powiedzieć, żeby chłopcy źle się bawili.

Ja bawię się o wiele gorzej, chociaż nie muszę wiosłować. Lecimy drugą klasą. W każdym rządzie dwa razy po trzy siedzenia. Moje jest środkowe. Facet od korytarza wietrzy genitalia, Petros chrapie przy oknie. Żeby nie zwariować, myślę o złotym runie, o sztabie z czystego złota w kształcie zwierzęcej skóry. Przeciętny ingot z miedzi waży pomiędzy dwadzieścia a trzydzieści kilogramów. Złoto jest mniej więcej dwa razy gęstsze niż miedź... Sami sobie pomnóżcie. To dużo złota. Bardzo dużo! I nie próbujcie przeliczać wagi na wartość kruszcu. Sztaba w kształcie zwierzęcej skóry, sztaba, która potwierdza, że mit o złotym runie nie jest bajką, tylko prawdą... Taka sztaba jest bezcenna.

Może wreszcie uda mi się zarobić tyle, żeby przestać kraść zabytki. Albo przynajmniej tyle, żeby latać po nie pierwszą klasą.

Lotnisko w Moskwie jest szare i źle oznakowane. Petros przechodzi przez bramki szybkim krokiem, jakby bywał tu co tydzień. Boję się zgubić, więc trzymam się blisko. Zatrzymuję go tylko przy stoisku z kanapkami, bo o śniadaniu już dawno zapomniałam. Kiedy dowiaduję się, że musimy przejechać na inne lotnisko, krajowe, z którego odlatują samoloty do Czelabińska, kieruję się do

postoju taksówek, ale Petros nie rusza się z miejsca. Pytam, o co, do cholery, chodzi, a on wyjaśnia, że nie chce utknąć w korku. Musimy pojechać autobusem, potem metrem, potem innym autobusem albo innym metrem, zapomniałam, to było bardzo skomplikowane. Na pytanie, czy autobus nie utknie w korku, Petros wzrusza ramionami.

W pojeździe śmierdzi spalinami. Nie potrafię określić, jakiego koloru było oparcie, kiedy opuścił fabrykę. Gdy wyjeżdżamy z lotniska, zaczyna padać. Trzęsę się z zimna, ale mój sweter jest w walizce w luku bagażowym. Przed stacją metra z ulgą wyjmuję walizkę i szybko się ubieram, jednak wtedy okazuje się, że nie działają schody ruchome. Tazczę ją więc do drugiego autobusu, gdzie temperatura wynosi czterdzieści pięć stopni. Pewnie umarłabym w nim z gorąca, gdyby nie fakt, że moje funkcje życiowe są spowolnione, bo autobus, zamiast tlenu i dwutlenku węgla, wypełniają spaliny. Podobno trupy osób, które zatruty się spalinami, wyglądają zdrowo i mają różowe policzki.

Na drugim lotnisku okazuje się, że Petros źle obliczył czas dojazdu i zostały nam dwie godziny do odprawy. W poczekalni nie ma ani jednego wolnego miejsca. Siadam na walizce, za którą zabuliłam na lotnisku małą fortunę, a kiedy na chwilę z niej wstaję, żeby pójść do kibla, jakiś facet próbuje ją ukraść. Rezygnuję ze spacerów po lotnisku i mam nadzieję, że w samolocie będzie toaleta.

Jest. Nie ma za to posiłku, a sok podany przez stewardesę zapewne świeci w ciemności. Przynajmniej na to wskazuje jego kolor. I tak go wypijam. Pytam Petrosa, czy nie ma czegoś do jedzenia. Częstuje mnie gumą do żucia.

Po drodze mamy międzylądowanie, a kiedy samolot ponownie kołuje do startu, pasażerów jest więcej niż foteli. Stewardesy machają na to ręką. Dwóch facetów stoi przez całą drogę. Petros nie śpi, tylko umiła mi podróż opowiadaniem o wypadkach z udziałem linii lotniczych na terenie byłego Związku Radzieckiego.

Kiedy podchodzimy do lądowania w Czelabińsku, jest już noc. Za oknem nie widzę żadnych świateł poza dwiema liniami po obu stronach pasa startowego. Nie jestem mocna z geografii Rosji, jednak wydawało mi się, że Czelabińsk to nazwa miasta.

Z samolotu trzeba przejść pieszo, ale nie jest to długi spacer, bo lotnisko ma tylko jeden pas startowy. Hala przylotów składa się z jednego baraku i jednego pasa transmisyjnego. Bagaże pojawiają się po pół godzinie. Każdy, kto widzi swoją walizkę, łapie ją i wybiega, jakby w lasach otaczających lotnisko grasowały wilki. Terminal pustoszeje w ciągu dziesięciu minut. Zostajemy tylko Petros i ja.

– I co teraz? – pytam.

– Ktoś ma nas odebrać.

Rozglądam się. W hali nie ma żywej duszy. Nawet nikogo z obsługi. To rozsądne, bo jeszcze zaczęlibyśmy zadawać pytania, na przykład: jak się stąd wydostać.



Petros układa się na ławce i pod głowę wsuwa zwiniętą kurtkę. Ja owijam się swoją, bo ściany hali są tylko z cienkiej blachy falistej. Słyszę, jak uderzają w nie podmuchy wiatru.

– I co teraz? – pytam znowu.

– Musimy poczekać. – Zamyka oczy.

Jestem nieludzko zmęczona, głodna, spragniona, zmarznięta i chcę być zupełnie gdzie indziej, ale kiedy mu się skarżę, on nawet nie otwiera oczu. Chwytam walizkę i ciągnę ją przez całą długość terminalu do wyjścia. Jedyne dźwiękiem, jaki słyszę, są moje kroki na betonie i turkot kółek. I ten cholerny wiatr. Do tego jeszcze jarzeniówki pod sufitem migoczą. No do kurwy, nie zgodziłam się przecież na udział w horrorze!

Wychodzę pewnym krokiem na zewnątrz i natychmiast cofam się do środka, bo wiatr jest lodowaty. Przed terminalem nie stoi ani jedna taksówka. Tu w ogóle nie ma postoju taksówek ani nawet przystanku autobusowego. Tylko las. Lampa nad wejściem oświetla zaledwie kawałek drogi, reszta niknie w ciemnościach.

Petros musi słyszeć, jak wracam, ale ignoruje mnie. Oddycha regularnie, może naprawdę zasnął. Bezceremonialnie spycham mu nogi z ławki, a on mruczy coś i sadowi się inaczej.

– Miałam podróżować z wygodami – warczę. – „Jak księżniczka” – cytuję Konstantinosa.

Wzrusza tylko ramionami. Nawet nie otworzył oczu.

– Mam to w dupie. Nie tak się umawialiśmy. Wracam do domu!

– Wracaj.

– Kiedy, do cholery, jest następny samolot do Moskwy?

– A co ja jestem rozkład jazdy? – Jak na niego to całkiem długie zdanie. – Zapytaj kogoś z obsługi.

Równie dobrze mogę wyjść na dwór i pogadać z wilkami! Wsadzam głowę do dziury, z której wcześniej wyjeżdżały walizki, wołam dwa razy „halo” i wiem tyle, co przedtem. Tym razem nie jestem już taka delikatna i szarpie Petrosa za ramię.

– Miałaś się mną opiekować.

– Nie, to jacyś ludzie z Moskwy mieli się tobą opiekować – odpowiada ze spokojem i się odsuwa. – Ja mam ułatwić przewiezienie złotego runa przez granicę.

– Do jasnej cholery...

No i przez tę kłótnię nie słyszę kroków, a musiały być głośne, bo dziewczyna ma buty na obcasach z takich, co stukają na betonie. Kiedy oglądam się przez ramię, stoi tuż obok i żuje gumę. Pochyla się lekko do przodu, jakby mówiła do dziecka, i trochę niewyraźnie pyta:

– Czy pani doktor Brenner?

Mrugam. Petros otwiera oczy i siada.

Dziewczyna oczekuje odpowiedzi, więc kiwam głową, a wtedy wyciąga do mnie dłoń i przesuwa językiem gumę w głąb policzka.

– Jestem Walentina Julianowa. Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać, pani doktor.

Przyglądam się jej krótkiej spódniczce w nachodzące na siebie różowe i czerwone koła oraz kurtce z miękkiej skóry. Jest świetna, sama bym taką chciała. Ona z kolei lustruje moje podkrążone oczy, zmierzwiłone włosy i kiepsko zestawione ciuchy (no co, spieszyłam się na lotnisku). Na szczęście mam szkła kontaktowe. Zawsze je zakładam na podróż, chociaż to okropnie niewygodne, bo rogówki w samolocie wysychają, zwłaszcza kiedy jestem zmęczona, jednak nie mogę ryzykować, że ktoś mnie zapamięta do końca życia. Dzisiaj moje tęczy są brązowe, dobrane pod kolor cieni pod oczami, więc Walentina Jakaś tam nie poświęca im chwili uwagi. Zresztą tak samo, jak facetowi, który wchodzi do hali.

– To Michaił – mówi, nie oglądając się na niego.

Tylko imię.

Facet ściska nam dłonie, mamrocze słowa powitania i nazwisko. Źle wymawia angielskie słowa i ma ciężki rosyjski akcent, więc niewiele rozumiem, ale to nieważne, przecież odwozi mnie tylko do hotelu.

– Jesteśmy studentami z uniwersytetu moskiewskiego. Mamy się panią zaopiekować, doktor Brenner. Nie wiedzieliśmy, że przyleci pani w towarzystwie.

Jestem za bardzo wkurzona, żeby bawić się w wersal i przedstawiać im Petrosa.

– Jednak wiedzieliście, o której przylatuje samolot, prawda? Bo to twarda ławka, a ja jestem zmęczona i...

– Były problemy z komunikacją. – Dziewczyna przesuwa gumę do drugiego policzka i wzrusza ramionami. Prawie niedostrzegalnie, ale ja to widzę. – Organizatorzy konferencji podali nam złą godzinę przylotu.

Michaił w ogóle się nie odzywa.

– No, chodźmy już. – Walentina mlaska gumą i obraca się na obcasach. – Do miasta jeszcze kawałek drogi.

Oboje kierują się do wyjścia, jednak ja nie ruszam się z miejsca. Kiedy Michaił się ogląda, pokazuję mu wzrokiem walizkę. Zawraca po mój bagaż, a Petros uśmiecha się pod nosem i zarzuca na ramię własną torbę. Przed wyjściem z hangaru Walentina się zatrzymuje.

– Czy mogę zrobić sobie z panią zdjęcie, pani doktor?

Chyba się przesłyszałam. Potrząsam głową, ale zapewne to do niej nie dociera, bo wyciąga z kieszeni komórkę, ustawia się obok mnie, układa usta w dzióbek i unosi ramię. Zanim zdążę zaprotestować i powiedzieć jej, żeby spieprzała z tym aparatem, jest już po wszystkim.

– I jeszcze z panem. – Podchodzi do Petrosa, który też otwiera usta ze

zdziwienia, ale pozwala się objąć i sfotografować.

Nie potrafię powiedzieć, jakiej marki jest ich samochód, nie wiem nawet, jakiego koloru, bo zaparkowali poza światłem lampy – ważne, że jedziemy. Jedziemy i jedziemy, i jedziemy, cały czas przez las. W otaczających nas ciemnościach widzę tylko tyle, ile oświetlają reflektory przy samym poboczu, czyli drzewa. Petros w czasie tej podróży odzywa się tylko raz.

– A ty chciałaś iść na piechotę – mówi i zaraz potem chyba zasypia na tylnym siedzeniu obok mnie, bo oddycha miarowo i kilka razy opada mu głowa. Też bym chętnie pospała, ale boli mnie kręgosłup i pieką oczy.

Po godzinie jazdy drzewa się przerzedzają i wyjeżdżamy z lasu, gdzieś w dali pojawiają się światła. Z bliska okazuje się, że to postsowieckie miasto. Szerokie ulice, akurat do organizowania defilad i same bloki. Hotel też jest w bloku. Staję przed nim i zadzieram głowę – w milczeniu przyglądam się wybitym szybom na całym trzecim piętrze. Wzrok Walentyny wędruje za moim spojrzeniem.

– To po meteorycie. Jeszcze nie zdążyli wszystkiego oszklić, w mieście zabrakło szyb. Zakwaterowali was w najlepszym hotelu w Czelabińsku. Bardzo wygodny. My musimy spać w akademiku – dodaje, chociaż wcale mnie to nie interesuje.

Ten hotel też musiał kiedyś być akademikiem, wskazuje na to standard wyposażenia. Od czasu, kiedy studenci urządzali tu burdy, dostawiono tylko kontuar w recepcji i przyśrubowano nad drzwiami neon cyrylicą. Nie mogę go odczytać, bo jestem zbyt zmęczona, poza tym trzy litery i tak nie świecą.

Walentyna bierze nasze paszporty i podchodzi do kontuaru, a ja opadam na jedyny fotel w hallu, pokryty ciemnozielonym skajem. Na ścianie przede mną wisi lustro z liszczami, w którym malowniczo odbija się bukiet suchych traw ustawiony na stole obok. Chcę zaprotestować, powiedzieć, że mam w dupie takie luksusy i kazać się zawieźć z powrotem na lotnisko oraz wsadzić w pierwszy samolot do Moskwy, ale brak mi siły. Zaprotestuję rano. Teraz muszę się położyć.

Na szczęście meldowanie nie trwa długo. Dostaję klucz do pokoju i machnięcie ręki od recepcjonisty, które ma mi wystarczyć za pokazanie drogi. Chodnik na korytarzu pamięta czasy Lenina albo przynajmniej Stalina, światło musiał instalować jakiś wielbiciel horrorów, a w szparę pod drzwiami mojego pokoju mogłabym się pewnie sama wcisnąć, gdybym się trochę poodchudzała. Drzwi są z dykty, od środka zamykają się na zasuwkę. W sumie to i tak lepsze niż klucz, bo żeby otworzyć zamek, wystarczy pogrzebać w nim ołówkiem albo lekko kopnąć. Jak się okazuje, trzeba też kopnąć drzwi, żeby w ogóle się zamknęły. Przesuwam zasuwkę i rozglądam się po pokoju. Wyposażenie pochodzi z czasów akademika: pojedyncze łóżko z zapadniętym materacem i szafka nocna. Szafy brak. W tej sytuacji mogę być tylko wdzięczna losowi, że w pokoju jest łazienka

i nie muszę ganiać goła po korytarzu.

Dopiero teraz czuję zimno. Na ścianie, owszem, wisi kaloryfer wielkości połowy łóżka, ale lodowaty, a od okna przeraźliwie wieje. Postanawiam więc rozebrać się w łazience, jednak jest tak mała, że nie da się tam nawet zdjąć bluzki przez głowę. Zrzucam ciuchy w pokoju i dygocząc z zimna, puszczam wodę. Leci letnia. Klnę, myję się najszybciej, jak mogę, i trzęsąc się, wycieram cienkim ręcznikiem. W lustrze, które wcale nie zaparowało, bo nie było od czego, widzę swoje sine wargi i podkrążone oczy.

Myję zęby w popękanej umywalce, wyjmuję soczewki i od razu chowam do walizki, żeby nie potrącić pudełka łokciem i nie wygrzebywać go potem z otworu odpływowego. Z ulgą kładę się do łóżka, jednak w zasięgu ręki nie ma wyłącznika górnego światła ani nawet lampki nocnej, więc muszę jeszcze raz wstać, żeby zgasić światło. Zresztą lampka nie jest wcale konieczna, górna część drzwi do pokoju ma szybę z mlecznego szkła i wpada przez nią blask z korytarza – na tyle intensywny, że mogłabym poczytać, gdybym wzięła ze sobą jakąś książkę. Jestem pewna, że przez to światło nie uda mi się zasnąć, ale jakiś czas później budzi mnie hałas. Słyszę śmiechy na korytarzu i tupot, a zaraz potem szarpanie za klamkę moich drzwi i dźwięk tłuczonej butelki. Zrywam się, siadam na łóżku. Rozglądam się po pokoju, ale nie ma w nim nic, czym mogłabym się obronić, nawet krzesła, żeby walnąć kogoś w łeb. Kulę się i czekam. Znowu ktoś się śmieje, mówi coś po rosyjsku i próbuje dostać się do mojego pokoju. Drzwi drżą, ale zasuwka nie puszcza.

Jeszcze jedno szarpnięcie za klamkę i słyszę, jak kroki cichną. Nie ruszam się. Czekam jeszcze kilka minut. Potem bezgłośnie wstaję i wkładam buty, bo na korytarzu na pewno leży potłuczone szkło. Odciągam zasuwkę. Otwieram drzwi szybko, uchylanie ich powoli nic by nie dało.

Nikogo nie ma. Klnę, bo nie mogę sobie przypomnieć, gdzie śpi Petros. Wszystkie drzwi wyglądają identycznie i brak nad nimi numerów. W końcu dochodzę do wniosku, że to trzecie po lewej stronie, licząc od moich. Podchodzę i pukam. Nic. Pukam jeszcze raz. Znowu nic, za to za zakrętem korytarza rozlega się tupot i śmiech. Za chwilę ktoś tu przyjdzie. Ktoś, kto już sporo wypił. Jestem tylko w majtkach i T-shircie. A ten pieprzony Petros nie otwiera!

– *Petro*, to ja! – staram się nie podnosić głosu, chociaż narasta we mnie panika. To oczywiście bez sensu, jeśli Petros śpi, szept go nie obudzi.

Kiedy jestem już pewna, że dobiegam się do niewłaściwego pokoju, słyszę skrzypnięcie materaca, kroki i drzwi się otwierają. Petros ziewa.

Bez pytania wchodzę. Czekam, aż zamknie drzwi. Sama zasuwam zasuwkę i upewniam się, czy wskoczyła w zapadkę.

– Boję się. Ktoś szarpał za klamkę do mojego pokoju.

– Pewnie się pomylił.

– I tak się boję. Nie mogę spać.

Petros patrzy na mnie przez chwilę w świetle padającym przez szybę. Potem wzdycha i wraca do łóżka, a ja kładę się obok niego.

– Mówiłem ci, że jestem gejem – mruczy.

– A ja ci mówiłam, że się boję.

Odwraca się do mnie tyłem, a ja wślizguję się pod kołdrę i przytulam do jego pleców. Niemal natychmiast zapadam w sen.

Kiedy budzę się rano, Petros jest w łazience. Po chwili wychodzi kompletnie ubrany, podczas gdy ja ciągle mam na sobie tylko za duży podkoszulek i majtki.

– Teraz już chyba się nie boisz? – pyta.

Na korytarzu panuje cisza. Wyłączę spod kołdry niechętnie, bo w jego pokoju panuje taki ziąb, jak w moim. Ale nie podejrzewam, by *room service* przewidywał w tym hotelu śniadanie do łóżka.

Staję przez drzwi do mojego pokoju – są uchylone. Popycham je ostrożnie. Niepotrzebnie, bo w środku nikogo nie ma. Ten, kto był tam w nocy, już sobie poszedł, razem ze wszystkimi moimi rzeczami. Nie rozdrabniał się, wziął ubrania i kosmetyczkę (ze szklami kontaktowymi!) razem z walizką oraz podręczny plecak z laptopem w środku.

Wracam do pokoju Petrosa.

– Ktoś się do mnie włamał – mówię bez wstępu. – Wszystko ukradł.

Przez sekundę Petros podejrzewa, że zmyślam – widzę to na jego twarzy. Myśli, że się napaliłam i szukam kolejnego pretekstu, skoro numer „boję się sama spać” nie przeszedł. Jednak po chwili patrzy na mnie uważniej, a kiedy chcę coś dodać, podnosi palec i kładzie go na ustach. Daje mi ruchem ręki znak, żebym trzymała się za nim, i wymyka się na korytarz. Gdyby mnie posłuchał, nie musiałby się tak wysilać.

– Ktoś mi ukradł wszystkie ciuchy – mówię na wypadek, gdyby nie zauważył.

Petros kiwa głową. Zagląda do mojej łazienki, a potem zerka przez okno, jakby spodziewał się zobaczyć włamywacza wiszącego na rynnie.

– Nie wiem, czy w tym zasranym mieście można cokolwiek kupić – dodaję, a on dopiero teraz przygląda się mojemu podkoszulkowi i majtkom.

– Pożyczę ci na razie coś mojego. Jesteśmy podobnego wzrostu. Potem, jak przyjdzie ta panna, zastanowimy się, co dalej.

Nie mam wyjścia – biorę od niego džinsy, podkoszulek, bluzę i parę slipek. Petros grzebie w torbie i daje mi jeszcze skarpety. Dzięki Bogu za to, że jest gejem: ubrania są świeżo wyprane, a skarpety bez dziur. Wracam do siebie, żeby wziąć prysznic. Przynajmniej złodziej oszczędził ręcznik, może dlatego, że jest hotelowy i ma postrzępione brzegi.

Umyta i ubrana w ciuchy Petrosa, schodzę z nim na śniadanie. Gdybym zdążyła wczoraj zjeść porządny posiłek, na pewno nie tknęłabym teraz bułek sprzed tygodnia, zeschniętego żółtego sera i plastrów wędliny pociemniałej na krawędziach. Nie ma kawy tylko herbata. Posłodzona.

W recepcji czekają już na nas Walentina i Michaił. Dziewczyna wypluwa gumę, wydyma wargi i spogląda na zegarek. Ja patrzę na jej krótką spódnicę i botki

z różowej skórki na obcasach. Bardzo ładne. Kiedy podchodzę bliżej, oboje gapią się na moje oczy. Mam nadzieję, że złodzieja, który zabrał moje soczewki, trafi szlag.

– Eeee, wygląda pani jakoś inaczej niż wczoraj, pani doktor – mówi Walentina. – Cieszę się, że pani odpoczęła.

Chcę powiedzieć, co myślę o takim odpoczynku, ale ona szybko dodaje:

– Musimy się pospieszyć. Autobus już stoi od pół godziny. Inni uczestnicy konferencji są od dawna gotowi, czekamy tylko na was.

– To jeszcze poczekacie. – Rozsiadam się na zielonym skajowym fotelu. – Okradziono mnie w nocy.

– Tak?

Czy mi się wydaje, czy w jej głosie w ogóle nie słyszę zainteresowania? Zaciskam zęby.

– Tak, ktoś wszedł do mojego pokoju i wszystko zabrał.

– I nic pani nie słyszała?

Patrzę na plecy Petrosa, który odbiera paszporty przy kontuarze recepcji.

– Byłam w innym pokoju.

– W którym?

– Nie twoja sprawa – cedzę.

Walentina zaciska wargi, ale po sekundzie się uśmiecha. Może sobie przypomniała, że ma się mną opiekować i być dla mnie miła.

Nie sugeruję, żeby zadzwoniła na policję. Jestem wierna mojej regule numer dziewięć: żadnych kontaktów z policją. Co ciekawe, Walentina też tego nie proponuje. Pewnie zna miejscowe realia i wie, że to nie ma sensu.

– Powinna była pani pilnować swoich rzeczy – stwierdza tylko.

– Powinnam była powiedzieć Konstantinosowi, żeby pocałował się w dupę – mrużę cicho, bo ona i tak nie wie, o kim mówię, i głośno dodaje: – Muszę kupić nowe ubrania i kosmetyki.

– Nie ma na to czasu. Autobus już czeka.

Co mnie to obchodzi! Niech sobie czeka!

– A zresztą nie sądzę, żeby ubrania, jakie można dostać w Czelabińsku, spodobały się pani, pani doktor.

To, niestety, może być prawda.

– W takim razie będziesz musiała pożyczyć mi swoje.

Walentina taksuje wzrokiem moją sylwetkę.

– Chętnie poratuję panią kosmetykami, pani doktor, ale w moje ubrania chyba się pani nie zmieści.

Cholera, znowu ma rację. Ta laleczka Barbie jest ode mnie o pół głowy niższa i bardzo chuda. Patrzę na Petrosa, który już z paszportami w dłoni słucha naszej rozmowy.

– Możesz pożyczać moje ciuchy, dopóki nie znajdziemy ci czegoś lepszego – proponuje po chwili ciszy.

Z chęcią podzieliłabym się z nim tym, co myślę o uczestnictwie w międzynarodowej konferencji w ciuchach pożyczonych od faceta, choćby nawet dbającego o higienę geja, ale Petros zarzuca torbę na ramię i idzie do autobusu. Wzdycham więc tylko i biegnę za nim. Irytuje mnie to, że tak się od niego uzależniłam.

Autobus jest pełen, nigdzie nie ma dwóch wolnych miejsc koło siebie. Petros opada na siedzenie obok niskiego mężczyzny z brodą, odgradza się od sąsiada plecakiem i przymyka oczy. Walentina fotografuje uczestników i blokuje mi przejście, więc siadam na pierwszym wolnym siedzeniu, tuż przy wejściu, obok kobiety w okularach i z rozwichrzonymi włosami.

To był zły wybór. Kobieta rzuca się do mnie z wyciągniętą dłonią i muszę się przedstawić. Staram się mówić niewyraźnie, niestety Kudłata ma dobry słuch.

– Ach, to pani? Naprawdę? No, zupełnie inaczej sobie panią wyobrażałam.

Jeszcze raz przeklinam w myślach amatora moich rzeczy, dzięki któremu wszyscy teraz wiedzą, jak wyglądam bez szkieł kontaktowych.

– Doskonały ten pani najnowszy artykuł o repusowanych naszyjnikach z Pentapolis. Naprawdę świetny. Jestem Marsha Cunningham.

Niestety mam miejsce od przejścia i nie mogę odwrócić się do okna. Marsha zwierza mi się, chociaż jej nie pytam.

– Zajmuję się pochówkami końskimi. Jestem naprawdę podniecona tą wyprawą do Arkaim. Wie pani, że w programie jest wycieczka do Sintaszty? – Czeką na reakcję, ale widzi moją minę, a ta nie wyraża niczego. – No tak, pani przecież zajmuje się biżuterią. To tam znaleziono najstarsze rydwany.

Nie wiedziałam i świetnie mi się żyło bez tej wiedzy.

Marsha odwraca się do tyłu, do blondynki w wieku macierzyńskim, z biustem, który mógłby służyć za poduszkę.

– Sabina, nie uwierzysz, to jest doktor Simona Brenner. Sabina Buchholz – zwraca się znów do mnie – jest specjalistką od Kashka w północnej Anatolii.

Wyciągam rękę i ściskam dłoń Sabiny, chociaż wcale nie chcę.

– Mamy mnóstwo nowych odkryć – szczebiocze blondynka z biustem. – Odkopujemy teraz hetycką twierdzę z dobrze zachowanym archiwum. – Zniża głos, jakby zdradzała mi tajemnicę państwową.

A to znaczy, jeśli nie wiecie, że na wykładzie pokaże milion slajdów, na każdym na oko identyczną tabliczkę z gliny pokrytą pismem, którego nie umiem odczytać.

– To jest Anna Lang – Sabina przedstawia mnie swojej sąsiadce. – Zajmuje się u nas technikami metalurgicznymi. Simona, to akurat ciebie powinno zainteresować.



Anna Lang też ściska moją dłoń.

– Fantastycznie panią poznać. Mam nadzieję, że porozmawiamy sobie w kularach.

A to z kolei znaczy, jeśli nie wiecie, że przy każdej najbliższej okazji będę zanudzana szczegółami wytopu brązu, które mam głęboko gdzieś, bo mnie interesują tylko obiekty ze złota.

Marsha chce mi opowiedzieć więcej o najstarszych rydwanach, ale Sabina jej przerywa.

– Hej, dziewczyny, a znacie tego Reinharda Janovskiego? – Oglądają się na faceta trzy rzędy za nami, przy oknie. – Zajmuje się obrzeżami Morza Czarnego, to coś bliżej twojego terenu, Simona. Wybitny młody talent.

Ten Janovsky jest starszy ode mnie.

– Podobno sypia z Niną Lebediewą. – Sabina nieznacznym ruchem ręki wskazuje rudą, krótko ostrzyżoną kobietę. – Tylko teraz udają, że się nie znają.

Anna Lang chichocze.

– No. Za to Hans Ovietska i Eva Inatowa już się nie kryją.

Przyglądają się teraz parze, która trzyma się za ręce.

– Zobaczcie, zobaczcie! – ekscytuje się Sabina. – A tam siedzi Maximilian Weber, archeolog legenda.

Maximilian Weber opublikował chyba wszystko, co było do opublikowania z Wysp Cykladzkich. Także złotą figurkę koziorożca z Santorini. Przymierzałam się, żeby ją ukraść, póki była w magazynie, ale ktoś w Metropolitan Museum nagle uznał, że koziorożec będzie ładnie wyglądać na ekspozycji, i moje plany szlag trafił. Weber musi mieć chyba ze sto pięćdziesiąt lat, chociaż wygląda zaledwie na sto.

– I Aleksandra Pietrowa. – Sabina przysuwa się jeszcze bliżej. – Słyszałam, że dawno temu Weber i Pietrowa też mieli romans. Jej mąż nieźle mu przyłożył i potem przez wiele lat Weber bał się przyjechać do Rosji, bo tamten miał jakieś kontakty w KGB i zdjęcia Webera wisiały na lotniskach.

Kobiety zaczynają chichotać, a ja zaciskam dłonie w pięści i staram się powoli i głęboko oddychać.

Kierowca uruchamia silnik i w autobusie rozlega się łomot pracującej młockarni. Kobieta, która wcześniej przedstawiała się chyba jako organizatorka (nie słuchałam uważnie), bierze do ręki mikrofon i zaczyna gadać. Mimo to słyszę wyraźnie pytanie Anny Lang:

– A pani o czym będzie mówić na konferencji, doktor Brenner?

Próbuję sobie przypomnieć tytuł wystąpienia od Konstantinosa, kiedy coś mi nagle przychodzi do głowy. Należy wykorzystać każdą sytuację. Może to powinna być moja reguła numer dwanaście?

– Nie wiecie, czy jest tutaj John Rudenko?

Przez ułamek sekundy mam nadzieję, że jedna z nich odpowie: „tak, to ten facet z brodą w ostatnim rzędzie”, albo coś podobnego, i nie będę musiała tłuc się cały (kolejny!) dzień śmierzącym autobusem. Jeszcze zdążę wysiąść, bo drzwi ciągle są otwarte, a silnik pracuje na jałowym biegu. Ale po moim pytaniu zapada cisza, a po chwili Sabina przysuwa się do dzielącego nas oparcia i zniża głos:

– Masz na myśli tego słynnego Johna Rudenkę?

Przytakuję.

– A wiecie dziewczyny, że on przyjął rosyjskie obywatelstwo? Jak Gérard Depardieu.

Wzdycham. Tak, wiemy.

– On podobno w ogóle nie widuje się z ludźmi.

– To prawda – dorzuca kudłata Marsha. – Podobno mieszka w chacie, gdzieś daleko, całkiem sam.

– Ale podobno cały czas pracuje – dodaje swoje Anna Lang. – W zeszłym roku opublikował tę uźdżienicę...

Podobno i podobno. Jak znaleźć faceta, o którym tylko „podobno” coś wiadomo i który mieszka „gdzieś daleko”? No jak, do cholery?!

Drzwi się zamykają i wewnątrz autobusu natychmiast wypełniają wyziewy silnika. Kierowca startuje jak na poligonie rakietowym. Sabina Buchholz o coś mnie pyta, ale mam już dosyć tej pogaduszki. Wstaję, kurczowo przytrzymuję się oparcia i lustruję pasażerów. Mam nadzieję, że znajdę jeszcze jakieś wolne miejsce z tyłu.

I wtedy go dostrzegam.

Nie, nie Johna Rudenkę.

Przechodzę na tył autobusu, a każdym razie próbuję przejść, czepiając się siedzeń, bo kierowca najwyraźniej chciał w dzieciństwie zostać nie tylko kosmonautą, ale także kierowcą rajdowym. Wreszcie docieram na miejsce i opadam na fotel obok wysokiego bruneta z zakolami.

– Cześć, Martin.

Martin van der Nooten jest jednym z moich nielicznych byłych kochanków, o których myślę bez zgrzytania zębami. Czasem nawet (choć niezbyt często) żałuję, że z nim zerwałam. A teraz żałuję, że mam na sobie tylko polar Petrosa, a nie dopasowany w talii żakiet z dużym dekoltem. Byłoby wspaniale, gdyby on myślał w ten sam sposób o mnie (wyjawszy żakiet z dekoltem), ale bądźmy realistami. Martin jest przystojny, inteligentny i kiedyś był profesorem na uniwersytecie w Antwerpii. Profesorowie mają łatwiej niż pozostała część męskiej populacji, bo mogą szukać pocieszenia u studentek. On też szukał i znalazł u ładnej, miłej blondynki, w dodatku chyba niegłupiej. Widziałam jej doktorat na temat, na którym Martin kompletnie się nie zna, więc to nie on go za nią napisał. Później blondynka urodziła mu dziecko, rozwiodła się z Martinem, a potem już nie wiem – byłam zajęta innymi facetami i wykradaniem zabytków.

Siedzi sam, co mnie nie dziwi, bo nie jest już profesorem. Po tym, jak rzuciła go żona i musiał płacić niemałe alimenty, zostawił uniwersytet, sprzedał dom i odkupił od kogoś antykwariat. W pewnym sensie robi teraz to samo, co ja – handluje zabytkami. Z jedną różnicą: on jest uczciwy. Jego zabytki mają starannie udokumentowane pochodzenie. Większość to resztki starych prywatnych kolekcji, gromadzonych jeszcze, kiedy samodzielne rozkopywanie stanowisk archeologicznych nie podpadało pod paragraf, tylko było eleganckim hobby dla dżentelmenów. Piękne czasy. Za to teraz Martin siedzi sam i nikt ani z przodu, ani z tyłu, ani z rzędu po drugiej stronie nie zamienia z nim słowa. No cóż, archeolodzy nie lubią antykwariuszy, nawet tych uczciwych. Każdy archeolog jest święcie przekonany, że zabytki powinny leżeć i gnić albo przynajmniej kurzyć się w skrzyniach, koniecznie zabitych wielkimi gwoździami, w magazynie zamkniętym na trzy zamki i łańcuch, że dziedzictwo kulturowe ludzkości, najlepiej tejsze ludzkości służy, kiedy ludzkość go nie ogląda. Cóż, uważam inaczej.

Martin na mój widok lekko blednie. Nie wiem dlaczego, ale nie mam czasu się nad tym zastanowić, bo mówi:

– O rany! Nie spodziewałem się tu ciebie spotkać. Ze wszystkich miejsc na całej kuli ziemskiej...

– Ja też nie spodziewałam się tu być. – Uśmiecham się i wzruszam ramionami.

Nie rozumie, o co mi chodzi, a ja nie wyjaśniam, tylko przyglądam mu się uważnie. Minęło wiele lat, a on zmienił się wyłącznie na korzyść. Nadal trzyma się prosto, nadal ma orli nos. Ciemne włosy, lekko szpakowate na skroniach (co akurat jest bardzo seksowne), nosi teraz dłuższe, zaczepiają o kołnierz kurtki. Chyba uznał, że nie warto golić się na konferencję na jakimś zadupiu, i ma trzydniowy zarost, prawie czarny, tylko z kilkoma srebrnymi nitkami. On też mi się przygląda. Czerwieni się, kiedy go na tym przyłapuję.

– No tak. – Rozpina kurtkę. Nawet po tylu latach miło mi na myśl, że mu gorąco, kiedy obok niego siedzę. – Przyjechałaś obejrzeć końskie pochówki?

– Nie całkiem.

– Aha. No to po co? – Przesuwa dłonią pod kołnierzykiem koszuli.

Cholera, nie przygotowałam się. Nie wiedziałam, że będę musiała tłumaczyć się komuś, kogo znam. Próbuję odwlec to w czasie.

– A ty?

– Ostatnio często tu bywam. W Rosji jest sporo prywatnych kolekcji. To znaczy zawsze było sporo, ale teraz pojawiły się nowe. Oczywiście wszystkie legalne, z dobrze udokumentowanym pochodzeniem zabytków – dodaje szybko. – Przecież wiesz, że nie kupuję niczego od złodziei.

A, żeby była jasność: Martin nie ma pojęcia, czym się zajmuję. To znaczy, czym się zajmuję po godzinach. I nie zamierzam mu powiedzieć.

– Wiem, wiem.

– A teraz prawie każdy rosyjski bogacz chce mieć własną kolekcję. Dzięki temu mogą się chwalić, że odziedziczyli po przodkach – wzdycha. – No, w każdym razie nieźle płacą.

– Jest z kim robić interesy – puentuję, a on kiwa głową.

– Nawet się zastanawiam, czy nie otworzyć jeszcze jednego sklepu w Moskwie.

Nudzi mnie ta rozmowa, ale osiągnęłam cel: Martin zapomina zapytać, po co tu przyjechałam. Pochyliłam się lekko w jego stronę i wyglądam przez szybę. Za oknem skończyły się już betonowe bloki, jedziemy przez pola. Nie potrafię zidentyfikować, co na nich rośnie. Kobieta, która dotychczas cały czas gadała do mikrofonu, zaczyna rozdawać paczki śniadaniowe. Zaglądam do pergaminowej torebki: w środku są kanapka z żółtym serem, jabłko i butelka soku kolorem przypominającego odpady radioaktywne.

– Proszę bardzo, lunch dla pana. – Kobieta wciska Martinowi wałówkę. – Po drodze nie ma żadnej restauracji. Gorący posiłek będzie dopiero wieczorem.

Martin otwiera torebkę, zagląda do środka i szybko ją zamyka.

– Skoro tu często bywasz, pewnie wszystkich znasz – zmieniam temat. – Bo ja nikogo.

– Prawie. O tam, przed nami siedzi Giennadij Kozlew, główny

pomysłodawca tej konferencji. Jeśli masz ochotę, to cię przedstawię.

– Może później. – Moja nowa reguła, numer dwanaście: trzeba korzystać z każdej okazji. – A znasz Johna Rudenkę?

– Rudenkę? Nie, nigdy go nie spotkałem. Mało kto go spotkał, on raczej unika ludzi. Podobno mieszka gdzieś w chacie na końcu świata i sam prowadzi wykopaliska.

Znowu z naciskiem na „podobno”.

– Tak, już to słyszałam, ale ja nie jestem „ludzie”, muszę się z nim zobaczyć.

– Powiesz mi po co?

– Sprawa prywatna – ucinam.

Martin spogląda na mnie poważnie.

Kiwam głową i próbuję usadowić się wygodniej, ale oparcie jest przykręcone do siedzenia wielkimi śrubami. Żeby je poruszyć, musiałabym mieć podręczny warsztat ślusarski.

Po kilku godzinach okazuje się, że po drodze nie ma nie tylko restauracji, ale też żadnej stacji benzynowej. Ani niczego innego.

– Panie na lewo, panowie na prawo – komenderuje organizatorka, kiedy kierowca hamuje i autobus zjeżdża z asfaltu na pobocze.

Muszę się mocno uszczypnąć, by sprawdzić, czy nie śpię i nie śni mi się wycieczka szkolna. Ruszam głębiej w las. Trochę się co prawda boję, że autobus odjedzie beze mnie, ale wolałabym nie pokazywać innym uczestniczkom konferencji mojego gołego tyłka. W końcu docieram do miejsca, z którego nie widzę autobusu i nie słyszę żadnych głosów. Paprocie sięgają mi po pas. Ciekawe, czy w południowej Rosji są kleszcze.

Właściwie to jest całkiem przyjemnie. Ciepły wiatr szumi w koronach drzew. Liście szeleszczą, ptaki ćwierkają. Z ziemi bucha zapach butwiejących liści. Przeciagam się. Bardzo dawno nie miałam urlopu. Naprawdę dawno. Mogłabym olać Johna Rudenkę i rojenia Konstantinosa o złotym runie i po prostu potraktować tę konferencję jako wycieczkę krajoznawczą. Tylko że wybrałabym raczej jakieś miejsce z plażą, dobrym jedzeniem i wygodnym łóżkiem.

A takie miejsca są drogie. Trzeba na nie zarobić.

Przypomina mi się, że w ogóle nie mam przy sobie pieniędzy. Złodziej zatroszczył się i o to. Wzdycham i wlokę się z powrotem. Większość uczestników już siedzi na swoich miejscach, ale chyba jeszcze nie wszyscy, bo Marsha i jej kumpele częstują się papierosami przy wejściu do autobusu. Walentyna i Michaił też stoją obok: ona żuje gumę, a on gapi się na nią – widocznie to jego ulubiony sposób spędzania wolnego czasu. Zatrzymuję się przy nich i ustawiam tak, żeby nie leciał na mnie dym. Boli mnie kręgosłup od tego cholernego siedzenia. Dziewczyna wypluwa gumę na ziemię i sięga po komórkę. Na szczęście tym razem nie chce się ze mną fotografować. Strzela sobie zdjęcie na tle autobusu, a potem

pustej drogi. Zrobi furorę na Facebooku.

– I jak się pani podoba, pani doktor?

– Co? Ten zabytek motoryzacji, survivalowy kibel czy...

– Podobno nigdy nie była pani w tej okolicy. Musi pani poczekać, aż wyjedziemy na stepy. To naprawdę cudowny krajobraz.

– Serio?

Walentina nie łąpie ironii. Kiedy kierowca wychyla się z autobusu i mówi coś po rosyjsku, wchodzi do środka, a ja za nią – w samą porę, akurat trwa liczenie pasażerów. No wycieczka szkolna, mówiłam.

– Jednej osoby brakuje. – Organizatorka przechodzi z angielskiego na rosyjski i mówi do kierowcy coś, czego nie rozumiem, a potem zaczyna liczyć jeszcze raz.

Stoję, bo zatarasowała przejście, i rozglądam się po twarzach. Prawie nikogo nie znam, więc nie wiem, kto zgubił się w lesie.

A jednak wiem. Nie widzę Petrosa.

Wysiadam z autobusu i przechodzę na drugą stronę drogi, tam gdzie był kibel męski, ale zarośla są zbyt gęste, żeby cokolwiek dojrzeć. Próbuję sobie przypomnieć kolor kurtki Petrosa. Chyba czarny. W każdym razie nie czerwony, który byłby dobrze widoczny spomiędzy krzaków.

– Na pewno zaraz przyjdzie – mówi za moimi plecami Walentina.

To prawda, o Petrosa akurat nie trzeba się martwić. Szczerze mówiąc, to on miał się martwić o mnie na tej pieprzonej wycieczce. Konstantinos nic nie wspominał, że trzeba go niańczyć. Zresztą mieliśmy już okazję razem podróżować i wiem, że Petros zawsze sobie radzi. A już na pewno z wysikaniem się w krzakach na poboczu.

Po chwili z autobusu wysiadają kierowca i organizatorka, a za nimi kilku zaciekawionych uczestników. Nie widzę pomiędzy nimi Martina. Kobieta od mikrofonu zachęca, by wszyscy wsiedli z powrotem. Jak tylko przyjdzie ten pan, zaraz ruszamy, przed nami jeszcze długa droga. Jedni wsiadają, inni zostają. Czekamy.

Czekamy chyba ze dwadzieścia minut. W końcu to kierowca pierwszy traci cierpliwość i razem z Michałem idzie w las. Walentina, dla odmiany, zapala papierosa. Mam ochotę wysepić od niej fajkę, chociaż normalnie nie palę. Powstrzymuje mnie tylko myśl, że włosy będą mi śmierdziały i porzygam się podczas dalszej jazdy. Odsuwam się i obserwuję miejsce, gdzie między drzewami zniknęli kierowca i Michał. Tu chyba nie czają się niedźwiedzie i wilki. Zresztą wcześniej nie widziałam żadnych zwierząt. Ptaki się nie liczą.

Mężczyźni długo nie wracają. Walentina kończy jedną fajkę i wyciąga drugą. Nie powinna tyle palić, cera jej się popsuje.

W końcu wychodzą z lasu. We dwóch.

Podchodzą do Walentyny, organizatorka też, i rozmawiają w kółeczku.

– Co jest, do cholery? – pytam.

Walentyna się odwraca i patrzy na mnie uważnie.

– Pani przyjaciel zaginął – mówi.

– To nie jest mój przyjaciel. Zresztą to nieważne. – Macham ręką. – Jak to zaginął? Przecież poszedł tylko się wysikać.

– Nigdzie go nie być – odzywa się Michaił. Znowu przeciąga końcówki i nawet w tak krótkim zdaniu udaje mu się zrobić błąd gramatyczny. Zdziwiałem, że studenta z tak kiepskim angielskim przydzielili do pomocy przy konferencji międzynarodowej. Ale to naprawdę nie jest teraz moje zmartwienie.

– Szukaliście? Wołaliście? – pytam, a Michaił tylko przytakuje.

Czuję ucisk na przeponie, tętno mi przyspiesza. Jeszcze raz przechodzę przez asfalt i wchodzę w las. Tym razem oglądam się co kilka kroków – nie chcę stracić z oczu autobusu. Krzyczę *Petro!* Słyszę tylko szum wiatru i ćwierkanie tych cholernych ptaków.

Wołam jeszcze kilka razy, z takim samym skutkiem. Zaczynam iść w prawą stronę, równoległe do szosy. Cały czas zerkam na autobus i staram się nie zgubić. Potem odwracam się i idę w lewą stronę. Paprocie są gęste, nogi bolą mnie od przedzierania się przez krzaki. Petros mógłby paść trupem kilka kroków dalej, a ja nie zauważyłabym jego ciała w tej gęstwinie, póki nie zaczęłoby śmierdzieć.

– Czy twój przyjaciel był na coś chory? – pyta Marsha, kiedy wracam do autobusu.

– To nie był mój przyjaciel, do cholery! – Wbijam pięści w kieszenie polarowej bluzy, która, notabene, należy do Petrosa. – Nie wiem, czy był na coś chory – dodaję spokojniej. – Wyglądał na zdrowego.

Walentyna odzywa się po rosyjsku, a Marsha kiwa głową – najwyraźniej zna ten język.

Po chwili do autobusu wchodzi też organizatorka i bierze do ręki mikrofon. Niewyraźnie słyszę jej słowa:

– Proszę państwa... zaginął... pomoc przy szukaniu...

Wszyscy wysiadają. Następuje ogólna dyskusja, czy Petrosa powinni szukać tylko mężczyźni (w końcu obsikali tamtejszy teren), czy kobiety też. Staje na tym, że może go szukać kto chce. Uczestnicy mają iść tyralierą, w odstępach dwóch metrów jeden od drugiego. Nie wolno się oddalać. To ostatnie zdanie organizatorka powtarza co najmniej trzy razy. Wszyscy muszą pozostać w grupie.

Nie ruszam się z miejsca, nie biorę udziału w tej zabawie. Zastanawiam się, co się stało, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

Po godzinie staje się jasne, że Petros przepadł. Jak kamień w wodę.

Organizatorka zagania nas do autobusu, tłumaczy, że policję możemy zawiadomić dopiero, kiedy dojedziemy do pierwszego miejsca z telefonem stacjonarnym. Czyli do Arkaim, bo po drodze nie ma nic, nawet zasięgu. Uspokaja, że ktoś z organizatorów podjedzie tu później razem z policjantami i pokaże miejsce, a policja zorganizuje poszukiwania na szeroką skalę i ten pan na pewno się znajdzie, cały i żywy (nie wiem, czy ktokolwiek w to wierzy). W każdym razie musimy ruszać, bo przed nami jeszcze daleka droga.

Uczestnicy konferencji wsiadają powoli do autobusu. Ci, którzy palili, rzucają pety na ziemię i starannie je przydeptują. Walentina wypluwa gumę, a potem odwija nowe sreberko i wsadza pasek do ust. Nikt się do mnie nie odzywa, jakbym była trędowata albo jakbym to ja zabiła Petrosa i ukryła go w naprędcie wykopany, doskonale zamaskowanym dole.

Zwijam się na siedzeniu obok Martina, który też milczy. I dobrze, przynajmniej mogę pomyśleć. Otulam się ciasno polarem. Jest mi zimno. Nie tak jak tamtego dnia na Samotrace, rok temu. Wtedy było mi potwornie gorąco i umierałam z pragnienia. Ale w każdej chwili mogłam napić się wody. A tamten Turek – uwięziony przez Petrosa na dnie głębokiego wykopu, bez odrobiny cienia, w temperaturze na słońcu przekraczającej sześćdziesiąt stopni – nie mógł. Był studentem, który w łatwy sposób chciał zarobić kilkaset lirów. Zrobił to, za co mu zapłacił mój były kochanek: postraszył mnie i ukradł mi plecak. Zasłużył na areszt, pewnie też na grzywnę, ale Petros go zabił. Ciała Turka też nikt nie znalazł. I raczej nie znajdzie. Chyba że za kilkaset lat, kiedy archeolodzy podczas badań odkryją szkielet.

Karma zatacza koło, czyż nie? Może szkielet Petrosa też odkryją archeolodzy dopiero za kilkaset lat? Albo i nie. Archeolodzy nie prowadzą wykopalisk w środku dziewiczego lasu.

Petros mnie nic nie obchodzi. Właściwie to nawet go nie lubię. W zeszłym roku omal mnie nie zabił. To znaczy omal nie zrobił tego jego kumpel Yannis, ale Petros wcale nie próbował go powstrzymać. Nigdy nie był dla mnie przesadnie miły. Załatwia dla Konstantinosa jakieś szemrane interesy. Nawet nie wiem, czy rzeczywiście jest studentem, a to, że przytulałam się do niego w nocy, o niczym nie świadczy. Po prostu było mi zimno i bałam się być sama w pokoju. Jak się rano okazało – słusznie.

Petros nic mnie nie obchodzi.

Tylko nie przestaję się trząść. Mogę sobie wyobrazić rozmaite scenariusze. Zjadły go dzikie zwierzęta (jakie? Wiewiórki? I nikt nie słyszał krzyków?). Ktoś z uczestników konferencji (mężczyzna, bo panie przeszły na drugą stronę szosy) miał z nim na pieńku (to akurat w przypadku Petrosa nietrudno sobie wyobrazić)



i postanowił skorzystać z okazji (tylko musiałby go chyba udusić gołymi rękami, bo huk wystrzału niesie się daleko, a poderżnięcie gardła powoduje wytrysk strumienia krwi, który w lesie trudno zamaskować). Tylko kto? To jest konferencja naukowa, a nie urodziny ojca chrzestnego. Nie ma tu mafiosów. Sami szacowni profesorowie oraz studenci, ci ostatni mniej szacowni, ale na pewno nie zawodowi zabójcy.

Próbuję więc sobie wyobrazić, że Petros nagle zmienił zdanie i w środku lasu, w odległości setek kilometrów od najbliższego sioła, uznał, że dalej nie jedzie. I zamiast mi o tym powiedzieć, po prostu odszedł w las. Nie poczekał na inny transport (ciekawe jaki, od ponad godziny nie minęliśmy żadnego samochodu), nawet nie poszedł utwardzonym asfaltem, tylko zaczął przedzierać się przez krzaki (co, jak wiadomo, jest zajęciem bardzo męczącym) w niewiadomym kierunku. A decyzję podjął w czasie sikania, bo nie wrócił już po podręczny plecak, który zostawił na siedzeniu, i w którym – zaglądam do środka – są paszport i portfel.

Jednak moja wyobraźnia tego nie ogarnia.

Przez chwilę zastanawiam się, czy zanieść paszport organizatorce. Może powinna oddać go policji? Nie, to bez sensu. I tak nie pomogłoby to w odnalezieniu Petrosa, a poza tym...

Poza tym nie wiem, czy naprawdę chcę, żeby się odnalazł.

No dobrze, jego nagłe zniknięcie bez śladu przeraża mnie. Ale musiałabym być naprawdę głupia (a nie jestem), żeby nie dostrzec możliwości, jakie stwarza dla mnie ta sytuacja.

Zostałam sama. Bez nadzoru. Bez nikogo, kto patrzyłby mi na ręce i informował o wszystkim Konstantinosa. Bez, a w każdym razie z zanikającym zasięgiem w komórce. Mogę znaleźć złote runo, ukraść je i sprzedać, komu będę chciała.

To, oczywiście, nie będzie proste. Petros miał mnie kontrolować, ale też ułatwiać pewne sprawy, jak choćby przewiezienie skarbu przez granice, a Konstantinos zająć się załatwieniem kupca. Bez nich ta cała operacja będzie o wiele bardziej skomplikowana. Tylko ten drugi brał sporo kasy za logistykę i pozostawiał mi za mało, bym mogła pieprznąć w cholere kradzieże i zająć się po prostu archeologią. Może teraz, wreszcie, zarobię tyle, ile bym chciała.

Ale najpierw muszę odnaleźć złote runo. O ile ono w ogóle istnieje...

Kiedy dojeżdżamy do Arkaim, zachodzi słońce. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie polany w lesie z kilkoma barakami. Trzy ustawione w prostokąt przypominają szkołę albo obóz pracy przymusowej, tym bardziej że na środku placu jest maszt na flagę (bez flagi). Po drugiej stronie polany stoją jeszcze dwa, obok siebie – i to by było na tyle, jeśli idzie o słynny Arkaim.

Martin mruczy coś w rodzaju „no to do zobaczenia przy kolacji” i wysiada. Widzę, jak odchodzi gdzieś na bok z barczystym blondynem, którego imię wcześniej wymienił, ale zapomniałam przez tę aferę z Petrosiem. Przeciagam się na siedzeniu, ale niewiele mi to daje. Nie mogę pozbyć się bólu kręgosłupa ani sztywnego barku, a nic w wyglądzie zewnętrznym baraków nie sugeruje, że znajdę tam wygodne łóżko ze sprężystym materacem. Zaciskam zęby, przewieszam przez ramię plecak Petrosa i wyciągam z luku bagażowego jego torbę. Dzisiaj rano była czarna, teraz jest pokryta centymetrową warstwą pyłu. Pochylam się i widzę, że zamiast litej podłogi luk ma ażurowe deski.

Jestem zbyt głodna, zmęczona i za bardzo bolą mnie plecy, by zrobić awanturę.

Znajduję siłę tylko na to, żeby gorzko żałować, że zgodziłam się tu przyjechać. I jeszcze do tego przypomina mi się, że tu, w Arkaim, Konstantinos ma jeszcze jednego człowieka. To znaczy jeszcze jednego oprócz Petrosa, więc teraz już tylko jednego. Kogoś, kto ma mi zapewnić wszelką pomoc. Kogoś, kogo muszę za wszelką cenę unikać, jeśli chcę sprzedać złote runo sama. I nie wiem, kto to jest, bo to on lub ona ma się do mnie zgłosić.

Uznaję, że ta sprawa może poczekać i rozglądam się za Walentiną. Nie muszę jej szukać, sama idzie w moją stronę szybkim krokiem, jakby nie siedziała cały dzień w autobusie i jakby nie miała na nogach botków na obcasach. Jej walizkę niesie Michaił.

– Pani doktor, postarałam się o najlepszą kwaterę dla pani. Będzie pani tylko z doktor Buchholz i z doktor Cunningham, wszystkie inne pokoje są czteroosobowe. Muszą panie między sobą uzgodnić, która będzie spać na górnym łóżku, bo są dwa piętrowe.

Górne łóżko? Wspólny pokój?

– I dostanie pani pościel. Wszyscy goście z zagranicy dostaną, bo rosyjscy uczestnicy konferencji musieli zabrać własne śpiwory.

– Wzruszenie odbiera mi mowę.

Patrzę na kudłatą Marshę. Stoi w środku grupy i gada, trudno powiedzieć do kogo. Sabina Buchholz, ta z biustem jak poduszka, chichocze.

– Nie ma mowy, nie będę mieszkać z doktor Cunningham. Ani z tą drugą.

- Ale...
- Wolę mieszkać z tobą.

Walentina jest tak zdziwiona, że przez chwilę nie mówi nic. Wykorzystuję ten moment, żeby przyjrzeć się jej i dyskretnie powąchać. Wygląda na taką, która codziennie bierze prysznic i używa dobrych perfum. Właściwie w tej chwili pachnie lepiej niż ja.

– Pani doktor, ale u nas w Rosji studenci nigdy nie mieszkają w jednym pokoju z pracownikami naukowymi.

I to mi musi wystarczyć za odpowiedź.

Odprawiam ją wzrokiem, gdy podchodzi do organizatorki i pokazuje mnie ruchem głowy, a potem odwracam się i odchodzę na bok. Las otacza polanę tylko z trzech stron, czwarta jest otwarta. Faluje tam morze trawy. Nie przesadzam, przy każdym powiewie wiatru step naprawdę wygląda jak morze. Przy zachodzącym słońcu – jak morze krwi. Zafascynowana robię kilka kroków w tamtym kierunku, na tyle daleko, by nie słyszeć gadania uczestników konferencji. Tylko szum wiatru... I wtedy dostrzegam niewielki budynek, zбитy z drewnianych bali. Z komina unosi się dym.

Wygląda jak idealne miejsce dla pustelnika. Czyli dla Johna Rudenki.

Stawiam jeszcze kilka kroków, ale zatrzymuję się na dźwięk głosu:

– Michaił już zaniósł pani torbę, pani doktor. Zaprowadzę panią do pokoju. Na pewno chciałaby pani trochę odświeżyć się przed kolacją.

I to jak!

Wygląda jednak na to, że mogę się odświeżyć wyłącznie w umywalce. Z kranu z jednym kurkiem leci tylko lodowata woda, a gdyby mi to nie odpowiadało, mogę się też odświeżyć w misce, a wodę podgrzać w małym (na dwie szklanki) elektrycznym kocherze. Na szczęście umywalka jest we wnęce, bo okna nie mają zasłon.

Walentina pokazuje mi, gdzie jest gniazdko elektryczne, i wychodzi z pokoju. Wlewam zawartość dwóch kocherów do miski i woda z lodowatej robi się zaledwie chłodna. Ochlapuję się do pasa, ale mam wrażenie, że tylko rozmazuję na skórze brud i pot. Kiedy na wpół goła stoję pochylona nad miską, do pokoju ładują się Marsha i Sabina.

– O, widzę, że zajęłaś dolne łóżko. Nie szkodzi, ja bardziej lubię spać na górnym. W razie trzęsienia ziemi człowiek ląduje na wierzchu – chichocze Marsha.

– Pamiętasz, Sabina, jak raz w Turcji na ciebie spadłam?

Blondynka z biustem też chichocze.

– Gdybyś nie spadła, w ogóle by mnie to trzęsienie ziemi nie obudziło...

– To tu jest region sejsmiczny? – przerywam jej.

– A nie wiem.

Marsha otwiera walizkę i wyciąga z niej kosmetyczkę, buty oraz stertę

ciuchów. Rozgląda się, ale w pokoju nie ma nawet krzesła. Ustawia kosmetyczkę na moim materacu, a ciuchy wrzuca na górę. Jedna z bluzek spada na podłogę i tam zostaje, Marsha jej nie podnosi. Sabina z kolei układa swoje rzeczy w kostkę, jak w zakładzie karnym. Ma jedwabne bluzki, dwa żakiety i spódnicę – w przeciwieństwie do mojego polaru. W torbie Petrosa widziałam na szczęście jeszcze kilka podkoszulków i dzinsy.

Kiedy Sabina kończy układać ubrania, siada na brzeжку łóżka i patrzy na mnie z ciekawością. Raczej widziała już kiedyś gołą do pasa kobietę, więc jej ciekawość musi dotyczyć czegoś innego.

– Czy to prawda, że dobrze znasz Martina van der Nootena?

Wiedziałam!

– Nieźle – odburkuję. Nie dodaję: „a co?”, nie chcę jej zachęcać. Niestety ona nie potrzebuje zachęty.

– Czy to prawda, że ty i on... – nie kończy, bo Marsha patrzy na nią znacząco. Pewnie i tak już wszystko wiedzą.

– Myj się, myj, nie przeszkadzaj sobie – mówi kudłata na widok mojej miny.

– My, dziewczyny, chyba nie musimy się siebie wstydzić, nie?

Tak, jestem złodziejką, tak, zubażam dziedzictwo kulturowe (zdaniem wielu, choć ja akurat uważam inaczej). Ale czy naprawdę aż tyle w życiu nagrzeszyłam?! Ochlapuję się jeszcze raz wodą, teraz znów lodowatą, sięgam po czysty podkoszulek i sweter z walizki Petrosa. Na to jeszcze polar, bo w pokoju nie ma kaloryfera. Jestem skazana na jego ciuchy przynajmniej do czasu, aż wrócę do cywilizacji.

– A pamiętacie, kiedy jest wycieczka do Sintaszty? – odzywa się Marsha. – Bo tam są pochówki końskie, wiecie? W tej chwili to prawdopodobnie najstarszy na świecie dowód udomowienia konia, chociaż podobno są jakieś kłopoty z datowaniem. Właśnie dlatego chcę tam pojechać i zobaczyć to na własne oczy.

– Chyba pojutrze. – Sabina odpowiada niewyraźnie, bo grzebie w walizce.

Kudłata ściąga przez głowę sweter i rzuca go na podłogę. Nie czekam, aż zdejmie spodnie, zestawiam jej kosmetyczkę z mojego materaca i wyciągam się na łóżku. Zamykam oczy. Chętnie zatkałabym też uszy, ale nie mam siły podnieść rąk. Materac zapada się w środku.

– To co w takim razie jest w planie na jutro? – pytam, żeby już przestała głądzić o tych końskich pochówkach.

– Nie dostałaś programu mejlem?

Nie.

– Nie pamiętam.

Słyszę chlupot wody.

– Jutro cały dzień referatów. A kiedy jest twój wykład? Bo w programie nie było informacji, tylko że zostaniemy powiadomieni w późniejszym terminie. Już

nie mogę się doczekać!

Cholera, zapomniałam o tym pieprzonym wykładzie! Otwieram oczy i siadam na łóżku.

– Jeszcze nie uzgodniłam z organizatorami – mówię i po chwili się rozluźniam, bo przypominam sobie, że przecież razem z ciuchami ktoś w Czelabińsku podpieprzył mi laptopa, a bez laptopa nie ma referatu. Trudno o lepszą wymówkę.

Na kolację wlokę się już w znacznie lepszym humorze. Okazuje się, że jeść dają w jednym z budynków ustawionych w podkowie. Stoły są długie, krzesła niewygodne, a wystrój wnętrza jak w zakładzie karnym, ale jedzenie zaskakująco smaczne, a wódki tyle, że starczyłoby na kilka konferencji. Lawiruję między uczestnikami, by przypadkiem nie usiąść obok Marshy i jej koleżanek, aż w końcu znajduję miejsce na końcu stołu. Po jednej stronie mam tego młodego geniusza, którego nazwiska zapomniałam, w każdym razie tego, który nie afiszuje się z kochanką. Na wolnym krześle po drugiej siada blondyn, znajomy Martina. Giennadij Kozlew – już wiem, bo mi się przedstawia – mówi, że czytał moje artykuły i wciska swoją wizytówkę. Nie mogę się odwzajemnić ani jednym, ani drugim. Giennadij pyta, jak mi się podoba w Arkaim. Zrzucam łokciem szklankę i nie muszę odpowiadać. Kiedy już ktoś z kuchni posprzątał szkło, Giennadij nalewa mi wódki, a ja przyjmuję ją z wdzięcznością, bo nie mam innych środków znieczulających. Wychylam kieliszek do dna i myślę, że to doskonała okazja, by zapytać o Rudenkę. Ale zanim otwieram usta, widzę poruszenie przy drugim końcu stołu. Maximilian Weber, który po całodziennej podróży już wygląda na swoje sto pięćdziesiąt lat, wstaje, unosi kieliszek i zaczyna wygłaszać toast. Mówi trochę po angielsku, trochę po rosyjsku, a w obu językach tak niewyraźnie, że nie rozumiem ani słowa, ale wypijam drugi kieliszek wódki. Chcę poruszyć temat Rudenki, ale jakaś kobieta podchodzi i szepcze Giennadijowi coś do ucha, a on przeprosza mnie i wstaje. Trudno, później zapytam o Rudenkę. Nakładam sobie na talerz więcej mięsa w sosie i pozwalam, żeby młody geniusz archeologii z drugiej strony dolał mi jeszcze wódki.

Po wódce łatwiej się myśli. Nie wiem, czy mogę z tego zrobić moją kolejną regułę, jednak tego wieczoru ma zastosowanie. Po raz pierwszy, odkąd wysiadłam z samolotu w Czelabińsku, jestem w stanie się skupić i zastanowić, kto z tu obecnych może być wtyczką Konstantinosa. To powinien być ktoś, kto zna język i dobrze sobie radzi w tym dzikim kraju.

Obserwuję dyskretnie twarze. Walentina żuje gumę. Konstantinos chyba nie wykorzystalby studentki, zwłaszcza takiej, którą interesują głównie ciuchy. Michaił patrzy na nią i w ogóle nie pije. Marsha i jej przyjaciółki dla odmiany piją non stop, może nie zdołają trafić do pokoju i będę w nocy sama. Giennadij rozmawia z kimś, kogo nie znam, ale co chwilę zerka w moją stronę. Albo to on, albo po prostu ma

ochotę na niezobowiązujący wykopaliskowy seks. No i zostaje Martin. Je, pije, gawędzi z sąsiadem przy stole i ani razu na mnie nie spogląda.

Po toaście Webera wstaje inny mężczyzna, którego nie przypominam sobie z autobusu. Mówi tylko po rosyjsku, ale gest, jakim unosi kieliszek, jest międzynarodowy. Potem przychodzi kolej na siedzące obok Marshę i Sabinę. Wygląda na to, że każdy musi wznieść toast. Nie mam na to ochoty. Czekam, aż mój sąsiad z prawej zacznie przemawiać, wstaję od stołu i wolnym krokiem zmierzam na drugą stronę sali jadalnej, niby do toalety, ale po drodze uważnie przyglądam się identyfikatorom zawieszonym na szyjach uczestników albo przypiętym do ich kołnierzy. Niepotrzebnie to robię. Już na pierwszy rzut oka widzę, że nikt nie nosi sukmany ani słomianych łapci. Ale jestem skrupulatna. Dzięki temu udały się wszystkie moje kradzieże i nie piszę tych słów w więzieniu. Dlatego i tak czytam nazwiska na identyfikatorach. Sprawdzam wszystkich przy stole, co do jednego.

Nikt nie jest Johnem Rudenką.

Później będę się zastanawiać, czy Martin zrobił to specjalnie, czy tak po prostu wyszło. Ale wtedy nie będzie to już miało znaczenia. A jak się nie ma na coś wpływu, to lepiej za dużo o tym nie myśleć. Może zrobię z tego nową regułę? Regułę numer trzynaście.

W każdym razie Martin, który przez całą kolację trzyma się ode mnie z daleka, dosiada się, kiedy już jestem mocno pijana.

Tak, wiem, jak brzmi moja najważniejsza reguła: nie ufaj nikomu. Zachowajcie dla siebie uwagi, dobrze? Ciekawe, czy wy, po takim dniu, bylibyście czujni.

– Miło cię znów widzieć – mówię, bo naprawdę mi miło. Wódka znieczuliła mnie na zmęczenie i na ohydny wystrój jadalni.

Martin uśmiecha się do mnie niepewnie.

– Kiepska sprawa z tym twoim facetem. Rozmawiałem z kilkoma osobami, nikt nie wie, co mogło się z nim stać. Mam nadzieję, że jakoś się trzymasz.

– Trzymam się. I to nie był mój facet.

– Naprawdę?

Kiwam głową i dodaję:

– Po prostu znajomy.

Martin uśmiecha się szeroko, jak za dawnych czasów. Widzę jego lekko krzywą lewą górną dwójkę i robi mi się gorąco. Pewnie od wódki. Na niego alkohol też najwyraźniej działa, bo mówi:

– Wiesz, rano w autobusie trochę się przestraszyłem tego naszego niespodziewanego spotkania.

– Mhm. – Wychyłam do dna zawartość kieliszka. Martin idzie w moje ślady i dolewa nam obojgu.

– W każdym razie dobrze cię widzieć, Simona. Świetnie wyglądasz.

Doskonale wiem, jak wyglądam, bo w pokoju nie ma co prawda łazienki ani termy z ciepłą wodą, ale jest lustro. Czas zmienić temat.

– Czyli przyjechałeś tu dla prywatnych kolekcji? Upatrzyłeś sobie coś konkretnego?

Martin ogląda się, czy nikt nie słucha naszej rozmowy. Ale nawet jeśli ktoś słucha, to i tak nie rozumie, bo wszyscy przy stole piją, jakby to były wyścigi.

– To jeszcze nic pewnego. – Przysuwa się i mamrocze mi do ucha.

Moja nowa reguła numer dwanaście głosi: trzeba korzystać z każdej okazji, a ja właśnie widzę okazję, by usłyszeć o zabytkach, które w przyszłości mogłabym ukraść. I dlatego milczę. Z tego też mogłabym zrobić moją regułę, kolejną regułę. To już chyba numer czternaście, ale po wódce trochę mi się myli. W każdym razie ta reguła brzmi: jeśli chcesz złapać rybkę, nie goń za nią. Poczekaj, aż sama wpłynie do sieci.

Bo, na przykład, nie wytrzyma ciszy.

– Tutaj, jak wiesz, jest masa scytyjskich kurhanów. Ludzie od wieków o nich wiedzą i od wieków je rozkopywali. – Martin źle znosi ciszę, o czym doskonale wiem. – A po upadku Związku Radzieckiego niektórzy pracują z wykrywaczami metali. Sam widziałem, niezły sprzęt, chyba kupiony za bezcen od wojska.

Milczę. Rybka musi jeszcze trochę się zbliżyć.

– Kilka osób w okolicy zgromadziło spore kolekcje jeszcze z dziewiętnastego albo z początku dwudziestego wieku. Ukrywali je latami przed władzą ludową, a od kiedy upadł ustroj, mogą je legalnie sprzedawać. – Patrzy na mnie, ale nie odzywam się ani słowem, zamieniłam się w słuch. – Oczywiście nie można tego udokumentować. Muszę wierzyć ludziom na słowo, kiedy mówią, że to po dziadku albo pradziadku. Zawsze jednak sprawdzam, czy właściciele są notowani. – Wciąż milczę, a on zniża głos. – W życiu różnie bywa. Ludzie tracą zdrowie, pieniądze. Wyprzedają, co mają. A ja im daję gwarancję dobrej ceny.

No dobra, przestanę go katować.

– A to naprawdę coś cennego? – pytam i staram się, żeby to pytanie zabrzmiało niewinnie.

Martin sięga po kieliszek. Teraz to on milczy.

– Ceramika? – drażę. – A może uzbrojenie? Podobno w tych scytyjskich kurhanach jest świetnie zachowana broń.

– Nie, nie broń – odpowiada wreszcie. – Broń źle się sprzedaje.

Wiem, co dobrze się sprzedaje, ale poczekam, aż sam to powie. W międzyczasie dolewam mu wódki. W końcu przysuwa się z krzesłem jeszcze bliżej, jest już gotów wyznać mi to, co chcę usłyszeć.

I wtedy podchodzi Giennadij.

– Podsiadłeś mnie. I to przy takiej pięknej kobiecie.

Martin zrywa się, następuje cyrk z poklepywaniem się po plecach, ustępowaniem sobie miejsca i powtarzaniem w kółko „ależ nie, ty byłeś pierwszy”. Jestem wkurzona, bo moment, w którym chciał mi powiedzieć, co zamierza kupić, minął. Taniec kogutów trwa jeszcze chwilę, więc niech przynajmniej będzie z tego jakiś pożytek. Dotykam delikatnie biodra Giennadija, tak delikatnie, że nie ma prawa nic poczuć, i wyciągam mu z kieszeni spodni komórkę. W samą porę, bo ten wstaje od stołu i odchodzi, a Martin z powrotem opada na krzesło. Dolewam sobie jeszcze wódki, to jedyne, co mogę zrobić w tej sytuacji.

– A ty mi jeszcze ciągle nie powiedziałaś, co cię tu przyciągnęło. – Martin też napełnia swój kieliszek. – Z tego, co pamiętam, zawsze wolałaś konferencje w bardziej luksusowych warunkach.

Mam zamiar mu powiedzieć, że dobrze pamięta, ale w ostatniej chwili gryzę się w język. I mówię to, co mówię.

Tak, tak, już to ustaliliśmy: łamię regułę numer jeden. Regułę, która mówi: nie ufaj nikomu! Tylko że jestem już bardzo pijana, zmęczona i naprawdę nie chce mi się wymyślać kolejnego kłamstwa.

– Szukam złotego runa.

Patrzy na mnie zdziwiony, a potem wybucha śmiechem.

– Przez chwilę ci uwierzyłem.

No tak. Przypominam sobie regułę numer dwa: najlepsze rezultaty daje mieszanka kłamstwa i prawdy. Ale czasem czysta prawda działa lepiej. Poza tym nie trzeba później pamiętać, co się zmyśliło.

– Ja mówię poważnie.

– Chodzi ci o to złote runo z mitu? – Martin szczerzy zęby.

Kiwam głową, a on natychmiast poważnieje.

– Myślisz, że ono naprawdę istnieje?

Znów przytakuję. Martin wychyla duszkiem swoją wódkę, a potem wstaje. Rozgląda się po sali. Nikt nie zwraca na niego najmniejszej uwagi. Na mnie zresztą też. W ogóle na nic, może poza butelkami wódki.

– Chodź – szepcze. W hałasie rozmów ledwo rozróżniam słowa. – Coś ci pokażę.

Nie mam ani ochoty, ani siły nigdzie iść. W jadalni jest ciepło, a na zewnątrz pewnie zimno, bo już zaszło słońce, ale Martin macha ręką i powtarza „chodź”.

Gdy wmykamy się na dwór, od razu otulam się mocniej polarem Petrosa. Wieje zimny, przenikliwy wiatr. Martin idzie przodem. Na szczęście niedaleko, tylko do sąsiedniego baraku. Naciska klamkę. Zamknięte.

– Cholera! – mówi. – Wcześniej było otwarte. Poczekaj, pójde poszukać kogoś z kluczem.

Nie ma takiej potrzeby, po pijaku też potrafię otworzyć zamek. Podchodzę do drzwi i dla równowagi opieram się o nie biodrem. Podnoszę do góry rękę,



jakbym chciała poprawić włosy, i wyciągam dwie wsuwki. Dla niepoznaki szarpię klamkę, a potem wkładam spinki do zamka. Tym razem tylko dwanaście sekund. Albo zamek jest wyjątkowo kiepski, albo wódka działa też na koordynację ruchu podczas włamu. Naciskam klamkę i drzwi się otwierają.

– Jak ci się udało? – dziwi się Martin.

Przecież mu nie powiem.

– Trzeba było mocniej docisnąć – mruczę i wchodzimy do środka.

Od razu zamykam za nami drzwi, a on maca po ścianie.

– Cholera, chyba wysiadła żarówka – mamrocze. – Poczekaj tu chwilę. – I znika w jednym z ciemnych kątów.

Nie zamierzam nigdzie się ruszać. W słabym blasku, który pada przez okno z lampy umocowanej na zewnątrz nad drzwiami, widzę, że pomieszczenie jest pełne sprzętów. Nie chcę się o nic potknąć. Po chwili dobiega mnie odgłos szarpaniny, coś spada, a Martin przeklina głośno po holendersku, więc nie rozumiem dokładnie. Kiedy wynurza się z ciemności, trzyma dużą biurową lampę z metalowym kloszem. Wciska mi ją w rękę i tym razem idzie poszukać gniazdka. Przyświeca sobie telefonem, co daje mi nadzieję (słabą), że znajdzie je przed północą. Gdy wreszcie się udaje, ustawia lampę na szafce, której zarys niewyraźnie wyłania się z mroku.

– Zamknij oczy.

A co mi tam, w końcu jestem pijana.

Słyszę pstryknięcie i czerń pod powiekami zmienia się w czerwień.

– Mogę już otworzyć?

– Jeszcze chwileczkę. – Podchodzi i bierze mnie za rękę. – Prosto przed siebie – mówi i prowadzi mnie kilka kroków do przodu. – Ostrożnie. A teraz otwórz oczy. Tylko powoli, bo ta żarówka jest cholernie mocna.

Otwieram je powoli, ale i tak na początku lampa mnie oślepia. Mrugam i pocieram powieki, jednak i tak nie mogę pozbyć się powidoków. Kiedy moje źrenice zwężają się już na tyle, że mogę cokolwiek zobaczyć, rozglądam się i biorę głęboki wdech. Trzymam powietrze w płucach, aż zaczyna mi szumieć w uszach.

W blasku lampy widzę doskonale całe pomieszczenie. Nie wiem, co tu jest, chyba graciarnia. Pod ścianami piętrzą się szafy i stoły zakurzone i wyładowane rzeczami poszarzałymi od brudu. Na podłodze leżą zwinięte w brudny kłęb sukna na stół konferencyjny, połamane listwy od nie wiadomo czego, pudła z ceramiką i pomięte arkusze papieru rysunkowego. Ale to nie bałagan pozbawił mnie tchu, tylko fakt, że to pomieszczenie można otworzyć głupią spinką. I coś jeszcze...

Lampa stoi na górnej płycie dużej oszklonej gabloty. Takiej zwykłej, jak w muzeum, wyściełanej aksamitem, trochę już starym i spłowiałym. Ale złoto dobrze wygląda nawet na ścierce do naczyń. A w gablocie pełno jest złota.

Leżą tam złote plakietki, jedno duże jak moja dłoń, inne niewielkie, krótsze

od małego palca. Na każdej z nich są jakieś przedstawienia, głównie zwierzęta: konie, jelenie, dziki, łanie i coś, co wygląda jak łasica, ale pewnie jest pumą, pożerająca inne stworzenie z rogami. Wszystkie mają fantazyjnie powyginane szyje, ornamentowane kopyta i grzywy. Widzę też ludzi, głównie wojowników z łukami, niektórzy siedzą na koniach. Wśród plaketek dostrzegam naszyjniki, a nawet jeden pierścień.

A na samym środku, na poplamionym, zakurzonej aksamicie, który już dawno stracił kolor, leży złote runo.

Niestety nie to, którego szukam. Nie masywna złota sztaba w kształcie zwierzęcej skóry, tylko cienka złota plakietka, ważąca pewnie kilkanaście gramów, na oko pięć na siedem centymetrów. Widnieje na niej dwóch Scytów (mieszkali tu, na stepach, kiedy Grecją rządili jeszcze starożytni Grecy) w długich spodniach i z odsłoniętymi torsami. Klęczą, trzymają między sobą rozciągniętą skórę zwierzęcia w dokładnie takim samym kształcie jak miedziane ingoty. Małeńkie złote runo. Wszystko to wytłoczone w złocie, Au siedemdziesiąt dziewięć. Doskonała technika. Widzę najdrobniejsze szczegóły: skręty baraniej sierści, napięte mięśnie na nagich plecach Scytów, dekoracje kołczanów na strzały... Cyzelowanie, repusowanie, filigran, granulacja – pełen przegląd złotniczych technik. Wszystko tak piękne, że nie mogę oderwać oczu. Pochylam się nad gablotą. Czuję, jak oddech Martina porusza drobne włoski na moim karku.

– Masz tu swoje złote runo – mówi. – Wspaniałe, prawda?

Przyglądam się plakietce jeszcze przez chwilę, a potem podnoszę głowę i lustruję wzrokiem sufit – żadnej kamery. Okno jest tylko jedno i nawet stąd widzę, że nie zabezpiecza go system alarmowy. Drzwi otworzyłam spinką. Pochylam się znów i tym razem uważnie oglądam zamek gabloty. Wystarczy kawałek drutu, nie potrwa to nawet pięć sekund. Nigdzie nie ma żadnych przewodów ani świecących się diod. Zatyka mnie z wrażenia, co Martin bierze za zachwyty nad złotymi zabytkami. W sumie słusznie.

– To jest ta kolekcja, którą chcesz kupić? – pytam, a on kiwa głową.

– Nie wszystko, oczywiście. Nie dałbym rady finansowo.

No tak, po oficjalnej cenie, nawet ze zniżką za tak pokaźny zbiór, to byłoby sporo. Taniej wychodzi ukraść.

– Podobno to wszystko pochodzi z jednego tylko kurhanu, tu gdzieś w okolicy. Wiesz, jak to jest, ludzie gadają i nikt nie zna prawdy, ale ponoć było tam kilkaset złotych obiektów. To tutaj to tylko część z nich.

Przełykam ślinę.

– Znajomy Giennadija znalazł to na strychu po śmierci dziadka. Rodzina boi się trzymać w domu. Wiadomo, sąsiedzi zaraz by się dowiedzieli, złodzieje też. Dlatego poprosili o pomoc archeologów.

I dlatego przechowują to w środku lasu, w baraku, do którego włamałam się bez trudu nawet po pijaku. Już dawno przestałam próbować zrozumieć logikę pewnych ludzi.

– Na początku chcieli to wszystko odkupić ludzie z Moskwy, z jakiegoś dużego muzeum, ale na szczęście, to znaczy na szczęście dla mnie, zaczęły się spory o to, kto wyłoży kasę. Potem zgłosiły się lokalne placówki bez funduszy, za to z pretensjami, że zabytki powinny pozostać w regionie, gdzie je znaleziono, i tak

dalej. Spadkobiercy, którzy to odkryli na strychu, nie zobaczyli ani grosza, więc Giennadij polecił im mnie. Wygląda na to, że się dogadamy. Dla archeologów to i tak bezużyteczne zabytki, pozbawione kontekstu, a dla kolekcjonerów...

Nie musi kończyć.

– Jak chcesz wszystko dokładnie obejrzeć, poproszę jutro Giennadija. On tu szefuje, pootwiera ci te gabloty.

Nie, dziękuję, nie będę czekać na żadne pozwolenie. Prostuję plecy. I w ogóle nie jestem już zmęczona. Ani pijana.

Martin opowiada coś o ikonografii, mitologii, koniach, bykach i innych zwierzętach, które w tej chwili w ogóle mnie nie interesują. Myślę tylko o jednym: jak odwrócić jego uwagę i wyjąć z gabloty chociaż jedno takie чудо. Wystarczy otworzyć zamek i przesunąć szybę. Prowadnica jest tak zakurzona, że nie powinna wydać przy tym żadnego dźwięku.

Spoglądam na Martina i nie odrywam wzroku, a on gada i gada. Wreszcie zauważa moje spojrzenie. Urywa w pół słowa. Wtedy podchodzę bliżej i opieram się o jego pierś.

– Tęskniłam za tobą – szepczę.

W baraku jest tak cicho, że słyszę, jak wali mu serce. On też to słyszy. Wspinam się na palce i całuję go w usta. Na początku jest trochę sztywny, ale szybko łapie, o co mi chodzi. Obejmuje mnie i przyciska wargi do moich. Przypominam sobie, że nie brałam prysznic, mycie w zimnej wodzie się nie liczy. Ale jemu to nie przeszkadza.

– Ja też za tobą tęskniłem – odpowiada.

Uśmiecham się i przyciągam go do siebie. Opieram się plecami o gablotę. Jedną rękę zarzucam mu na szyję, a drugą macam po szkle, aż natrafiam na zamek. Dłonie mam pewne i wcale mi się nie trzęsą. Wsuwam spinkę, naciskam i przekręcam. Jakie pięć sekund? Góra dwie!

Martin całuje moją szyję i ma z tej pozycji dobry widok na gablotę. Opuszczam rękę i wpycham spinkę do kieszeni, może będzie jeszcze potrzebna, a potem macam w poszukiwaniu wyłącznika na kablu. Pstrykam.

– Tu nie ma zasłon – mruczę, a Martin przytakuje. W słabej poświacie lampy na zewnątrz nie zauważy, nawet gdybym wynosiła plakietki garściami.

Szukam ustami jego warg i zmuszam go, żeby się wyprostował. Znowu po omacku sięgam do gabloty i wyczuwam pod palcami krawędź szyby. Przyciągam Martina mocniej drugą ręką, by mógł odpowiednio zinterpretować napięcie mojego ciała, i milimetr po milimetrze przesuwam szybę. Wsuwam do środka dłoń. Wargi Martina niespiesznie wędrują po mojej twarzy. Wzdycham, żeby mu zrobić przyjemność, a trochę też z ulgi, ale za mną dopiero połowa roboty. Stoję do gabloty tyłem i nie widzę, czego dotykam. Staram się to robić delikatnie, samymi opuszkami palców, żeby nie poprzesuwać zabytków. Natrafiam na plakietkę

wielkości mniej więcej trzech czwartych mojej dłoni i uznaję, że będzie dobra. Ostrożnie ją chwytam i wyjmuję z gabloty. Powoli przesuwam rękę do przodu, żeby Martin nie wyczuł ruchu, i wkładam plakietkę do tylnej kieszeni dżinsów. Na szczęście to spodnie Petrosa, nie są obcisłe. Muszę tylko pamiętać, żeby nie usiąść, bo czyste złoto łatwo się odkształca.

Wycofuję rękę za plecy i jeszcze raz macam, aż wyczuwam szparę między szybami. Dotykam spłowiałego, zakurzonego aksamitu i pustego miejsca po plakietce, którą właśnie świsnęłam. Muszę trochę poprzesuwać pozostałe zabytki, żeby dziura nie rzucała się w oczy. Co, wiercie mi, nie jest łatwe, kiedy nie można patrzeć i cały czas trzeba się z kimś całować. Trochę to trwa, ale się udaje. Ostateczny efekt ocenię dopiero później, na razie jestem zadowolona.

Wzdycham i przesuwam dłoń Martina z mojej talii na pierś. Wstępuje w niego nowy zapach, dzięki czemu mogę spokojnie zasunąć szybę. Z zamkiem daję sobie spokój – nawet jeśli ktoś zauważy, że klucz się nie przekręca, zwali to na zacinający się ze starości sprzęt. Teraz mogę objąć Martina obiema rękami, skupić się na całowaniu i przypomnieć sobie, co kiedyś tak mi się w tym facecie podobało. Jest tego sporo i niewiele się zmieniło. Kiedy zaczyna być naprawdę miło, słyszę zgrzyt klucza w zamku. Odskakujemy od siebie, ja przyglądam włosy, Martin sweter. Płoną mi policzki, a Martin ma opuchnięte wargi. Wyraźniej byłoby widać, że się całowaliśmy tylko wtedy, gdybyśmy to sobie napisali flamastrami na czole. Na szczęście jest ciemno.

Chwilę trwa, zanim Giennadij dostrzega nas w mroku, a później się czerwieni. Widać to nawet w słabym blasku zewnętrznej lampy.

– E, przepraszam... to znaczy... nie wiedziałem, że ktoś tu jest. Martin, dobrze, że cię widzę. Chciałeś koniecznie jechać do Sintaszty wcześniej, a mnie udało się przełożyć wycieczkę na jutrzejsze popołudnie.

– To super. – W głosie Martina nie słychać entuzjazmu.

– Pomyślałem, że uda nam się jeszcze trochę pogadać. Ale to nic pilnego, nic pilnego. Spokojnie może poczekać do jutra. – Giennadij podchodzi trochę bliżej, nieco się zatacza. Nie potępiam go, sama też jestem pijana.

– Nie wiem, czy wiesz – odzywa się Martin – ale Simona to najlepsza na świecie specjalistka od antycznej biżuterii i technik złotniczych. Przeprowadziłem ją, żeby jej pokazać wasze cuda.

Giennadij kiwa głową. Ja też, bo żeby coś powiedzieć, musiałabym najpierw odchrząknąć.

– Jeśli znajdzie pani czas, będę wdzięczny za ekspertyzę. Może Martin już pani mówił, mamy tu niezłą wojnę kompetencyjną między molochami z Moskwy a małymi lokalnymi muzeami. Dobrze byłoby pokazać, że mamy po naszej stronie najlepszych specjalistów. Według mnie te zabytki, a w każdym razie to, czego nie kupi Martin, powinny pozostać w regionie.

Wcale się nie dziwię, Martin pewnie odpala mu działkę za pośrednictwo. Też jestem za tym, całym sercem, żeby żadne duże muzeum nie położyło łapy na tych złotych plakietkach. Z chęcią wpadnę tu jeszcze raz i znowu coś sobie wezmę.

Zapada niezręczna cisza.

– Hm, no tak, to wam nie przeszkadzam. – Giennadij wycofuje się rakiem.

– Nie, my też już wychodziliśmy – wtrąca Martin. A ja przesuwam szybko rękawem polaru po zamku i miejscu, gdzie dotykałam szyby, i idę za nim do wyjścia.

Ciemnego nieba nie rozjaśnia ani księżyc, ani nawet jedna gwiazda. Poza kręgiem światła lampy panuje mrok. Giennadij się żegna i odchodzi w stronę sąsiedniego baraku. Martin bez słowa przyciąga mnie do siebie. I okazuje się, że w tym całym pieprzonym Arkaim nie ma ani jednego pokoju z łóżkiem, ale za to bez współlokatora. A ja już jestem za stara na seks w krzakach. A jeszcze później okazuje się, że jednak nie jestem za stara.

Kiedy docieram do mojego pokoju, Marsha i Sabina śpią. Jestem nieludzko zmęczona, ale nie kładę się od razu. Przeglądam spisy telefonów w komórce Giennadija, którą ukradłam w jadalni, i Martina, którą wyjęłam mu z kieszeni w krzakach za barakiem. W żadnej nie ma numeru Konstantinosa ani żadnego innego numeru z kierunkowym Grecji. Musiałam się upewnić.

Powinnam odnieść telefony do jadalni, ale nie mam siły, więc wychodzę przed barak i rzucam je koło ścieżki – jedną trochę bliżej, drugą dalej. Pomyślą, że zgubili je po pijaku. Wracam do pokoju i ostrożnie wyjmuję z tylnej kieszeni dzinsów złotą plakietkę, żeby przełożyć ją do plecaka. I widzę, że to ta ze złotym runem.

Budzę się skacowana i okropnie nieświeża. Poprzedniej nocy poszłam spać bez prysznic, po raz pierwszy od nie pamiętam kiedy, ale mimo to uśmiecham się do siebie.

Marsha daje mi aspirynę i piętnaście minut później jestem już w stanie ochlapać się w misce z letnią wodą. W lustrze nad umywalką oglądam moje przekrwione oczy, a potem przegrzebuję bagaż Petrosa. Powinien mieć okulary słoneczne, Grecy zawsze je noszą. Później okazuje się, że osób, które siedzą w ciemnych okularach w sali wykładowej, jest więcej.

Marsha i Sabina gadają bez przerwy, a aspiryna ma ograniczony zakres działania, dlatego czym prędzej uciekam z pokoju. Walentina czeka na mnie w drzwiach jadalni (akurat w porę przypomniała sobie, że ma się mną opiekować). Przynosi mi kawę (zbożową, z cukrem). Nie potrafi załatwić prawdziwej kawy, z kofeiną. Ani teleportować mnie do miejsca, gdzie mają gorący prysznic.

Nie jestem w stanie przełknąć śniadania, czego potem gorzko żałuję, bo wykłady ciągną się w nieskończoność. Teoretycznie każdemu przysługuje kwadrans plus pięć minut na pytania z sali, ale w praktyce nikomu nie udaje się mówić krócej niż pół godziny. Koło południa mamy za sobą dopiero połowę przewidzianego programu. Marsha i jej koleżanki dyskutują z każdym wykładowcą do upadłego. Organizatorzy z ulgą przyjmują moje oświadczenie, że w związku z kradzieżą laptopa nie zamierzam niczego wygłaszać.

Martin siedzi dwa miejsca dalej i co chwilę na mnie zerka. Mógłby się po prostu przysiąść, ale może kac spowolnił jego refleks. Zresztą niech lepiej się nie przysiada, bo muszę spokojnie pomyśleć, co nie jest proste w tych warunkach. O tym, jak odnaleźć Johna Rudenkę. Bo już ustaliłam, że nikt z obecnych nim nie jest. Ale nadal nie wiem, gdzie go szukać.

Za oknem świeci blade słońce, ale w baraku panuje chłód. Owijam się szczelniej polarem Petrosa i wiercę na plastikowym składanym krzeselku, które trzeszczy i może w każdej chwili się rozpaść. Najwyraźniej rozpraszam chudego faceta na mównicy, jedyne go w towarzystwie ubranego w marynarkę, chociaż pomiętą, i w krawacie. W końcu dochodzę do wniosku, że nic tu nie wymyślę. I jeszcze do drugiego wniosku: że jeżeli będę tylko siedziała i myślała albo rozglądała się po plakietkach identyfikacyjnych uczestników, to w życiu tego Rudenki nie znajdę.

Wstaję z krzesła. Mówca przerywa i patrzy na mnie pytająco. Daję mu ręką znak, by sobie nie przeszkadzał, i wychodzę na zewnątrz. Najwyraźniej Walentina uznała, że jej obowiązki obejmują zakładanie codziennie innej pary butów na obcasach, ale słuchania wykładów – to już nie. Nie muszę długo szukać, stoi koło masztu z flagą i kłóci się z Michailem. On wymachuje rękami, a ona zaciska usta

i rzuca coś oschłym tonem. Klasyczna kłótnia zakochanych studentów. Pewnie byłabym bardziej zainteresowana, gdybym cokolwiek rozumiała, ale po rosyjsku nie umiem nawet prawidłowo podziękować za herbatę. Jedyne słowo, jakie znam, to *sobaka*. Nawet nie wiem skąd.

Podchodzę bliżej.

– Chciałabym z tobą porozmawiać – mówię do Walentyny.

– Oczywiście, pani doktor.

– Sam na sam.

Dziewczyna wydaje Michaiłowi krótkie polecenie, a on odchodzi. Po sposobie, w jaki trzyma ramiona, poznaję, że nie ma na to ochoty, ale w jej głosie dźwięczy ton, którego nawet ja bym posłuchała.

– Jest zmiana programu, pani doktor. Zamiast całego dnia wykładów po obiedzie będzie wycieczka do Sintaszty.

Przypominam sobie, że wczoraj mówił coś o tym Giennadij. Wcale mnie to nie cieszy. Na takim kacu interesuje mnie tylko wycieczka do łóżka w zaciemnionym pokoju.

– Znasz Johna Rudenkę? – pytam wprost, bo tak jest najłatwiej.

– Nie... To znaczy nie osobiście. To bardzo słynny archeolog, zidentyfikował fazę szóstą...

Prostuje plecy, jakby odpowiadała przed swoim promotorem. Tego ranka ma na sobie ciemnozieloną zamszową kurteczką, bardzo ładną, a pod nią ciemnogrnatową bluzkę w białe kropki. Na tym tle ładnie błyszczy złoty łańcuszek z prawosławnym krzyżykiem wysadzany rubinami. Chyba rubinami; żeby to stwierdzić z całkowitą pewnością, musiałabym zdjąć ciemne okulary. Odruchowo obciążam polar Petrosa i nadaję głosowi bardziej oschłe brzmienie.

Walentyna grzebie w torebce, wyciąga paczkę gumy i częstuje mnie. Odmawiam. Żołądek ciągle mam skurczony od wczorajszej wódki.

– Muszę go znaleźć.

– Ale ja słyszałam, pani doktor, że Rudenko z nikim nie rozmawia. – Dziewczyna ciamka gumą. Zaraz zwymiotuję. – Podobno to straszny dziwak. Mieszka w chacie na odludziu i nie chce się z nikim widywać. Teraz to już nawet nie prowadzi wykopalisk.

Też to słyszałam. Trudno byłoby nie usłyszeć, wszyscy powtarzają to samo. Nie wiem, jakim cudem Konstantinos sobie wyobrażał, że Rudenko zechce porozmawiać akurat ze mną. Ale o to będę martwić się później, najpierw muszę go znaleźć.

– Mimo to chciałabym spróbować.

– Podobno mieszka w chacie niedaleko Sintaszty. Skoro dzisiaj jedziemy tam na wycieczkę, mogę popytać, gdzie to dokładnie jest. Chociaż wątpię, pani doktor, czy profesor Rudenko zgodzi się na rozmowę. – Znowu ciamka, a potem



wypluwa gumę prosto pod moje nogi i sięga po nowy listek.

No dobra, dość tych podchodów. Reguła numer dwa: najlepsze rezultaty daje mieszanka kłamstwa i prawdy.

– Wiesz, po co tu przyjechałam? – pytam.

Walentina spogląda na mnie z uwagą.

– No... na konferencję?

– Mam gdzieś konferencję. Myślisz, że zgodziłabym się spać w takim zapyziałym miejscu i po tym, jak ukradziono mi wszystkie rzeczy, tłuc się cały dzień autobusem, żeby wziąć udział w mniej więcej setnym w moim życiu spotkaniu naukowym?

Chyba ją uraziłam. Mam to gdzieś.

– U nas są takie warunki, pani doktor – odpowiada po chwili.

– Na świecie organizuje się masę konferencji i to w miejscach, gdzie warunki są lepsze, czasami o niebo lepsze. Przyjechałam tu tylko w jednym celu: żeby porozmawiać z Johnem Rudenką.

Walentina ciamka gumą, ale jej oczy pozostają nieruchome. Wpatrują się we mnie.

– Po prostu muszę go odnaleźć.

Dziewczyna wypluwa gumę i obcasem wdeptuje ją w piasek.

– To będzie trudne, pani doktor.

Gdyby było łatwe, obeszłoby się bez proszenia o pomoc.

– Po prostu spróbuj. – Zastanawiam się, czy nie dodać „proszę”, ale nie chcę przesadzić.

Drzwi do wykładowego baraku otwierają się, ze środka dobiega szuranie krzeseł. Właśnie skończyła się przedpołudniowa sesja. Prelegenci i słuchacze powoli wychodzą na słońce. Osłaniają oczy dłońmi, bo wiatr przewiał chmury, a na kacu jasne promienie strasznie rażą.

– Pani doktor, czy ja też mogę o coś zapytać? – pyta nagle Walentina.

Mrużę oczy i kiwam głową.

– Co najlepiej zrobić, żeby zostać słynnym archeologiem? Takim jak pani.

To proste: trzeba mniej interesować się ciuchami, a bardziej zabytkami.

– Trzeba dużo pracować – mamroczę.

– Ale przecież wielu archeologów dużo pracuje, a nie są słynni. Czy pani dokonała jakiegoś niezwykłego odkrycia?

A tak, w zeszłym roku, w Troi. Znalazłam diadem Heleny i jeszcze jedną skrzynię pełną złota. Pisali o tym w gazetach. Jeśli ta dziewczyna tak bardzo interesuje się archeologią, powinna to wiedzieć.

– Może porozmawiamy innym razem – wykręcam się. – Okropnie boli mnie głowa.

Co w sumie jest prawdą. Nie wiem tylko, czy Walentina w to wierzy. Rzuca

na odchodne spojrzenie, którego w moim obecnym stanie nawet nie próbuję rozszyfrować.

Nie mam ochoty na lunch, chociaż rozsądek nakazuje napełnić czymś żołądek. Z chęcią za to zakradłabym się do baraku-muzeum i pomajstrowała jeszcze raz przy gablocie ze złotem. Muszę mocno zacisnąć pięści i powtarzać sobie „jeszcze będzie na to czas”, „jeszcze będzie na to czas”, na przykład tuż przed wejściem do autobusu w drodze powrotnej.

Bo nie wiem, czy kiedykolwiek znajdę złote runo. Nie wiem, czy ono w ogóle istnieje. A scytyjskie plakietki z czystego złota w gablocie, którą mogę otworzyć spinką, istnieją bez wątplenia.

Nigdy wcześniej nie byłam na konferencji w Rosji, ale najwyraźniej goście z tak zwanego Zachodu (rozumianego jako wszystko, co Rosją nie jest) są tu traktowani specjalnie. Na przykład w łóżku mamy pościel, w sali wykładowej dwa pierwsze rzędy krzesel są z oparciem, podczas gdy w pozostałych stoją już tylko zwykłe stołki. Jedzenie i alkohol są co prawda te same dla wszystkich, ale nam serwuje się jako pierwszym. I tak dalej, i tak dalej. Normalnie nawet lubię być VIP-em, więc nie sprawia mi to przykrości. Aż do helikoptera.

– Wolę pojechać samochodem – oznajmiam.

Mam lęk wysokości. W samolocie daję jeszcze radę, bo leci na tyle wysoko, że ziemia jest odrealniona. Ale helikopter będzie trzymał się nisko specjalnie po to, żebyśmy mogli z góry pooglądać stanowiska archeologiczne.

– To niemożliwe, pani doktor. – Walentina przysuwa się bliżej. – Ten helikopter został specjalnie ściągnięty dla was, gości z zagranicy. Pożyczony razem z pilotem od służby ochrony stepu. Organizatorzy poczują się urażeni.

Daję krok do tyłu.

– Mam w dupie, jak się poczują. Ja tym nie lecę. Chcę pojechać samochodem.

– Podróż jest bardzo ciężka. Tu nie ma żadnych dróg.

– Przeżyłam już cięższe podróże.

Walentina znów się przysuwa.

– Ale do Sintaszy jedzie się ponad dwie godziny, a helikopter leci pół. Więc samochody już wyjechały, żeby wszyscy uczestnicy znaleźli się na miejscu mniej więcej w tym samym czasie.

Ach, jak cudownie rozmawia się z kimś, kto jedyną istotną informację zachowuje na sam koniec!

Przed chwilą jedliśmy obiad, ale organizatorka znowu rozdaje kanapki i atomowy sok w kartonikach. Czy ten lot na pewno ma potrwać tylko pół godziny? Helikopter może i jest ze służby ochrony stepu, ale najwyraźniej odziedziczony po wojsku, o czym świadczą wzór kamuflażu, skomplikowane numery na skrzydłach i brak izolacji w środku. Jakiegokolwiek izolacji. Kiedy wzbijamy się w powietrze, robi się cholernie zimno i głośno. Przez wibracje dwa razy przycinam sobie język, zanim dociera do mnie, że muszę z całej siły zaciskać zęby. Pilot też chyba jest byłym wojskowym. Kiedy zakręca i prawie robi pętlę, moje serce ląduje w przelęku.

– Polecimy nisko! – wydziera się, żebyśmy go usłyszeli mimo hurgotu silników. – Tutaj nie ma żadnych drzew!

Cholera jasna! Pozostaje mi tylko nadzieja, że naprawdę zna teren i nie postanowił akurat tego dnia popełnić samobójstwa. Zaciskam dłonie w pięści,

wbijam paznokcie w skórę, ale to nie pomaga.

– Fantastyczna okazja! – krzyczy mi do ucha Martin. – Zobaczymy wszystkie te stanowiska z lotu ptaka. Mam nadzieję, że uda mi się zrobić zdjęcia.

Wyciąga z plecaka aparat, który na każdym lotnisku zostałby zarekwirowany i rozebrany na części, bo w obiektywie można spokojnie zmieścić lufę karabinka maszynowego. Inni też mają aparaty, nikt z wyjątkiem Walentyny nie robi zdjęć komórką. Archeolodzy to dziwaki.

Giennadij (który co prawda nie jest z Zachodu, ale robi za przewodnika, więc zamiast jechać wygodnie samochodem, ryzykuje życie w helikopterze) mówi coś, czego nie rozumiem, i pokazuje okienko.

– Zobaczcie, zobaczcie! – Marsha przykleja twarz do szyby. – Chyba widać zarys osady.

Wszyscy zrywają się z ławek (zapomniałam powiedzieć, że tu nie ma normalnych foteli, tylko twarde ławki po obu stronach, jak na filmach o desantach wojskowych) i próbują wyrzucić przez iluminatory na lewej burcie. Helikopter się przechyla. Zaraz przekręci się śmigłem do dołu, silnik zgaśnie i wszyscy zginiemy.

Pilot wyrównuje lot, ale i tak mamy przechył, więc nie ruszam się z miejsca. Zaciskam dłonie na krawędzi ławki, aż zaczynają boleć mnie paznokcie. Naprzeciwko mnie Maximilian Weber też siedzi nieruchomo i też ma białe kłykcie. Od razu bardziej go lubię. Tylko że on jest już stary i swoje przeżył, a mnie do setki jeszcze daleko.

W końcu ci pieprzeni idioci, jeden po drugim, odwracają się od okienek, wzdychają i sadowią z powrotem na ławkach. Martin porusza ustami. Pewnie pyta, czy mi się podoba. Zaprzeczam, a on uśmiecha się i przytakuje. Zdaje się, że nie opanował umiejętności czytania z ruchu warg. Chwilę później Giennadij znowu coś pokazuje i zabawa z rzucaniem się do okien na burcie i przechyłem rozpoczyna się od nowa.

I tak przez całe czterdzieści minut. Pod koniec nie mogę rozprostować palców.

W przerwach między robieniem zdjęć Walentyna przygląda mi się z uwagą. Nie potrafię odczytać wyrazu jej twarzy, ale nie maluje się na niej podziw dla dzielnej pani doktor Brenner, raczej coś w rodzaju ironii i ciekawości, jakby oglądała robaka pod mikroskopem. Postanawiam to wykorzystać. Kiedy podczas lądowania helikopterem nagle szarpie, chwytam ją za rękę, a ona wykrzywia wargi. Pozwalam jej przez chwilę napawać się odczuciem wyższości i wyciągam jej z kieszeni komórkę. Kiedy pilot otwiera drzwi, wysiadam jako pierwsza.

– To było cudowne – wzdycha obok mnie kumpela Marshy i Sabiny, której imię zdążyłam już zapomnieć. – Niepowtarzalna okazja. Może udałoby się namówić Giennadija, żeby zorganizował nam jeszcze jeden taki przelot. Zazwyczaj można zobaczyć te wszystkie stanowiska tylko na zdjęciach, i to kiepskich.

Wiadomo, jakie oni mają tutaj publikacje. Co o tym myślisz?

Zachowam dla siebie, co o tym myślę, ona i tak nie chciałaby tego usłyszeć. Rozglądam się za to dookoła. Ten cholerny Rudenko gdzieś tu podobno mieszka. Tylko że wokół rozciąga się step. Widzę trawę, wykop i nic poza tym. Żadnej osady, żadnego domu. Ten cholerny pieprzony Konstantinos ze swoimi cholernymi pieprzonymi pomysłami!

Popołudniowe słońce świeci ukośnie, bo już zaczęła się jesień. Trawa faluje pod podmuchami wiatru jak morze. Właściwie jest tu nawet ładnie. Pięknie.

Ale nie przyjechałam tu podziwiać widoków. Mam konkretną sprawę i chciałabym załatwić ją jak najszybciej, a potem oddalić się do miejsca, gdzie może nie ma tak malowniczych pejzaży, ale jest za to gorący prysznic i kawa z kofeiną.

W oddali widzę trzy samochody: pierwszy jedzie SUV, może też kradziony z wojska, a za nim, po koleinach wygniecionych w trawie, dwa osobowe. Zatrzymują się tuż przy krawędzi wykopu i ze środka wysypują się mniej uprzywilejowani uczestnicy konferencji, czyli ci, którym dopisało dzisiaj szczęście. Michaił rozgląda się, a potem idzie szybko w stronę Walentyny. Jest na tyle wysoki, że trawa sięga mu do kolan, podczas gdy Walentinie, podobnie jak mnie, do połowy ud.

Odchodzę na bok. Chcę sprawdzić rejestr połączeń w jej komórce, ale Martin przysuwa się bliżej, dotyka mojej dłoni.

– A może byśmy poszukali jakiegoś ustronnego miejsca, hm?

Jeśli o mnie chodzi, jeden numerek w krzakach rocznie wystarczy. Chętnie poszukałabym ustronnego miejsca, pod warunkiem że byłby to hotel, co najmniej czterogwiazdkowy z łazienkami wyposażonymi w wielkie wanny.

– Może później.

– Słusznie, i tak za dużo tu ludzi – odpowiada Martin. – Zobaczę, co jest ciekawego na wykopach. – I odchodzi w tamtym kierunku.

Dziwnie łatwo się ze mną zgadza. Ale nie to teraz zaprzęta mi głowę.

Upewniam się, że nikt nie patrzy w moją stronę, wyjmuję komórkę Walentyny z kieszeni i przesuwam listę numerów.

I znajduję.

Dwa połączenia.

Z numerem, który mogłabym wyrecytować obudzona w środku nocy.

Jedno trzy tygodnie temu. A drugie sprzed trzech dni, tuż zanim Konstantinos znalazł mnie na lotnisku w Stambule. Czyli jego człowiekiem do zadań specjalnych w środku rosyjskiego stepu jest ciamkająca gumą studentka z obsesją na punkcie selfie. Wspaniale, po prostu wspaniale...

Zerkam w jej stronę. Znów kłóci się z Michaiłem. Krzyczy coś po rosyjsku, a on słucha ze spuszczoną głową i z zaciśniętymi szczękami. Kiedy chłopak

wyciąga z kieszeni paczkę papierosów, ona wrywa mu ją z ręki i przydeptuje obcasem. Z tego akurat się cieszę, nie mam ochoty zginąć w pożarze stepu.

Martin wraca z wykopu, mija ich i zerka ze zdziwieniem. Podchodzi do mnie.

– Jezu, ale to ostra kobieta – mruczy. – Właśnie mu powiedziała, że albo będzie tak, jak chce, albo mogą się pożegnać.

– Znasz rosyjski?

– Trochę. Przydaje się w negocjacjach.

Walentina krzyczy coś jeszcze, wreszcie macha ręką i Michaił robi naburmuszoną minę. Podchodzę bliżej i podstawiam jej komórkę pod nos.

– To twoje? – pytam, chociaż wiem.

Dziewczyna sprawdza kieszenie ramoneski, a potem bierze aparat i dziękuje mi. Ciągłe oddycha ciężko po kłótni, ale szybko się opanowuje.

– Pani doktor, prosiła pani, żebym się dowiedziała, gdzie mieszka profesor Rudenko.

Patrzę na nią bez słowa.

– Podobno gdzieś w pobliżu wykopalisk.

Jeśli jeszcze raz usłyszę słowo „podobno”, zacznę wyć! Biorę głęboki wdech i spoglądam w niebo. Wiatr przegania chmury, powietrze jest przejrzyste jak woda w dobrze utrzymanym basenie. Widoczność sięga ładnych kilku kilometrów, a może nawet kilkunastu (nigdy nie potrafiłam dobrze ocenić odległości).

– Nie wiem, jak wy w Rosji rozumiecie słowo „poblize” – mówię.

Walentina rozgląda się wokół, ale widzi dokładnie to samo, co ja – czyli nic. Trawa faluje w hipnotycznym rytmie i nadal nie wyłania się zza niej żaden budynek.

A potem dostrzegam go nagle, w ułamku sekundy.

Pagórek skrywa chatę, dom to za duże słowo. Na dachu rośnie trawa, taka jak wszędzie, a ściany są niskie. Okna mają pozamykane okiennice z wyjątkiem jednej, uchylonej do połowy. Drzwi też są zamknięte i chociaż nie zarastają ich pajęczyny, wygląda, jakby od lat nikt tu nie mieszkał. Ale Rudenko to w końcu facet i do tego ekscentryczny archeolog, nie spodziewam się kwiatków w rabatkach ani serduszek wyciętych w okiennicach.

Zatrzymuję się przy drzwiach. Walentina za moimi plecami robi zdjęcia, Michaił się na nią gapi. Martin z kolei gapi się na mnie, chyba jeszcze nie pozbył się nadziei na numerek w ustronnym miejscu. Nie chcę rozmawiać z Rudenką w asyście trzech ciekawskich osób, ale nie wiem, jak się ich pozbyć.

Pukam.

Nic.

Pukam jeszcze raz.

Walentina daje znak Michaiłowi i ten wali w skrzydło pięścią. Ten sam

efekt. Myślę, że naciśnięcie klamki i popchnięcie drzwi też nic nie da, ale próbuję. Dlatego jestem taka zdumiona, kiedy się otwierają.

Ze środka bucha smród. Nie starych skarpet i kawalerskich kalesonów, tylko czegoś o wiele gorszego. Waham się i zatrzymuję na progu.

Tylko jedna okiennica jest otwarta, ale słońce przesunęło się już na tę stronę nieba. Chatę zalewają promienie i widzę każdy szczegół.

Docierają do mnie dwie rzeczy.

Że los potrafi płać okrutne figle.

I że przyjechałam za późno.

Zwłoki Johna Rudenki leżą na łóżku. To nieprecyzyjne określenie, lepsze byłoby „barłóg”. Pościel przypomina kłęb brudnych szmat. Potwornie cuchnie: gnijącym ciałem i fekaliami. I gnijącym jedzeniem, bo cała masa gnijącego jedzenia ustawiona jest na stole pod oknem. Blisko łóżka. Na tyle blisko, by John Rudenko mógł je, póki żył, dobrze widzieć. I na tyle daleko, by nie miał szansy po nie sięgnąć. Zwłaszcza że został przywiązany do drewnianej ramy.

Oprócz łóżka i stołu w chacie jest jeszcze tylko krzesło. W ścianę wbite są trzy kołki, na dwóch wiszą szmaty, pewnie kiedyś były to ubrania. Na podłodze przy łóżku leży stos papierów, rozpoznaję plany stanowiska i publikacje archeologiczne w różnych językach. Mnóstwo innych kartek poprzyczepianych jest do ścian, jedna obok drugiej, prawie jak tapeta. To też zdjęcia, rysunki z wykopalisk i notatki. Łażą po nich tłuste, czarne muchy.

John Rudenko musiał być kiedyś postawnym mężczyzną, może nawet przystojnym. Napiętą skórę, pod którą wyraźnie rysują się kości, pokrywają wrzody, a sznury opasujące nadgarstki i kostki wrzynają się w ciało.

Walentina przykłada obie dłonie do ust, Michaił sztywnieje. Ja daję krok do przodu. Nie interesują mnie cudze zwłoki, nawet ekscentrycznych archeologów zagłodzonych na śmierć. Interesują mnie papiery pod łóżkiem.

– Trzeba zadzwonić na milicję – mówi niewyraźnie Walentina. Jej słowa z trudem przeciskają się przez palce zasłaniające usta.

– Myślałem, że u was jest już policja – odzywa się głuchym głosem Martin.

Kiwam głową. To morderstwo, widać nawet na pierwszy rzut oka, i do tego okrutne. Dziewczyna zdecydowanie powinna zadzwonić, wszystko jedno czy na policję, czy milicję. Najlepiej na zewnątrz, może tam złapie zasięg, a ja wtedy zerknę na papiery Rudenki. Jeśli mi szczęście dopisze i milicjanci będą zwlekać, może nawet dokładnie je przejrzę. Później chętnie odpowiem na wszystkie pytania, jestem w końcu świadkiem, mogę nawet coś podpisać, jak będzie trzeba.

Mówię więc głośno, żeby Walentina poszukała zasięgu poza chatą, a ona natychmiast przytakuje i wycofuje się rakiem, nie spuszczać oka z Rudenki. Ja tymczasem daję krok do przodu. I jeszcze jeden. Muszę oddychać przez usta. Jak zawsze w takich sytuacjach przypominam sobie rzeczy, o których nie chcę pamiętać. Na przykład, że wszystkie zapachy to fruwające w powietrzu cząsteczki wydzielającej je substancji. Na myśl o tym, że czuję na języku trupa Rudenki, żołądek podjeżdża mi do gardła. Ale zmuszam się do kolejnego kroku.

I wtedy trup otwiera oczy.

Walentina piszczy za moimi plecami.

A ja zapominam o papierach. W głowie mam pustkę.

Bo Rudenko ma moje tęczówki.



Jego oczy też są jak jaskrawe turkusy. Świecą w jego wyschniętej, poranionej twarzy jak radioaktywne pręty reaktora atomowego.

Oczywiście jest szansa, że to przypadek. Czepiam się tej myśli, ale rozsądek podpowiada mi, że to mała, naprawdę bardzo mała szansa. Bo taka mutacja genu OCA2 występuje zaledwie u setnej części promila populacji kuli ziemskiej. Jest tak rzadka, że w całym moim życiu nie spotkałam drugiej osoby z takimi oczami.

Aż do dzisiaj.

Odrywam wzrok od jego tęczy i na ścianie nad wezglowiem łóżka widzę zdjęcia. Nie przychepione pinezkami, jak plany i fotografie z wykopalisk, tylko starannie oprawione w ramki.

Najstarsze jest kiepskiej jakości, ale bez trudu rozpoznaję moją matkę z niemowlęciem na rękach.

Potem pojawia się Simona w piaskownicy.

Simona w podstawówce, z białym kołnierzykiem, włosami ściągniętymi w dwa kucyki, bez przednich zębów.

Simona na pierwszych studenckich wykopaliskach, na Cyprze, oparta o łopatę i uśmiechnięta od ucha do ucha (jak nie ja).

Simona na wykopaliskach na Peloponezie.

I na kolejnych... I kolejnych... I kolejnych...

Te starsze zdjęcia musiała mu wysłać matka. Najnowszą fotografię wyciął z tureckiej gazety sprzed dwóch czy trzech lat. Stoję na nim przed nowo wybudowanym domem wykopaliskowym w Hattusas, z Vangelisem, kierownikiem tamtejszych wykopalisk. Oboje szczerzymy zęby. Nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego było nam wtedy tak wesoło.

Matka pozwoliła Rudence śledzić całe moje życie. Szkoda tylko, że nie powiedziała mi, że jest moim ojcem. Może to by ułatwiło kilka spraw.

Pewnie powinnam być teraz smutna albo chociaż przygnębiona. W końcu spotkałam ojca dopiero w ostatnich minutach życia. W końcu okazał się tchórzem, który wolał oglądać córkę na zdjęciach niż na żywo. W końcu wolał robić naukową karierę, niż użerać się z niemowlęciem, a potem z nastolatką. Ale czuję tylko niesmak i lekką irytację. Nie potrafię wykrzesać z siebie na oczekaniu rodzinnych uczuć ani zapomnieć, że przyszedłam tu po coś innego niż nawiązywanie spóźnionych kontaktów z ojcem.

Rudenko porusza ustami. W każdym razie próbuje poruszyć. Wargi ma zaschnięte.

Odwracam się do Walentyny, która zastygła w bezruchu tuż za progiem.

– Dzwon po pogotowie!

– Nie ma zasięgu. – Patrzy na mnie szklistym wzrokiem. – Na zewnątrz też nie.

Próbuję zebrać myśli, ale ona jest szybsza.

– Możemy go przewieźć helikopterem do szpitala.

– Świetny pomysł. Leć po pilota.

Odwraca się na pięcie i wpada na Michaiła, który stoi tuż za nią. Krzyczy coś do niego, a gdy chłopak zrywa się do biegu, wchodzi z powrotem do środka i opiera się o ścianę, jakby miała zemdleć. Oby nie, nie będzie komu się nią zająć.

– Simona, czy on.... – głos Martina za moimi plecami jest nadal stłumiony – ...czy wy jesteście spokrew...

Macham ręką, żeby się zamknął, i znowu spoglądam na Rudenkę, który próbuje rozkleić zeschnięte wargi. Wyjmuję z plecaka kartonik z sokiem. Odrobina wody z cukrem i konserwantami nie może mu chyba bardziej zaszkodzić w tym stanie. Wbijam w kartonik słomkę i zwilżam Rudence wargi. Wciąga powietrze i z jego gardła wydobywa się jęk. Wyciskam mu do ust po kilka kropel, aż wypija połowę kartonika. Boję się dać mu więcej. Jego turkusowe oczy cały czas są we mnie wpatrzone. Mam wrażenie, że z każdym łykiem ich wyraz przytomnieje.

– Simona – charczy nagle, a ja podskakuję i kartonik z sokiem wypada mi z ręki. Brzydzę się dotknąć poplamionej fekaliami pościeli, więc go nie podnoszę.

Rudenko wpatruje się we mnie intensywnie.

– Twoja matka... pisała... tak ci dała na imię...

Nie interesuje mnie, co pisała do niego moja matka i dlaczego nie zmusiła go do płacenia alimentów. Interesuje mnie coś innego.

Oglądam się za siebie, na Martina przy oknie i Walentinę przy drzwiach, jedno bledsze od drugiego. Pochylam się nad łóżkiem. Ignoruję smród, który wyciska mi łzy z oczu.

– Złote runo. Co o nim wiesz? – pytam cicho.

– Złote... – Słowo przechodzi w nieartykułowany charkot.

– Tak, złote runo. Szukam złotego runa. I ty podobno jako jedyny na świecie wiesz, gdzie ono jest.

– Simona... – Reszta znowu tonie w charkocie.

Na zewnątrz chaty słyszę podniesione głosy. Są coraz bliżej. Za chwilę wpadnie tu kilka osób i niczego się nie dowiem.

– Skup się, do cholery – syczę. – Złote runo. Jeśli miałeś na tyle przytomności, żeby mnie rozpoznać, to równie dobrze możesz przypomnieć sobie, gdzie jest to cholerne runo. Złota sztaba w kształcie skóry zwierzęcia.

Rudenko charczy, więc przybliżam się jeszcze, chociaż zaraz zemdleję ze smrodu. Niepotrzebnie się poświęcam, bo milknie i przymyka oczy. Zasypia albo umiera: jego klatka piersiowa zastyga w bezruchu.

Odsuwam się od łóżka.

Do chaty wpadają pilot i Giennadij. Ten drugi bardzo szybko wypada na zewnątrz, a pilot wygląda, jak ktoś, kto też ma ochotę się wyrzygać, ale może faktycznie jest byłym wojskowym i nie takie rzeczy widział. Giennadij po chwili

wraca. Jego twarz ma zielonkawy odcień, gdy przygląda się, jak pilot wyjmuje z kieszeni nóż i rozcina sznury, daleko od kostek i nadgarstków. Rudenko ma wciąż zamknięte oczy, nie rusza się i nadal nie widzę, czy oddycha czy nie.

Pilot zastanawia się i wybiega, a po chwili wraca z brezentową płachtą. Schyla się nad łóżkiem i skinieniem głowy pokazuje Giennadijowi, co ma robić. Ten blednie, ale chwytą krawędzie prześcieradła z drugiej strony. Bucha nowa fala smrodu i Rudenko otwiera oczy. Pewnie go boli, ale nie jest w stanie się wykrzywić ani nawet jęknąć. Tylko charczy.

– Simona. – Słyszę.

Pochyłam się nad nim, a on patrzy na mnie. Jeśli chce mi coś przekazać wzrokiem, jest to raczej chybiony pomysł. Wśród moich licznych talentów nie ma daru czytania w myślach.

– Zęby smoka – szepcze.

Prostuję się. Na pewno się przesłyszałam. Chciał powiedzieć „dajcie spokój”, że go boli, żeby go nie ruszali albo coś takiego. Ale on nie spuszcza ze mnie wzroku. Robi mi się nieswojo na myśl, że mamy dokładnie takie same oczy.

– Zęby smoka – szepcze znowu i charczy. – Złote... Smoka.

Cholera, nie przesłyszałam się. Na pewno majaczy, jest odwodniony i na skraju śmierci głodowej, a jego mózg od dawna nie funkcjonuje. Co prawda rozpoznał mnie i przypomniał sobie, jak mam na imię, ale równie dobrze może to być wynik chaotycznych reakcji chemicznych i elektrycznych wyładowań w umierającym mózgu.

Giennadij i pilot szarpia prześcieradłem. Noga Rudenki obija się o krawędź łóżka. To musi go potwornie boleć, ale wygląda, jakby niczego nie czuł. Jego mózg nie rozpoznaje już sygnałów z zakończeń nerwowych, więc jakim cudem miałyby rozpoznać mnie? Jakim cudem miałyby przypomnieć sobie historię o złotym runie i odpowiedzieć na moje pytanie zagadką?

Pierwszy wychodzi z chaty pilot, idzie tyłem, starając się nie upuścić Rudenki. Martin idzie obok i nieudolnie pomaga Giennadijowi. Chyba nie ma takiej potrzeby, wychudzone ciało nie może wiele ważyć. Rudenko zamyka oczy, na dworze jest dla niego za jasno.

Kiedy idą w stronę helikoptera, wokół brezentowej płachty robi się zbiegowisko, a potem tłumek szybko się rozprasza, bo Rudenko strasznie śmierdzi nawet na świeżym powietrzu. Walentina robi zdjęcia: najpierw jemu, a potem ludziom, którzy mu się przyglądają. Czekam, aż strzeli sobie selfie z dogorywającym człowiekiem, ale na szczęście nie przychodzi jej to do głowy. Podchodzę bliżej, kiedy pilot i Giennadij układają brezent na ziemi. Pilot wskakuje do kokpitu, a potem przechodzi do części pasażerskiej. Giennadij szuka nerwowo zasięgu w komórce, byle nie patrzeć na Rudenkę.

Rudenko otwiera oczy, jego powieki trzepoczą i mocno się zaciskają. Coś

charczy.

– Simona... Jedź do domu...

No tak, mam zamiar. Jak już znajdę złote runo.

Wyciąga rękę, jakby chciał mnie chwycić za połą polaru. Odsuwam się.

– Do domu Vangelisa. Jedź tam! Pamiętaj!

Prostuję się, jakbym nastąpiła na kabel elektryczny. Do domu Vangelisa?

Rudenko wie o mnie więcej, niż myślałam. Skoro zna imię mojego przyjaciela, z którym pozuję na zdjęciu wykopalisk, to co jeszcze wie? Jaki noszę numer butów? Jakie lubię drinki? Czy pijam kawę gorzką, czy z cukrem? A może w jaki sposób naprawdę zarabiam na życie?

Rudenko chyba jeszcze raz wymawia moje imię, ale mogę się mylić, bo dokładnie w tym momencie pilot wychyla się przez drzwi, Giennadij wsuwa komórkę do kieszeni i obaj biorą się do ładowania Rudenki na pokład. Przesuwam się, żeby im nie przeszkadzać. Kiedy pilot sadowi się w swojej kabinie, Giennadij wysiada, zatrzaskuje drzwi i pyta, czy chcę polecieć z nimi.

Nie, dziękuję.

Odbiegamy kilka kroków, bo śmigło zaczyna wirować i trawa kładzie się pokotem. Te koncentryczne spirale niesamowicie muszą wyglądać z góry, ale ich nie zobaczę – ani ja, ani nikt inny oprócz pilota, który pochyła maszynę na lewy bok, zawraca, a potem prostuje helikopter i odlatuje.

Wszyscy stoją z uniesionymi głowami i patrzą w ślad za nim. Tylko Walentina podnosi komórkę i cyka ostatnią fotkę.

Wracam do chaty. Nikt na mnie nie patrzy, bo wszyscy gapią się na odlatujący helikopter. Sabina szlocha, Marsha gada, Walentina żuje gumę, a Michaił unosi ramię, jakby chciał ją objąć, ale potem rozmyśla się i opuszcza rękę. Martin zniknął gdzieś w tłumie.

Waham się na progu, biorę dwa głębokie wdechy i wkraczam do środka. Przelatuję w myślach listę rzeczy w moim (to znaczy Petrosa) plecaku, ale na pewno nie ma wśród nich niczego, czym można obwiązać nos i usta, a przecież nie będę zdejmować bluzki. Jedna z much przysiada mi na policzku. Podskakuję z obrzydzenia, macham ręką i mucha odlatuje.

Podchodzę do ściany pomiędzy oknami. Przyglądam się wiszącym na niej papierom.

Nie znam rosyjskiego, a Rudenko (naprawdę nie potrafię o nim myśleć „mój ojciec”!) najwyraźniej posługiwał się nim biegle – wszystkie notatki zapisano cyrylicą. Na szczęście oprócz zapisków są jeszcze rysunki i zdjęcia. Te najbliższe stołu muszą chyba przedstawiać wykopy w pobliżu chaty. Nawet bez opisu łatwo się zorientować, że to poszczególne poziomy wykopalisk. Na tym najwyższym pojawiają się ciemne plamy ziemi, w których zaznaczono pojedyncze znaleziska: na zdjęciach obok widzę zbliżenie kościanej szpili i małego kółeczka, też wykonanego z kości. Na kolejnym poziomie jest koński szkielet: najpierw pojedyncze kości, a na następnym rysunku, przedstawiającym dno wykopu, już całość. Koń leży na boku, przy czaszce widać drugie kościane kółeczko i jeszcze inne drobne przedmioty, być może elementy rzędu. Nie widać natomiast smoka ani zębów, z wyjątkiem tych w pysku konia.

Przesuwam się bliżej okna. Tutaj wisi tylko jedno zdjęcie, właściwie to kserokopia. Rudenko musiał ją wykonać gdzie indziej, w chacie ze sprzętu elektronicznego widzę tylko mały magnetofon kasetowy, w dodatku na baterie, bo nie ma tu żadnego gniazdka. Podobne kaseciaki były modne, zanim się urodziłam. Kserokopia jest lepiej widoczna niż pozostałe zdjęcia, pada na nią więcej światła. Nie przedstawia wykopów ani końskich szkieletów. Nie, złotego runa też nie, jeśli o to chcecie spytać. To zdjęcie dwóch byków wykonanych z wypolerowanej i wypalanej gliny. Zdjęcie musiał skserować z książki, pod spodem widzę opis zabytków po angielsku. Za to nad rogami byków czerwonym flamastrem, drukowanymi literami napisał dwa słowa po rosyjsku. Nie potrafię ich odczytać, ale rozpoznaję kształt liter. Te same czerwone słowa pojawiają się na innych zdjęciach, a nawet na tynku. Są wszędzie.

Znam te byki, to słynne zabytki. Problem w tym, że pochodzą ze stanowiska, które znajduje się daleko, bardzo daleko stąd. W linii prostej to parę tysięcy kilometrów, a jeśli chce się tam dojechać, na pewno jeszcze więcej.

Z Hattusas, stolicy państwa Hetytów.

Wiecie coś o Hetytach?

Na pewno nie i w sumie was nie winię, nie sędzę, żeby ta wiedza była wam do czegoś potrzebna. A zatem w skrócie: żyli w drugim tysiącleciu przed naszą erą, bliżej końca niż jego początku, i nie mieszkali na terenach dzisiejszej Rosji ani w ogóle na stepach. Mieszkali w samym środku Anatolii, zwanej dzisiaj Turcją. No mówiłam przecież, że to bardzo daleko stąd. Poza tym strasznie lubili walczyć i walczyli ze wszystkimi dookoła, z kim tylko się dało. A sądząc z ikonografii, którą po sobie zostawili, byli okropnie brzydcy.

To tyle, więcej nie musicie wiedzieć. I jeszcze coś – nie mieli nic, ale to nic wspólnego ze złotym runem, Scytami ani stepami przy granicy z dzisiejszym Kazachstanem.

Więc dlaczego Rudenko powiesił zdjęcie hetyckich byków w najlepiej oświetlonym miejscu na całej ścianie?

Podważam paznokciem pinezkę, która przytrzymuje kserokopię z bykami. Wychodzi lekko, jakby była wbita w masło. Składam kartkę na pół, potem jeszcze na pół i wsuwam do plecaka. Kiedy się odwracam, potrącam nogę krzesła i wtedy na podłogę spada magnetofon, a za nim sterta kaset. Naciskam klawisz, taśma rusza i po chwili słyszę z głośników lekko zniekształconą melodię. Ruski produkt, wytrzyma ciężar czołgu. Kilka kaset wypadło z plastikowych pudełek i w pierwszej chwili chcę je pozbierać, ale decyduję jednak, że lepiej wszystko tak zostawić. Nagrania są równie stare, jak sprzęt. Trochę irlandzkich ballad, *Rydwany ognia* i *Rocky*, muzyka z jakiegoś musicalu, o którym nigdy nie słyszałam, dużo opery. Nie odziedziczyłam gustu muzycznego po tatusiu, to pewne, wolę klasycznego rocka.

Zostawiam w spokoju książki leżące koło łóżka i podnoszę tylko luźne kartki. Przysuwam się do okna, żeby obejrzeć je przy świetle, i dzięki temu wyraźnie słyszę kroki. Mam jednak za mało czasu, by wepchnąć papiery do plecaka. Na progu staje Martin.

– Organizatorzy chcą, żebyśmy jak najszybciej wracali – mówi. – Samochody już czekają.

Tak, też tak uważam.

Waham się przez chwilę, ale potem dochodzę do wniosku, że i tak tego przed nim nie ukryję. Składam kartki i wsuwam do plecaka. Martin unosi brwi.

– Chcę mieć jakąś pamiątkę – mamroczę.

Na progu zatrzymuję się i patrzę jeszcze raz na fotografię mojej matki ze mną w ramionach. Ale nie zrywam jej ze ściany. Pozwalam, żeby łaziła po niej tłusta, czarna mucha.

Narzekalam na helikopter? Powaznie?

Powrot samochodem do Arkaim trwa nie dwie godziny, tylko trzy. Trzy godziny, podczas ktorych co kilka minut uderzam glowa o podsufitke. Pas wrzyna mi sie w szyje, bo nie mozna wyregulowac wysokoosci. Do tego na siedzeniach z tyłu musiały się wcisnąć cztery osoby, bo nie mozna było przeciez zostawic w szczerym polu pasazerów helikoptera. Od amortyzowania wybojów bolą mnie miesnie nog, od wczepiania się we wszelkie mozliwe uchwyty – miesnie ramion, a kręgosłup boli od wszystkiego.

Martin obejmuje mnie ramieniem przez całą droge. Pozwalam mu na to, wolę obiac się o niego niż o drzwi samochodu. Nie rozmawiamy, dopiero kiedy podjeżdżamy już do Arkaim, pytam go szeptem:

– Znasz rosyjski?

– Już mnie o to dzisiaj pytałaś. Musiałem się trochę nauczyć, jeśli chcę robic tutaj interesy.

– To jak się mówi po rosyjsku „zęby smoka”?

– Zęby smoka? *Zuby drakona* albo jakoś tak. Po co ci to?

Nie odpowiadam, kręcę tylko głową.

Na miejscu pyta, czy niczego nie potrzebuję. Owszem, znalezc się od razu w swoim pokoju. Jestem tak zmęczona, że nie chcę już zdobyć złotego runa, nie chcę jeść ani pic. Chcę tylko umrzeć, a przed śmiercią wyciągnąć się wygodnie w łóżku. A jeszcze wcześniej nakopać Konstantinosowi. Żadna z tych opcji nie jest dostępna – materac zapada się na samym środku, a Konstantinos przebywa za daleko. Kładę się na pościeli w butach, a mój kręgosłup błaga o litość. Ale nawet w takim stanie nie mogę przestać myśleć o tym, co powiedział Rudenko.

Zęby smoka.

Kiedy Jazon po wielu przygodach, ktorymi lepiej było się nie chwalic w towarzystwie, dotarł w końcu do miasta Aja w Kolchidzie, król Ajetes powiedział, że owszem, odda runo, ale w zamian za przysługę. Drobiazg. Po prostu Jazon ma zaprząć do pługa dwa ziejące ogniem byki o kopytach z brązu, a jak już się z tym upora, zasiać na polu smocze zęby. Zęby smoka. Poczekać, aż wyrosną z nich wojownicy, i na sam koniec jeszcze ich pokonać. To wszystko w pojedynkę. No mówiłam, zupełny drobiazg.

Jazon podszedł do tego w typowy dla faceta sposób – rozkochał w sobie (czytaj: pewnie przeleciał gdzieś w ciemnym pałacowym korytarzu) Medeę, córkę Ajetes, która całkiem przypadkiem okazała się czarodziejką. Dalej poszło już łatwo. Medea dała mu magiczny płyn do ochrony przed ognistym oddechem byków i poleciła wrzucić między wojowników kamień, żeby sami się pozabijali. I Jazon tak zrobił. Ajetes trochę się stawiał, ale Jazon zgarnął złote runo, zgarnął

Medeę, zgarnął swoich kumpli i popłynął z powrotem do domu.

Podobno w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy. Jestem pewna, że w legendzie o złotym runie to akurat nie ten fragment historii.

Byki ziejące ogniem? Wojownicy wyrastający z ziemi jak kłosa zboża? Czarodziejka? Zęby smoka?

Chyba sami w to nie wierzycie!

Więc co ten cholerny Rudenko miał na myśli? To jakiś szyfr?

Zdrowy rozsądek podpowiada mi, że to tylko rojenia umierającego umysłu, wyładowanie elektryczne w mózgu, które spowodowało ułożenie języka w taki, a nie inny sposób, i wyartykułowanie takich, a nie innych głosek.

Przypominam sobie o papierach Rudenki. Nie mam siły zwlec się z łóżka i otworzyć plecak. Walczę ze sobą przez chwilę, w końcu zmuszam się, by usiąść. Spuszczam nogi na podłogę i sięgam po kartki. Te z odręcznymi notatkami po rosyjsku odkładam na bok. Tak samo jak zdjęcia wykopów, na oko tych samych, które widziałam na ścianach chaty. Same gliniane skorupy – nic ciekawego. Na końcu wyciągam kserokopię byków. Jest czarno-biała. Zwierzęta mają wielkie, wyraziste oczy i przewiercone nozdrza. Zerkam na podpis: „Naczynia w kształcie figur byków, Boğazköy (starożytne Hattusas), okres wczesnohetycki, tysiąc pięćset do tysiąc sześćset przed naszą erą. Glina, malowana i wygładzana przed wypaleniem. Oczy, uprzęż i kopyta zaznaczone reliefem. Wysokość około dziewięćdziesięciu siedmiu centymetrów. Stan zachowania: prawie kompletne, sklejone z fragmentów”.

Tylko że to nie ma nic wspólnego ani ze złotym runem, ani ze smokiem, ani z jego zębami.

Prawie.

Rosyjskiego nie znam, ale potrafię rozpoznać litery i od biedy ułożyć z nich proste słowo, a także – powoli, bo powoli, ale zawsze coś – odcyfrować, znak po znaku, te słowa, które znam. Wpatruję się w dwa wyrazy zapisane przez Johna czerwonym flamastrem. Całe szczęście, że nie kursywą, tylko drukowanymi literami.

*Zuby dragona.*

Zęby smoka.

No cholera jasna! Nic z tego nie rozumiem!

Składam mechanicznie kartkę ze zdjęciem byków i wsuwam ją do kieszeni dzinsów. Pozostałe papiery zgarniam do plecaka. Ani o sekundę za wcześnie, bo Marsha otwiera drzwi bez pukania.



– Jezu, ale jestem zmęczona – jęczy Kudłata i od progu zaczyna się rozbierać.

Sabina wchodzi za nią bez słowa i rzuca się na swoje łóżko. Kurtka, sweter i spodnie Marshy lądują na podłodze. Trudno już przejść do drzwi, żeby się o coś nie potknąć, ale nie mam siły powiedzieć, żeby posprzątała. Siedzę i patrzę tępo w podłogę.

Porządnickiej Sabinie przypomina się, że leży w kurtce, więc szybko wstaje, zdejmuje okrycie, strzepuje i starannie wiesza na gwoździu wystającym ze ściany. I zaczyna się.

– Co za koszmarna historia!

– Potworne!

– Jak można coś takiego zrobić człowiekowi?

– A to naprawdę był Rudenko? Jak myślicie? Bo w końcu nie wiadomo tak na sto procent, kto mieszkał w tej chacie, nie?

– Ciekawe, kto to zrobił.

– Ciekawe, czy policja w ogóle się tym zajmie. Wiadomo przecież, jacy oni są, w tej Rosji.

– A ja myślałam, że tutaj jest milicja, nie policja.

I tak dalej.

Uniosłabym ręce, by zatkać uszy, ale mięśnie nie chcą mnie słuchać. Nie mam dokąd uciec. Na dworze zapada zmrok, jest zimno, a do domu tak daleko, że na samą myśl chce mi się płakać. Nie znalazłam złotego runa, zostałam tylko z dziwną zagadką, zadaną przez umierającego mężczyznę – jak się okazało – mojego ojca, którego widziałam pierwszy raz w życiu. I obawiam się, że ostatni.

– A najgorsza była ta podróż. – Marsha rzuca też na podłogę bluzkę i zostaje tylko w fioletowym staniku. – Ten biedak musiał szybko znaleźć się w szpitalu, ja to rozumiem, ale organizatorzy mogliby się lepiej postarać.

– To skandal, że musieliśmy się tłuc samochodami po tych wertepach – wtóruje jej Sabina. – Nie wiem, jak oni chcą mieć międzynarodowych gości, skoro nie potrafią zorganizować takiej prostej rzeczy.

Zastanawiam się, jak mieliby to zrobić. Szybko ukraść drugi helikopter?

– Tak, to było straszne. Dobrze, że zaraz będzie gotowa bania.

Podnoszę wzrok.

– Bania?

– No tak, podobno już napalili, za pół godziny będzie naprawdę gorąco. – Marsha dopiero po chwili dostrzega moje pytające spojrzenie. – Bania to taka rosyjska łaźnia, trochę jak sauna, chociaż nie do końca. Nigdy nie byłaś?

– Tu jest łaźnia? – bełkoczę ze zdumienia.

– Oczywiście, w Rosji wszędzie są banie, zwłaszcza na wsiach, bo poza tym z myciem bywa różnie.

I nikt mi o tym nie powiedział?! I musiałam przez prawie dwa dni męczyć się nad miską pełną ledwo letniej wody?! Ogarnia mnie złość, a złość to adrenalina. Prostuję plecy, wstaję i od razu się zataczam. Kręci mi się w głowie, nie jestem pewna, gdzie kończy się i gdzie zaczyna moje ciało.

– Dobrze się czujesz? – pyta Sabina. – To musiało być straszne przeżycie znaleźć tego trupa... to znaczy Rudenkę.

Kręcę głową na znak, że nic mi nie jest i w żadnym wypadku nie powinny się mną zajmować, a już na pewno nie powinny iść razem ze mną do bani.

Marsha wyciąga z walizki butelkę, odkorkowuje i podstawia mi pod nos.

– Łyknij sobie.

Pachnie ziołami i alkoholem tak mocnym, że kręci mnie w nosie. Upijam łyk i natychmiast pociągam znowu. Nalewka ma niewiele mniej procent niż spirytus. W cudowny sposób natychmiast przestaje boleć mnie głowa, ciepło rozlewa się w moim żołądku. Marsha wyciąga rękę. Przysysam się do butelki i po chwili oddaję ją z żalem.

Pomogło, mogę mniej więcej równo stawiać kroki. Zatrzymuję się z dłonią na klamce, bo Marsha pyta:

– Też idziesz? No to musisz tylko wziąć ręcznik, prześcieradła są na miejscu. Ciekawe, czy nacięli witek brzoźowych.

– Witek brzoźowych?

– Żeby sobie wychłostać plecy. – Marsha wygląda, jakby musiała tłumaczyć członkowi jednego z saharyjskich plemion, jak spuścić wodę.

– Dziękuję za biczowanie!

– Ale to bardzo przyjemne, naprawdę.

Najwyraźniej odmiennie podchodzimy do kwestii przyjemności. Nie podejmuję tematu, cofam się do pokoju i zarzucam na szyję ręcznik.

– To chatka zaraz za głównymi zabudowaniami. Na pewno trafisz, z komina leci dym i ładnie pachnie, bo tam pali się tylko drewnem. My też zaraz przyjdziemy.

– Tak, tak, za chwilę – dodaje Sabina. – Muszę jeszcze tylko trochę poleżeć, plecy mnie bolą nie do wytrzymania po tej jeździe.

Przyspieszam kroku. W zachodzącym słońcu chatka wygląda, jakby mieszkał w niej zboczeniec albo wilkołak. Otwieram drzwi i ze środka bucha gorąco. Mam w głowie pustkę, marzę już o tym, żeby zrzucić z siebie ciuchy i polać się gorącą wodą. Robię to pierwsze i owijam się prześcieradłem, a ubrania wieszam na kołku wbitym w ścianę, obok czyichś spodni i koszuli. Klnę, bo nie mam ochoty na towarzystwo.

Ale to tylko Martin. Na mój widok podciąga prześcieradło, chociaż całkiem

niedawno widziałam go bez ubrania. Co prawda nie całego, w krzakach było za zimno.

Żadne z nas nie bardzo wie, co powiedzieć. W końcu podchodzi do mnie, bierze za rękę i przybiera zatroskany wyraz twarzy. Niepotrzebnie, skończyliśmy nasz romans już lata temu, a teraz to tylko przyjemny, nic nieznaczący epilog. Nie musi się mną opiekować.

– Nie wiedziałem, że Rudenko był twoim ojcem.

Ja też nie wiedziałam.

– To musiał być dla ciebie szok.

W rzeczy samej, chociaż z innego powodu niż myśli.

– Straszna śmierć.

– Może nie umrze...

Martin chrząka.

– Nie wiem, czy powinnaś mieć nadzieję. On był naprawdę w złym stanie.

Kto mógł zrobić coś takiego? To bestialstwo! – Spogląda na mnie i się reflektuje. – To znaczy, przepraszam. Gdyby to był mój ojciec...

Wzdycham.

– Dla mnie to był właściwie obcy człowiek. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– No tak, ale krew nie woda. To niesamowite, ma dokładnie twoje oczy.

Ogarnia mnie złość.

– Tak, miał takie same oczy! I połowę takich samych genów! I nigdy nie pofatygował się, by się ujawnić. Nigdy!

Martin patrzy na mnie przestraszony.

– Obwiesił sobie ściany moimi zdjęciami, ale nigdy nie napisał do mnie nawet pieprzonej kartki urodzinowej! I zabronił matce mówić mi, że w ogóle istnieje! – krzyczę, ale po chwili na widok miny Martina biorę głęboki wdech. Próbuję się uspokoić, tylko nie bardzo mi to wychodzi. – Do dzisiaj nie miałam pojęcia, kto był moim ojcem. Szczerze mówiąc, myślałam, że matka też tego nie wie. Nigdy nic na ten temat nie mówiła. Zawsze byliśmy tylko my dwie: mama i córka, dwie silne kobiety, które muszą same dać sobie radę w życiu. A ten skurwysyn siedział w swojej chatce i oglądał zdjęcia!

Zaciskam pięści i powstrzymuję się siłą, żeby nie walnąć w ścianę chatki.

– Nie wiesz przecież, dlaczego się z tobą nie skontaktował – mówi cicho Martin.

– Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

Wyciągam palce i dotykam złotego łańcuszka na jego szyi. Kołysze się na nim zęb. Niestety nie smoka, tylko rekina. Pamiętam, jak żartowałam, że to musiał być bardzo mały rekin, a Martin odpowiadał, że nie rozmiar jest najważniejszy. I pamiętam, jak nigdy nie pozwalał mi go zdjąć. Powtarzał, że mogę to zrobić

dopiero po jego śmierci, i to po długich torturach. Śmiał się, kiedy jednak próbowałam i łaskotałam go.

Nie wiem, dlaczego to wszystko mi się przypomina. Nalewka Marshy musiała być na jakichś halucynogenach.

– Ciągłe to nosisz na szczęście? – pytam, a on potakuje. – I co, nadal działa?

Czerwieni się, widzę to nawet w półmroku. Nikt nie lubi, kiedy mu się wypomina zabobony. Pewnie woli zmienić temat. Pochyla się i całuje mnie. Oddaję mu pocałunek, ale jest zbyt gorąco. Odsuwam się od niego i siadamy na niskich zydlach tuż obok siebie. Pomieszczenie przesycone jest parą. Martin bierze do ręki pęk wiotkich gałązek, jeszcze z liśćmi, i leniwie uderza się w plecy. Wzdrygam się.

– Najlepsze są na wiosnę – zapewnia. – Ze świeżym sokiem. Ale te jesienne też mogą być.

Powietrze parzy w krtań, ledwo mogę oddychać. Pot płynie mi między brwiami, aż oczy szczypią. Mam nadzieję, że zmyję ze swojej skóry każdą cząsteczkę rozkładającego się za życia ciała Rudenki.

– Simona...

Podnoszę głowę, zbyt gwałtownie, szumi mi w uszach.

– Wiesz, nie chciałem być niedyskretny, ale ta chata była mała. Słyszałem, co mówiłaś do Rudenki.

– I?

– Wczoraj wieczorem oboje sporo wypiliśmy. Myślałem, że tylko sobie żartujesz... – Zawiesza głos, czekając na moją odpowiedź. – Ty poważnie z tym złotym runem?

Jak już wspominałam (wiele razy) normalnie stosuję zasadę numer dwa: najlepsze efekty daje mieszanka kłamstwa i prawdy. Ale jestem okropnie zmęczona i już nie chce mi się kłamać. Dlatego właśnie mówię prawdę Martinowi, którego wczoraj zobaczyłam pierwszy raz od wielu lat i którego pewnie zobaczę znów za kilka albo kilkanaście. Albo może już nigdy.

– Tak.

– I naprawdę przypuszczasz, że ono istnieje? – pyta po dłuższej chwili ciszy.

– Sama już nie wiem. Podobno Rudenko tak uważa. Podobno jest jedyną osobą, która wie, gdzie go szukać. – Milknę, a Martin czeka, aż znowu zacznę mówić. – Ale, jak sam słyszałeś, niczego mi nie powiedział. Tylko...

– Zęby smoka... – Jego głos brzmi, jakby mówił przez sen. – Zęby smoka.

– Tak, zęby smoka. – Wyrывam go z transu. – Cokolwiek to miało znaczyć.

– No, jeśli w związku ze złotym runem, to w micie było tak, że Jazon zasiał zęby smoka i...

– Powiedz mi coś, czego nie wiem! – wybucham.

Martin spogląda na mnie uważnie.

– Rudenko nie dodał nic więcej?

– Przecież sam słyszałeś. Powiedział tylko, że wie od matki, jak mnie nazwała, i żebym pojechała do domu. Do domu Vangelisa...

– Vangelisa?

– Słuchaj, on umierał. Pewnie bredził. Miał w magnetofonie kasetę z muzyką z *Rydwanów ognia*. Pewnie wszystko mu się popieprzyło, kiedy zaczął trawić własne białko. Nie wiem, o co chodziło. Pewnie o nic.

Bo na pewno nie, do cholery, o mojego przyjaciela Vangelisa Paschalidisa, który przypadkowo znalazł się na jednym zdjęciu ze mną! Na zdjęciu zrobionym w Hattusas, skąd pochodzą też byki na kserokopii Rudenki... Nadal nie widzę związku.

– Pewnie tak – stwierdza Martin i znowu pogrąża się w zadumie.

Przyglądam się kroplom potu spływającym po jego torsie, wzdłuż złotego łańcuszka. Jak na antykwariusza ciągle nieźle wygląda. Może zaczął chodzić na siłownię albo grać w tenisa... Dotykam jednej z kropli. Spływa mi po palcu.

– Mówiłaś, że ci za gorąco – mruczy.

– Już nie.

Znowu mnie całuje. To właśnie w nim lubię: nie trzeba mu wszystkiego tłumaczyć.

– Czyli Rudenko szukał tego złotego runa? – Wargi Martina przesuwają się po mojej szyi. – Zanim ktoś go...

– Zdaje się, że tak.

– Tutaj? – Usta zatrzymują się w zagłębieniu nad obojczykiem i czuję teraz jego język przesuwający się powoli po skórze wzdłuż kości. – W stepie?

– Nie wiem, czy tutaj. – Ogarnia mnie irytacja, ale staram się tego nie okazywać. – Niczego konkretnego mi przecież nie powiedział, a tu jest zagłębienie scytyjskiego złota. Sam mi pokazywałeś tę plakietkę...

Gryzę się w język, bo plakietka tkwi w bocznej kieszeni mojego podręcznego plecaka. Nie chciałabym, by Martinowi przyszło do głowy, że powinniśmy obejrzeć ją jeszcze raz.

– To nie to samo. – Kręci głową i jego półdługie włosy łaskoczą mnie w podbródek. – Ta plakietka przedstawia po prostu scenę z życia Scytów, którzy naprawdę tak wyprawiali zwierzęce skóry. Masz więc prawdziwe runo baranie, przez przypadek ukazane na złotym przedmiocie. A tobie, o ile dobrze zrozumiałem, chodzi przecież o runo ze złota.

Mniej więcej.

Przytulam się do jego piersi i dotykam językiem sutka. Martin prostuje się, jakby przeszył go prąd.

– Ale Rudenko chyba wie, że złotego runa tu nie ma. – Głośno myślę.

– Mhm – mruczy i przyciąga mnie mocniej do siebie. – Podobno starożytna

Kolchida była na terenie dzisiejszej Gruzji albo gdzieś tam w okolicy.

– Może i była – mówię trochę niewyraźnie, ale sami spróbujcie artykułować, kiedy ssiecie czyjś sutek – ale według Rudenki nie tam trzeba szukać.

Czuję, jak napina mięśnie.

– No to gdzie?

Przesuwa dłoń wzdłuż moich mokrych od potu pleców. Sunie powoli z góry na dół, a ja popycham ją jeszcze niżej, pod skraj prześcieradła. Jest gorąca. Gorętsza niż moja skóra, chociaż wydawałoby się to niemożliwe. Wędruje niespiesznie, centymetr, potem dwa i się zatrzymuje. I znowu centymetr, dwa. U większości znanych mi facetów kontakt fizyczny wyłącza myślenie. Ze mną jest odwrotnie. A do tego upał dobrze na mnie działa. Moje ciało roztapia się, nic nie waży, nie czuję nawet jego konturów. Zostaje sama myśl.

Zamykam oczy. Pod powiekami mam czerwonawą poświatę.

Złote runo. Zęby smoka. Wyprawa Argonautów.

Mit. Bajka.

Ale Rudenko chyba tak nie uważa. Po co inaczej zadawałby na łożu śmierci zagadkę dopiero co poznanej córce? Pomyślmy: cierpi, umiera. Przychodzi do niego córka, którą widział do tej pory tylko na zdjęciach. Prosi, żeby powiedział jej, gdzie jest złote runo. Gdyby nic o nim nie wiedział, nie gadałby zagadkami. Próbowaliby się przywitać... pożegnać... bo ja wiem?

Wniosek z tego jest tylko jeden – Rudenko coś wie. Nie powiedział tego wprost, bo w chacie byli inni ludzie. Zadał mi zagadkę. Najwyraźniej miał nadzieję, że odziedziczyłam po nim nie tylko oczy, ale też inteligencję. Powiedział „zęby smoka”, ale przecież jeśli szukamy w bajkowej zupie mitu prawdziwych klusek, to na pewno nie szukamy smoka ani czarodziejki. W micie o zębach smoka prawdziwe mogły być właśnie byki. Oczywiście nie ziały ogniem. Nie muszą, i bez tego są groźne.

Rudenko chyba też tak myśli.

Byki.

Byki na kserokopii.

Podnoszę gwałtownie głowę i patrzę Martinowi prosto w oczy.

– Pamiętasz byki?

– Jakie byki?

– Znalazłam na ścianie chaty zdjęcie byków z Hattusas. Hetyckich byków, które nie mają nic wspólnego z Arkaim, z Sintaszta ani z wykopaliskami, jakie Rudenko tutaj prowadził. Napisał nad nimi „zęby smoka”.

Martin kładzie mi dłoń na karku i delikatnie naciska. Biorę do ust jego sutek. Przez to mój głos brzmi trochę niewyraźnie.

– Słuchaj, ty jesteś antykwariuszem, powinieneś wiedzieć takie rzeczy. Wiem, że zostały wykopane w Hattusas, ale gdzie one teraz są? Dwa byki. Takie

duże, prawie na metr, częściowo toczone na kole.

– Nie mam pojęcia. – Martin rozkłada ręce. – Takich par byków jest kilka, w różnych kolekcjach.

Za karę gryzę go w sutek. Jęczy, ale chyba nie z bólu.

– Antykwariusz powinien wiedzieć takie rzeczy.

– Simona – mruczy. – Nie bardzo mogę teraz myśleć.

– Nie wiem, o co chodzi z tymi bykami. – Zataczam językiem ósemki między jego sutkami. – To musi być jakaś wskazówka.

Martin nareszcie wpada na to, żeby całkiem zanurzyć dłoń pod moim prześcieradłem. Próbuje pocałować mnie w usta, ale odpycham go i dalej znęcam się nad jego sutkami.

– Byki i zęby smoka – mamroczę. – Cholerne dwa elementy spośród tylu innych...

Martin ciągnie moją dłoń niżej. Wyszarpuję ją.

Nieruchomieję. Staram się nawet nie mrugać, chociaż pot zalewa mi oczy.

Martin pyta, czy wszystko w porządku, ale słyszę go niewyraźnie, jakbym napchała sobie waty do uszu.

Elementy mitu...

Prostuję się gwałtownie i wstaję. Za szybko, kręci mi się w głowie, muszę oprzeć się o ścianę.

Rudenko leżał i głodował, nie mógł dosięgnąć jedzenia.

Petros zaginał w lesie.

Cholera jasna!

Przechodzę do drugiego pomieszczenia, gdzie jest chłodniej i mogę otrzeć twarz z potu. Z kieszeni wyciągam komórkę Petrosa. Zero zasięgu. Otwieram szeroko drzwi wejściowe. Niebo jest już czarne. Na stepie szybko się ochładza, żdźbła trawy pod moimi stopami pokryte są szronem. Jestem tak rozgrzana od bani, że nie czuję zimna, jeszcze nie. Wpatruję się w wyświetlacz. Daję kilka kroków do przodu i łapię jedną kreskę. Wybieram z pamięci numer.

Konstantinos odzywa się po grecku.

– Konstantine, to ja!

– Ach, ty, moja droga. Myślałem, że to... – Reszta jego słów ginie w szumie. Odchodzę jeszcze kilka kroków w bok i znów zaczynam go słyszeć. Pod moimi bosymi stopami topi się szron.

– Konstantine, posłuchaj, to ważne.

– Ty zawsze dzwonisz do mnie z ważnymi sprawami, moja droga. – Tym razem słyszę go całkiem nieźle. – Znalazłaś już złote runo?

– Nie! Posłuchaj!

Wiem, że niepotrzebnie krzyczę. Zniżam głos i się oglądam. Za sobą widzę jasny prostokąt otwartych drzwi i smugę światła na trawie.

- Kto ci o nim powiedział?
- O czym?
- O tym cholernym złotym runie!
- Moja droga, nie przeklinaj!
- Do diabła, odpowiedz na moje pytanie!

Konstantinos milczy przez chwilę. Na tyle długo, że tracę zasięg.

Wstrząsa mną dreszcz. Stoję niemal naga na oszronionej trawie, temperatura powietrza pewnie jest niewiele wyższa od zera. Podchodzę bliżej drzwi i zerkam tęsknie do środka, a później odwracam się, podciągam prześcieradło, żeby się nie zaplatać, i wbiegam truchtem na niewielki pagórek. Stopy drętwieją mi z zimna, ale łapię dwie kreski.

Telefon dzwoni, zanim zdążam wybrać numer.

– Strasznie słabo cię słyszę, moja droga.

– Bo tu jest chu... kiepski zasięg. – Biorę głęboki wdech. – Posłuchaj, Konstantine, to ważne, a za chwilę pewnie znowu nas rozłączy. Od kogo wiesz o złotym runie? Od kogo wiesz, że można je tu znaleźć? Że powinnam przyjechać do Arkaim i porozmawiać z Johnem Rudenką? Że to koniecznie miałam być ja!

Nie rozumiem jego odpowiedzi, zamienia się w trzask. Przesuwam się dwa metry w bok.

– Powiedz jeszcze raz, bo nie zrozumiałam! – krzyczę.

– ...moje kontakty.

– Mam w dupie twoje kontakty! – wydzieram się znowu. – Muszę mieć nazwisko.

– Po co ci, moja droga? – Jego głos napływa i odpływa falami.

– Opowiem ci, jak się spotkamy albo jak będzie lepsze połączenie. To i jeszcze kilka innych historii z mojego życia, a teraz podaj mi po prostu nazwisko!

Konstantinos waha się, w telefonie szumi. Po chwili szum się nasila.

– Szzz brzzz.

– Kto?

– Szczszcz.

– Sokołów?

– Nie! – Konstantinosowi się udziela i teraz to on krzyczy do słuchawki. – Woronow...!

I znowu tracę połączenie. Przechodzę na jedną stronę pagórka, potem na drugą, wracam pod drzwi bani i znowu się oddalam. Zimno już do mnie dotarło, trzęsę się, nie czuję nóg, ale nie udaje mi się złapać ani jednej kreski.

Mam nadzieję, że dobrze usłyszałam nazwisko, od którego może zależeć moje życie. Choć niewiele mi to daje, bo nie spotkałam nikogo, kto się tak nazywa. I na pewno nie ma żadnego Woronowa w Arkaim. Wiem, bo wczoraj uważnie sprawdziłam wszystkie plakietki.





Ktoś się ze mną zabawia, z nami wszystkimi: z Konstantinosem, Petrosiem i Johnem Rudenką. To już było. To, co przydarzyło mi się w ostatnich dniach, można przeczytać w micie o Argonautach.

Petros, który poszedł do lasu i nie wrócił...

Hylas był jednym z kochanków Heraklesa, zobaczcie sobie w Wikipedii. Czyli gejem, jak Petros (choć w starożytności rzadko preferowano tylko jedną płęć). Płynął z Argonautami, dopóki nie zatrzymali się w Myzji (to mniej więcej w północnej Turcji), gdzie poszedł do lasu – podobno po drewno na opał. I nie wrócił. Herakles zarządził poszukiwania, ale Hylas przepadł bez śladu.

Kojarzy wam się to z czymś?

Prawie na śmierć zagłodzony Rudenko, który nie mógł dosięgnąć jedzenia...

Fineusa też znajdziecie w Wikipedii. Był królem Tracji (to plus minus dzisiejsza południowa Bułgaria i kawałek Turcji, ten w Europie). Argonauci natknęli się na niego, kiedy umierał z głodu. Nie, nikt go nie przywiązał do łóżka. Po prostu za każdym razem, kiedy podawano mu posiłek, zlatywały się harpie (pół ptaki, pół kobiety, bardzo nieprzyjemne) i porywały mu jedzenie albo zanieczyszczały swoimi odchodami, ale to tylko techniczny detal.

Jeszcze jedno: Fineus miał dar przepowiadania przyszłości. W podziękowaniu za ratunek wyjawiał Argonautom, gdzie szukać złotego runa.

Jak Rudenko mnie...

Stoję na pagórku, stopy już całkiem mi zdrętwiały.

Ktoś namówił Konstantinosa, żeby wysłał mnie na poszukiwanie złotego runa. Potem zastawił pułapkę na Petrosa. Nie wiem, co mu zrobił i pewnie się nie dowiem – Argonauci też nigdy nie odkryli, co się stało z Hylasem. Ten sam człowiek zabawiał się w inscenizację opowieści o królu Fineusie, wprowadzając zaledwie kilka poprawek: nie harpie, tylko jedzenie poza zasięgiem, nie zanieczyszczone talerze, tylko łóżko, ale to drobiazgi.

I król Fineus, to znaczy mój pieprzony rodzony ojciec, powiedział mi, gdzie szukać złotego runa, to znaczy zadał mi zagadkę...

Teraz jednak mam do rozwiązania inną. Domyślcie się już jaką?

Mit o Argonautach jest długi i obfituje w nieprzyjemne historie, które przytrafiły się różnym osobom. Jeśli ktoś ze mną pogrywa, dopiero się rozkręca.

Zagadka brzmi: kto będzie następny? Skoro najpierw był mój towarzysz podróży, a potem ojciec, teraz wypada... na mnie. Ogarnia mnie paniczny strach. Co prawda nie mam żadnego dowodu, ale kiedy go zdobędę, może być już za późno. Jeśli to klucz do tej gry, jestem następna w kolejce.

Kuśtykam z powrotem do bani i zatrząskuję za sobą drzwi. Tysiące mrówek zaczynają biegać w moich stopach, a skóra czerwienieje jak polana wrzątkiem.

Kiedy już przestaję jęczeć z bólu i jestem w stanie myśleć, dostrzegam, że z kołka zniknęło ubranie Martina. Otwieram drzwi do drugiego pomieszczenia – nie ma go.

Myję się, wycieram, przechodzę do przedsionka i zaczynam naciągać bluzkę i spodnie na spoconą, rozgrzaną skórę. Na zewnątrz słyszę głosy, zbliżają się. Zostały mi jeszcze tylko skarpetki i buty, kiedy ktoś ciągnie za kłamkę.

– O, Simona – mówi Sabina. – Już się wykąpałaś. Szybko.

Nie zadała pytania, więc nie muszę odpowiadać.

Za nią wchodzi Kudłata i jeszcze jedna kobieta, której imienia nie potrafię zapamiętać. Zrzucają ubrania od progu, a ja mocuję się ze sznurówkami. Chcę jak najszybciej wyjść.

– Nie wiedziałam, że Rudenko jest twoim ojcem – mówi Marsha.

Zdejmuje spodnie i wiesza na kołku, a gdy spadają na podłogę, to Sabina je podnosi, machinalnie otrzepuje i składa w kostkę.

– No, ja też dopiero przed chwilą się dowiedziałam – odzywa się ta trzecia. – Rostowski rozmawiał z Giennadijem.

Nie wiem, kim jest Rostowski, i nie chcę wiedzieć, ale wiem, co to oznacza: plotka o moim pokrewieństwie z Rudenką poszła już w świat. Zirytowana szarpie sznurowadło, a to cholerstwo się zrywa. Klnę pod nosem i próbuję związać ze sobą obie części.

– Nic nam nie powiedziałaś – zauważa z pretensją Sabina i czeka na odpowiedź, której nie otrzymuje.

– Moim zdaniem wcale nie jest do ciebie podobny. – Marsha stawia na stolku butelkę znanej mi już nalewki.

Patrzę na nią tęsknie. Właściwie to nawet chętnie bym się napiła, a jeszcze chętniej zalała w trupa, tylko że teraz muszę być całkowicie kompletnie trzeźwa.

– Ale chyba rzadko go widywałaś – dodaje ta, której imienia zapomniałam, kiedy już stoję w drzwiach.

– Musisz nam wszystko później opowiedzieć! – woła jeszcze za mną Sabina i już jestem sama (głęboki wdech, równie głęboki wydech).

W drodze powrotnej co chwila się rozglądam, próbuję dojrzeć, czy nikt nie czai się w mroku. Staram się głęboko oddychać, ale panika ściska mnie jak żelazna obręcz. Z ulgą wchodzę w światło latarni na placu apelowym. Okna baraków są ciemne, za to w jadalni palą się wszystkie lampy. Nawet tu, na zewnątrz, docierają odgłosy ostrej popijawy. W sumie to najlepszy sposób odreagowania dnia. Zaglądam przez okno do środka, waham się, czy dołączyć do reszty, czy wrócić do pokoju. Kiedy w końcu się decyduję, przy drzwiach zderzam się z Walentiną. Dziewczyna dyszy i nawet w tym świetle widzę, że jest zarumieniona. Pewnie dzisiaj jej kolej na romansowanie po krzakach. Na mój widok rumieni się jeszcze bardziej, ale przecież jest dorosła i może się bzykać, z kim chce i gdzie chce. Konstantinos zatrudnił ją, żeby mi pomogła znaleźć złote runo, poza tym miała się

mną opiekować, a do tej pory specjalnie się nie wykazała: chatę Rudenki zauważyłam sama. I nie zapominajmy o tym, że musiałam się męczyć w trzyosobowym pokoju. No, panienko, najwyższy czas zaopiekować się doktor Simoną Brenner.

– Muszę stąd wyjechać – mówię bez żadnego wstępu. – Jak najszybciej. Jeszcze dzisiaj w nocy. Muszę... – urywam, bo mój głos staje się zbyt piskliwy. Odchrząkam. – Pilna sprawa rodzinna.

Walentina wpatruje się we mnie i wyraźnie czeka na ciąg dalszy. Waham się tylko chwilę. Mieszanka kłamstwa i prawdy, mieszanka kłamstwa i prawdy... Tym razem będzie jak znalazł.

– Posłuchaj, profesor Rudenko, mój ojciec... Powiedział mi coś jeszcze, zanim stracił przytomność.

Dziewczyna zamiera w bezruchu i zamienia się w słuch. Patrzę jej prosto w oczy.

– On chce, żebym odnalazła coś... Coś, czego od dawna szuka. Taki duchowy testament, rozumiesz?

Kiwa głową w milczeniu.

– Nie mogę czekać do końca konferencji. Obiecałam mu... Muszę dotrzymać słowa. W końcu to mój ojciec, chociaż spotkałam go po raz pierwszy dopiero dzisiaj.

Liczę na to, że ma silniej zakorzeniony respekt dla więzów rodzinnych niż ja. Nie rozczarowuję się.

– Tak, rozumiem, pani doktor. To oczywiste, że musi pani dotrzymać słowa danego ojcu.

Sama bym tego lepiej nie ujęła.

– Dowiem się, czy można pożyczyć od kogoś stąd dzipa – obiecuje.

Rozluźniam napięte ramiona. Dziękuję jej. Ona mówi, że to żaden problem.

Jeszcze się okaże.

Ruszamy do jadalni, ale zanim udaje mi się nacisnąć klamkę, drzwi same się otwierają. To znaczy nie same, otwiera je Martin.

– Właśnie cię szukam – mówi. – Wybiegłaś tak nagle z bani. Coś się stało?

A tak, stało się. Już wiem, na czym polega gra w Argonautów. Teraz muszę tylko wymyślić, jak nie dać się zabić i jak znaleźć złote runo. Po prostu łatwizna.

– Wchodzisz? – Szerzej uchyla drzwi, a ja ciągnę go za rękaw, żeby wyszedł na zewnątrz.

Zrywa się wiatr. Linka masztu na placu apelowym wyje jak upiór. Walentina mogłaby już sobie pójść, jednak najwyraźniej woli zostać i posłuchać, co mnie łączy z Martinem. Nie daję jej szansy, proszę, by sprawdziła, co z dżipem, i czekam, dopóki jej sylwetka nie zniknie w ciemnościach.

No to do dzieła.

Są różne sposoby wprowadzenia mężczyzny w dobry humor, ale mam tu ograniczone możliwości z powodu zimna i wieloosobowych pokoi, a gotować i tak nie umiem. Pozostaje mi pocałunek. Wkładam w niego całą moją fantazję. Kiedy się odsuwam, Martin głęboko wciąga powietrze.

– Posłuchaj – zaczynam.

– Po co ci dżip? – Przyciąga mnie do siebie. – Chcesz pojechać w jakieś bardziej ustronne miejsce? Dzielna dziewczyna.

Jezu, skąd mu to przyszło do głowy? Ale nie będę go teraz odpychać. Nie wiem, kiedy się spotkamy następnym razem, pewnie nigdy.

Pozwalam się całować, a kiedy znowu kończy mu się powietrze, mówię:

– Martin, muszę stąd wyjechać.

– Mhm. – Nie słucha zbyt uważnie. – Jak my wszyscy. Konferencja kończy się za dwa dni, miejscowi archeolodzy też wyjadą. Tutaj nie ma warunków na zimę.

Moim zdaniem nie ma tu też warunków na lato ani na jakkolwiek inną porę roku, ale zachowuję tę myśl dla siebie.

– Teraz, jeszcze dzisiaj wieczorem.

– O, dlaczego tak szybko?

Połykam ślinę. Tym razem nie powiem mieszanki prawdy i kłamstwa. Powiem część prawdy, żeby uniknąć tej drugiej części – tej o grze w Argonautów.

– Chcę sprawdzić byki. Nie wiem, o co chodziło Rudence, ale to przecież nie przypadek. Coś chciał mi przekazać, a tutaj nie dowiem się co. Muszę wyjechać, sprawdzić, gdzie one są, i znaleźć to miejsce.

– Jeśli mówisz o tym złotym runie poważnie...

– Jak najbardziej.

– ...to chyba rzeczywiście masz rację. Ale czy to powód do takiego pośpiechu?

Zanim wydam się z tej dziury i dotrę do miejsca z zasięgiem, a potem złapię połączenie do miasta, w którym są byki (a nawet nie wiem jeszcze, co to za miasto), może minąć sporo czasu. A poza tym na karku czuję oddech tego, kto zabił Petrosa i Rudenkę.

Tak, myślę, że to całkiem niezły powód do pośpiechu.

Wspinam się na palce i długo go całuję, a potem się odsuwam.

– Fajnie było cię znowu zobaczyć, Martin. Mam nadzieję, że...

– Naprawdę chcesz jechać teraz? – Patrzy na mnie z dziwną miną. – Jest środek nocy. Skąd weźmiesz transport aż do Czelabińska?

– Walentina obiecała coś załatwić.

– Ta studentka? – Spogląda w kierunku, w którym odeszła. – Nie wiem, czy da radę. Może lepiej pogadam z Giennadijem?

Najwyraźniej wcale nie jest mu przykro, że się rozstajemy. Czuję lekkie

ukłucie w sercu i od razu besztam się w myślach za głupotę. Przecież właśnie tego chcę.

– Może później – odpowiadam. – Najpierw dam jej szansę.

Znowu próbuję dosięgnąć jego ust, ale tym razem przytrzymuje mnie za ramiona.

– Jestem strasznie głodny, a ty czekasz na transport. Chodźmy do jadalni, już podają kolację.

Chcę powiedzieć, że nie mam ochoty na jedzenie, jednak trudno jest kłamać, kiedy człowiekowi głośno burczy w brzuchu. Martin otwiera drzwi jadalni, a ja mamrocze coś o tym, że muszę skorzystać z toalety. Kiedy on znika w środku, przyklękam w kręgu światła latarni i zaglądam do podręcznego plecaka. Dzięki złodziejowi z Czelabińska straciłam całą gotówkę, a w portfelu Petrosa znajduję jedynie sześćdziesiąt pięć euro i jeszcze z piątkę drobnymi. Nie dojadę za to daleko.

Trzaskają gdzieś drzwi i z oddali dochodzą mnie głosy. Wchodzę szybko do jadalni, gdzie tuż za progiem zatrzymuje mnie Giennadij. Obok czeka Martin. Ma poważną minę.

– Simona, strasznie mi przykro... Przed chwilą dzwoniли ze szpitala. Twój ojciec... Profesor Rudenko... – Zawiesza głos. – Naprawdę, bardzo mi przykro.

Miałam ojca przez jakieś sześć godzin. Może siedem, nie spojrzałam na zegarek, kiedy go znalazłam. Trochę za krótko, żeby wzbudzić w sobie córzyne uczucia, ale dostatecznie długo, żeby poczuć złość. I żal.

Potrząsam głową i zaciskam mocno wargi. Giennadij wpatruje się we mnie z zatroskaną miną.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Jakoś ci pomóc?

A tak, owszem.

– Mówiłeś już o tym komuś? – pytam.

– Nie, no coś ty. To znaczy Martinowi, ale chciałem, żebyś dowiedziała się pierwsza. Jako córka masz przecież prawo...

– Nie mów nikomu więcej – przerywam mu. – Bardzo cię proszę. Chciałabym uniknąć kondolencji. – Przetykam ślinę. – To dla mnie bolesne.

– Oczywiście. Nic nie powiem. To zupełnie zrozumiałe. Będę milczał jak grób. To znaczy, chciałem powiedzieć...

– Bardzo ci dziękuję.

Wymijam go i siadam na pierwszym wolnym miejscu, Martin opada na krzesło obok. Nie rozmawiamy. Przysuwam sobie talerz z jedzeniem. Giennadij materializuje się po chwili z butelką wódki. To sprawdzony sposób na wszystkie problemy, tylko że mam już dosyć alkoholu na następne dziesięciolecie. Wypijam za to kubek obrzydliwej, ale przynajmniej gorącej herbaty. Martin podstawia swój kieliszek. Pochyla się, szepcze mi coś do ucha. Nie słyszę co. Pachnie solą, chociaż

nie kąpał się w morzu.

Gapię się w ciemność za oknem. W jadalni panuje hałas. Przez to nie słyszę silników samochodów wjeżdżających na plac apelowy. Ale widzę światła, kiedy wylaniają się zza zakrętu. Dwa samochody. Jest za ciemno, żeby dostrzec ich markę albo przynajmniej kolor. Podjeżdżają na pełnym gazie i hamują. Wysiada z nich kilku mężczyzn w mundurach. Dwóch podchodzi do baraku, drzwi jadalni się otwierają. Zerkam za okno. Pozostali czekają na zewnątrz.

Imprezowicze ich nie dostrzegają, w każdym razie nie od razu. Tylko Giennadij zrywa się z krzesła i podchodzi. W gwarze nie słyszę, o czym rozmawiają, a gdybym nawet słyszała, nie zrozumiałabym ani słowa. Mundurowi co chwilę patrzą na zebranych. Czuję się nieswojo. Na wszelki wypadek wpycham w siebie jeszcze jedną kanapkę. To kolejna reguła, którą stosuję, chyba już numer piętnaście: jedz, ile możesz, zwłaszcza gdy dzieje się coś dziwnego, bo nie wiadomo, kiedy będzie następny posiłek. Przez to nie zauważam, jak do jadalni wchodzi Walentina. Dostrzegam ją, gdy jest tuż obok.

– Pani doktor, z samochodem nie będzie problemu. – Podnosi dłoń i pokazuje mi kluczyki. – Tylko że teraz nie możemy wyjechać. Jest śledztwo w sprawie śmierci profesora Rudenki. Muszą najpierw wszystkich przesłuchać. Jeszcze trochę tu posiedzimy.

No i co teraz?

Czuję na plecach strużkę zimnego potu. To duża konferencja dla kilkudziesięciu uczestników. Z przesłuchiwanymi zazwyczaj rozmawia się pojedynczo. Nawet jeśli oznacza to tylko po piętnaście minut na osobę (bardziej prawdopodobne wydaje mi się pół godziny), wszystko potrwa kilka dni. Dostatecznie dużo czasu, żeby dokończyć grę i zabić mnie w jakiś wyrafinowany sposób inspirowany mitem o złotym runie.

Może zostanę przebita miedzianym ostrzem? W starożytnym micie są ptaki o piórach z miedzi, przebijały nimi Argonautów. W wykopaliskach archeologicznych na pewno znajdzie się coś, co mogłoby te pióra imitować. A może skończę zgnieciona? Jak omal nie została zgnieciona Argo, kiedy przepływała pomiędzy ruchomymi skałami Symplegadami. To na pewno też dałoby się zorganizować. Albo porąbią mnie na części. Tak zrobiła Medea ze swoim młodszym bratem Apsyrtosem, kiedy już po zdobyciu runa uciekała z Argonautami z Kolchidy. Potem rozrzuciła szczątki po morzu, żeby ojciec musiał je pozbierać i nie zdołał dogonić uciekinierów. Porąbanie jest technicznie chyba najłatwiejsze, chociaż potem trzeba dużo sprzątać.

W micie o Argonautach wspomniano jeszcze wiele innych rodzajów śmierci, do wyboru, ale teraz co innego zaprzęta mi głowę. Reguła numer dziewięć: żadnych kontaktów z policją. Za chwilę ją złamię i nic nie mogę na to poradzić. W tej sytuacji najlepiej chyba będzie zastosować regułę numer pięć: nie wychylać się przed szereg. Dać się przesłuchać jak wszyscy i powiedzieć, że nic nie wiem...

Nie, kurczę, tak się nie da! Muszę się wychylić przed szereg. I to bardzo.

Chwytam Walentinę za łokieć i odciągam na bok. Kątem oka widzę, że Giennadij już skończył rozmawiać z policjantami. To się dobrze składa.

– Chodź, musisz coś dla mnie przetłumaczyć – mówię i dziewczyna posłusznie podchodzi za mną do oficerów przy drzwiach.

– Jestem córką profesora Rudenki.

Słyszę, że powtarza to samo po rosyjsku. W każdym razie mam taką nadzieję. Na wszelki wypadek wytrzeszczam oczy, by zobaczyli, że wyglądam podobnie.

– To właśnie mojego ojca tak bestialsko torturowano i prawie zamordowano. Oficerowie kiwają głowami, widzę nawet współczucie na ich twarzach. Czyli nie wiedzą jeszcze, że Rudenko nie żyje.

Dobra, dalej!

– Chciałabym jak najszybciej odwiedzić ojca w szpitalu. Nie wiem, ile czasu mu jeszcze pozostało...

Pozwalam mojemu głosowi załamać się na końcu zdania. Walentyna nie



oddaje tego w tłumaczeniu, ale chyba nie ma potrzeby. Oficerowie znowu kiwają głowami.

– Ta pani obiecała zawieźć mnie do szpitala. To studentka uniwersytetu moskiewskiego, Walentyna... – za cholere nie mogę sobie przypomnieć jej nazwiska, jednak dziewczyna sama je wstawia na końcu zdania i dodaje też Michaiła. Pewnie, wygodniej będzie mieć kierowcę.

Jeden z policjantów zapewnia, że nic nie stoi na przeszkodzie. Postarają się mnie jak najszybciej przesłuchać, co na pewno nie potrwa długo – godzinę, góra dwie. Drugi składa wyrazy współczucia. Są uprzedzająco grzeczni.

Cholera jasna! Nie o to mi chodziło, chciałam wyjechać bez przesłuchania. Wykrzywiam twarz w dziękczynnym uśmiechu i wracam na miejsce obok Martina. Unikam wzroku Walentyny. Staram się rozluźnić napięte mięśnie karku. Przesłuchanie to przecież nic takiego. Zapytają, co wiem, a ja odpowiem, że nic. Mogę spokojnie nakłamać, że przyjechałam tu spotkać się z ojcem, którego nigdy nie widziałam. Kto mnie sprawdzi? Spiszą zeznanie potwierdzające zeznania wszystkich obecnych i tyle. Nikt nic nie wiedział, nie słyszał ani niczego nie zauważył.

Martin pyta, dlaczego jestem taka spięta, ale po chwili sam sobie odpowiada, że to pewnie z powodu śmierci Rudenki. Nie prostuję, wdycham tylko powietrze, zatrzymuję je w płucach na kilka sekund i wypuszczam. Wdech, wydech, wdech, wydech. To nic takiego, zwyczajna rozmowa. Na niczym mnie nie przyłapią.

Chyba że poproszą, bym opróżniła plecak.

Cholera, przez to wszystko zapomniałam o złotej plakietce! Tkwi w bocznej kieszeni mojego plecaka, który stoi na podłodze przy moim krześle. Za późno, bym mogła ukryć ją gdzieś indziej!

Spokojnie, Simona, spokojnie. Uspokój się, do cholery! Nikt się nie zorientował, że plakietki brakuje, nie zgłoszono kradzieży. Gdyby było inaczej, już bym wiedziała, plotki w tym miejscu łamią prawa fizyki i rozchodzą się szybciej niż fale świetlne. Nikt pewnie długo jeszcze niczego nie zauważy, nie teraz, kiedy wszyscy są podekscytowani sprawą Rudenki, przyjazdem policji i składaniem zeznań przed ludźmi w mundurach.

Wycieram spocone ręce o džinsy Petrosa i dopiero teraz zauważam, że Sabina i Marsha siedzą tuż przy drzwiach. Na pewno słyszały moją rozmowę z policjantami. Trudno, nie powiedziałam niczego, czego i tak nie wiedziały.

Nie, jednak nie trudno. Obie wstają i podchodzą do oficerów, a Marsha zaczyna opowiadać im coś po rosyjsku. Mogę się domyślić co, bo Sabina dorzuca w języku, który znam: „powiedz im jeszcze, że nasz samolot odlatuje o świcie i że mamy przesiadkę”, „to ważne spotkanie” i „uniwersytet nie zwróci nam za bilety, jeśli się spóźnimy”.

Chętnych do wymknięcia się bez przesłuchania albo przynajmniej do

przesłuchania bez kolejki najwyraźniej jest więcej. Mundurowy uśmiecha się i pokazuje na mnie palcem. Marsha podsuwa mu pod nos zegarek. Dyskusja staje się coraz głośniejsza, słychać ich już w całej jadalni. Coraz więcej osób podnosi się z krzeseł i otacza policjantów. Najwyraźniej niecierpiące zwłoki zajęcia zmuszają ich do jak najszybszego wyjazdu. Najgłośniej krzyczy Maximilian Weber. Być może tłumaczy, że niedługo umrze, więc musi się pośpieszyć.

Po chwili siedzą już tylko miejscowi. Widać mają większy respekt przed lokalną władzą niż goście z zagranicy. Jakaś studentka roznosi kubki z kawą. Zbożową. Nawet gdybym nie chciała jak najszybciej rozwikłać zagadki Rudenki i gdybym nie obawiała się, że ktoś przygotował na mnie pułapkę, powinnam się stąd wydostać, zanim umrę z braku kofeiny.

Sabina wrywa się z tłumu i ciężko siada na stołku obok mnie. Podnosi mój kubek i wypija napój do dna. Nie szkodzi, i tak nie tknęłabym tego świństwa.

– Można oszaleć – mówi. – Oni naprawdę nie rozumieją, że człowiek się spieszy.

Nie mam ochoty na pogawędkę. Odwracam się do niej bokiem, ale i tak nic to nie daje.

– Będziemy tu siedzieć do śmierci. – Sięga po mój talerz z kanapką. – Marsha jeszcze spróbuje ich przekonać, żeby nas puścili jako pierwsze, ale marnie to widzę.

Patrzy na mnie i chyba dopiero teraz uświadamia sobie, kim jestem.

– To znaczy, oczywiście, ciebie powinni puścić pierwszą – dodaje z pełnymi ustami. – Bezwzględnie. Nie możesz czekać, jeśli masz odwiedzić ojca w szpitalu. Ale reszta... Wszystkim nagle zaczęło się tak strasznie spieszyć? – Wskazuje podbródkiem tłumek wokół policjantów i przełyka resztki kanapki. Wyciera palce w chusteczkę, ta spada jej na podłogę. Martin schyla się, ale porządnicka Sabina pierwsza nurkuje pod stół.

– Simona, coś ci chyba wypadło – mówi stłumionym głosem.

Przez jedną chwilę, tylko jedną, za to długą jak tysiąclecie, myślę, że to złota plakietka. Ale Sabina wynurza się spod stołu z kartką.

– To twoje? – Rozkłada papier.

Tak, moje. Kserokopia Rudenki ze zdjęciem byków. Wyciągam po nią rękę, ale Sabina trzyma ją w dłoni i spogląda na mnie z zaciekawieniem.

– No popatrz, wszyscy mówią, że z tobą nie da się pogadać na żaden inny temat, tylko o złotej biżuterii, a ty masz jednak szerokie zainteresowania. Coś ci powiem. – Pochyla się, jakby chciała mi zdradzić sekret i przypuszczała, że naprawdę chce go usłyszeć. – Mnie już od lat chodzi po głowie taki projekt: porównanie anatomii starożytnych zwierząt, to znaczy szkieletów i przedstawień. Chciałabym wziąć do niego właśnie te byki z Hattusas. Tylko teraz w Turcji strasznie ciężko jest zdobyć pozwolenie na projekty związane z muzeami.

Składałam już chyba ze trzy prośby i nic. W Ankarze boją się otwierać te cholerne witryny, mówię ci. Zupełnie, jakbym miała im ukraść te byki. Bez sensu, nie uważasz? Nie mogę przecież badać byków zamkniętych na trzy spusty w szklanej gablocie.

Kradzież takich wielkich byków, do tego z gliny, to rzeczywiście bez sensu, ale z trzema spustami na pewno przesadza. W muzealnych szklanych gablotach zazwyczaj jest tylko jeden zamek. Oczywiście mogą być dodatkowe zabezpieczenia, fotokomórki albo coś podobnego. No i na pewno kamery...

Takie myśli automatycznie przebiegają mi przez głowę, chociaż wcale tego nie chcę. Nagle Martin uderza się otwartą dłonią w czoło.

– No jasne, Ankara! Od razu wiedziałem, że musiałem je kiedyś widzieć. Byłem tam ostatnio...

Nie słucham go. Odwracam się do Sabiny.

– Te byki są w Ankarze?

– No, w Muzeum Cywilizacji Anatolijskich. Niestety na ekspozycji. Gdyby były w magazynie, łatwiej dostałabym pozwolenie.

– Jesteś pewna? – dopytuję, a ona odsuwa się i mierzy mnie wzrokiem.

– Oczywiście. Już ci mówiłam, od lat staram się o pozwolenie. Myślisz, że nie wiem?

Nie słucham dłużej, tylko wyrywam kartkę z jej dłoni i wstaję. Składam starannie papier i chowam go, tym razem nie do kieszeni džinsów, tylko do plecaka. Podchodzę do tłumu otaczającego policjantów i przepycham się aż do drzwi. Martin woła coś do mnie. Kątem oka widzę, jak zrywa się z krzesła i idzie za mną.

Szarpię jednego z mundurowych za rękaw.

– Naprawdę muszę jechać do szpitala. Jak najszybciej – mówię wolno i wyraźnie, po angielsku, ale oni zostali już wprowadzeni w temat i może nawet rozumieją. – Mój ojciec tam umiera, profesor Rudenko. Może już nigdy go nie zobaczę.

Mundurowy zdejmuję moją dłoń ze swojego przedramienia i zwraca się do kolegi, a ten kiwa głową. Odzywa się całkiem niezłą, tylko trochę zbyt miękką angielszczyzną.

– Doktor *Brienner*, to my zaprosimy panią jako pierwszą.

Zaciskam palce na paskach plecaka. To na pewno rutynowe przesłuchanie. Nie mam powodu myśleć inaczej. Naprawdę, nie mam żadnego powodu. Kilka minut i będzie po wszystkim. A jednak mięśnie karku momentalnie mi sztywnieją. Każdy z odrobiną wprawy w przesłuchiwanie zaraz odczyta mowę mojego ciała. Za późno na numer z nieprzespaną nocą. Co prawda już po północy, a ja jestem cholernie zmęczona, ale nie aż tak, by całkiem się rozluźnić. Czas więc zastosować coś innego.

Podnoszę głowę i bez mrugania wpatruję się w lampę. Zazwyczaj potrzebuję co najmniej pół minuty, ale pod sufitem wisi ruska jarzeniówka, więc po dwudziestu sekundach z moich oczu płyną strumienie łez. Trę powieki, żeby bardziej spuchły. Kiedy płacę, mój nos od razu robi się czerwony, ale dla pewności jeszcze pocieram koniuszek. Garbię się, wyciągam z plecaka paczkę chusteczek i mierzwię włosy. Nie mam lustra, ale wiem, jak wyglądam: ucieleśnienie zmartwionej córki, która nawet nie miała okazji dobrze poznać swojego ojca. Ach, jakie to smutne! W samą porę, bo mundurowy otwiera drzwi jadalni i zaprasza mnie na zewnątrz. Martin też wychodzi. Pokazuje mundurowemu gestem, że na papierosa, chociaż wiem nie pali.

Temperatura spadła jeszcze bardziej i trawa pod latarnią skrzy się od szronu, ale jestem za bardzo skoncentrowana na mojej roli, żeby czuć zimno. I za bardzo przestraszona, bo idziemy prosto do baraku z witryną pełną złota.

Tak jak wczoraj, lampa pod sufitem nie działa. Ta, którą znalazł Martin, stoi teraz na stole przykrytym zielonym suknem. Policjanci siedzą tyłem do gabloty, a przesłuchiwany musi na nią patrzeć. Mam nadzieję, że to przypadkowe ustawienie. Przesuwam po niej obojętnym spojrzeniem, nie mogę omijać wzrokiem, to wypadnie nienaturalnie. Potem dłuższą chwilę wpatruję się w żarówkę lampy na blacie i znowu zaczynam płakać. Łzy lecą mi po policzkach, kiedy siadam na twardym stołku naprzeciwko dwóch facetów w mundurach. Jeden, blondyn, jest drobnej budowy, pewnie niewiele wyższy ode mnie, za to drugi przypomina łysego niedźwiedzia. Wyglądają jak postaci z kreskówek, które oglądałam w dzieciństwie.

Patrzę prosto przed siebie i znów trę oczy. Przypominam sobie, jak Konstantinos zrobił mnie w to całe złote runo. Błąd! Zamiast płakać, zaciskam ze złością szczęki. No to próbuję inaczej, skupiam się na podróży, podczas której miały być luksusy, a tymczasem musiałam tułać się autobusem, helikopterem i samochodem po bezdrożach, do tego w ciuchach Petrosa, a na dodatek mnie przesłuchują. Pomaga, łzy znowu lecą ciurkiem. Mówię „przepraszam” i wyciągam z plecaka ostatnią chusteczkę. Otwarty plecak upuszczam na podłogę. Staram się sprawiać wrażenie, że nie mam nic do ukrycia.

Łysy niedźwiedź zagląda do notesu, a potem zadaje pierwsze pytanie. Jego angielski jest płynny i gramatyczny.

Imię. Nazwisko. Adres, numer paszportu i takie tam. Skąd przyjechałam. W jakim celu (a w jakim niby innym celu można przyjechać na takie zadupie?). W jaki sposób dowiedziałam się o konferencji (nawet nie muszę tu kłamać, bo to nic dziwnego, że dowiedziałam się od profesora Jakiegoś tam). Potem następuje jeszcze milion pytań o to, kiedy przyjechałam, co robiłam przedwczoraj, wczoraj i dzisiaj. Notujący odpowiedzi policjant odkłada wreszcie długopis, a ja prostuję plecy i zerkam na chwilę na ciemny zarys gabloty.

– Czy to prawda, że dzisiaj po raz pierwszy spotkała pani Johna Rudenkę?

Nie wiem, czy lepiej potwierdzić czy zaprzeczyć. Zastanawiam się, a przez ten czas udaję, że muszę opanować szloch. Tak naprawdę muszę opanować chęć spojrzenia znów na gablotę.

– Nie znałam ojca – mówię w końcu. – Matka wychowywała mnie samotnie. O dziwo, to wystarcza.

– To pani odkryła Rudenkę w jego... – Policjant waha się, zanim użyje słowa „chata”.

Znowu szlocham.

– Po prostu chciałam go poznać. Już mówiłam, nigdy wcześniej go nie widziałam. Specjalnie po to zgłosiłam się na tę konferencję. Miałam nadzieję... – zawieszam głos i ocieram oczy, a potem jeszcze wysmarkuję nos i mnę w dłoni zużytą chusteczkę. Patrzę na policjantów, na podłogę, na lampkę i blat stołu, wszędzie, byle tylko nie na gablotę.

Blondyn i łysy niedźwiedź obserwują to przedstawienie, a na ich twarzach widnieje nawet coś w rodzaju współczucia. Czyli nieźle mi idzie.

– Czy znała pani niejakiego Petrosa... – Tu pada nazwisko, którego dotychczas nie słyszałam, bo nigdy mi się nie przedstawił.

Z zaskoczenia wypadam na chwilę z roli i przestaję szlochać. Przytakuję, bo i tak na pewno już się dowiedzieli.

– Co pani wie o jego zaginięciu?

Że załatwił go ten, kto wymyślił sobie grę w Argonautów, a dokładniej facet o nazwisku Woronow, którego nigdy nie widziałam na oczy i którego tu nie ma.

– Nic.

– To był pani przyjaciel.

Cholera jasna! Poszła plotka i teraz muszę się tłumaczyć. Płaczę się, mówię, że tylko znajomy, i w dodatku od niedawna.

– I mimo krótkiej znajomości przyjechał z panią na konferencję?

– Interesowały go te rejony – wymyślam na poczekaniu i znów sięgam po chusteczkę.

Łysy zagląda do notatek, po czym podnosi głowę i przypatruje mi się uważnie.

– Mam tu inne zeznania, według których pani przyjaciel zajmował się archeologią basenu Morza Śródziemnego, a nie stepów.

No do diabła, wiedzą też, jaki noszę rozmiar stanika? Zaciskam zęby.

– Dobrze, powiem wam prawdę. To był mój kochanek. Przyjechał tu ze mną, bo w domu nie mogliśmy swobodnie... – zawieszam głos. Niech sobie wyobrażą, czego nie mogliśmy.

– Przecież nie jest pani mężatką.

– Petros ma żonę.

Jeśli w notatkach widnieje też, że był gejem, to jestem w czarnej dupie. Ale o tym chyba nie wiedzą, bo obaj tylko wzruszają lekko ramionami. Tak, zdradzanie żony mogą zrozumieć.

– W Czelabińsku spędziliśmy razem noc (a co, może nie?). Tego dnia, kiedy jechaliśmy do Arkaim, pokłóciliśmy się, dlatego nie siedzieliśmy obok siebie w autobusie (o czym mogą poświadczyć inni). Petros wyszedł do lasu i zaginął. Nie wiem, co się z nim stało.

Policjant pochyła się do blondyna i coś szepcze. Na wszelki wypadek pociągam nosem i obserwuję refleksy światła na jego pozbawionej włosów czaszce. Wreszcie zamyka notes.

– Bardzo dziękujemy, doktor *Brienner*.

Kiedy wstaję ze stołka, mam lepszy widok na gablotę. Ciekawe, ile dokładnie zostało tam tych złotych plaketek...

– Jeszcze tylko pobierzemy od pani odciski palców i to już będzie wszystko.

– Słyszę, kiedy odwracam się już do wyjścia.

Co?

Co?!

Czy ja się, do cholery, przesłyszałam?!

Odciski palców?!

Param się złodziejstwem już wiele lat i nigdy, przenigdy nie dopuściłam do sytuacji, w której jakiegokolwiek służby w jakimkolwiek kraju zdobyłyby moje odciski palców.

Nigdy!

Tak, wiem, że to Rosja. Jesteśmy przy granicy z Kazachstanem, krótko mówiąc, na zadupiu i nikt mnie o nic podejrzewa. A odciski palców są im pewnie potrzebne tylko do porównania z tymi znalezionymi w chacie Rudenki. Albo nawet nie, po prostu muszą wypełnić wszystkie rubryki w odpowiednim formularzu. Przecież nikt nie posądza grupy międzynarodowych naukowców o przynależność do organizacji przestępczej. To tylko *pro forma*. Ja to wszystko naprawdę wiem. Ale co, jeśli jakiś nadgorliwy służbista wrzuci te odciski do ich krajowego systemu, który będzie miał połączenie z systemem międzynarodowym? A jeśli niedokładnie wytarłam ślady z witryny podczas kradzieży plakietki? Nie mogę do tego dopuścić. Nie mogę pozwolić, by pobrali ode mnie te pieprzone odciski!

Łysy policjant wstaje od stołu, wyjmując coś z dużej ortalionowej torby i po chwili kładzie na blacie poduszeczkę z tuszem i kartę z miejscem na odcisk każdego palca.

– Musi pani przycisnąć opuszki do tej poduszeczkę, mocno, żeby dokładnie pokryły się tuszem, a potem odcisnąć na tej karcie. Proste, prawda?

Czas na powrót do roli zrozpaczonej córki.

– Czy dzięki temu odkryjecie tego, kto torturował... mojego ojca? – Połykam łzy i głos mi drży.

Policjant potwierdza.

– Ro... rozumiem. Czy myślą panowie, że uda się go złapać?

– Mamy taką nadzieję, doktor *Brienner*.

Nie potrzebuję więcej, by się rozryczeć. Wystarczy, że wyobrażę sobie moje nazwisko w międzynarodowym systemie AFIS, obok ślicznego kompletu dziesięciu odcisków. Ocieram łzy całkiem mokrą chusteczką, wyciągam drżącą rękę i przyciskam palce do poduszki z tuszem, a potem do kartki z papierem. Nie mogę powstrzymać szlochu – przecież mój ojciec jest o krok od śmierci! Ktoś go torturował w okrutny sposób. I to ojca, którego nie znałam. Nic dziwnego, że komplet odcisków jest do niczego. Wszystko się rozmazało.

– Proszę się uspokoić – mówi policjant. – Musi pani trzymać rękę nieruchomo podczas odciskania.

No przecież się staram, tylko mi nie wychodzi. Szlocham coraz głośniej. Blondyn szepcze coś do łysego niedźwiedzia, a ja zaciskam mocno palce na wilgotnym strzępku ligniny i gorączkowo myślę, jak z tego wybrnąć.

– Przyniosę pani coś do wytarcia nosa – oferuje łysy. Wstaje i wychodzi

z baraku.

Drugi policjant przygotowuje następny zestaw do pobierania odcisków. Chyba jednak nie mam szans... Słyszę pukanie w szybę. Blondyn podnosi głowę. Odwracam się i za oknem miga mi czyjaś ciemna sylwetka. Po chwili drzwi się otwierają i staje w nich Martin.

– Simona, twój ojciec... Dzwonili ze szpitala.

Nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Jest w stanie krytycznym. Chyba zostało mu bardzo mało czasu.

Powtarza to samo po rosyjsku, a w każdym razie tak mi się wydaje. Nadal nic nie rozumiem, ale reguła numer dwanaście, którą niedawno stworzyłam, głosi, że trzeba korzystać z każdej okazji. Jakakolwiek by była.

– Panie oficerze, to moja ostatnia szansa, by zobaczyć ojca. – Siąkam nosem.

– Już chwileczkę. – Blondyn przekłada kartki. – Zdejmę pani odciski i jest pani wolna.

Wtedy włącza się Martin.

– Pana kolega, który przed chwilą stąd wyszedł, powiedział, że doktor Brenner ma iść natychmiast.

– Mój kolega tak powiedział?

Martin kiwa głową. Z trudem powstrzymuję się, żeby nie zrobić tego samego.

– Niemożliwe. Proszę usiąść i poczekać. Zaraz wracam. – Policjant wstaje zza stołu i wychodzi.

– Szybko! – Martin ciągnie mnie za rękę.

Wyrywam się i zerkam w stronę gabloty ze złotem, chociaż wiem, że nie ma na to czasu.

– O co chodzi?

– Nie teraz, później ci wytłumaczę. – Popycha mnie w stronę drzwi. – Chodź szybko, zanim on wróci.

Zaciskam mocniej dłoń na pasku plecaka. Martin podbiega do drzwi, uchyla je i wygląda na zewnątrz. Najwyraźniej wszystko jest po jego myśli, bo otwiera szeroko. Z drugiej strony baraku słyszę jakieś głosy. Ktoś biegnie w tę stronę. Martin ciągnie mnie i chowamy się za rogiem.

– Co się dzieje, do cholery?

Wychyla się, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie widział, a potem szepcze:

– Podobno ci się spieszyło.

– No tak, ale do diabła...

– Widziałem was przez okno i odniosłem wrażenie, że nie masz ochoty na pobieranie odcisków palców.

Nic nie mówię, zaciskam mocno usta, by nie zapytać go, ile naprawdę o mnie wie.



– Wy tłumaczyłem sprawę twojej studentce... – Martin znowu się wychyla i lustruje plac apelowy.

– Walentinie?

– I jej chłopakowi. Trochę mi pomogli.

Wytrzeszczam na niego oczy i Martin zaczyna się śmiać.

– No, ona poszła po samochód, a on walnął tego wielkiego w głowę, kiedy go zagadałem. Teraz pewnie już go znaleźli. Musimy stąd zniknąć. – Ciągnie mnie za rękę, ale ja szarpie się do tyłu.

– Jezus, chyba cię popieprzyło! Walnąłeś w głowę policjanta?

– Nie ja, tylko Michaił. Ja bym chyba nie dał rady, miał za twarde łeb i trzeba było poprawić. Ja jestem tylko antykwariuszem, ale mówię ci, ten chłopak wyglądał, jakby to robił nie po raz pierwszy.

– Kurwa, Martin...

– Już są. Chodź szybko.

Rozglądam się i dopiero po chwili widzę samochód podjeżdżający pod barak na wyłączonych światłach. Silnik pracuje cicho. Za kierownicą siedzi Michaił, obok niego Walentyna. Martin otwiera tylne drzwi.

– Wskakuj!

Wbijam paznokcie we wnętrze dłoni. Powtarzam sobie w myślach regułę numer jeden: nie ufaj nikomu. Jeśli wsiądę do tego samochodu, złamię ją. Będę musiała zaufać nie jednej, ale trzem osobom. Za sobą słyszę tupot kroków, nawoływania i dźwięk zapalanych silników. Na bitej drodze wzdłuż baraków przesuwa się światła samochodu, potem kolejnego.

Martin patrzy na mnie.

– Jedziesz?

A mam wyjście? Wsuwam się obok niego na tylne siedzenie i zatraskuję drzwi. Walentyna odwraca się do mnie. W ciemności widzę tylko białka jej oczu i krzyżyk na łańcuszku na szyi.

– To dokąd jedziemy najpierw, pani doktor?

II

**ZĘBY SMOKA**

Zasada jest taka: im bardziej na wschód Turcji, tym gorsze autobusy. Nie miejskie, te są wszędzie kiepskie. I nie *dolmuş*e, małe, teoretycznie dziewięćosobowe busiki (które w praktyce mogą załadować do dwudziestu pasażerów z siatami z targu), tylko duże autobusy dalekobieżne. Na zachodzie, wzdłuż wybrzeża kursują luksusowe giganty, z tapicerką świeżo odebraną z pralni, fotelami rozkładającymi się tak, że osoba mojego wzrostu może spać w pozycji prawie poziomej, i stewardami, którzy odgadują (a przynajmniej próbują) każde życzenie pasażerów. Kiedyś dostałam nawet lody. Na trasie ze Stambułu do Ankary jeżdżą starsze modele z zabrudzonymi obiciami. A jeszcze dalej na wschód takie z zapadniętymi siedzeniami, co drugie się nie rozkłada i muszę siedzieć sztywno, żeby broń Boże nie dotknąć oparcia włosami.

Wszystkie autobusy na długich trasach: stare i nowe, czyste i brudne, te z wszami w tapicerce i te świeżo prane zatrzymują się co najmniej raz w specjalnych zajazdach. Nasz postój wypada tuż po szóstej, gdzieś w środku anatolijskiego płaskowyżu, czyli niczego. Martin śpi oparty o szybę i nie zbudziłby go nawet atak terrorystyczny, więc ja też nie zamierzam próbować. Otępiła i sztywna dźwigam się z siedzenia, wychodzę na zewnątrz i podziwiam wschód słońca. Kilka minut poświęcam na próbę przywrócenia krążenia krwi w kończynach, a później wzdragam się z zimna i wchodzę do zajazdu. W środku palą się wszystkie lampy, turecki pop gra na cały regulator, a w sklepach można kupić magnes na lodówkę albo ręcznik z wyhaftowanym słowem *Türkiye*. Ustawiam się w kolejce do toalety w szeregu ziewających, drapiących się kobiet. Jest mi zimno. Za moimi plecami staje Walentina i słyszę, jak żuje gumę.

Tak, Walentina. A gdzieś tam obok, w kiblu męskim, jest też Michaił. Przyjechali tu z Arkaim i wszystko wskazuje na to, że zamierzają jechać jeszcze dalej.

– Do Czelabińska – odpowiedziałam wtedy, jeszcze w Arkaim, na jej pytanie. W SUV-ie śmierdziało benzyną i czymś jeszcze. – Musimy się dostać na lotnisko.

Walentina odwróciła się i rzuciła coś do Michaiła. Ten nie musiał nawet przekręcać kluczyka w stacyjce, bo silnik już pracował. Wrzucił bieg i dżip ruszył. Nikt nie próbował nas zatrzymać, nikt się nami nie interesował. Nie wiem, o której wyruszyliśmy, nie spojrzałam na zegarek, ale musiało być już po północy. Jechaliśmy do świtu. Po drodze nic nie jedliśmy, bo żeby coś zjeść, musielibyśmy nazbierać jagód albo upolować wiewiórkę. Zatrzymaliśmy się tylko raz, ale przypomniałam sobie Petrosa i wysikałam się za samochodem. SUV miał złe wyprofilowane kanapy z tyłu, metalowe ramy nie były obite tapicerką.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytałam, kiedy wyjechaliśmy na szosę, a po obu

stronach był tylko las.

– Co?

– Rany boskie, Martin! Przecież podobno zależało ci na dobrych układach z miejscowymi. A ty nie tylko walnąłeś w głowę policjanta...

– Nie ja, to Michaił.

Facet za kierownicą poruszył się, kiedy usłyszał swoje imię. Walentyna nie odzywała się, pewnie jak zwykle podsłuchiwała.

– Nieważne kto go walnął, ważne, że ulotniłeś się bez przesłuchania. Oni też.

– Pokazałam podbródkiem przednie siedzenia, a Martin uśmiechnął się i mnie objął.

– Są dorośli i wiedzą, co robią.

– A ty? – Próbowałam spojrzeć mu w oczy, ale nic nie widziałam, było za ciemno. – Czy ty na pewno wiesz, co robisz?

– Giennadij właśnie mi powiedział, że spadkobiercy wycofali się z negocjacji, może jedno z muzeów znalazło wreszcie kasę. Poza tym nie mogłem zostawić cię samej. – Przytulił mnie mocniej. – Nie po tym, co między nami... Simona, wiem, że wtedy nie chciałaś... Po prostu nie mogę pozwolić, żebyś jechała sama. To może być niebezpieczne.

Nawet nie wie, jak bardzo, pomyślałam wtedy i przełknęłam ślinę.

– A jak będą nas ścigać? Jak wywieszają listy gończe na lotnisku? – zapytałam.

– W Czelabińsku? Widziałaś to lotnisko? – Zaśmiał się głośno. – Poważnie wątpię. A zanim policjanci z takiego zadupia skontaktują się z Moskwą... Zresztą, po co mieliby nas ścigać? Ten facet nie widział, kto go uderzył. Przecież nie ja. Stałem z przodu, gadaliśmy. A ty bardzo chciałaś zobaczyć się z umierającym ojcem, więc Walentyna i Michaił zawieźli cię do szpitala. Było zamieszanie, nie mogłaś dłużej czekać.

– Na pewno sprawdzą w szpitalu.

– Pewnie tak, ale wtedy będziemy już daleko.

Dobra, przyjąłam to za dobrą monetę. Poza tym i tak nie miałam lepszego pomysłu.

Większość drogi drzemałam, a kiedy wybudzałam się co chwila, widziałam białka oczu Martina połyskujące w świetle kontrolki z tablicy rozdzielczej. Najwyraźniej nie spał. W Czelabińsku nie zatrzymaliśmy się w hotelu, bo samolot do Moskwy odlatywał już przed dziewiątą. Walentyna poleciła Michaiłowi zajechać do jakiejś knajpy w mieście i na śniadanie dostaliśmy zupę. Smakowała mi, ale ostatni porządny posiłek jadłam półtorej doby wcześniej, więc zjadłabym nawet, gdyby ugotowano ją na benzynie.

Na lotnisku w Czelabińsku, przed halą odlotów (w środku mogły być kamery), otworzyłam plecak i sprawdziłam, czy złota plakietka tkwi w bocznej

kieszeni. Było za późno, żeby wymyślić sprytny schowek. Przynajmniej nie musiałam martwić się mową ciała, ze zmęczenia nie miałam siły stać. Ale i tak nie było żadnej kontroli. Mogłabym załadować plecak trotylem, też życzyliby przyjemnej podróży.

W Moskwie wylądowaliśmy w południe. Najbliższy samolot do Ankary odlatywał w czwartek, ale były jeszcze bilety do Stambułu. Mieliśmy kilka godzin na porządną posiłek, więc wreszcie się najadłam i wypłam trzy kawy. Ale przysypiałam za każdym razem, kiedy na chwilę zamknęłam oczy. Gdy do odprawy zostało piętnaście minut, powiedziałam, że znowu jestem głodna. Wzięłam od Walentyny kilka rubli (Martin miał tylko euro) i kupiłam wielką kanapkę. Poprosiłam o taką podgrzaną i zapakowaną w kilka warstw folii aluminiowej. Potem, w kiblu, włożyłam w środek kanapki złotą plakietkę. To nie jest najlepsza metoda, ale musiała wystarczyć. Kiedy lecieliśmy z Petrosem na konferencję, nie widziałam żadnych nowoczesnych mikrofalowych aparatów do prześwietlania bagażu, tylko same rentgeny. Strażnicy zachowali czujność i kazali mi pokazać, co to jest, ale wystarczył im widok kanapki parującej po odwinięciu z folii. Nie mieli więc pytań.

Za bilety i jedzenie zapłaciła Walentyna – kartą w kolorze platyny. Obiecałam, że oddam, jak tylko będę mogła skontaktować się z moim bankiem (czytaj: z Konstantinosem). Martin chciał się dołożyć, ale wolałam zaciągnąć dług u niej niż u niego.

W Stambule strajkowała obsługa lotniska krajowego. Najbliższy lot do Ankary miał być w następnym tygodniu albo jeszcze później, w zależności od rozmów z ministerstwem. Autobusy jeździły za to bez przeszkód. Nie miałam siły martwić się wszami. Zasnęłam, gdy tylko kierowca zamknął drzwi.

W toalecie w środku anatolijskiego płaskowyzu, czyli niczego, Walentyna ciamka gumą, zerka w lustro i sprawdza swój makijaż. Nie rozmazał się. Ja rozglądam się dookoła. Jesteśmy same. Pasażerki naszego autobusu już sobie poszły, a nowy jeszcze nie nadjechał. Popycham ją na umywalkę.

– Dlaczego tu ze mną przyjechałaś?

Dziewczyna dławi się, bo guma wpadła jej do gardła. Odsuwam się i pozwalam, żeby pochyliła się nad zlewem i ją wypluła. Czekam, aż przestanie kaszleć.

– No, bo... organizatorzy konferencji kazali mi się panią opiekować, więc pomyślałam...

– Przestań wciskać pierdoły! Dlaczego?

Przez dłuższą chwilę mierzy mnie wzrokiem. Ale ja też milczę. Jestem bardzo dobra w milczeniu.

– Przecież pani wie – odzywa się w końcu.

Tak, ale chcę to usłyszeć od niej.

– Widziała pani moją komórkę, więc wie, że kontaktowałam się z profesorem Konstantinosem Megaloyannisem.

Cholera, umiem kraść zabytki z zamkniętych na pięć zamków magazynów, ale w ogóle nie mam talentu kieszonkowca! Pluję sobie w brodę i dlatego nie słyszę, co mówi dalej. Podnoszę głowę dopiero, kiedy milknie.

– Skąd go znasz?

– Właściwie go nie znam. Zadzwoił do mnie... Dowiedział się od organizatorów konferencji, że przydzielono mnie do opieki nad panią. I poprosił...

– Ponagliam ją ruchem ręki, więc bierze głęboki wdech i wyjaśnia: – Od początku wiedziałam, że ten testament pani ojca, profesora Rudenki to ściema. Profesor Megaloyannis wszystko mi powiedział.

Czuję w ustach gorzki smak. Pochylam się nad zlewem i spluwam, a potem przyglądam się, jak plwocina wraz z wodą niknie w czeluściach rur.

– Miałaś mi pomagać w Arkaim, bo jesteś miejscowa i znasz język – mówię w końcu. – Mówisz też po turecku?

Patrzy na mnie zdziwiona.

– Więc w Turcji raczej na nic się nie przydasz. Dlaczego tu ze mną przyjechałaś?

Tym razem milczy tak długo, że mam ochotę odwrócić się i odejść.

– Pani doktor... Bo ja...

Podnoszę na nią wzrok.

– Chcę tylko, żeby pani wiedziała... To znaczy...

– Nie musisz się spieszyć. Jest dopiero szósta rano. Na pewno uda ci się skończyć tę myśl przed zachodem słońca.

Walentina zaciska szczęki i czerwienieje.

– Tak naprawdę profesor Megaloyannis zapłacił mi tylko za asystowanie pani w Rosji, ale mnie bardzo zależy, żeby zobaczyć, jak pani pracuje. Dlatego tu z panią przyjechałam! Ja też chcę zostać wybitnym archeologiem, chcę się zapisać w historii nauki, dokonać ważnych odkryć...

No cóż, czyż nie chcemy tego wszyscy?

– A skąd masz kasę? – pytam.

– Na bilety? – upewnia się dziewczyna.

– Na bilety, na jedzenie – wyliczam. – I na twoje ciuchy, trochę za drogie jak na studentkę.

– No przecież profesor Megaloyannis...

– Profesor Megaloyannis to skąpiradło. Prędzej sam by tu za mną przyjechał, niż dał ci pieniądze na te ładne buty. Więc skąd?

W łazience zapada cisza. Zerkam w lustro za plecami Walentyny. Mam podkrążone oczy i zmierzwiłone włosy, w ogóle wyglądam na dziesięć lat starszą, niż jestem. Wkurza mnie to. Dziewczyna wyjmuje z torebki paczkę gumy do żucia.

Mam ochotę wyrwać jej ją z ręki i wyrzucić do śmieci. Zaciskam dłonie w pięści.

– Pani doktor, ja... – Walentina znowu milknie, ale ja cierpliwie czekam. –  
W Moskwie życie jest bardzo drogie – mówi, jak by to miało wszystko wyjaśnić.

– Podobno.

– Nawet samo głupie wynajęcie mieszkania...

– Jak kiedyś będę chciała porozmawiać o wysokości moskiewskich czynszów, na pewno dam ci znać. Ale teraz chcę wiedzieć, skąd masz kasę.

Walentina zerka jeszcze raz w lustro i nabiera powietrza w płuca.

– Jestem prostytutką.

Patrzę na nią i nie mogę znaleźć dobrej odpowiedzi. Z trudem udaje mi się przełknąć ślinę. Dziewczyna wzrusza ramionami i z mlaskaniem rozgryza gumę.

– Luksusową. Jestem... nie wiem, jak to się mówi po angielsku...  
utrzymajką?

– Utrzymanką.

– No właśnie. Takiego bogatego biznesmena, a wcześniej jeszcze innego.  
W ten sposób zarabiam na studia. Nie ma w tym nic złego. U nas, żeby studiować na uniwersytecie, potrzeba sporo pieniędzy, a do tego nie można zostać dobrym archeologiem, jak się nie podróżuje i nie zwiedza stanowisk.

Święta prawda.

– W Moskwie dziewczyna łatwo może znaleźć sponsorów, jeśli tylko jest ładna i umie się zakreć. Ten mój jest bardzo miły i bardzo hojny. Dlatego pieniądze to nie problem, naprawdę.

– To Michaił nie jest twoim chłopakiem?

– Michaił to tylko... Taki przyjaciel. – Uśmiecha się.

Chyba jednak więcej niż przyjaciel, skoro łązi za nią jak pies. Ale teraz to nieistotne. Zastanawiam się, czy na pewno powinnam rzucać w nią kamieniem – ja, złodziejka. Walentina nie patrzy na mnie, tylko poprawia bluzkę. Zresztą bardzo ładną, sama bym chętnie taką nosiła. Czekam, aż coś powiem. Ale ja daję jej tylko znak, żeby sobie poszła. A potem długo przyglądam się sobie w lustrze. Nie dostrzegam niczego, co by mi się spodobało.

Zdążamy dosłownie w ostatniej chwili. Przeze mnie.

Już mnie trochę znacie i wiecie, że potrafię skupić się na pracy. Jak jest robota, to jest robota, nie zabawa. Jak szukamy złotego runa, to nie spędzamy całego popołudnia w hotelowym łóżku. Ale naprawdę jestem zmęczona. Nie przespałam dwóch ostatnich nocy, wcześniej cały dzień podróżowałam, a jeszcze wcześniej omal nie zginęłam w katastrofie helikoptera, tłukłam się godzinami po wertepach i poznałam mojego dogorywającego ojca. Na moim miejscu każdy byłby zmęczony.

Właściwie to wchodzę do pokoju hotelowego w Ankarze tylko po to, żeby zostawić w sejfie paszporty: oba moje i Martina. Oraz papiery Rudenki, nie chce mi się nosić grubego pliku kartek po mieście. Na łóżku siadam dlatego, że nie lubię grzebać w plecaku na stojąco. I tylko na chwilę, naprawdę na momencik kładę głowę na poduszce. Wyrwam się ze snu, kiedy za oknem krzyczy muezin. Serce mi wali, skóra lepi się od potu. Zanim potrafię przypomnieć sobie, gdzie jestem i po co, ktoś puka do drzwi. Próbuję przełknąć ślinę, ale gardło mam suche. Pukanie się powtarza, a ja wreszcie chrząkam.

– Tak?

– Pani doktor. – Rozpoznaję niewyraźny głos Walentyny. – Za godzinę zamykają muzeum.

Jezu! Trę dłońmi oczy i twarz. Rozglądam się wokół. Popołudniowe słońce wpada przez rozsunięte zasłony prosto na śpiącego obok Martina, który leży twarzą do ściany. Nie pamiętam, czy cokolwiek robiliśmy – jeśli tak, to chyba przez sen.

– Zaraz – mamrocze. – Spotkamy się w hallu za dziesięć minut.

Podnoszę się i zataczam, bo kręci mi się w głowie. Szarpnię Martina za ramię, mówię, że za dziesięć minut ma być gotowy do wyjścia, i wchodzę pod prysznic. Potem już jest lepiej, chociaż nie mam wyboru, muszę włożyć mocno nieświeże ciuchy Petrosa.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że zapomniałam o złotej plakietce, ciągle tkwiącej we wnętrzu kanapki, której teraz nie zjadłabym już nawet w obliczu śmierci głodowej. Nadal mam je – plakietkę i kanapkę – w bocznej kieszeni podręcznego plecaka, objającego mi się o biodro przy każdym kroku. Przecież nie będę wycierać złotej blaszki z majonezu w taksówce!

W Ankarze wieje wiatr, ale rozpinam polar Petrosa, bo wrześnie słońce jest ostre. Ze zmęczenia potykam się o własne nogi. Martin też co chwila trze oczy i odzywa się monosylabami. Chyba jest trochę obrażony, że nie doceniam jego uczucia, które kazało mu jechać za mną do centrum Anatolii. Jak już rozwiążę zagadkę Rudenki, odnajdę złote runo, wyśpię się i porządnie wykąpię, to znajdę sposób, żeby przestał się dąsać. Na przykład, kiedy znajdziemy się sami w jakimś



pomieszczeniu z łóżkiem i zamkiem w drzwiach.

Zostało zaledwie pół godziny do zamknięcia i na dziedzińcu muzeum nikogo nie ma. Na ulicy piszczą hamulce i wyją klaksony, ale za murem panuje taka cisza, że słyszę skrobanie uschniętych liści o kamienne płyty. Kobieta w kasie pokazuje palcem godziny wypisane na tabliczce obok. Mimo to nalegam, by sprzedała nam bilety. W środku jest tylko para Japończyków, on fotografuje jak leci mimo wielkiego piktogramu z przekreślonym aparatem na każdej ścianie. Według Martina to Koreańczycy.

Przechodzę szybkim krokiem przez sale wystawowe. Ściany pomalowane na kolor ochry, co pewnie ma się kojarzyć z ziemią na wykopaliskach. Małe okna wpuszczają niewiele światła, widać tylko te zabytki, nad którymi zamontowano reflektory. Walentina maszeruje tuż za mną. Michaił idzie za nią jak cień i – jak to cienie mają w zwyczaju – nic nie mówi. Martin wlecze się z tyłu. Irytuje mnie ten orszak, przywykłam działać w pojedynkę.

Gabloty z Hattusas wyglądają jak wszystkie gabloty we wszystkich muzeach świata: duża szyba, postumenty, półeczki i ponumerowane podpisy pod zabytkami w dwóch językach. Bez trudu znajduję gliniane naczynia w kształcie byków ze zdjęcia Rudenki – to największe naczynia w gablocie i pewnie w całym muzeum. Przyglądam się im i nie mam absolutnie żadnego pomysłu, w jaki sposób mogą przyczynić się do rozwiązania zagadki. Muszą coś znaczyć. Tak chyba uważał Rudenko, skoro podpisał je słowami „zęby smoka”. Tylko co?

– A dlaczego właściwie byki? – odzywa się nagle Walentina, wrywając mnie z zamyślenia. Nigdy wcześniej o nic nie pytała, zdążyłam się przyzwyczaić, że jej zainteresowania naukowe ograniczają się do wyboru ubrań i płacenia za bilety. – Bo tu jest wiele innych zwierząt.

Wzruszam ramionami. Nie lubię przyznawać się przed studentkami, że czegoś nie wiem. Ale to prawda, w gablotach dookoła jest mnóstwo innych zwierząt: jelenie, kozy, coś, co wygląda jak świnia (może być też niedźwiedziem), i kilka lwów. Walentina fotografuje witryny komórką, a potem strzela sobie selfie ze srebrnym berłem zwieńczonym figurką jelenia.

Rudenko jednak napisał „zęby smoka” na zdjęciach byków, bo to byki, a nie świnię, lwy i niedźwiedzie, pojawiają się w micie o złotym runie. Sięgam do kieszeni džinsów po złożoną kilkakrotnie kartkę. Oprócz podkreślonego na czerwono dopisku na marginesach widnieje jeszcze kilka zdań po angielsku – opis zabytku, zapewne skopiowany z tej samej książki, z której pochodzi ilustracja. Czytam go jeszcze raz. „Naczynia w kształcie figur byków, Boğazköy (starożytne Hattusas), okres wczesnohetycki, tysiąc pięćset do tysiąc sześćset przed naszą erą. Glina, malowana i wygładzana przed wypaleniem. Oczy, uprząż i kopyta zaznaczone reliefem. Wysokość około dziewięćdziesięciu siedmiu centymetrów. Stan zachowania: prawie kompletne, sklezione z fragmentów”.

Zwyczajny opis muzealny. Ani słowa o smoku, zębach i złotym runie.

Wpatruję się w kartkę, ale nic się nie zmienia. Nadal nie rozumiem. Obracam papier w dłoniach i wtedy to widzę. W każdej z liczb jedną cyfrę pociągnięto długopisem. Tak mocno, że przebijają na drugą stronę, a w jednym miejscu papier jest przedziurawiony. Oglądam kartkę pod kątem, ustawiam pod światło. Nie myślę się, zaznaczono trzy cyfry: jeden, sześć i siedem. Za plecami słyszę czyjeś kroki. To kobieta z kasy zmierza w naszą stronę.

– Za piętnaście minut zamykamy – odzywa się po angielsku, a potem tę samą uwagę wygłasza pod adresem pary Japończyków albo Koreańczyków.

Nie ma problemu. Przez piętnaście minut nie takie zagadki rozwiązywałam. Tylko muszę się skupić, a żującą głośno gumę i poprawiającą fryzurę w odbiciu w szybie Walentina, cichy Michał i zamyślony Martin wcale mi tego nie ułatwiają. Kasjerka postukująca w zegarek też nie.

Trzy cyfry. Jeden. Sześć. Siedem.

To może być wszystko. Suma, którą Rudenko jest komuś winien. Połowa wygrywających numerów w lotto. Strona w książce. Nie należy jednak mnożyć bytów bez potrzeby. Skoro Rudenko skierował mnie do tego cholernego muzeum, musiał mieć w tym jakiś cel.

Nie mogę się skoncentrować, bo po głowie chodzi mi piosenka – kilka dziecińczych wersów, które śpiewała moja matka, kiedy uczyła mnie liczyć.

*Jeden byk i byków sześć  
Lody raz chciały zjeść  
Siedem byków i trzy krowy  
Wyruszyły więc na łowy  
Do cukierni wpadły razem  
Dziesięć kulek zjadły gazem.*

Musiła chyba wymyślać te idiotyczne wierszyki, znam ich miliony, ale tylko jeden był o bykach.

Jeden, sześć, siedem.

Jeden byk.

Byków sześć.

Siedem byków.

Przyglądam się bykom w gablocie. Obok przedniego kopyta tego z lewej stoi mała tabliczka z numerem: 218/122. Sześć cyfr. W moim głupim dziecięcym wierszyku też jest ich sześć. Po siedmiu bykach pojawiają się jeszcze trzy krowy i dziesięć kulek lodów.

Tabliczki z numerami znajdują się przy każdym zabytku. Podchodzę do witryny pod przeciwną ścianą. Tu wszystkie liczby w pierwszej części numeru mieszczą się pomiędzy dwieście a trzysta. Kobieta z kasy śledzi mnie wzrokiem,

nie ruszając się z miejsca.

– Za piętnaście minut zamykamy.

Tak, już wiem, dokładnie znam godzinę zamknięcia, nie zapomnę jej do śmierci. Ale nie wyjdę stąd, dopóki nie znajdę zabytku oznaczonego liczbą zaczynającą się od cyfr jeden, sześć i dziewięć. To zresztą nie powinno zabrać wiele czasu – muzeum nie jest duże. Obracam się wokół własnej osi, ignoruję spojrzenie Walentyny i postukiwanie w tarczę zegarka przez bileterkę. Szybkim krokiem wracam do wejścia. W gablocie tuż przy drzwiach zabytki mają numery od stu osiemdziesięciu w górę. Potem przechodzę do sali, którą wcześniej minęłam. Nie rozglądałam się wtedy, bo nie było powodu – nie ma w niej żadnych witryn z zabytkami, za to na wszystkich ścianach na metalowych szynach są zamontowane kamienne płyty z płaskorzeźbami. Tutaj jest jeszcze gorsze oświetlenie. Żeby zobaczyć numer zabytku, muszę za każdym razem pochylić się nad tabliczką z opisem. Pod ścianą po mojej lewej ręce oznaczenia dochodzą do stu dwudziestu. Przechodzę na drugą stronę pomieszczenia – sto siedemdziesiąt siedem, sto siedemdziesiąt pięć, sto siedemdziesiąt...

Kobieta z kasy przychodzi tu za mną.

– Proszę pani, zamykamy za...

– Tak, wiem! – krzyczę, a ona wzdryga się i robi urażoną minę. – Tak, wiem – powtarzam ciszej. – Potrzebuję jeszcze dosłownie minuty. Muszę coś znaleźć.

Kasjerka przyjmuje to do wiadomości, ale nie odchodzi i nie spuszcza ze mnie wzroku. Ciężko się pracuje w tych warunkach.

Przez chwilę wydaje mi się, że numer zaczynający się od sto sześćdziesiąt dziewięć nie istnieje i że kochany tatuś zrobił mi po prostu dowcip, taki żart z za grobu. Skserował stronę z bykami, mocniej zaznaczył kilka cyfr (to zawsze dobrze wygląda, jak tajemnica rodem z Dana Browna), napisał jeszcze na czerwono (żeby nie przegapiła) „zęby smoka”, a potem jeszcze to wycharczał, wiedząc, że czym prędzej polecę do Ankary szukać dalszych wskazówek. Ale później schyliłam się nad płytą przymocowaną nisko, prawie na wysokości moich kolan.

*Jeden byk i byków sześć*

*Lody raz chciały zjeść*

*Siedem byków i trzy krowy*

*Wyruszyły więc na łowy*

*Do cukierni wpadły razem*

*Dziesięć kulek zjadły gazem.*

Jeden, sześć, siedem, pięć, jeden i zero. Dokładnie tak jak na tabliczce przed moim nosem.

Kucam i wodzę palcami po zniszczonej powierzchni kamienia. Kasjerka krzyczy coś po turecku, zapewne chodzi jej o to, że nie wolno dotykać eksponatów. Mam to gdzieś.

Po lewej stronie kamienia wyryto dwóch mężczyzn. Ten z prawej unosi włócznię, ten z lewej wspiera się na swojej w zrelaksowanej pozie, najwyraźniej licząc, że kolega odwali za niego całą robotę. Czyli zabije smoka. Smok wygląda jak wielki wąż o poskręcanej ciele i ogromnym łbie. Nie widzę zębów, bo kamień jest pęknięty na dwie części, a linia przebiega dokładnie przez paszczę. Próbuje przyjrzeć się z boku, ale światło źle ustawionej lampy świeci mi prosto w oczy. Zerkam na podpis. „Ortostat wapienny z dziewiątego wieku przed naszą erą. Proweniencja nieznana. Przedstawienie boga nieba Teshuba i jego syna Sarummy zabijających węża/smoka Illujanke”.

Słyszę za plecami kroki.

– Proszę pani, zamykamy.

Już idę! Nie widać?

Cholera, proweniencja nieznana, co w archeologicznym slangu znaczy, że nie wiadomo, gdzie ta płyta została znaleziona. Pewnie ktoś ją ukradł z jakiegoś stanowiska, a potem spadkobiercy odsprzedali do muzeum. Znam miliony takich przypadków. Dla mnie „proweniencja nieznana” oznacza, że nie mogę pojechać na stanowisko, z którego ta płyta pochodzi. Czyli nadal nie wiem, gdzie jest złote runo. Pochylam się jeszcze niżej, bo kobieta zasłania światło, i dalej czytam podpis pod reliefem: „Jest to jedno z dwóch znanych przedstawień Teshuba i Sarummy jako wojowników. Drugie znajduje się w Yazilikayi”.

W Yazilikayi!

Na pewno nie wiecie też, co to jest Yazilikaya. Spokojnie, też bym nie wiedziała, gdybym nie była archeologiem, więc to naprawdę szczęśliwy zbieg okoliczności, że nim jestem.

Yazilikaya jest, a właściwie była głównym świętym miejscem w Hattusas, czyli w stolicy Hetytów. Tak, tej samej, z której pochodzą byki ze zdjęcia Rudenki. To nie jest budynek. Hetyci wykorzystali fakt, że w jednym miejscu, niedaleko cytadeli, z ziemi wystaje kilka sporych skał i wyrzeźbili na nich reliefy przedstawiające różnych bogów oraz wojowników. Nie pamiętam, czy są tam też byki albo smok, ale w tej chwili to nieistotne. Próbuje sobie przypomnieć, czy wśród notatek Rudenki było coś o Yazilikayi. Czemu nie chciało mi się nosić papierów? Teraz będę musiała poczekać ze sprawdzeniem, aż wrócę do hotelu.

I nagle przypominam sobie słowa Rudenki.

Prostuję się gwałtownie, jakbym dotknęła gniazdka elektrycznego, i odwracam się. Martin na widok mojej miny odsuwa się o krok. Kasjerka coś mówi, pewnie ciągle to samo – żebyśmy już sobie poszli – ale ja jej nie słyszę. W mojej głowie rozbrzmiewa głos Rudenki: „zęby smoka”. I jeszcze: „Simona, jedź do domu”. „Jedź do domu Vangelisa”.

Zęby smoka pasują do mitu o złotym runie, ale kompletnie nie wiedziałam, o co mu chodziło z tym domem ani co ma do tego Vangelis. Myślałam, że

szanownego tatusia popieprzyło przed śmiercią z głodu i bredził. Miał w magnetofonie kasetę z *Rydwanami ognia*, mógł podczas majaczenia wymieniać imię kompozytora, Vangelisa Papathanassiou. Czemu nie?

Teraz już wiem, że nie o tego Vangelisa chodziło, tylko naprawdę o mojego Vangelisa – Vangelisa Paschalidisa, szefa wykopalisk w Hattusas. W tym samym Hattusas, z którego pochodzą byki i gdzie znajduje się Yazilikaya. Tak się składa, że misja archeologiczna dostała kilka lat temu większy grant i udało im się wreszcie zbudować dom wykopaliskowy. Dom Vangelisa...

Kasjerka chwyta mnie za ramię.

– Już idziemy. Już stąd wychodzimy – zapewniam ją półprzytomnym głosem i się wyszarpuję. Ruszam w stronę wyjścia. Słyszę za sobą, jak mamrocze coś po turecku i posuwa się za mną krok w krok, jakby się bała, że w ostatniej chwili dam drapaką i urządzę sobie noc w muzeum. W głównej sali dostrzega jednak Japończyka (albo Koreańczyka) i biegnie w jego stronę. Krzyczy na zmianę „proszę nie robić zdjęć!” i „zamykamy!”. Ta kobieta ma naprawdę ciężką pracę.

Reszta mojego orszaku ciągle czeka w sali z bykami. Podchodzę do Martina, opieram dłonie na jego ramionach i wspinam się na palce. Nie zwracam uwagi na Walentinę, która przypatruje nam się całkiem otwarcie, a w oczach ma ciekawość.

– Wiem, gdzie jest złote runo – szepczę mu do ucha i czuję pod palcami, jak drgają jego mięśnie. Zaciekawiałam go. – Rozszyfrowałam zagadkę Rudenki. To nawet nie było takie trudne. Już wszystko wiem.

Bolą mnie stopy od stania na palcach, więc opadam na podłogę i ciągnę go za szyję, żeby przybliżyć jego głowę do moich ust. Poddaje się bez oporu.

– Jeśli pojedziesz ze mną jeszcze kawałek dalej, znajdziemy je. To będzie wielkie odkrycie.

Martin przygląda mi się przez chwilę. Widzę jego rozszerzone źrenice, kiedy przysuwa wargi do mojego ucha.

– Kawałek dalej, to znaczy dokąd? – szepcze.

– Sam zobaczysz.

Droczę się, bo czuję, jak wypełnia mnie energia. Jestem szczęśliwa.

– Powiedz mi teraz, umieram z ciekawości.

Oglądam się, ale kasjerka jest zajęta dyskusją z Japończykiem, który po bliższym przyjrzeniu, rzeczywiście wygląda jak Koreańczyk. Chwilowo nie zwraca na nas uwagi i nie goni do wyjścia. Walentyna pozuje do kolejnego selfie, tym razem z odbiciem w szybie, a potem puszcza balon z gumy.

– W Hattusas.

Martin ze zdumienia unosi brwi.

– A konkretnie w Yazilikayi. Rudenko skonstruował bardzo skomplikowaną zagadkę. Nie chciał, by rozwiązał ją byle kto, a na pewno nie ten, kto go torturował. – Milknę i przełykam ślinę. – Nie wiem, czy przyszło mu do głowy, że

akurat ja, jego nigdy niewidziana córka, będę szukać runa. Zresztą, nieważne.

Reguła numer jeden, nie ufaj nikomu! Co ty robisz, dziewczyno?, krzyczy jakaś część mojego mózgu. Martin to antykwariusz, żyje z handlu zabytkami, a ty opowiadasz mu, gdzie jest zabytek, którego znalezienie ustawi go do końca życia? Opowiadasz mu wszystko?! No nie, nie wszystko. Nie mówię mu, że nie zamierzam ogłaszać tego odkrycia światu, tylko runo sprzedać. A dokładniej najpierw pozbyć się Walentyny i Michaiła, a potem sprzedać je komuś, kto da mi lepszą cenę niż Konstantinos. I nie mówię Martinowi, że liczę na jego pomoc. Na to wszystko przyjdzie jeszcze czas. Albo i nie.

Martin patrzy na mnie, więc biorę się w garść.

– Tak czy inaczej Rudenko zbudował kilka piętér tej cholernej zagadki. Wymyślił hasło „zęby smoka” i napisał je na zdjęciu byków. Byków, które pojawiają się też w historii o Argonautach.

– Ale to żaden dowód.

– Poczekaj. – Kładę mu dłoń na ramieniu. Czuję się absurdalnie szczęśliwa.  
– Poczekaj. To zdjęcie miało doprowadzić poszukiwacza do muzeum w Ankarze, a hasło „zęby smoka” oznaczało, że byki to nie koniec poszukiwań, że trzeba znaleźć samego smoka. Stąd zaznaczone mocniej cyfry na kartce. Słabo widoczne, ale jak się dobrze przyjrzeć... Tylko że nie wszystkie. Rudenko zaznaczył zaledwie pierwsze trzy, a numery w muzeum w Ankarze mają po sześć cyfr. Kolejne trzy mogłam znaleźć tylko ja, bo pochodziły z idiotycznego wierszyka, który matka recytowała mi w dzieciństwie. I pewnie napisała o tym Rudence w jednym ze swoich listów.

Drapie mnie w gardle. Chrząkam.

– W każdym razie dalej to już proste. Sześć cyfr to numer płaskorzeźby, która przedstawia smoka, razem zresztą z jakimiś hetyckimi bogami. Pochodzi z nieznanego miejsca, ale ma odpowiednik. W Yazilikayi. Wyrzeźbiony w skale, więc nikt go na pewno nie zabrał do żadnego muzeum. – Brakuje mi powietrza. Jestem tak podekscytowana, że kręci mi się w głowie. Próbuję uspokoić oddech, a potem dodaję: – Tam jest złote runo.

– W Yazilikayi? – pyta Martin, drapiąc się po głowie. – Chcesz przeszukać całą Yazilikayę? To całkiem spory teren.

– Nie ma takiej potrzeby. – Nawet nie próbuję zapanować nad tonem tryumfu w moim głosie. – Pamiętasz Vangelisa?

Marcin pociera czoło.

– Vangelisa? Vangelisa Paschalonisa?

– Paschalidisa – poprawiam go. – Mojego przyjaciela ze studiów.

– Jak przez mgłę.

– Kieruje badaniami w Hattusas.

– A tak, racja – przypomina sobie Martin. – Coś słyszałem.

Wierzę, że nie zmyśla, bo świat archeologów jest naprawdę mały i wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. Mój związek z Martinem też niedługo był tajemnicą i na pewno już nie tylko uczestnicy konferencji w Arkaim plotkują, że znowu ze sobą sypiamy.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Pamiętasz, Rudenko mówił, że mam pojechać do „domu Vangelisa”? Dom Vangelisa. Hattusas. Rozumiesz?

Kręci tylko głową, ale to chyba ma być potwierdzenie.

– W każdym razie Vangelis nam pomoże. Zna Yazilikayę jak własną kieszeń.

– Może... – Nie wygląda jednak na zbyt przekonanego.

– Posłuchaj. Pojedziemy do Hattusas. Ty i ja...

– A co z nimi? – Ogląda się na Walentinę i Michaiła.

Zaglądam mu głęboko w oczy i nie mogę powstrzymać uśmiechu. Szczerzę się od ucha do ucha, nie uśmiechałam się tak, od kiedy Konstantinos wrobił mnie w to wszystko na lotnisku w Stambule. Poważnieję dopiero, gdy spostrzegam podejrzliwe spojrzenie Martina.

– Coś wymyślę, żeby się ich pozbyć. To będzie niesamowite odkrycie.

I niesamowita kasa, o ile wszystko uda się przeprowadzić, jak chcę.

Kasjerka ciągle kłóci się z Japończykiem (albo Koreańczykiem). Daję znak Walentinie i ruszamy w stronę wyjścia.

– Pójdę jeszcze do toalety – mówię już przy drzwiach. – Nie pozwólcie jej zamknąć muzeum ze mną w środku. – A potem wspinam się na palce i dotykam wargami ucha Martina. – Rozszyfrowałam tę zagadkę, mamy powód, żeby świętować! Chodźmy zjeść coś dobrego.

– Jestem strasznie głodny – przyznaje, a na potwierdzenie burczy mu w brzuchu.

– No to świetnie. Byłam tu kilka lat temu i pamiętam kilka przyjemnych knajp. A potem... Skoro się już wypaliliśmy... – Gryzę go lekko w ucho.

Martinowi drga kącik ust, w końcu się uśmiecha. Całuję go w policzek, obracam się na pięcie i idę do łazienki, gdzie obmywam lodowatą wodą skronie, kark i nadgarstki. Długo przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze.

Zagadka Rudenki rozwiązana, ale pozostał mi jeszcze jeden problem. Jak pozbyć się Walentyny i Michaiła? Muszę to zrobić, jeśli chcę sprzedać złote runo bez pośrednictwa Konstantinosa i wreszcie dostać jakieś uczciwe pieniądze, a nie marny procent. Dochodzę do wniosku, że po obiedzie, seksie z Martinem i śnie w normalnym łóżku coś przyjdzie mi do głowy. Myję ręce, wycieram wilgotne dłonie w polar Petrosa i wychodzę.

Walentina czeka przed drzwiami toalety.

– Profesor van der Nooten postanowił jednak wyskoczyć na coś małego

i spotkać się z nami potem w hotelu.

Przez chwilę czuję się urażona, że na mnie nie poczekał. Ale bez przesady, kimże ja jestem, by zmuszać faceta do głodowania. Kiwam głową na znak, że przyjąłem informację do wiadomości.

– A Michaił? – pytam, bo jego również nie widzę.

– Też był głodny. – Walentyna wzrusza ramionami.

Jakie to typowe, mężczyźni myślą tylko o jedzeniu.

– No to w drogę. Może uda nam się złapać taksówkę – rzucam i wychodzimy na dziedziniec.

Mrużę oczy przed oślepiającym słońcem, a wiatr szarpie poły Petrosowego polaru, więc zasuwam suwak pod brodę. Żadna taksówka nie zatrzymuje się na moje machanie. Dziewczyna nie komentuje, tylko stoi i się przygląda. Na głównej arterii jest korek, dojazd autobusem do hotelu trwa prawie czterdzieści minut. Kilka razy przysypiam i budzę się, kiedy głowa opada mi na ramię siedzącej obok Walentyny. Na właściwym przystanku musi mną potrzasać.

W pokoju okazuje się, że Martina jeszcze nie ma. Zrzucam ubranie, nie zadaję sobie trudu, by je podnieść z podłogi, i po raz drugi tego dnia (i na pewno nie ostatni!) wchodzę pod gorący strumień wody. Stoję pod nim długo, rozmyślając, jak pozbyć się Walentyny i Michaiła. Mogłabym po prostu wyjść z hotelu. Złapać na ulicy taksówkę, kazać się zawieźć do pierwszej z brzegu wypożyczalni samochodów albo lepiej drugiej z brzegu, jakiejś małej, szemranej, na końcu miasta. Będą mnie szukać na lotnisku i dworcu autobusowym, ale wypożyczalni w Ankarze jest pewnie kilkaset. Mogłabym pojechać do dowolnego tureckiego miasta. Właściwie nie musi to być miasto, może być mała wieś. Mogłabym poczekać tam z miesiąc, aż przestaną mnie szukać... Nie, to bez sensu. Walentyna w ogóle nie będzie za mną gonić. Pojedzie prosto do Hattusas, uwiedzie Vangelisa (który lubi ładne dziewczyny) albo każe Michaiłowi złamać mu rękę. I sama znajdzie złote runo.

Lepiej poczekać na Martina i pójść na tę kolację. Podczas jedzenia ziewać (to nie powinno być trudne), a potem powiedzieć, że wyruszamy następnego dnia o świcie. W hotelu namówić Martina, żebyśmy wymknęli się we dwoje tylnym wyjściem. To nam da co najmniej dziesięć godzin przewagi. Jeśli ze wskazówkami Rudenki przez dziesięć godzin nie będę potrafiła znaleźć złotego runa, to znaczy, że bardzo już ze mną źle. Do tego wszystkiego potrzebny mi Martin. Szczerze mówiąc, wolałabym szukać runa bez niego. Oszczędziłoby mi to wiele wysiłku i kłamstw. Ale on ma zaletę nie do przebicia: pieniądze, bo ja ciągle dysponuję tylko resztką gotówki w Petrosowym portfelu.

Dwa razy myję włosy hotelowym szamponem i wymydlam resztę na siebie. Kiedy wreszcie wychodzę, jestem czerwona jak zachód słońca, ale zmęczenie prawie minęło. Wycieram się grubym ręcznikiem, robię na włosach turban i goła



idę do pokoju. W brzuchu mi burczy, a głód przypomina mi o złotej plakietce schowanej w kanapce w bocznej kieszeni mojego plecaka. Jedzenia nie tknę, wożę je już drugą dobę... Ale plakietkę lepiej schować do sejfu. Ktoś może mi zerwać plecak z ramienia. Ankara nie słynie z bezpiecznych ulic.

Odwijam folię. Nie pachnie źle, przełykam ślinę, ale powstrzymuję się. Ostatnie, czego mi trzeba, to rozstrój żołądka w autobusie do Hattusas. Kanapka ląduje w koszu, a plakietkę starannie myję w umywalce. Spokojnie, złoto nie koroduje jak żelazo czy miedź, kawałek złota sprzed dwóch tysięcy lat jest w równie dobrym stanie jak ten wykonany wczoraj. Delikatnie osuszam plakietkę ręcznikiem i gładzę palcami złotą powierzchnię, a ona błyszczy w promieniu słońca wpadającym do pokoju przez szparę w zasłonach. Konstantinos o niej nie wie i się nie dowie. Mam coś, co mogę sprzedać sama i zgarnąć całą kasę. To już jakiś postęp!

Słyszę kroki na korytarzu, więc szybko wstukuję kod. Drzwiczki sejfu odskakują z pyknięciem. Jakiś idiota wmontował go w dno szafy, muszę uklęknąć, żeby zajrzeć do środka. I kiedy tak klęczę, nago, tylko w turbanie z ręcznika na głowie, widzę, że sejf jest pusty. Nie ma w nim ani paszportów, ani papierów Rudenki.

Zatrzymajmy się na chwilę i podsumujmy sytuację. To nie zajmie dużo czasu.

Dałam się nabrać jak dziecko. Na dawne uczucie i to, że nie można mi się oprzeć. A tymczasem Martin miał w głowie coś całkiem innego niż seks z byłą kochanką, nie mówiąc o kontynuowaniu starego związku. Oczywiście rozsądek podpowiada, że gdybym zamiast dać się zaciągnąć w krzaki, całować w bani i słuchać bajek o niewygasłym do końca uczuciu, napluła Martinowi w twarz już w autobusie, niewiele by to zmieniło. Musiał to planować od wielu tygodni, a może nawet miesięcy.

Na pytanie „dlaczego” sama znajduję odpowiedź. Jest banalnie prosta: on też szuka złotego runa. Najwyraźniej nie ma na świecie uczciwych antykwariuszy, stawka okazała się zbyt wysoka albo znalazł kupca, który potrafiłby skusić samego księcia szatanów. Na pewno próbował już wcześniej wyciągnąć z Rudenki informacje o runie. O wiele wcześniej, zanim jeszcze przyszedł mu do głowy pomysł z grą w Argonautów. Najprawdopodobniej zabrał się do tego normalnie – zaproponował mu niezły procent albo nieśmiertelną archeologiczną sławę, albo jedno i drugie. Jednak Rudenko nic mu nie powiedział. Był odludkiem, dziwakiem, chyba też niezłym paranoikiem, za to zorientował się, że za chwilę poszukiwaczy może być więcej i w końcu ktoś wydobędzie od niego informacje. Dlatego wymyślił piętrową zagadkę, którą mogłam rozwiązać tylko ja, jego córka. Co prawda nigdy mnie nie poznał, ale moje zdjęcia trzymał nad łóżkiem.

Martin musiał być wcześniej w chacie, a na widok tych zdjęć przyszedł mu do głowy pomysł ściągnięcia mnie do Sintaszty. W wyjątkowo dramatycznych okolicznościach, bo w końcu komu, jak nie córce, umierający Rudenko powiedziałby, gdzie znaleźć złote runo.

I Martin aranżuje grę w Argonautów. Za pomocą pośredników (tajemniczy Woronow, pewnie jakiś znajomy albo wspólnik z Moskwy, którego poprosił o wykonanie telefonu) namawia Konstantinosa, żeby wysłał na poszukiwanie właśnie mnie. Po drodze likwiduje Petrosa, dzięki czemu ma większe pole manewru niż z nim na karku. Poza tym osiąga coś jeszcze – zaczynam się bać, a przestraszona Simona to Simona, której łatwiej przypomnieć, jak kiedyś było fajnie we dwoje. Później (a właściwie wcześniej, bo zorganizowanie tego wszystkiego zajęło na pewno dużo czasu, przecież nikt nie umiera z głodu w kilka godzin) Martin przywiązuje do łóżka Rudenkę i dodatkowo torturuje go widokiem jedzenia na stole. Zna program konferencji, wie, kiedy będziemy w Sintaszcie i kiedy – z dokładnością do trzydziestu minut – odnajdę nigdy wcześniej niewidzianego ojca. Jednak trudno dokładnie obliczyć godzinę śmierci: już podczas konferencji obawiał się, że agonia Rudenki może potrwać krócej i dlatego poprosił

organizatorów o przyspieszenie wycieczki o jeden dzień. Zależało mu, żebym znalazła Rudenkę żywego, a konkretnie umierającego, ale jeszcze na tyle przytomnego, by mógł coś powiedzieć i zdradzić mi to, czego nie powiedziała by nikomu innemu. Gdzie jest złote runo.

Martin dobrze to sobie wymyślił. Wszyscy koncertowo zagraлиśmy swoje role. Konstantinos skusił się na interes życia i zmusił mnie do wyjazdu do Arkaim, Petros dał się zabić po drodze, Rudenko wzruszył się na mój widok i podsunął wskazówkę, jak rozwiązać zagadkę. A ja sama, po seksie w krzakach, zgodziłam się, by Martin przyjechał ze mną do Ankary, i podałam mu rozwiązanie prosto do rąk, pięknie opakowane i przewiązane różową wstążką.

Reguła numer jeden: nie ufaj nikomu. Ha, ha! Wystarczyło, że wyszeptał mi kilka razy do ucha, jak to przez te wszystkie lata nie mógł o mnie zapomnieć, i złamałam ją bez mrugnięcia okiem. Teraz za to zapłacę.

Kiedy dowiedział się już wszystkiego, po prostu się zmył. Z papierami Rudenki, w których na pewno są dokładne wskazówki co do lokalizacji runa, i z moim paszportem, żebym straciła dużo czasu, tłumacząc się na komisariatach policji i w konsulatach, podczas gdy on już sobie jedzie do Hattusas. Do Yazilikayi po złote runo. Czyli sztabę w kształcie skóry zwierzęcej, wykonaną z czystego złota w epoce brązu. Jedyną taką sztabę na świecie. Jej wartość jest spora, nawet jeśli policzyć tylko kilogramy czystego kruszcu, ale nie ma ceny, której nie zapłaciłby za nią dobry kolekcjoner. Martin o tym wie. I dlatego na pewno po drodze podśpiewuje pod nosem z radości, że tak gładko poszło.

Kiedy jestem w obcym mieście, nie lubię wyróżniać się z tłumu. Reguła numer pięć: nie wychodź przed szereg. Bądź niewidzialna, więcej zdziałasz. Dlatego w Paryżu noszę ciemne dopasowane żakiety, w Kopenhadze kolorowe bluzki, a w Niemczech dzinsy. Od tej zasady odstępiałam tylko raz, w Izraelu, podczas drugiej intifady. Naprawdę zależało mi wtedy, żeby moje ubranie z daleka krzychało: „turyстка!” – turyści mieli większą szansę przeżyć. Ubierałam się w adidas, jaskrawe bluzy i na wszelki wypadek wieszałam na szyi aparat fotograficzny.

W Hattusas, położonym w samym środku Turcji, na pewno nie będę się wyróżniać. Jeszcze w Ankarze, na bazarze przy dworcu autobusowym kupuję kwieciste bawełniane szarawary, dwa rozciągnięte podkoszulki i kamizelkę z poliestru do pół uda. Nic innego nie ma. Wyglądam w tych ciuchach jak wieśniaczka z centralnej Anatolii.

Pewnie już co najmniej od minuty dziwicie się, dlaczego łażę za ciuchami, zamiast gonić Martina. Mam czas na zakupy, na posiłek (co prawda nie w eleganckiej restauracji, tylko w dworcowym fast foodzie) i nawet na ohydny herbatę (żeby dostać w Ankarze kawę po turecku, trzeba odwiedzić dzielnice turystyczne, miejscowi tego nie piją), bo następny autobus do Corum jest dopiero następnego dnia, i to nawet nie rano, tylko koło południa. Walentyna i Michaił idą szukać wypożyczalni samochodów. Ja czekam na dworcu, próbuję nie dostać zawału serca od mocnej herbaty i zagryzam wargi ze złości, że tak dałam się nabrać Martinowi.

Wynajęty samochód okazuje się niewiele lepszy od autobusu – ma bardziej zapadnięte fotele, a po pasie przy siedzeniu pasażera został tylko urwany strzęp. Odstępuję to miejsce Walentinie i wciskam się do tyłu, gdzie przez całą drogę czepiam się kurczowo zagłówka kierowcy. Michaił prowadzi. Walentyna wyjmuję gumę z ust i starannie wylepia nią wewnątrz popielniczki. I tak jedziemy do Boğazkale, małej wioski doklejonej do Hattusas, stolicy państwa Hetytów sprzed trzech tysięcy lat. Moje plany się zmieniły, jak widać. Teraz nie mogę zgubić Walentyny i jej chłopaka, są mi potrzebni jako chodzące źródło gotówki, pomoc logistyczna oraz ochrona. Tak, ochrona. Tak, boję się.

Normalnie nie jestem strachliwa. Mimo że kradnę biżuterię tylko z wykopaliskowych magazynów, w których najpoważniejszym zabezpieczeniem są drzwi zamykane na dwa zamki, a nie jeden, to jednak ta robota wymaga silnych nerwów. I nie zapominajmy, że ukraść to każdy potrafi, ale potem trzeba jeszcze przemycić zabytek przez granicę, w czym też jestem dobra, jak już zapewne się zorientowaliście. A przemyt wymaga opanowania.

Jednak teraz się boję. Pod pachami czuję wilgoć, chociaż tu, na anatolijskim

płaskowyzu nadeszła jesień i noc jest chłodna. Palce mnie bolą od zaciskania w pięści, gardło wyschło, muszę co chwilę przełykać ślinę, a w głowie mam pustkę. Chociaż tego nie chcę, ciągle przypominam sobie Rudenkę przywiązanego do łóżka, wpatzonego w zgniłe jedzenie na stole, dwa metry poza jego zasięgiem. I las, w którym szukaliśmy Petrosa. Dla mnie zapewne Martin też wymyślił widowiskowy koniec. Boję się, ale się nie wycofam. Zbyt wiele wskazuje na to, że nie miałam racji, drwiąc z Konstantinosa, i że złote runo naprawdę istnieje. Na pewno istnieje, skoro dla niego Martin realizuje tak misterny plan.

Boję się i do tego się spieszę. Martin ma nade mną kilka godzin przewagi. Pierwszą z nich, nawet więcej, straciłam na powrót do hotelu i długi prysznic, to już wiecie. Drugą na ubranie się, opowiedzenie wszystkiego Walentinie i czekanie, aż Michaił wróci z kebabem. Potem pół na zapłacenie za hotel (to akurat zostawiłam Walentinie) i jeszcze trzy na dworcu.

Jest już środek nocy. Kolejnej nocy, którą spędzam w samochodzie. I nie wiem, co mnie czeka o poranku. Pośpiech i strach to złe połączenie – w pośpiechu można coś przeoczyć, ze strachu robi się głupie rzeczy, a ja nie mogę sobie pozwolić na błąd. Muszę wyprzedzić Martina w wyścigu do złotego runa i nie dać się zabić po drodze. Tylko tyle, zupełny drobiazg. Więc przestańcie się już dziwić, że trzęsą mi się ręce.

Miejscowość, obok której leży Hattusas, nazywa się Boğazkale, Wąski Zamek. Na starszych mapach znajdziecie nazwę Boğazköy, Wąska Wieś. Nie wiem, co to komu przeszkadzało. Wieś nie zmieniła się w zamek, nadal to ulicówka. Dojeżdżamy aż do placyku zamykającego główną drogę i Michaił parkuje pod latarnią, która oświetla napis *Pensyon* na frontonie jednego z budynków. Walentyna przeciąga się i pluje gumą w dal, poza światło latarni, ale najwyraźniej i ją dopadło zmęczenie, nie robi sobie selfie.

– Chyba powinniśmy pojechać od razu do tej Yazilikayi – mówi, kiedy pukam do drzwi pensjonatu. – Myślałam, że się spieszymy.

Spieszymy się, owszem, powinniśmy, tylko jest ciemno jak w dupie. W Yazilikayi nie ma latarni, a my nie wzięliśmy latarek. Nawet gdybyśmy o nich pamiętali, nie polecam nikomu łażenia z latarką po nocy po tureckich stanowiskach archeologicznych. Ktokolwiek nas zauważy, od razu wezwie policję, a policjanci będą zadawali pytania dopiero w więzieniu.

Nie chce mi się jej tego wszystkiego tłumaczyć.

– Musimy poczekać do świtu – mruczę tylko i stukam jeszcze raz.

Z pensjonatu wybiega mężczyzna w krzywo zapiętej koszuli. Spinam wszystkie mięśnie, ale to tylko właściciel. Chwyta Walentinę za łokieć, gestykułuje i ciągnie ją do środka. Michaił go odpycha. Zanim zrobi się nieprzyjemnie, pytam o wolne pokoje. Właściciel prowadzi nas na pierwsze piętro korytarzem oświetlonym chyba nawet nie żarówką dwudziestką, tylko dziesiątką. W pokoju

stoją, rozmieszczone w równych odstępach, jak na koloniach, cztery jednoosobowe łóżka. Podłogę wyściela ciemnozielona filcowa wykładzina, w jednym narożniku zamontowano na suficie szynę, na której wisi zasłonka do prysznica, a kran został przyklejony do kafelków zdobiących może z metr kwadratowy ściany. Podłoga pod prysznicem to taka sama wykładzina, jak w pokoju. Nie wejść na nią bosą stopą, choćbym miała zgnić z brudu.

Walentina wyjmuję komórkę, zerka na wyświetlacz, wyciąga z walizki ładowarkę i podłącza do jedyne go gniazdka w ścianie. Odgarnia z łóżka narzutę i marszczy nos. Ja oglądam zasuwkę w drzwiach – żeby je wyważyć, nie trzeba kopnąć, wystarczy mocniej zastukać. A potem kładę się na nieposłanym łóżku, nie będę czekać do świtu na stojąco. Walentina krzywi się, ale przynajmniej nie narzeka, a Michaiłowi jest wyraźnie wszystko jedno. Nie podejrzewam, żeby udało mi się usnąć w tym syfie, jednak i tak sięgam do wyłącznika i gaszę światło. Zamykam oczy, bo nie widzę powodu, by wpatrywać się w ciemność.

Budzi mnie szum wody i pianie koguta. W pokoju jest jasno, Walentina szoruje zęby nad umywalką. Z wybebeszonej walizki na jej łóżku wysypują się ciuchy. Wiele można o niej złego powiedzieć, ale dziewczyna naprawdę potrafi się szybko zebrać.

– Gdzie jest Michaił? – pytam, gdy rozczesuje pasma włosów.

– Wyszedł zobaczyć, czy tu jest bezpiecznie.

Za oknem widzę tylko krzaki i podwórko między domami, z których jeden, zbudowany z desek, zawalił się do połowy. Boğazkale i w ogóle tureckie wsie to prawdopodobnie najbezpieczniejsze miejsca na kuli ziemskiej, a na pewno mieszczą się w pierwszej dziesiątce. Ja boję się Martina, ale oni przecież o tym nie wiedzą. Dziwny facet z tego Michaiła...

Dobra, trzeba się zbierać. Myję twarz i zęby zimną wodą (ślubuję uroczyście, że jak znajdę to pieprzone runo, przez miesiąc nie wyjdę z wanny), wkładam drugi z kupionych w Ankarze podkoszulków i podchodzę do drzwi.

Boję się. Boję się jak jasna cholera.

Wdech, wydech, wdech, wydech. Nie przyjechałam tu, żeby się chować w pokoju, w którym nie można nawet porządnie się zamknąć. Przyjechałam ukraść złote runo, a żeby je ukraść, muszę je najpierw znaleźć. Wdech, wydech, wdech, wydech. Naciskam klamkę i omal nie dostaję zawału, bo zderzam się z Michaiłem. Przeprasza mnie półgębkiem i mówi coś po rosyjsku do Walentyny, a potem wreszcie wychodzimy.

Boğazkale jest małą wioską, jej domy można policzyć na palcach obu rąk. Normalny ruch uliczny wygląda tu tak: dzieci bawiące się na środku drogi, kobiety z zakupami i kilka kur. Plus mężczyźni siedzący na tarasie herbaciarni. Dlatego trochę mnie dziwi zgromadzenie na głównej drodze. Środek asfaltu blokują dwie białe nyski, uniemożliwiając wjazd do wsi. Tuż za nimi stoi autobus. Nie ma na

boku wypisanej nazwy linii, tylko coś z zawijasami, czego i tak nie rozumiem. Obok kręci się kilkanaście osób, sami mężczyźni, przeważnie w kraciastych koszulach i narzuconych na nie lekkich kurtkach. Jeden trzyma szczekaczkę, ale jej nie używa. Palą papierosy, rozmawiają w małych grupkach.

Rozglądam się i nie widzę, dokąd mogłabym uciec, gdyby okazało się, że to pułapka zastawiona przez Martina. Jednak mężczyźni są zajęci sobą i w ogóle nie zwracają uwagi na trójkę turystów, którzy zamiast zwiedzać hetycką cytadelę, idą w przeciwną stronę.

Wsiadamy do samochodu, ale jazda nie trwa długo – Michaił musi zahamować przed blokadą. Opuszcza okno i czeka, aż ktoś podejdzie. Trochę wątpię w możliwość porozumienia rosyjskiego studenta i faceta z blokady w centralnej Anatolii. Niepotrzebnie, jak się okazuje, facet z papierosem, który schyla się do okna, lustruje nas tylko wzrokiem i macha ręką, żebyśmy przejeżdżali. Po drodze jeszcze się rozglądam, ale nic nie wzbudza moich podejrzeń. To byłaby cicha turecka wieś, gdyby nie nyski, faceci i autobus. Wiatr odwraca liście topoli srebrną stroną do góry. Piękny dzień. Mam nadzieję, że nie ostatni w moim życiu. Staram się oddychać głęboko i powstrzymuję chęć oglądania się co chwila za siebie.

Dom wykopaliskowy stoi na rogu ostatniej przecznicy we wsi. Otacza go mur. Michaił parkuje po drugiej stronie ulicy, na której nie ma żywego ducha. Długo dzwonię do bramy. Wreszcie słyszę kroki.

– Wy się nie odzywajcie – ostrzegam Walentinę i Michaiła, chociaż jeśli idzie o niego, to jestem spokojna.

Ona chce coś dodać, ale już za późno, bo słyszę zgrzyt odciąganej zasuw i skrzypienie zawiasów. Szeroko się uśmiecham.

Nie mam rodzeństwa, moja matka po przygodzie z Rudenką uznała najwidoczniej, że wystarczy. Nigdy nie brakowało mi większej rodziny, nie posiadam instynktu macierzyńskiego, siostrzanego ani żadnego innego. Ale Vangelis Paschalidis – od kiedy poznaliśmy się dawno, dawno temu na studenckich wykopaliskach na Cyprze – gra w moim życiu rolę brata. Czasem się zastanawiam, czy o tym wie. Poza tym najlepiej na świecie zna się na reliefach z Hattusas i z Yazilikayi. Albo on pomoże mi znaleźć złote runo, albo nikt nie zdoła tego zrobić. Chyba że Martin był tu już przede mną i wszystko z niego wyciągnął.

Vangelis szczyrzy do mnie zęby, z których jest dumny i które (wiem to od niego) regularnie wybiela.

– Tak szybko? Myślałem, że dłużej ci to zajmie.

Serce mi się zatrzymuje. Czyli Martin już tu był. Przyjechałam za późno!

– We wsi już o świcie rozeszła się wieść o dziewczynie o turkusowych oczach. Wiedziałem, że wpadniesz się przywitać, ale myślałem, że potrzebujesz więcej czasu na prysznic. – Śmieje się na głos.

Bo nie widziałeś pokoju w pensjonacie.

Oddycham z ulgą, a Vangelis przytula mnie i całuje w oba policzki. Potem uważnie mi się przygląda.

– Czemu tak dziwnie na mnie patrzysz?

– Bo jesteś dziwnie ubrana.

W tym przypadku nie ma się co silić na kłamstwo.

– Jakiś złamas ukradł mi po drodze plecak ze wszystkimi ciuchami. Musiałam to kupić na bazarze w Ankarze.

– O rany, poważnie? – Przejęty drapie się po głowie. – Może chciałabyś coś pożyczyć?

Kręcę głową. Gdy znajdę złote runo, kupię sobie takie ciuchy, jakie będę chciała, nawet droższe niż Walentyny. Vangelis znowu się uśmiecha i przytula mnie.

– Och, dziewczyno. Jak to dobrze, że wpadłaś. Rozjaśniłaś mój dzień, który od rana jest do dupy.

Nie będziemy się licytować, ale wydaje mi się, że mój jest gorszy. W ogóle kilka moich ostatnich dni.

– Teraz jest rano – zauważam.

– Archeolodzy wstają jeszcze po ciemku. A tak dzięki tobie mogę oderwać się od katalogowania tych cholernych motywów ikonograficznych. Juhu! Chodź, zrobię ci kawy.

Przedstawiam mu stojących za mną Walentynę i Michaiła.

– Twoi studenci?

– Mhm. – Pół prawdy jest lepsze niż całe kłamstwo i o wiele lepsze niż cała prawda. Reguła numer dwa. – Opiekuję się projektem, w którym oni też biorą udział.

Vangelis przed zatrzaśnięciem bramy wychyla się na zewnątrz i wygląda zza rogu. Po chwili wraca z markotną miną.

– Jakiś wiec polityczny? – zagaduję. – Nie najlepsze miejsce, demonstrantów jest więcej niż mieszkańców tej dziury.

– Ekolodzy. – Prawie wypluwa to słowo.

Chętnie bym się dowiedziała, co takiego złego zrobili mu ekolodzy, ale mam ważniejsze sprawy na głowie. Idziemy do kuchni, siadamy przy stole nakrytym ceratą. Bębnię w nią niecierpliwie palcami. Nie przepadam za kuchennymi pogaduszkami, jednak pewnych rzeczy nie da się załatwić w dwie minuty. Vangelis robi kawę i od razu otrzymuję trzy dobre wiadomości.

Pierwsza jest taka, że kawa parzona w tygielku okazuje się mocna, aromatyczna i zawiera mnóstwo kofeiny. Druga to, że na śniadanie będzie *menemen* i świeży chleb. Rzucam się na jedzenie, jakbym od tygodnia nie miała nic w ustach. Co jest mniej więcej zgodne z prawdą.



– Martin van der Nooten? – Vangelis stoi do mnie tyłem i pilnuje, żeby nie wykopiało. – To on się jeszcze udziela naukowo? Myślałem, że już zrezygnował z archeologii i teraz tylko kosi kasę na sprzedaży zabytków. Nie, nie było go tutaj. Na pewno. Już ci mówiłem, przyjazd każdej obcej osoby staje się tu plotką stulecia.

I to jest trzecia dobra wiadomość. Zła będzie później, dużo później.

Na razie cieszę się, że udało mi się wyprzedzić Martina. Chociaż gdzieś w tyle głowy kołacze myśl: dlaczego, do cholery, zajmuje mu to tyle czasu? Pozwalam jej odpłynąć – to, co mam do załatwienia, jest ważniejsze.

– Vangeli, jesteś mi potrzebny – mówię z pełnymi ustami.

– Mhmm. – Dodaje cukier i unosi tygielk znad płomienia, żeby piana opadła, a ja wyjaśniam mu, o co chodzi.

Tylko z grubsza, oczywiście. No dobra, przecież już mnie znacie. Serwuję mu starannie wymyśloną mieszankę kłamstwa i prawdy, z przewagą kłamstwa.

– Zbieram materiały na temat przedstawień Teshuba i Szarummy w Anatolii. To znaczy takich przedstawień, na których byliby razem. I żeby jeszcze był smok.

– Ty? Przecież zajmujesz się biżuterią.

Cholera! Jednak nie przemyślałam tego dostatecznie starannie.

– No tak. Ale mamy teraz taki międzynarodowy projekt, stąd ci studenci. – Pokazuję podbródkiem Walentinę i Michaiła, którzy zgodnie z moim przykazaniem siedzą cicho. – Chodzi o wpływy z Zakaukazia. Jak wiesz, biżuterii tu specjalnie wiele nie ma, a mnie zależało, żeby też brać w tym udział, więc trochę rozszerzyłam swoje zainteresowania.

Plączę się jak cholera, ale Vangelis mi wierzy. Zamyśla się. Upijam łyk kawy. Parzę sobie język, ale i tak jestem w niebie.

– To musisz koniecznie wybrać się do muzeum w Ankarze. Tam jest taki relief...

– Właśnie stamtąd wracamy. – Wiem, to nieładnie przerywać, ale naprawdę czas mnie goni.

– Aha. No to mamy tu jeszcze jedno przedstawienie w Yazilikayi.

– O, naprawdę – dziwię się, jakbym tego nie wiedziała. – To fantastycznie.

– Ale bez smoka.

Bez smoka... Rudenko powiedział przecież wyraźnie „zęby smoka”, więc smok musi być ważny. W sumie już go znalazłam. Doprowadził mnie do drugiego reliefu, tego w Yazilikayi. Może jest już niepotrzebny? Zamyślam się tak głęboko, że nie słyszę słów Vangelisa. Dopiero po chwili dociera do mnie, że oczekuje odpowiedzi.

– Przepraszam, Vangeli. – Trę oczy. – Miałam ciężką noc.

– Na to wygląda. Jeszcze kawy?

Entuzjastycznie kiwam głową, a on wsypuje kawowy pył do tygielka.

– Powiedziałem, że pokazałbym ci ten relief, tylko nie mam tu niestety pod

ręką żadnego albumu.

Czekam na dolewkę, bawię się pustą filiżankę.

– A po co ci album? Możemy przecież wyskoczyć do Yazilikayi i pokażesz mi na miejscu. – Staram się, by mój głos brzmiał naturalnie. Jakby naprawdę chodziło tylko o jakiś naukowy projekt. Wypada całkiem nieźle.

Vangelis nalewa mi kolejną porcję kawy i jęczy pod nosem.

– Dziewczyno, nie wiesz, co mówisz. Musimy pozamykać wykopy i raporty do końca przyszedłego tygodnia. Nie sypiamy po nocach. Nie mogę teraz bawić się w zwiedzanie zabytków. A poza tym tam...

– Możesz, możesz. – Wypijam duszkiem i odstawiam kubek. Patrę tęsknie w stronę pustego tygielka, ale naprawdę powinnam się pospieszyć. Nawet jeśli Martin nie dotarł jeszcze do wsi, może to zrobić w każdej chwili. – Przecież dopiero co sam powiedziałaś, że z radością odrywasz się od nudnej roboty.

– Oj, Simona... Jestem szefem tego całego interesu. Nie mogę gonić ludzi do roboty, a sam jechać na wycieczkę.

To po co jest szefem?

– A poza tym tam niewiele...

– Posłuchaj – przerywam mu. – Mamy na ulicy samochód. Wyskoczymy na pół godzinki, nikt się nawet nie zorientuje. Pokażesz nam relief i po krzyku. Odwieziemy cię z powrotem.

I tak nie będzie mi już potrzebny do zastanawiania się, jak to złote runo wykopać.

– No wiesz...

– Wiem. Wiem, że nie odmówisz starej przyjaciółce, którą widzisz góra dwa razy do roku.

– Nie odmówię. – Wzdycha, a potem śmieje się, prezentując olśniewająco białe zęby, co najmniej do szóstek włącznie. Ten człowiek ma mnóstwo zalet, ale w tej chwili jedna wydaje mi się najważniejsza: łatwo go do czegoś namówić.

– To już nie gadaj, tylko chodź. Przyda ci się trochę świeżego powietrza. Potem będzie ci się lepiej pracowało.

Nie mam wyrzutów sumienia. Gdy już znajdę złote runo, postawię mu naprawdę dobry obiad.

Za bramą Walentina, która przez cały czas nie powiedziała ani słowa (co dziwne), trzyma się z tyłu, a Michaił otwiera drzwi samochodu. Vangelis stoi z dobrą minutę z dłonią na klamce, zanim wreszcie wsiada. Dopóki nie ruszamy, nie spuszcza wzroku z mężczyzn przy autobusie.

Wstęp dla niewtajemniczonych: Hattusas to była stolica państwa Hetytów. Państwa wielkiego na prawie całą Anatolię (czyli z grubsza dzisiejszą Turcję), więc i stolica była niemała. Znajdowało się tam (a teraz zostały po tym ruiny) to, co normalnie jest w takich miejscach: pałac królewski, magazyny, świątynie, domy – wszystko w jednym miejscu. Za to nie bardzo wiadomo, o co chodziło z Yazilikayą. Dlaczego to sanktuarium nie było położone obok pałacu, żeby król mógł sobie wygodnie pójść piechotą i złożyć bogom ofiarę? Zamiast tego musiał zasuwać z pałacu kilka ładnych kilometrów. Oczywiście nie podejrzewam, by zasuwał na piechotę, pewnie wozili go rydwanem albo nosili w lekytce, jednak dlaczego tak daleko, tego nikt nie wie.

Nam dojazd zajmuje kilka minut. Michaił parkuje na poboczu. Świeci jaskrawe słońce i po niebie suną białe obłoki, ale wiatr jest lodowaty. Podciągam do samej góry suwak w polarze Petrosa, obejmuję się ramionami i czuję, jak furkoczą cienkie kwieciste szarawary, które (obiecuję to uroczyście) spalę, jak tylko znajdę normalne ubranie.

We wsi, nawet małej, zawsze panuje gwar: ludzie gadają, kury gdaczą, kozy meczą, muezin wykrzykuje słowa modlitwy z minaretu, jeżdżą samochody i ciągniki, a w Boğazkale jeszcze ci dziwni faceci zgromadzeni wokół autobusu krzyczą przez szczekaczkę. Tu jest cicho. Tak cicho, że słyszę, jak wiatr gwiżdże w szczelinach skał, a szczelin jest dużo. Łatwo tu się zaczaić albo wciągnąć kogoś w zasadzkę. Próbuję sobie przypomnieć, czy w micie o Argonautach ktoś zginął zmiażdżony przez skały, i od razu przeklinam moją dobrą pamięć.

Król Fineus (w grze, którą właśnie gramy, jego rolę dostał John Rudenko) ostrzegł Argonautów przed Symplegadami. To były ruchome skały po obu stronach cieśniny. Zgniatały każdego, kto próbował między nimi przepłynąć. Co prawda stworzenie ruchomych skał po obu stronach każdej szczeliny w Yazilikayi byłoby skomplikowane i kosztowne, a do tego wymagałoby sporo czasu, ale wynajęcie kogoś, żeby wspiał się na górę i zrzucił mi na głowę kamień... To na pewno nie kosztowałoby więcej niż pięćdziesiąt euro i zajęło góra dziesięć minut.

Vangelis przygląda mi się uważnie.

– Dobrze się czujesz? Jesteś bardzo blada.

Mocno pocieram dłońmi oczy, a potem czoło.

– Nie, wszystko okej. Nie wyspałam się.

I mam potwornego stracha, ale tego przecież nie powiem.

Mój przyjaciel kiwa głową i rusza przodem. Idzie wąską wydeptaną ścieżką, a potem po drewnianej rampie zbudowanej dla turystów, których tu nie ma. Wchodzi pomiędzy skały. Jest ciasno, poruszamy się gęsiego, a ja wykręcam szyję i co chwilę spoglądam w górę. Razi mnie słońce. Nawet gdyby ktoś tam był

i szykował się do rzutu kamieniem, i tak bym go nie zauważyła.

Vangelis wreszcie zatrzymuje się, odwraca w naszą stronę i chrząka.

– Yazilikaya to znaczy „skała z pismem”. Chodzi oczywiście o reliefy odkryte w tysiąc osiemset trzydziestym czwartym przez Charles’a Texiera, podróżnika, który odwiedził Hattusas...

Spoglądam w górę i znowu oślepia mnie słońce. Osłaniam oczy dłonią i przerywam Vangelisowi.

– Vangeli, czy ty się czasem nie spieszysz? Pamiętasz, po co tu przyszliśmy? Teshub i Szarumma.

W odpowiedzi szczyrzy do mnie zęby.

– Już się robi, *madame*. Musimy przejść do tak zwanej Komory A. – I znowu rusza zwięzieniem pomiędzy skałami.

Walentina zostaje trochę w tyle. Jej komórka ładuje się w pensjonacie, więc bierze aparat od Michała. Najpierw robi sobie selfie, a potem każe mu sfotografować się z większej odległości. Vangelis ogląda się za nią.

– Niebrzydka ta twoja studentka – szepcze.

Sztywnieję. Nie wiem, co powinnam mu odpowiedzieć. Że to nie moja studentka, tylko szpicel wynajęty przez Konstantinosa? I niech, na litość boską, trzyma się od niej jak najdalej?! Ograniczam się do mruknięcia pod nosem i skinienia głową.

– A to jej chłopak?

– Nie wiem. – Nie mam ochoty ciągnąć tematu, a już na pewno opowiadać Vangelisowi o bogatym kochanku Walentyny, pozostawionym gdzieś w Moskwie.

– Długo zamierzacie tutaj zostać? – drąży. – To znaczy w Boğazkale?

Zatrzymuję się raptownie i patrzę mu prosto w oczy.

– Myślałam, że jesteś bardzo zajęty, bo zamykacie wykopy i za tydzień masz oddać raporty.

– Jejku, Simona, czemu zrobiłaś się taka nerwowa? – dziwi się Vangelis. – To po prostu ładna dziewczyna. Podoba mi się. A jeśli nie ma chłopaka...

– Przepraszam – mruczę. Rzeczywiście jestem nerwowa, ale nie bez powodu.

– No tak. – Spuszcza głowę. – W zasadzie to masz rację. – I nie mówi już nic więcej, bo Walentina nas dogania.

Zatrzymujemy się w miejscu, gdzie skały oddalają się od siebie, chociaż nazwanie tego placykiem, byłoby grubą przesadą. Panuje tu jeszcze głębszy cień.

Te wszystkie reliefy w Yazilikayi zostały wyryte w kamieniu trzy tysiące pięćset lat temu, plus minus. Przez te trzy tysiące pięćset lat, plus minus, świeciło na nie słońce, padał deszcz, wiał wiatr, a tu, na anatolijskim płaskowyżu, potrafi też czasem spaść śnieg. Wiecie, jak teraz wyglądają? Nie muszę chyba mówić, domyślcie się sami. Gdybym nie wiedziała, że tu jest w ogóle jakaś płaskorzeźba,

przeszłabym obok i nic nie zauważyła. Na powierzchni głazów widać tylko nieregularne guzki.

– Wieczorem, kiedy światło pada z boku, mamy lepszy efekt – tłumaczy Vangelis. – Teraz jest kiepska pora dnia.

– Szczegóły są nieistotne, najważniejsze, że wiesz, gdzie znajduje się to przedstawienie Teshuba i Szarummy.

– Eee, tak? Bo zrozumiałem, że chcecie to dokładnie obejrzeć.

Cholera, ze zmęczenia zapominam, co wcześniej nakłamałam.

– Wiesz co? – zmyślam na poczekaniu. – Pokaż nam teraz to miejsce, a my wrócimy tu o innej porze dnia i spróbujemy zrobić zdjęcia. Może nawet dłużej zostaniemy w Boğazkale. – Puszczam do niego oko, żeby skierować jego uwagę na inne tory. Udaje się.

– A, to by było świetnie. Może napijemy się wieczorem wina, co ty na to? Ty, ja i twoi studenci?

– Vangeli, relief.

– Hm, tak. – Podchodzi do ściany i gładzi ją dłonią. – To jest procesja prawdopodobnie ku czci Teshuba, prawdopodobnie z okazji hetyckiego nowego roku.

– Prawdopodobnie? – wyrywa się Walentinie.

Oglądam się i szepczę do niej:

– Zamknij się.

Ale Vangelis już się do niej szczyrzy, zadowolony z zainteresowania, jak to facet.

– Archeologia to nie nauka ścisła, a interpretacja tego reliefu jest w ogóle trudna, skała zwietrzała i tak dalej. Szkoda, że nie pomyślałem wcześniej i nie poszukałem kserokopii z przerysem, na pewno mam ją w biurku. Tu po prawej masz bóstwa żeńskie – macha ręką w kierunku wypukłości na ścianie – a po lewej męskie. Najpierw dwunastu bogów ukazanych jako młodzi mężczyźni, czyli *de facto* wojownicy, bo u Hetytów wojownicy stanowili sto procent męskiej populacji.

– Znowu posyła uśmiech w stronę Walentyny.

Próbuję wypatrzeć na zwietrzałej skalnej ścianie to, o czym opowiada.

– Scena kulminacyjna to spotkanie dwóch głównych bóstw: żeńskiego i męskiego. Teshuba, którego szukacie, i bogini słońca Hebat. Jak widzicie, to jedyne postacie na reliefie stojące twarzą w twarz.

– Nic nie widzę – skarży się Walentyna, ale tym razem jej nie opieprzam, bo ja też nie.

Vangelis podchodzi do ściany i pokazuje, co niewiele zmienia.

– Teshub to ten tutaj. – Wodzi palcem po kamieniu i co chwilę upewnia się, czy dziewczyna na niego patrzy. – Ma u pasa krótki miecz, w ręku maczugę i oprócz tego hełm ozdobiony rogami. Stoi na ramionach dwóch pomniejszych

bóstw, którym wyrastają z głów bycze rogi. Za nogami Teszuba widać szarżującego byka...

– A gdzie jest Szarumma? – pytam.

– ...a podobnego widzimy... Co? A, Szarumma. Stoi za Hebat, bo to jej syn. Jej i Teszuba, tutaj zresztą jedyne męskie bóstwo po prawej stronie reliefu. I on również ma na głowie hełm z rogami.

Przestaję słuchać. Docierają do mnie tylko pojedyncze słowa: „scena mitologiczna”, „symbolizują”, „górskie szczyty”. Wciągam głęboko powietrze. Po raz pierwszy czuję, że pachnie liśćmi i wilgocią. Słyszę śpiew ptaków. Przymykam oczy, czuję, jak promienie słońca całują moją skórę. Jest cicho, tak cicho, że usłyszałabym, gdyby pod Yazilikayę podjechał jakiś samochód, a Martin nie przyjdzie przecież na piechotę. Ale czy usłyszałabym, gdyby zakradł się tu jakiś wieśniak, żeby zarobić kilkadziesiąt euro?

Otwieram oczy. Relief znaleziony, trzeba się pośpieszyć.

Rozglądam się, próbuję spojrzeć na otoczenie świeżym okiem, jakbym przyszła tu dopiero minutę temu. Komora A, jak ją nazwał Vangelis, czyli to szersze miejsce między skałami, jest dość dobrze osłonięta. Z zewnątrz nic nie widać. Zastanawiam się, czy można tu zaryzykować nielegalne wykopaliska. Pewnie dałoby się wydobyć szybko coś małego, pierścień albo pieczęć, ale chyba nie złote runo. Nie sztabę z czystego złota, która jest wielkości mojej klatki piersiowej i sporo waży. Może więc wykopaliska legalne? Może udałoby się namówić Vangelisa na szybki sondaż?

– Prowadziliście tu kiedyś badania?

Staram się, żeby to pytanie zabrzmiało niewinnie. Jestem prawie pewna, jaka będzie odpowiedź. Gdyby prowadzili, na pewno bym o tym usłyszała, zwłaszcza gdyby odnaleziono złote runo. Ale muszę się upewnić.

– Wykopaliska? Tu, w Yazilikayi? – dziwi się. – Nie, nigdy.

No właśnie, wiedziałam.

– A co byś powiedział na taki pomysł...

Nie zdążam dokończyć, bo Vangelis mi przerywa:

– Od razu widać, że jesteś w Yazilikayi pierwszy raz. Tutaj prawie nie ma ziemi. – Wbija obcas w grunt. – Góra kilka centymetrów, pod spodem lita skała. Tu się po prostu nie da kopać.

– Co?

Nie rozumiem. Chociaż tak naprawdę rozumiem, aż za dobrze. W Yazilikayi nie ma miejsca, gdzie mogłoby zostać ukryte złote runo. Rudenko mnie nabrał. Podobnie jak nabrał Martina. Vangelis tłumaczy coś o właściwościach geologicznych gleby, ale go nie słucham. W uszach dudni mi krew, kiedy podchodzę bliżej i przyglądam się reliefowi. Nie widzę więcej niż poprzednio, tylko nieregularne wybrzuszenia skały, które kiedyś były figurami bogów i bogiń.

– Gdzie to jest?

Vangelis, wybity z rytmu, urywa w pół słowa.

– Co jest gdzie?

– Gdzie dzieje się ta scena.

– E, no, to jest scena mitologiczna, nie wiadomo gdzie.

– Skup się, Vangeli. – Chrząkam. Staram się pozbyć napięcia w głosie. – Wcześniej mówiłeś coś o górskich szczytach. Ta cała procesja czy zebranie bogów dzieje się gdzieś w górach?

– Mówiłem, że ci pomniejsi bogowie, na których karkach stoją ci główni, mogą symbolizować góry.

– Jakież konkretne?

Vangelis wzrusza ramionami.

– Tego nikt nie wie.

Przeklinam, po cichu, ale naprawdę paskudnie.

– Trudno powiedzieć, gdzie to wszystko się dzieje. Hetyckie reliefy nie mają podpisu „akcja toczy się na tej długości i na tej szerokości geograficznej”. Chociaż akurat ci wojownicy to bogowie świata podziemnego, czyli ta cała procesja z bogami i tak dalej może odbywa się pod ziemią.

– Pod ziemią?

– No wiesz, w zaświatach, przedstawionych symbolicznie, a zresztą może wcale nie symbolicznie. W Hattusas, to znaczy na terenie twierdzy, za murami, mamy takie miejsce, które Hetyci uważali za wejście do świata podziemnego. Nigdy tam nie byłaś, ale może kojarzysz Komorę Hieroglifów...

– Komorę Hieroglifów? – Zaciskam palce, aż wbijam paznokcie we wnętrze dłoni. Wiem, jakie to irytujące, kiedy ktoś powtarza końcówki zdań. Ale jestem oszołomiona, nie kontroluję, co mówię.

Vangelis jest za bardzo zajęty szczyrzeniem białych zębów do Walentyny, żeby zwracać uwagę na figury retoryczne.

– No tak, Komora Hieroglifów. To oczywiście współczesna nazwa, nie wiemy, jak ją nazywali Hetyci. To taka komora, jakby pokój, wolno stojąca, nie w budynku, tylko przylega do kompleksu... – wyjaśnia. Macham ręką, żeby wreszcie przeszedł do sedna. – I... tego... tam jest relief. Przedstawienie króla Supiluliumy III. W stroju wojownika i w hełmie z rogami byka.

– A jest Teszub? Albo Szarumma?

– Nie ma.

Czyli do wszystko można potłuc o kant du...

– Ale jest bóg słońca. Nie znamy jego imienia. Wiemy tylko, że w późnohetyckiej mitologii był czasem przedstawiany pod postacią smoka.

Patrzę na niego i boję się mrugnąć. Trwa to kilka sekund, zanim informacja do mnie dociera. Przedstawienie z Yazilikayi dzieje się w zaświatach, pod ziemią.

A wejście do podziemnego świata znajduje się w Hattusas, w Komorze Hieroglifów, na której ścianach wyrzeźbieni są wojownik w hełmie z rogów byka oraz bóg smok. Wojownik, byk i smok! Jesteśmy w domu! Chce mi się skakać i śpiewać. Mam ochotę wycalować Vangelisa. Ale Walentina nie spuszcza ze mnie oka, więc zamiast tego tylko chrząkam, przełykam ślinę i mówię:

– No to jedziemy do Hattusas.



Kiedy oglądaliśmy relief w Yazilikayi, sytuacja we wsi się zmieniła. Mężczyźni stoją teraz półkolem za białymi busami, a ten ze szczekaczką coś krzyczy. Pozostali też, tylko w mniej artykułowany sposób. I tak niczego nie rozumiem, bo po turecku potrafię tylko zamówić jedzenie i dogadać się w sprawie rachunku.

– Ekolodzy – mruczy Vangelis.

To chyba dobry moment, by zapytać, o co tu, do cholery, chodzi.

– O jakieś lokalne złoża metali albo innego cennego pierwiastka, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie duża międzynarodowa firma chce tu zrobić kopalnię, większą niż cała hetycka twierdza. Władze ich popierają, bo to kasa. My nawet złożyliśmy protest do ministerstwa, tutaj nie można wbić łopaty w ziemię, żeby nie wyszły cenne zabytki, ale oni mają to gdzieś. Liczą się tylko pieniądze.

Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Ekolodzy za to się nie patyczkują. Zamiast wystawać na korytarzach ministerstwa, postanowili zorganizować blokadę. To już nawet nie chodzi o niewpuszczanie turystów, bo kasę za bilety i tak zbiera ministerstwo, archeolodzy nie dostają z tego złamanego grosza. Ale we wsi co parę dni jest rozróżba, nie można spokojnie popracować. Ostatnio tak fruwały kamienie, że przez pół dnia nikt nie mógł wyjść na ulicę – wzdycha. – A nawet jeśli nie rzucają kamieniami, blokada tej drogi jest wystarczająco upierdliwa. Kilka dni temu potrzebowaliśmy cementu, żeby umocnić jeden mur. Nie przepuścili nas, musieliśmy nosić worki naokoło, na własnych plecach. A teraz znowu. Mówię ci, Simona, mam już tego powyżej uszu.

Droga do hetyckiej cytadeli prowadzi prosto przez blokadę. Michaił robi to, co wcześniej: podjeżdża do krzyczących mężczyzn i opuszcza szybę, ale tym razem to nie działa. Musi zawrócić i zaparkować pod bramą misji. Vangelis klnie i odwraca się do mnie.

– Jeśli naprawdę chcesz obejrzeć teraz Komorę Hieroglifów...

– Naprawdę chcę. Teraz.

– To dalej musimy iść pieszo. Chodźcie, bo inaczej będziemy błąkać się po wsi do zachodu słońca. A ja niestety – rzut oka na Walentinę – nie mam aż tyle czasu. Znam drogę do stanowiska, która omija tych wariatów.

Idziemy dróżką między komórką na kozy (łatwo poznać po zapachu) a żelazną bramą, niegdyś szarą, teraz zardzewiałą. Potem jeszcze mur z suszonej cegły, ściana domu z nieotynkowanych pustaków i rozgrzebana budowa z prętami zbrojeniowymi, sterczącymi na poziomie pierwszego piętra, i już jesteśmy na bitej drodze prowadzącej do stanowiska. Z przyjemnością stwierdzam, że Hattusas nadal jest tym cudownym miejscem, po którym można błąkać się cały dzień i nie spotkać

żywej duszy. Walentina znowu zwalnia, żeby zrobić zdjęcia. Vangelis zerka na nią i pyta, co tak w ogóle u mnie słycać. Wolałabym, by nie wiedział, więc odwracam pytanie, a on zaczyna opowiadać o dziewczynie, która go rzuciła w styczniu. A właściwie to on ją rzucił, bo sprzątała mu w kuchni, prała i prasowała, a poza tym żądała wspólnych niedzielnych wizyt u jej rodziców. To już była chyba druga, pierwsza rzuciła go (albo on ją) w listopadzie, ale nie jestem pewna, bo słucham jednym uchem. Za bastionem ścieżka się rozgałęzia i Vangelis rusza odnogą omijającą od wschodu niskie wzgórze. Przechodzi płynnie do opowieści o kumplach anarchistach z jego dzielnicy w Atenach, która (jak wynika z jego słów) jest siedzibą wszelkiego rodzaju antypaństwowych ugrupowań. Rozumiem co drugie słowo, bo idziemy gęsiego (a także dlatego, że opowieść Vangelisa jest nudna, więc puszczam szczegóły mimo uszu).

Szlak wydeptany wśród suchej trawy jest wąski, akurat dla jednej osoby. Wdycham wiatr. Chmury na niebie pędzą i co chwilę przesłaniają i odkrywają słońce. Niebo w środkowej Anatolii wisi niżej niż w Europie. Wzgórza mają kolor spłowiałego jedwabiu. Jest cicho, słycać każdy krok – to znaczy byłoby słycać, gdyby Vangelis ciągle nie gadał.

Rozglądam się na wszelki wypadek, ale nie widzę żadnego zagrożenia, żadnej pułapki, żadnej zapowiedzi dalszego ciągu gry w Argonautów. Nie widzę też nigdzie Martina. Czy coś go zatrzymało? Dlaczego nie dotarł tu przede mną? Czy to kolejny wyrafinowany podstęp, który... Nagle Vangelis się zatrzymuje, a ja wpadam na jego plecy. Walentina jest tuż za mną. Nie narzeka, że musi tak długo iść. Gdybym ja biegła po Hattusas w botkach na takich obcasach, musieliby mi amputować obie nogi.

Komorę Hieroglifów zasłania krata zamykana na kłódkę. Vangelis długo grzebie po kieszeniach, aż ze zniecierpliwienia tupię nogą. Mogłabym otworzyć ten zamek kawałkiem drutu wyciągniętym z krzaków, ale wolę nie ujawniać moich talentów w towarzystwie. W końcu znajduje kluczyk w tylnej lewej kieszeni. Uśmiecha się, szczerząc zęby, a ja wykorzystuję całą siłę woli, żeby mu go nie wyrwać. Tylko dzięki głębokim wdechom udaje mi się doczekać momentu, kiedy przekręca go w zamku, przez chwilę szarpie się z zardzewiałym metalem i wreszcie otwiera.

W niewielkiej komorze panuje piwniczny chłód. Vangelis nie ma w kieszeni latarki, ale to bez znaczenia, reliefy wyraźnie odcinają się od kamiennych ścian. Wizerunek hetyckiego króla Supiluliumy w stroju wojownika i w hełmie z byczych rogów wryto na kamieniu tuż przy wejściu, po lewej stronie. Bezimienny bóg słońce, czasem przedstawiany pod postacią smoka, kryje się w głębi. Smok, wojownik i byki w niewielkiej komorze, odciętej od reszty cytadeli. Zawsze mi się wydawało, że moja wyobraźnia nie zna granic, a jednak trudno mi sobie wyobrazić lepsze miejsce do ukrycia złotego runa.

Odwracam się do Vangelisa i znów muszę zadać to samo pytanie, co w Yazilikayi.

– Prowadziliście tu wykopaliska?

– Ani my, ani, z tego, co wiem, nikt inny. – Kręci głową. – Ta komora była zniszczona, część bloków wmontowano w ogóle w ściany innych budowli. To jeszcze poprzednia ekipa pozbiarała i poskładała te puzzle...

Nie interesuje mnie historia rekonstrukcji komory, tylko to, czy ktoś tu wbijał łopatę w ziemię. A teraz, kiedy znam odpowiedź, interesuje mnie jeszcze, jak pozbyć się Walentyny razem z Michałem, a potem, jak namówić Vangelisa, który ma pozwolenie na prowadzenie prac w obrębie twierdzy, na mały sondaż. Prowadzony przez jedną osobę, czyli mnie. I przez nikogo nienadzorowany...

Vangelis spogląda na zegarek.

– O rany, już tak późno? Simona, strasznie cię przepraszam... Obejrzyjcie sobie wszystko sami, co? Można robić zdjęcia. Nawet z fleszem, jeśli chcecie.

Mówi do mnie, ale tak naprawdę do Walentyny, której posyła promienny uśmiech już chyba po raz pięćsetny tego dnia (a to ciągle przedpołudnie).

– Leć, leć. Dzięki za pomoc.

Vangelis ściska ręce studentów. Dłoń dziewczyny przytrzymuje o trzy sekundy za długo. Potem łapie moje spojrzenie, puszcza ją i przytula mnie, całując w policzek.

– To w końcu zdecydowałaś? Zostaniesz tu jeszcze na trochę?

– Chodzi ci o mnie czy o nią? – pytam z uśmiechem, a on zaczyna się śmiać.

– Chętnie z nią poflirtuję, jeśli to masz na myśli, ale chodzi mi o ciebie. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio się widzieliśmy. Może byśmy wieczorem usiedli gdzieś spokojnie, napili się wina...

– Chyba zostaniemy jeszcze przynajmniej dzień lub dwa – mówię. – To zależy.

Od tego, czy pojawi się Martin, czy będzie próbował zrobić mi krzywdę i czy dalej będzie chciał grać w Argonautów.

– Zatrzymaliście się w tym pensjonacie u Arslana? Niestety nie jest zbyt elegancki. Z tego, co pamiętam, wolisz coś bardziej wykwintnego...

O tak, na przykład czystą łazienkę. Gdy już zdobędę złote runo, będę mogła wybierać ze wszystkich pensjonatów świata, a nawet pięciogwiazdkowych hoteli.

– ...ale u nas w domu wykopaliskowym Niestety nie ma już ani jednego wolnego pokoju.

Macham ręką na znak, że to nieważne.

– Jakbyś chciała, mogę ci potem podrzucić kilka opracowań dotyczących ikonografii i tych wszystkich bogów wojowników w podziemnym świecie.

Niech on już idzie! Muszę spokojnie zastanowić się nad kilkoma rzeczami,

a jak tak gada, nie mogę zebrać myśli.

– O, to byłoby super – mówię głośno.

– I może... co by ci się jeszcze mogło przydać... Bo wiesz, teraz szykujemy końcową publikację, mamy już sporo materiału.

– Jasne, Vangeli, wszystko się przyda. Po prostu dawaj jak leci. No to do wi...

– Może prześlę ci to w plikach, to dużo rzeczy.

– Ktoś mi ukradł po drodze laptopa. Po prostu wydrukuj i...

– O rany, laptopa też? Kiepsko, naprawdę ci współczuję. Dobra, wydrukuję.

Tylko powiedz, czy chcesz też raporty geologiczne, bo one zajmują strasznie dużo miejsca, tam są wykresy, diagramy, cholera wie co.

Boże, długo jeszcze?

– Nie, geologicznych nie.

– A, dobra. A wyniki badań nieinwazyjnych chcesz? Bo przejechaliśmy tu cały teren magnetometrem protonowym...

– Nie to chyba niepot...

– ...i wykrywaczem metali.

– Wykrywaczem metali? – powtarzam za nim.

– No tak. Sama wiesz, jak jest na takich stanowiskach, zaraz za archeologami zjeżdżają się poszukiwacze skarbów. Chcieliśmy mieć pewność, że niczego nam tu nie wykopią zimą, kiedy w wiosce nie będzie archeologów. Przebadałiśmy cały teren cytadeli i opowiadaliśmy o tych badaniach wszystkim w wiosce, żeby wiedzieli, że nie warto.

Cały teren cytadeli? Czuję, że muszę usiąść.

– Komorę Hieroglifów też?

– No tak, wszystko. I jeszcze kilkumetrowy pas ziemi dokoła zarysu murów. Musieliśmy mieć pewność, że tam też nie ma jakiegoś „skarbu”. – Vangelis kreśli w powietrzu cudzysłowy. – Trochę to zajęło, ale było warto. Znaleźliśmy sporo gwoździ, groty strzał, nawet jeden sztylet, co prawda niekompletny, i bardzo dużo monet. Oczywiście wszystkie są późniejsze, otomańskie i arabskie. Może wpadnij później do domu wykopaliskowego, zrobiliśmy małą wystawę.

Nie chcę oglądać żadnych pieprzonych monet!

– I nie znaleźliście nic większego?

Na przykład złotej sztaby w kształcie skóry zwierzęcia...

– Większego? Nie. Ale za to mnóstwo drobnych miedzianych wihajstrów, które moim zdaniem służyły do...

Przestaję słuchać.

Nadszedł czas na jeszcze jedno podsumowanie, chociaż ograniczy się ono do zdania: w Hattusas nie ma złotego runa. Rudenko się mylił. Prawdopodobnie zwariował w samotności, jeszcze zanim Martin zdecydował się go torturować i zabić. Ubzdurał sobie, że wie, gdzie znajduje się największy i najcenniejszy starożytny złoty skarb, a potem obudował tę bzdurę archeologicznymi szczegółami, w końcu był przecież naukowcem. W dodatku jako paranoik nie napisał w notatkach po prostu „złote runo znajduje się w Hattusas”, tylko skonstruował piętrową zagadkę. Nie przewidział jednak, że zapłaci za to życiem. Martin dowiedział się o jego obsesji i uznał ją za prawdę. Bardzo się napracował, by zaaranżować moje spotkanie z Rudenką. Telefon do Konstantinosa, przekonanie go, że złote runo istnieje, załatwienie Petrosa, przygotowanie kaźni Rudenki: to wszystko kosztowało masę czasu, wysiłku i pieniędzy. Na koniec jeszcze musiał przylecieć ze mną do Ankary.

Wszystko na próżno. Złotego runa nie ma w Hattusas, a najpewniej w ogóle go nie ma.

Bo to bajka.

Tylko jedna rzecz nie zgadza mi się w tej historii. Odwracam się do Vangelisa, który nadal gada:

– ...były tam jeszcze metalowe bolce, wykonane ze stopu...

– Vangeli – przerywam mu. – Jesteś pewien, że nie widziałeś ostatnio Martina? Że go tu nie było? Wczoraj? Dzisiaj?

Patrzy na mnie nieprzytomnym wzrokiem, potrzebuje chwili, by załapać, że zmieniłam temat.

– Ciągłe mówimy o van der Nootenie? Nie, już ci mówiłem.

– Może przyjechał do wioski, ale po prostu go nie spotkałeś?

– Ostatnio nie podnoszę głowy znad biurka i znad skrzyń w magazynie.

Tylko dla ciebie zrobiłem wyjątek, dziewczyno – posyła mi swój śnieżnobiały uśmiech – ale nie ma takiej możliwości, bym nie usłyszał o jego wizycie. To mała wieś, wszyscy plotkują. O twoim przyjeździe wiedziałem minutę po wstaniu z łóżka. Kucharka dowiedziała się od...

Przypominam sobie, co Vangelis powiedział, otwierając mi bramę. Nie wypytyuję go dalej.

Martina tu nie było! Miał kilka ładnych godzin przewagi. Gdyby rzeczywiście ścigał się ze mną o złote runo, już by tu dojechał, a wtedy ktoś by go zobaczył i puścił plotkę we wsi.

Martina tu nie było...

Podnoszę ręce i ściskam mocno skronie palcami. Vangelis pyta, czy boli mnie głowa, a Walentina od razu grzebie w plecaku i oferuje lekarstwo w sreberku.

Odwracam się do nich tyłem i odchodzę kilka kroków. Wpatruję się w płąwą trawę, suchą i pozbawioną życia.

Martina tu nie było!

Ale nie dlatego, że złote runo jest tylko mitem. Wręcz przeciwnie. Złote runo nigdy jeszcze nie wydawało mi się tak prawdziwe. Tylko nie ma go w Hattusas.

Potrząsam głową i zamykam oczy. Po kolei. W punktach.

Po pierwsze: złote runo istnieje.

Po drugie: Rudenko naprawdę wiedział, gdzie się znajduje.

Po trzecie: Martin zaaranżował moje spotkanie z Rudenką, żeby ten zdradził mi tajemnicę tej pieprzonej lokalizacji.

Po czwarte: ale to nie jest Hattusas.

Tę całą historię z Hattusas wymyślił Martin. To on powiesił na ścianie zdjęcie byków z muzeum w Ankarze. To on dopisał na nim „zęby smoka” i prawdopodobnie powtarzał Rudence te słowa tyle razy, że ten automatycznie powtórzył je tuż przed śmiercią. To on go torturował tak długo, aż Rudenko zdradził mu treść dziecinnego wierszyka, który jak wszystko inne, znał pewnie z listów mojej matki. Dlatego w notatkach Martin mocniej pociągnął długopisem odpowiednie cyfry, by te skierowały mnie do Yazilikayi i Hattusas. Fałszywy trop z jednej strony wydawał się jasny, ale z drugiej – był na tyle zagmatwany, że rozszyfrowanie całej zagadki musiało mi zająć sporo czasu.

Trzeba przyznać, że bardzo mi pomogłam. Całą interpretację, wszystko z wojownikami i bykami dopowiedziałam sobie sama, Martin tylko pilnował, bym nie zoczyła z tropu, bo chciał (to po piąte), żebym szukała złotego runa tam, gdzie go nie ma. Hattusas idealnie nadaje się do tego celu. Trudno tu dojechać, jeszcze trudniej się wydostać. A on ma teraz nade mną już nie kilka, ale kilkanaście godzin przewagi.

Przesuwam dłonią po czole. Czuję drobinki kurzu naniesione przez wiatr.

Martin wie, gdzie jest złote runo. Wie, że nie w Hattusas... Skąd wie?

Gdyby wiedział przed przyjazdem do Arkaim, nie bawiłby się w zabijanie Petrosa i torturowanie Rudenki. Pewnie wcale nie zadzwoniłby do Konstantinosa i do dziś o niczym bym nie wiedziała. W ogóle nie rozpoczęłby tej śmiertelnej gry. Jaki z tego wniosek? Dowiedział się dopiero podczas tej krótkiej rozmowy, kiedy Rudenko mnie rozpoznał.

Co on takiego wtedy powiedział? Próbuję sobie przypomnieć całą scenę, minuta po minucie.

Weszłam do chaty. Najpierw zobaczyłam przywiązanego do łóżka Rudenkę, potem okazało się, że on jeszcze żyje, a jeszcze później, że ma takie oczy jak ja. Nazwał mnie po imieniu i powiedział coś o mojej matce, a wtedy ja zapytałam o złote runo. Odpowiedział: „zęby smoka”. Powtórzył to kilka razy i... I właściwie już nic poza tym. Nie, dodał coś jeszcze. Powiedział: „Simona, jedź do domu. Do

domu Vangelisa”.

Byłam przekonana, że chodzi o dom wykopaliskowy w Hattusas, gdzie Vangelis szefuje. Ale najwyraźniej też nie. Martin zrozumiał coś, czego nie dostrzegłam.

Że tu chodzi o inny dom.

Argonauci też pojechali do domu. Jazonowi udało się uciec przed gniewem króla Ajetesa, któremu – z oczywistych przyczyn – nie podobało się, że chłopak przeleciał jego córkę i w zamian dostał receptę na uporanie się z bykami i wojownikami. Jazon zabrał Medeę i złote runo i po kryjomu odpłynął. Potem miał jeszcze dużo przygód. Po drodze wraz z kumplami znowu zabił paru koleś. Kilku z jego załogi zginęło. Ale w końcu wrócili do domu, do Orchomenos. Jazon, w podzięce za to, że powrócił cało, powiesił złote runo w gaju Zeusa.

W Orchomenos, w Grecji. A Vangelis jest Grekiem. Czyli Grecja to także jego dom.

Zaciskam mocno powieki i w ułamku sekundy przypominam sobie wszystko, co wiem o Orchomenos.

Leży jakieś sto kilometrów na północny zachód od Aten (nie pamiętam dokładnie, a nie mam pod ręką mapy). W epoce brązu było wielkim miastem. Dla miejscowego władcy wybudowano tam pałac i monumentalny grobowiec, żeby czuł się dobrze nie tylko za życia. Jak większość miast epoki brązu, Orchomenos spłonęło około tysiąc dwusetnego roku przed naszą erą i od tego czasu to tylko dziura. Kopał tam Heinrich Schliemann (chyba nigdy się od niego nie uwolnię!), co prawda było to dawno, w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, i nie zdołał zniszczyć tyle co w Troi. Później, już w dwudziestym wieku, prowadzono tam jeszcze inne wykopaliska – niemieckie, a potem greckie. Wszystko, co odkopano, znajduje się w magazynach miejscowego muzeum. I jeszcze jedno: Homer nazywał Orchomenos „bogatym w złoto”. Niewykluczone że właśnie z powodu złotego runa.

Więcej nie muszę wiedzieć, przynajmniej na razie.

Otwieram oczy i się odwracam.

– Musimy pojechać do Grecji – mówię do Walentyny. – Jak najszybciej.

Chwyta w lot, nie jest głupia.

– Tam będzie złote runo?

– Tak przypuszczam.

Nie będę jej przecież opowiadać, jak Martin puścił mnie w trąbę. Zamiast tego koncentruję się na logistyce.

– Wracamy do Ankary. Stamtąd na pewno są loty do Aten, a jeśli nie będzie bezpośrednich, złapiemy coś przez Sambuł.

– Zaraz sprawdzę, pani doktor. – Dziewczyna nawet nie ogląda się za siebie, tylko wyciąga rękę. Michaił sięga do kieszeni i wkłada w jej dłoń swoją komórkę.

A ja widzę, że Vangelis schodzi już ze wzgórza.

– Vangeli! – krzyczę. – Poczekaj! – Podbiegam, żeby się z nim zrównać. – Jednak nie możemy zostać. Będziemy się zbierać.



– O, naprawdę? – Patrzy na mnie zmartwiony. – No kurczę, Simona, naprawdę miałem nadzieję, że pogadamy dziś wieczorem.

Nie może się powstrzymać od zerknięcia na Walentinę, która stuka w ekran komórki. Ale mu wybaczam, to w końcu tylko facet.

– Nie martw się, może niedługo znowu będzie okazja. Zdobędę dla ciebie jej numer telefonu, chcesz? – dodaję ściszym głosem, a Vangelis od razu się prostuje.

– Nie, no coś ty... Naprawdę?

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Idziemy szybkim krokiem, tylko Walentyna i Michał guzdrzą się z tyłu. Nie poganiam ich, znają drogę. Dziewczyna gapi się w ekran komórki. Mam nadzieję, że wyszukuje połączenia, a nie plotkuje na fejsie.

– Vangeli, jest tu jakaś boczna droga, żeby objechać ekologów? – pytam. – Zależy mi na czasie.

Vangelis drapie się w głowę.

– Podjadę z wami kawałek, sami nie traficie. Nie mogę za daleko, nie dam rady potem wrócić. Chodź, zabierzecie rzeczy z pensjonatu, a ja wam narysuję mapkę.

Schodzimy ścieżką wśród traw. Wiatr wieje teraz w plecy, popycha mnie, jakby też chciał nas pospieszyć. Po chwili Walentyna podbiega i zrównuje się ze mną.

– Pani doktor, będzie problem z lotem do Grecji. Na lotnisku w Ankarze strajkują celnicy. Wszystkie loty odwołane.

Cholera! Próbuję się opanować.

– Poszukaj, proszę, może jest gdzieś informacja, kiedy skończy się ten strajk – mówię przez zaciśnięte zęby. Przecież nie będzie trwać wiecznie.

Walentyna znów zwalnia, zatapiając wzrok w komórce, a ja doganiam Vangelisa. Wychodzimy na bitą drogę do wsi. Myślę o tym, co mam do zrobienia. Chętnie wzięłabym prysznic, ale przecież nie na tej zapleśniałej wykładzinie. Może uda się gdzieś po drodze. Jedzenie chyba też trzeba będzie znaleźć po drodze, chociaż słyszę, nawet przez szum wiatru, jak burczy mi w brzuchu. Przynajmniej nie muszę się pakować. Biorę po prostu mały plecak, paszporty i mogę ruszać...

Cholera jasna! Moje paszporty ma Martin! Zresztą pewnie już ich nie ma, wyrzucił je do jakiegoś śmietnika, pewnie jednego z tych wielkich, komunalnych, które stoją w Ankarze przy każdej ulicy. Wyrabianie nowego dokumentu odpada. Nawet na tymczasowy trzeba czekać, a poza tym chyba nie można z nim swobodnie podróżować. Odpada też lot samolotem i statek. Do diabła, wszystko odpada! Nawet samochodem nie przejadę przez granicę, Turcja to nie Unia Europejska, wyjeżdżając, trzeba okazać dokumenty.

Czyli wszystko przepadło. Brawo, Martin, sprytnie to wymyśliłeś.

Wywiodłeś mnie w pole (a konkretnie do centralnej Anatolii) i uziemiłeś. Moje gratulacje!

Jesteśmy już w wiosce, przy samej blokadzie ekologów, kiedy Vangelis zwalnia. Nie spuszcza wzroku z autobusu, przy którym parkuje właśnie czarny SUV z przyciemnianymi szybami. W protestujących wstępuje nagle energia. Facet ze szczekaczką krzyczy, pozostali skandują jego słowa. Z SUV-a wciąż nikt nie wysiada.

Vangelis chwyta mnie za rękę i ciągnie. Chcę zaprotestować, ale dokładnie w tym momencie jeden z mężczyzn podnosi z ziemi kamień i rzuca nim w stronę auta. Po chwili drugi robi to samo. Żaden nie trafia, a to znaczy, że nie umieją celować, czyli mogę oberwać przez przypadek. Vangelis nie musi mnie już poganiać, sama przyspieszam kroku. Kolejny mężczyzna się schyla, a kamień świszczuje mi koło ucha.

Od tyłu podjeżdża jeszcze jedna nyska, niebieska i poobijana. Wypada z niej kilku gości, jeden rzuca przed siebie coś dymiącego. Tylko tyle dostrzegam, bo potem wyrywam rękę z dłoni Vangelisa i zaczynam biec. Przed siebie, już za późno, żeby się cofnąć. Mój przyjaciel próbuje odsunąć się na pobocze, ale kolejny niecelnie rzucony koktajl Mołotowa wybija mu to z głowy. Biegnie za mną. Mężczyzna ze szczekaczką krzyczy coraz głośniejsze, pozostali nadal skandują. Znowu leci kamień i z tyłu słyszę krzyk. Oglądam się. Michaił klęczy i przyciska dłoń do szyi, a pomiędzy palców cieknie mu krew. Ktoś rzuca następnego mołotowa, a może rozpyła gaz, wszędzie jest pełno dymu, od którego łzawią oczy i drapie w gardle.

Krzyczę na Vangelisa, żeby mi pomógł, i podbiegam do Michaiła. Próbuję podźwignąć go z kolan, ale jest cholernie ciężki. Wtedy z gazowej chmury wyłania się Vangelis i chwyta go z drugiej strony. Oczy mi łzawią, zaciskam powieki, ale potykam się o wyrwę w drodze i muszę je otworzyć. Natychmiast zaczynają łzawić jeszcze bardziej. To chyba jednak gaz.

– Szybciej, Simona! – krzyczy Vangelis i kaszle.

Na szczęście Michaił nie stracił przytomności i chwieje się na nogach. Czuję pod palcami wilgoć, którą nasiąka jego kurtka.

– Jeszcze tylko kilka metrów – charczy Vangelis. – Tam są drzwi.

Nic nie widzę, ale posłusznie posuwam się naprzód. Nagle wyrasta przede mną ściana pensjonatu. Drzwi są zamknięte, ale ustępują po naciśnięciu klamki. Vangelis kopie je i prawie wrzuca chłopaka do środka. Popycha mnie, aż potykam się na progu. Sam się odwraca i wpatruje w chmurę gazu.

– Zamknij! – krzyczę, a on posłusznie zatrzaskuje drzwi.

I wtedy dostrzegam, że nie ma z nami Walentyny. Michaił próbuje się podnieść z kolan. Jego dłonie są czerwone od krwi. Wciągamy go po schodach do pokoju i sadzamy na łóżku.

– Walentina – jęczy chłopak.

– Tak, chwileczkę.

Podbiegam do jej walizki, wyciągam na chybił trafił jakiś ciuch. Bardzo ładną czarną bluzkę z bawełnianą koronką przy dekolcie. Podbiegam do Michaiła i przyciskam mu bluzkę do szyi.

– Walentina – jęczy znowu. Powieki mu trzepoczą, zaraz straci przytomność.

– Poszukamy jej – mówię, chociaż nie wiem, czy mnie słyszy. – Tylko najpierw zatamujemy ci krwawienie.

Problem w tym, że nie mam pojęcia jak. Nie jestem lekarzem. Na filmach zawsze przyciskają materiał do rany i każą trzymać, więc robię to samo. Tylko że na filmach ranny zazwyczaj potem umiera. Na szczęście Michaił nie ma uszkodzonej tętnicy – gdyby miał, wykrwawiłby się jeszcze na schodach, a ciągle żyje. Próbuje nawet wstać z łóżka i podejść do drzwi, ale nie jest w stanie zrobić kroku, osuwa się na kolana.

Daję znak Vangelisowi, by posadził go z powrotem na łóżku, i wyciągam kolejną bluzkę z walizki Walentyny (gruby błękitny len, dekolt w karo), a potem moczę pod kranem. Michaił przytomnieje pod dotknięciem wilgotnego materiału. Każę mu zdjąć zakrwawioną kurtkę i przemywam okolice rany. Przynajmniej krew nie tryska, tylko się sączy, ale i tak potrzebne będzie szycie. Jak tylko skończy się ta rozróbka na ulicy, pošlę Vangelisa po lekarza. O ile w ogóle mają lekarza w takiej dziurze – jeśli nie, trzeba będzie gdzieś pojechać.

Właściwie to nawet dobrze się składa: Walentina odholuje Michaiła do lokalnego szpitala, a ja w tym czasie ruszę do Grecji, sama. Pojadę do Ankary, nakłamię w ambasadzie o jakimś superważnym projekcie i podam zamiary na Konstantinosa. Może uda mi się załatwić paszport w trybie ekspresowym i przez ten czas skończy się strajk na lotnisku.

Cholera, przypomina mi się, że nie mam pieniędzy! Będę musiała pożyczyć od Vangelisa. On nigdy nie śmierdział groszem, ale parę stów na pewno wyciągnie. Powinno wystarczyć na samolot i transport z Aten do Orchomenos. A jak już znajdę złote runo, zadzwonię do Konstantinosa i on będzie dalej martwił się o kasę. O ile Martin nie znajdzie runa przede mną... Spokojnie, jest jeszcze reguła numer cztery: zawsze trzeba próbować, nawet na łożu śmierci.

Dobra, po kolei. Najpierw muszę pozbyć się narzuconego przez Konstantinosa ogona, potem namówić Vangelisa na pożyczkę i dojechać do Ankary... A jeszcze wcześniej trzeba znaleźć Walentinę.

Vangelis też tak uważa.

– Martwię się o twoją studentkę – mówi. – A co, jeśli ona tam oberwała?

– Muszę ją znaleźć – jęczy Michaił i odsuwa moją dłoń z mokrą bluzką. – Może coś się stało.

Wyciągam z walizki trzeci ciuch (podkoszulek, zwykła kremowa bawełna,

bardzo dobrej jakości), składam go i przyciskam do rany.

– Trzymaj. Ty i tak nigdzie nie pójdziesz. Vangelis jej poszuka.

– Tak, niech on leży. Ja pójdę, nie ma sprawy.

Wychodzi na korytarz i zamyka za sobą drzwi. Michaił podciąga się na łóżku i opiera o ścianę. Niespokojnie zerka w stronę wejścia, chociaż musi przy tym przekrzywiać głowę, co na pewno go boli. Nie musimy długo czekać, Vangelis po chwili staje w drzwiach. Sam.

– Jest niedobrze – stwierdza i naprawdę wygląda na przejętego. – Nie da się wyjść. Wystawiłem tylko głowę, a i tak musiałem ją od razu cofnąć. Ciągłe czymś rzucają i w powietrzu jest pełno gazu. Trzeba trochę poczekać.

Michaił zrywa się i natychmiast zatacza na ścianę. Spod podkoszulka, który przyciska do szyi, znowu płynie strużka krwi.

– Siadaj – mówię. – Nie pomożesz jej, jeśli zemdlejesz na schodach. Poszukamy jej za kilka minut.

Jednak chłopak dalej stoi oparty o ścianę. Przez otwarte okno, które wychodzi na podwórze, nie czuć zapachu gazu, ale słychać odgłosy rozróby na ulicy.

– Takie awantury nie trwają długo – pociesza go Vangelis. – Jeszcze parę minut i będzie po krzyku. Ci pieprzeni ekolodzy wsiądą do autobusu i odjadą, a my spokojnie poszukamy Walentyny. Na pewno gdzieś się schowała, może po prostu w sąsiednim domu. Jak się uspokoi, sama tu przyjdzie.

Z tonu jego głosu wyczuwam jednak, że się martwi. Co chwilę zerka na zegarek. On już widział we wsi rozróby w wykonaniu ekologów. Może naprawdę Walentinie stało się coś złego... Michaił zaciska usta w białą kreskę. Wiem, o czym myśli. Co, jeśli upadła i leży na ulicy? Miała botki na obcasach, a asfalt w Boğazkale nie wygrałby nagrody na najgładszą nawierzchnię w centralnej Anatolii. Ale brakuje mu sił, żeby jej szukać. Stracił naprawdę sporo krwi. Opiera się o ścianę ramieniem, potem plecami, w końcu osuwa się i siada na podłodze.

Czekamy. Ja przy oknie nad słuchuję odgłosów awantury, które wciąż nie cichną, Michaił na podłodze obok drzwi zaciska palce na podkoszulku, a Vangelis na łóżku denerwująco bębni palcami w ramę. Odwracam się, żeby kazać mu przestać, i wtedy ktoś stuka do drzwi.

Mój mózg potrzebuje ułamka sekundy, żeby się zdziwić, dlaczego Walentyna puka, zamiast po prostu wejść. Ale w ciągu tego ułamka sekundy dzieją się dwie rzeczy.

Michaił jest najbliżej. Podrywa się, naciska klamkę.

I to jego trafia pierwsza kula, a potem druga.

Odwracam się od okna i zastygam w bezruchu. Gdybym była komandosem albo weteranką walk w jakimś zapyziałym kraju Bliskiego Wschodu, pewnie od razu rzuciłabym się na podłogę i próbowała ukryć za łóżkiem. Ale jestem tylko archeolożką, która żyje z kradzieży zabytków. Pracuję w bibliotekach i muzeach, a do moich akcji potrzebne są wiedza i spryt (nigdy nie byłam skromna, nie wymagajcie tego ode mnie akurat w takiej chwili), nie instynkt walki. Stoję więc, gdzie stałam, i gapię się na otwarte drzwi.

Wchodzi przez nie napakowany łysy osiłek, typowy bandzior, tyle że w garniturze i eleganckich butach. Przesłupuje ciało Michaiła i mierzy do mnie z pistoletu, który trzyma w obu dłoniach. Ze strachu i tak nie mogę wykonać ruchu, więc bierze na muszkę Vangelisa, a kiedy upewnia się, że i on nie zaatakuje, obraca się, pochyla nad Michaiłem i pakuje jeszcze jedną kulę prosto w jego czaszkę.

Podnoszę dłoń do ust. Chętnie zaczęłabym wrzeszczeć, ale nie mogę wydobyć głosu. Chociaż łóżko zasłania mi widok na rozłupaną czaszkę Michaiła, widzę powiększającą się na wykładzinie ciemną plamę. Mężczyzna z pistoletem znowu do nas mierzy, kopie ciało chłopaka, a potem odsuwa się od ściany.

Do pokoju wchodzi drugi mężczyzna. Też ma garnitur, ale w odróżnieniu od bandziora z drogiego materiału (złodziejka musi umieć ocenić tkaninę na pierwszy rzut oka – informacja o tym, ile ktoś, z kim mamy do czynienia, jest gotów wydać na ciuchy, bywa przydatna). Tylko krój jest przesadzony, prążki na wełnie zbyt wyraźne, spodnie za szerokie, krawat za jaskrawy, zegarek na przegubie zbyt złoty i tak samo spinki w mankietach. Wygląda jak stereotyp bankiera. Na oko ruskiego bankiera.

Nieładnie jest ulegać stereotypom i szufladkować ludzi na pierwszy rzut oka, na przykład po ich krawatach albo zegarkach. Nieładnie, ale praktycznie. Bo kiedy facet się odzywa, jego angielski jest dobry, tylko zdecydowanie za miękki i dziwnie akcentowany.

– Gdzie ona jest? – pyta.

Żadne z nas się nie odzywa. Ja dlatego, że nadal nie mogę wydobyć z siebie głosu, a Vangelis z tylko sobie znanego powodu. Facet daje osiłkowi znak, by zamknął drzwi. Tamten musi najpierw przesunąć ciało Michaiła, które blokuje skrzydło. Robi to nogą.

– Gdzie ona jest? – pyta znów facet.

Bandzior mierzy z pistoletu na zmianę do mnie i do Vangelisa, pokazuje, że to nie żarty. Niepotrzebnie się wysiła, już to wiemy.

– Kto? – chrypię wreszcie.

– Walentina.

Dostaję ataku kaszlu. Facet w garniturze przygląda się mi i spokojnie czeka,

aż skończę. Nie spuszcza ze mnie wzroku, muszę coś powiedzieć.

Reguła numer sześć: rznij głupa, jak długo się da.

– Jaka Walentina? – Zęby szczękają mi ze strachu, gdy spojrzenie mężczyzny pada na stertę ubrań rozwalonych na łóżku. – To moje rzeczy.

– Nie pasują na ciebie, za małe.

Nawet nie wziął żadnej do ręki, musi mieć niezłe oko.

Okej, rznienie głupa odpada, czyli czas na regułę numer dwa: pół prawdy i pół kłamstwa. Ale jestem za bardzo przerażona, żeby wymyślić dobre kłamstwo. Mówię całą prawdę:

– Nie wiem.

Facet bierze moje słowa za lekceważenie. Niesłusznie, z chęcią bym mu wyjaśniła, gdyby jego goryl znowu we mnie nie celował. Ruski bankier odwraca głowę i przygląda się przez chwilę Vangelisowi, a potem przenosi spojrzenie na mnie.

– Jeśli nie powiesz, zabiję twojego przyjaciela. Ale nie od razu. Najpierw mój ochroniarz przestrzeli mu rzepki kolanowe, jedną po drugiej, potem strzeli w genitalia, w brzuch, a potem...

Bandzior przesuwa lufę i z twarzy Vangelisa odpływa krew. Podnoszę obie ręce.

– Nie musisz nam grozić. Nie wiem, gdzie ona jest – mówię powoli. Tylko w ten sposób jestem w stanie zebrać myśli. – Na ulicy są jakieś zamieszki. Latają kamienie i koktajle Mołotowa. Uciekaliśmy i Walentina się zgubiła.

– Nie ma jej na ulicy – odpowiada spokojnie facet w garniturze.

No tak, gdyby była, nie szukałby jej w pokoju.

Jestem zmęczona, spocona, brudna i we wczorajszych ciuchach. Głodna, bo nic nie jadłam od śniadania, spragniona, bo wodę z kranu w centralnej Anatolii mogę pić na krótko przed śmiercią z odwodnienia, ale wcześniej to nie. I naprawdę nie mam bladego pojęcia, gdzie może być ta cholerna Walentina! To ostatnie wypowiadam na głos.

– Jesteś ostatnią osobą, która ją widziała.

Nielogiczne. Z pewnością cała masa osób widziała ją po mnie, tylko nie wiadomo, gdzie one są. Ale tego już nie mówię. Jestem za bardzo zajęta przyglądaniem się pistoletowi. Bandzior opuszcza go dopiero, kiedy mężczyzna posyła mu spojrzenie, ale nadal trzyma broń w obu dłoniach.

– Więc nie wiesz, gdzie jest ani kiedy wróci?

– Nie wiem. – Lufa pistoletu znowu się unosi. – Naprawdę nie wiem! Mam nadzieję, że zaraz tu będzie!

Facet podchodzi do łóżka, jedną ręką podnosi mój plecak i odwraca go do góry dnem. Portfel Petrosa i jego paszport, okulary przeciwsłoneczne, dwa długopisy, ładowarka do komórki i sama komórka wypadają na nieświeżą narzutę.

Złota plakietka na szczęście tkwi w bocznej kieszeni.

– Czyj to dokument? I gdzie jest twój? – Facet otwiera paszport Petrosa.

– Ukradziono mi.

Znowu mówię całą prawdę, ale on tego nie docenia.

– Nie kłam.

– Nie kłamię. Ukradziono mi paszport w Ankarze, a ten należał do mojego znajomego, który... który w tej chwili go nie potrzebuje.

Przynajmniej nie drąży dalej, tylko ruchem głowy daje znak gorylowi, a ten pokazuje lufą pistoletu, żeby Vangelis opróżnił kieszenie. Mój przyjaciel grzecznie wyjmuję klucze, komórkę, paczkę gumy do żucia i paszport. Rzuca wszystko na łóżko, ale tylko jedna rzecz wzbudza zainteresowanie mężczyzny. Schyla się, podnosi paszport i kartkuje.

– Vangelis Paschalidis. Grek. Co robi Grek w małej wiosce w środku Turcji?

Vangelis milczy. Szybko odpowiadam za niego, bo nie podoba mi się sposób, w jaki kłykieć bandziora bieleje na cynglu.

– Jesteśmy archeologami. Vangelis jest szefem misji archeologicznej w Hattusas.

Zero komentarza. Może wie, że misje archeologiczne są międzynarodowe i Grek w Turcji to nic dziwnego. A może nic go to nie obchodzi.

– A ty?

– Ja też jestem archeologiem. Przyjechałam zwiedzić stanowisko.

– Jak się nazywasz?

To już naprawdę szczyt chamstwa. W normalnych warunkach oczekuję, że mężczyzna przedstawi się pierwszy, choć w normalnych warunkach nie zaglądam raczej w lufę pistoletu. Więc podaję moje imię i nazwisko. Mężczyzna długo przygląda się zdjęciu w paszporcie Vangelisa, ale nie znajduje nic, co by wzbudzało podejrzenie. Rzuca paszport na narzutę.

– Możesz to schować. Komórka zostaje. Niech leży tam, gdzie ją widzę. Teraz ty. – Odwraca się do mnie. – Masz jakiś dokument ze zdjęciem?

Kręcę głową.

– Ukradziono mnie – przypominam mu.

– Czyli mam ci wierzyć na słowo, że nazywasz się Simona Brenner, jesteś archeologiem i przyjechałaś zwiedzić wykopaliska?

Nie, zgadza się tylko imię i nazwisko. Poza tym nie jestem jakimś tam archeologiem, tylko najlepszą na świecie znawczynią starożytniej biżuterii, i nie przyjechałam zwiedzać Hattusas, tylko ukraść złote runo. Ale w tej chwili to nieistotne szczegóły.

Przytakuję.

– No dobrze.

Podchodzi do łóżka, tego najbliższej drzwi, pochyla się i uciska dłonią

materac. Nie wygląda na zadowolonego, ale podciąga lekko kanty garniturowych spodni i siada. Daje znak bandzirowi, by stanął przy drzwiach, i spogląda na mnie. Kiedy pochyla się w moją stronę, cofam się, chociaż pachnie przyjemnie, dobrym płynem po goleniu. Kolejna osoba, która pachnie lepiej niż ja.

– Skoro nie wiecie, gdzie jest Walentyna, i mówicie, że się zgubiła, to sobie na nią poczekamy – mówi wreszcie.

Opieram się całym ciężarem o parapet. Teraz, kiedy w pokoju znowu jest cicho, słyszę odgłosy awantury z ulicy. Wydaje mi się, że słabną. Czekamy w milczeniu. Pół godziny później drętwieją mi nogi i siadam na krawędzi łóżka. Osilek przesuwa w moją stronę lufę pistoletu, ale po chwili się rozluźnia. Jego szef nic nie mówi, więc znowu zmieniam pozycję i obejmuję ramionami kolana – to daje mi przynajmniej złudzenie ochrony. Vangelis siedzi tam, gdzie siedział. Już nie bębni palcami w ramę łóżka i w ogóle stara się nie poruszyć. Materac jest nierówny i nie tylko mnie jest niewygodnie, mężczyzna też się wierci. W końcu opiera się o ścianę i podkłada sobie poduszkę pod plecy. Nie obchodzi go, że pogniecie drogi garnitur. Tylko jego goryl stoi bez ruchu. To, zdaje się, można wyćwiczyć. Podobno sekretem jest rozstawienie stóp dokładnie na szerokość ramion, wtedy optymalnie rozkłada się ciężar ciała. Najwyraźniej on tak potrafi.

Czekamy.

Czas mija, a Walentyny wciąż nie ma. Ciekawe, czy wie, że ktoś tu na nią czeka. To akurat nie moje zmartwienie, mam inne problemy. Naprawdę chcecie, bym je streściła w jednym zdaniu?

Proszę bardzo. Michaił nie żyje, bandzior w każdej chwili może znowu zacząć celować do mnie z pistoletu, a ja muszę jak najszybciej się stąd wydostać i znaleźć złote runo, zanim wpadnie w ręce Martina.



Czekamy długo, bardzo długo. W żołądku mi burczy, a kiedy przestaje, suchy język przykleja się do podniebienia. Jakoś nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy moment na prośbę o catering.

Ściemnia się. Powoli przestaję odróżniać kontury łóżek i umywalki. W całkowitej ciszy, jaka panuje w pokoju, słyszę jedynie brzęczenie muchy. Nie widzę jej, ale na tyle znam się na biologii, by wiedzieć, że przyleciała zwabiona delikatnym (na razie) odorem rozkładających się już zwłok Michaiła. A niedługo przylecą następne.

Podnoszę się z łóżka i bandzior przy drzwiach wreszcie się porusza. Wyglądam przez okno, nad słuchuję. Na zewnątrz też zapanowała cisza. Ekolodzy i ludzie od kopalni albo się pozabijali, albo odjechali.

– Długo jej nie ma – zagaja mężczyzna tuż za mną.

– Nie jestem jej matką, ciotką ani żadną krewną. Przyjaciółką też nie, więc nie wiem, co jest grane. Może się rozmyśliła i pojechała gdzieś indziej, bo hotel jej nie pasuje – odpowiadam ze złością. Kiedy jestem zła, nie staram się być miła. Zwłaszcza kiedy ktoś do mnie celuje z pistoletu.

Nie robi to na nim wrażenia, spogląda za to na Vangelisa.

– Może twój przyjaciel wie, gdzie ona jest?

Jest za ciemno i nie mogę dostrzec, czy Vangelis nadal jest taki blady. W każdym razie nie odpowiada. Znowu robię to za niego.

– Wątpię. On pracuje w miejscowej misji archeologicznej i pierwszy raz w życiu widział Walentinę dzisiaj rano. Ona przyjechała tu ze mną.

I z Michaiłem, chcę dodać, ale się powstrzymuję.

Facet przygląda się Vangelisowi, a potem mnie.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Kompletnie przegapiłam moment, w którym przeszliśmy na ty – warczę. – Dużo się ostatnio dzieje w moim życiu i jakoś nie mogę sobie przypomnieć, kiedy to było.

O dziwo, nie każe mnie od razu zastrzelić. Na jego twarz wypływa nawet coś w rodzaju uśmiechu, chociaż może tylko tak mi się wydaje w półmroku.

– Nie wyglądasz mi na zwykłą archeolożkę.

Bo nią nie jestem.

– Nie wiem, jak wygląda zwykła archeolożka. – Wzruszam ramionami. – Wydaje mi się, że mniej więcej tak jak ja.

Znowu się uśmiecha. Bawi go ta rozmowa ze mną czy co?

– Moim zdaniem to dość logiczne, że jeśli nie pojawiła się do tej pory, już nie przyjdzie. – Staram się pilnować głosu, żeby nie drżał. – Albo oberwała tam na zewnątrz i jest w szpitalu, albo zorientowała się, że czeka na nią ktoś

z odbezpieczonym pistoletem, i zwała. Tak czy inaczej nie mogę wam pomóc, więc może się pożegnamy. Wy sobie w spokoju sami poszukacie Walentyny, bo ja mam dużo pilnych spraw do załatwienia.

Zapada cisza, ale nie na długo.

– Mówisz, że przyjechała tu z tobą? Dlaczego?

Przez tego głupiego Konstantinosa. Och, moje życie byłoby naprawdę łatwiejsze bez tego człowieka! Mimowolnie wzdycham, a on przygląda mi się z zaciekawieniem.

– Walentyna i... i Michaił to studenci archeologii. Przyjechali tu ze mną, bo bierzemy udział w projekcie naukowym.

To nawet prawda. Mniej więcej.

– Skąd przyjechaliście?

– Z Moskwy. – W tym przypadku nie mam powodu, by kłamać. Ani by mówić całą prawdę o Arkaim, złotym runie, Petrosie, Rudence i tak dalej. – Oni tam studiują... studiowali...

– Skoro Walentyna już tu nie wróci, to dokąd pojechała? – pyta spokojnie facet. – Kogo tu zna? Do kogo mogła się zwrócić?

Na wszystkie te pytania mam dokładnie taką samą odpowiedź. Na wiele innych też. „Nie wiem”. Nie wypowiadam jej jednak na głos. Patrzę na ciemny zarys zwłok Michaiła, a potem odwracam się do okna. Na dworze jest jaśniej niż w pokoju, ale graty na podwórku też zaczynają zatracać kontury. Niedługo zapadnie ciemna, bezksiężycowa noc.

Cała sytuacja jest jak z filmu, nie sądzicie? Przyjeżdżamy do spokojnej wsi (no dobra, niezbyt spokojnej, ale to wewnętrzne sprawy miejscowych) tylko po to, by znaleźć i ukraść złote runo. I nagle okazuje się, że runa tu nie ma, Walentyna zniknęła, Michaił nie żyje, a ja zostałam uwięziona w najbrudniejszym pensjonacie świata razem z Vangelisem, któremu spieszyło się do pracy. Teraz chyba już mu się nie spieszy. Nawet w półmroku widzę jego zaciśnięte w pięści dłonie i słyszę przyspieszony oddech. A poza tym każda chwila spędzona w tym zapyziałym pokoju, gdzie mimo otwartego okna od oddechów czterech osób zrobiło się już duszno, daje przewagę Martinowi.

I wtedy przychodzi mi do głowy pomysł. Zanim nazwiecie go głupim, zastanówcie się, czy w tych okolicznościach sami wymyślilibyście coś lepszego.

Kiedy odwracam się od okna, facet w garniturze się porusza – bardziej to słyszę, niż widzę, bo tylko jego jasna koszula odznacza się na tle ciemnego pokoju. Przez chwilę wpatruję się w miejsce, gdzie powinna być jego twarz. Chcę trochę podkreślić atmosferę. I mówię:

– Chyba wiem, gdzie ona może być.

Zasada numer cztery: zawsze trzeba próbować. Zawsze! Nawet na łożu śmierci. A to, zdaje się, sytuacja, jaką aktualnie mamy.

Kiedy mężczyzna wstaje, sprężyny trzeszczą, a biała plama koszuli się unosi. Zatrzymuje się naprzeciwko mnie, dzięki czemu przynajmniej w świetle szarzejącego dnia widzę jego twarz. Biorę głęboki wdech. Mieszanka kłamstwa i prawdy, mieszanka kłamstwa i prawdy.

– Wie pan, oczywiście, gdzie teraz jesteśmy?

Nieruchomieje, jakbym zasugerowała, że może na Marsie.

– W Bożazkale – mówi niepewnym głosem, który do niego nie pasuje.

– A wie pan też, że tu są słynne wykopaliska archeologiczne?

– Stolica królestwa Hetytów, Hattusas.

O rany! Widocznie, kiedy bandzior na jego rozkaz załatwia ludzi, facet ma czas, żeby skoczyć do biblioteki. Szykowałam się na długie i skomplikowane tłumaczenie, więc przez chwilę muszę pozbierać myśli, zanim przejdę do sedna.

– Zna pan mit o złotym runie? – Ryzykuję jeszcze jedno pytanie.

Jest już mocno zdezorientowany, ale ciągle odpowiada na moje pytania i to jest dobry znak.

– Pamiętam trochę ze szkoły. Argonauci, prawda?

Kiwam głową. Nawet nie ukrywam, że jestem pod wrażeniem. Cyngiel na każde skinienie plus duża kasa (patrz: garnitur i buty) i klasyczne wykształcenie. Gdyby nie okoliczności, zastanowiłabym się poważniej nad randką.

– Nie interesuje mnie, dlaczego szuka pan Walentyny. – Unoszę dłoń, bo facet otwiera usta. – Ale skoro zna pan jej imię, to zapewne wie też o niej kilka innych rzeczy. Na przykład, że jest doktorantką archeologii na uniwersytecie moskiewskim. I prawdziwą pasjonatką.

Hm. Miejmy nadzieję, że jednak nie zna jej aż tak dobrze, bo pasjonatką to ona jest, ale głównie drogich i dobrze skrojonych ciuchów.

Facet zamyka usta i kiwa głową.

– No więc dobrze, przyznam się. Okłamałam pana. – Czekam na jego reakcję, niepotrzebnie. Nie odzywa się ani słowem. – Nie przyjechaliśmy tutaj zwiedzać stanowiska i nie mamy wspólnego projektu naukowego. – Biorę głęboki wdech. – Walentyna szuka złotego runa.

Mężczyzna wciąż nie reaguje. Mówię dalej:

– Pewnie zaraz pan powie, że złote runo to tylko mit. Ja też tak uważam. – No mówiłam przecież: mieszanka prawdy i kłamstwa. – Ale ona najwyraźniej jest przekonana, że istnieje naprawdę. Szuka go. Jeśli więc znajdzie pan złote runo albo przynajmniej drogę do niego, znajdzie pan Walentinę.

Będę miała dużo szczęścia, jeśli to kupi. Naprawdę bardzo dużo szczęścia.

Facet spogląda na moją uniesioną dłoń, więc szybko ją opuszczam.

– Wiem, że ona jest pasjonatką starożytności. – Chrząka, by oczyścić gardło.

– To nawet prawdopodobne, że wymyśliła sobie jakiś mit i za nim goni.

Rany, jednak mam bardzo dużo szczęścia! Ktoś wie, gdzie znajduje się

najbliższa kolektura lotto?

– To gdzie jest złote runo? – pyta.

Wzruszam ramionami. Tę informację muszę mu sprzedawać naprawdę powolutku.

– Nie wiem – odpowiadam, a gdy ogląda się i sprawdza, czy oprych nadal stoi pod drzwiami, dodaję szybko: – Mam jednak pewne przypuszczenia, gdzie Walentina będzie go szukać. To tylko przypuszczenia – zastrzegam.

Mężczyzna w garniturze daje mi znak, żebym mówiła dalej. Zastanawiam się, ile mu zdradzić.

– Walentina najpierw myślała, że runo jest gdzieś w rejonie stepów, na pograniczu dzisiejszej Rosji i Kazachstanu. Spotkałyśmy się tam na konferencji archeologicznej. – Jak na razie, sama prawda. Facet może sobie sprawdzać, jeśli chce. – To był jednak fałszywy trop. Znalazła pewne dowody, które doprowadziły nas tutaj, do hetyckiej twierdzy, ale to również była ślepa uliczka. Mój przyjaciel Vangelis potwierdził, że cały teren stanowiska został przebadany wykrywaczem metalu, więc gdyby runo rzeczywiście tu było, to już dawno by je znaleźli.

Vangelis porusza się w ciemności. Próbuję przekazać mu mentalny sygnał „trzymaj gębę na kłódkę i zostaw mówienie mnie”, co chyba się udaje, bo milczy.

– Skórę barana znaleźliby za pomocą wykrywacza metali? – pyta zdziwiony facet.

O rany, czy ja naprawdę muszę to tłumaczyć jeszcze raz, każdemu z osobna?

– Nie skórę barana, tylko sztabę w kształcie skóry zwierzęcia, wykonaną z czystego złota. Jediną taką sztabę na świecie. – Nie odpowiada, więc pewnie przyjął tę informację do wiadomości. – Kiedy się okazało, że złotego runa tutaj nie ma, zrobiliśmy burzę mózgów i doszliśmy do wniosku, że musi być w Orchomenos, w Grecji. To by dokładnie odpowiadało mitowi, zgodnie z którym Jazon powrócił z runem do domu.

Mężczyzna kiwa głową. Zupełnie jakby wiedział, o czym mówię.

– Właśnie się zastanawialiśmy, jak się tam dostać, bo na lotnisku w Ankarze jest strajk celników. – Znowu sama prawda. – I wtedy rozpętała się ta afera z ekologami i rzucaniem koktajli Mołotowa na ulicy, a Walentina zniknęła.

W ciszy, jaka zapada w pokoju, odmawiam dziękczynny paciorek za to, że Vangelis nie próbuje sprostować mojej wersji i w ogóle się nie odzywa.

– Może zauważyła pana na ulicy i dlatego postanowiła nie wracać do hotelu. Pewnie jest już w drodze do Grecji. Paszport miała w plecaku.

– A pani?

O, to już nie jesteśmy na ty?

– Co ja?

– Walentina szuka złotego runa, to akurat jestem w stanie zrozumieć. Ale pani opowiada tę historię w liczbie mnogiej: „doszliśmy do wniosku”,

„zastanawialiśmy się”, „pojechaliśmy”.

Bo to ja szukam złotego runa! Ale tego przecież nie powiem.

– To długa historia.

– Mam czas.

Ja nie! No trudno, znowu będzie trzeba nakłamać.

– Niechętnie to mówię... Dałam się Walentinie wciągnąć w tę całą historię ze złotym runem. – Odpędzam kolejną muchę, która przelatuje obok mojej głowy. Trzeba stąd spadać, zanim przyleci ich kilkadziesiąt. – Miałam nadzieję, że to będzie sensacja archeologiczna. I bardzo tego teraz żałuję, może mi pan wierzyć.

– Czy pani naprawdę myśli, że ono istnieje? – pyta cicho facet.

Gdyby nie istniało, Martin nie wydawałby ciężko zarobionych pieniędzy na gonitwę za mitem przez pół Azji i Europy.

– To prawdopodobne.

– Prawdopodobne?

– Prawdopodobne, do diabła! To nie matematyka. Mogę się mylić. – Robię pauzę, po czym dodaję: – Ale może się też okazać, że mam rację.

– No to go poszukajmy. Przynajmniej znajdziemy Walentinę.

– Razem? Ja i pan? – udaję zdziwioną. Nie mogę przecież podskoczyć i krzyknąć: „Hura, nareszcie pan załapał, o co mi chodziło! Oby pana prywatny odrzutowiec czekał w Ankarze, a jego obsługa nie brała udziału w strajku. A, i oby miał pan na lotnisku dostęp do specjalnej ścieżki dla VIP-ów, gdzie nikt nie będzie pytał mnie o paszport!”. Zamiast tego mówię: – Już panu powiedziałam, dałam się jej wciągnąć w tę aferę, ale wystarczy. Nic więcej nie wiem. Proszę pozwolić nam odejść.

Vangelis znowu porusza się na swoim łóżku. Mogłabym się jeszcze rozplakać, żeby wypadło bardziej autentycznie, ale nie chcę przesadzić. Mężczyzna przez chwilę milczy. No nie, chyba nie da się nabrać na tak głupi tekst.

Oddycham z ulgą, kiedy wreszcie się odzywa:

– Pojedziecie ze mną.

I to jest koniec dyskusji. Bandzior otwiera drzwi i światło korytarza wpada do pokoju, aż muszę zmrużyć oczy. Daje znak pistoletem, żebyśmy się ruszyli. Jego szef przestępuje przez ciało Michaiła, a ja jednym ruchem podnoszę z łóżka mój plecak. Tym samym jednym ruchem odczepiam od kabla komórkę Walentyny i wsuwam do kieszeni spodni. Mój wzrok zatrzymuje się na plamie krwi, która wsiąkła w wykładzinę.

– Nie... nie zostawicie go tu chyba.

Nie wiem, czy ten mięśniak w ogóle mówi po angielsku, ale jego szef tak, odbyliśmy przecież długą konwersację. Jednak w tej chwili patrzy na mnie, jakby nie rozumiał.

– No nie możecie go tak zostawić. – Mój głos zaczyna brzmieć histerycznie,

więc odchrząkuję. – Wszyscy wiedzą, że to my wynajęliśmy ten pokój. Poza tym właściciel pensjonatu na pewno zna Vangelisa, szefa wykopalisk, na małych wsiach wszyscy się znają. Wezwie policję.

Mężczyzna jest naprawdę zdziwiony. Jakbym podczas eleganckiej kolacji zwróciła mu uwagę, żeby nie dłużył w nosie.

– Proszę się nie obawiać – mówi w końcu. – Anatolij się tym zajmie.

Waham się przez chwilę, ale w końcu dochodzę do wniosku, że to nie mój problem. Poza tym frapuje mnie coś innego. Co takiego zrobiła Walentina, że ten facet, by ją odnaleźć, jest gotów uwierzyć w każdą głupotę osobie, którą widzi pierwszy raz w życiu?

No i czym ja się martwiłam? Trupem zostawionym w pokoju pensjonatu? Naprawdę zmęczenie odbiera mi rozum. Przecież od początku powinno być dla mnie jasne, że mężczyzna z rosyjskim akcentem, w garniturze wartym niewiele mniej niż diadem Heleny, z krawatem, na który poszłaby większość kasy, jaką otrzymałam za kolczyki z Arslantepe, i ze spinkami stanowiącymi mniej więcej równowartość zawieszki z Nablusu, nie podróżuje w jednoosobowej obstawie.

Drugi, równie elegancki goryl czeka na korytarzu. Anatolij wydaje mu polecenie i obaj spoglądają na ciało Michaiła – krótko jak fachowcy, wiedzą, co robić. Zamykają za sobą starannie drzwi od pokoju i idą przodem. Ten pierwszy trzyma się blisko swojego chlebodawcy, a kiedy wychodzimy na zewnątrz, drugi przyciska właściciela pensjonatu do ściany i coś mu tłumaczy. Twarz właściciela jest biała jak śnieg, którego pewnie nawet w życiu nie widział. Poza nim na dole nie ma nikogo. Zniknęli mężczyźni od stolików na zewnątrz, bitwa na kamienie i koktajle Mołotowa już się zakończyła. Szosa jest usłana potłuczonym szkłem. Jeden z białych busików oberwał i trochę się nadpalił, ale chyba tylko z zewnątrz. Drugi odjechał, tak jak autobus. Na asfalcie widzę ciemną plamę. Przypomina krew, ale nie podchodzę, by sprawdzić. Jak okiem sięgnąć, nie ma ani jednego człowieka, zwierzęcia też. Jakby cała wieś wymarła.

Na poboczu nadal stoi czarny SUV z przyciemnianymi szybami. Goryl otwiera drzwi i pokazuje nam, że mamy wsiąść. Samochód jest ogromny, dwie osoby na tylnym siedzeniu muszą do siebie krzyczeć. Facet w garniturze opiera się o maskę i wyjmuje z kieszeni komórkę. Bandzior czeka obok, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Pistoletu nie widzę, co nie znaczy, że go nie ma.

– Simona.

Odwracam głowę i spoglądam na Vangelisa, to znaczy w jego kierunku. Chociaż na dworze nie zapadła jeszcze noc, w samochodzie jest całkiem ciemno, ale i tak domyślam się, że Vangelis jest tak samo blady jak wcześniej.

– Simona, co się dzieje? Co to za ludzie?

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami.

To akurat prawda.

– Ale o co tu chodzi? Dlaczego zabili tego chłopaka? Dlaczego szukają tej dziewczyny? Czy ty ich znasz?

Gdyby słuchał moich odpowiedzi, zrozumiałby, że pod słowami „nie wiem” kryje się też „nie znam ich”. Ale jest zdenerwowany, nie winię go. Zerkam na zewnątrz. Nic się nie zmieniło. Osilek nadal pilnuje swojego szefa, który odszedł kilka kroków i rozmawia przez komórkę.

Vangelis zaciska palce na zagłówku siedzenia pasażera.

– Simona, ten facet zabił twojego studenta. Po prostu go zastrzelił. Zastrzelił

go jak... – Szuka odpowiedniego porównania i nie znajduje.

– Widziałam.

– A potem kazał nam siedzieć w pokoju z trupem!

– Byłam przy tym, do cholery!

Znowu zerkam na zewnątrz, ale bandziora nie interesuje nasza rozmowa.

– A jeśli nas też zabije?

Cały czas zadaję sobie to samo pytanie i nie znajduję na nie odpowiedzi.

– Uspokój się, Vangeli. Wszystko będzie dobrze. – Jednak nawet siebie nie przekonałabym takim tekstem.

– Co dobrze? Co dobrze?! – krzyczy, a gdy mięśniak odwraca głowę w naszą stronę, ścisza głos. – Co dobrze? Coś ty mu naopowiadała o jakimś złotym runie?

To co zwykle: mieszankę prawdy i kłamstwa. Jak widać, zadziałała po raz kolejny. Ale Vangelisa to chyba nie przekonało.

– Najważniejsze, żebyśmy wyszli z tego cało. Po prostu zachowaj spokój, dobrze?

– Spokój? Spokój? – Jego głos staje się piskliwy. – Widziałas tego trupa? Co ten facet sobie wyobraża? Że pojedziemy z nim do Grecji?

Mam taką nadzieję.

– Ja przecież nie mogę. Jestem szefem wykopalisk, a nie żadnym... żadnym...

– Znowu brakuje mu słowa. – Nie mogę nigdzie jechać. Mam tu robotę do skończenia. Będą mnie szukać!

Nie sądzę, żeby to jakoś szczególnie martwiło tego faceta na zewnątrz. Pochyliam się i zaciskam palce na dłoni Vangelisa.

– Uspokój się, Vangeli. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Dyszy jeszcze przez chwilę, jakby właśnie wrócił z treningowej rundki dookoła cytadeli, aż w końcu jego oddech się uspokaja.

– Ta twoja studentka... Walentina...

– Tak? – Staram się nadać mojemu głosowi kojące brzmienie.

– Dlaczego on jej szuka?

Już zadał to pytanie i udzieliłam mu odpowiedzi, ale co mi szkodzi, powiem „nie wiem” jeszcze raz.

– A jeśli on chce jej zrobić krzywdę?

Na pewno chce. Z dwoma cynglami raczej nie szuka dziewczyny tylko po to, by powiedzieć, że zapomniała zakręcić kran i zalała sąsiadów.

– Powinniśmy jej jakoś pomóc.

– Vangeli, ja wiem, że ona ci się podoba...

– To nie o to chodzi!

– ...ale jej tu nie ma. Naprawdę nie wiem, gdzie jest. Zniknęła. To jak chcesz jej pomóc?

– Powinniśmy skierować tych... tych zabójców na fałszywy trop.



Przecież właśnie to robię!

– A co będzie, jeśli się zorientują? – pytam. – Zabiją nas albo okaleczą. Słyszałeś, co ten facet mówił tam, w pokoju.

Vangelis zwiesza głowę.

– Słyszałem. I boję się, jak cholera. Tylko nie mogę przestać myśleć o tym chłopaku. Oni go po prostu zastrzelili. A jeśli na naszych oczach zastrzelą też Walentinę?

– Żeby to zrobić, muszą ją najpierw znaleźć – pocieszam go. – Może nigdy im się to nie uda.

Słaba pociecha, ale chwilowo musi wystarczyć.

Mężczyzna chowa komórkę do kieszeni i siada z przodu, na siedzeniu pasażera. Cyngiel wciska się do tyłu pomiędzy mnie a Vangelisa. Chwilę czekamy na drugiego bandziora, który zapewne instruuje właściciela pensjonatu, jak pozbyć się zwłok. Nie trwa to długo. Kiedy wreszcie przychodzi, siada za kierownicą i ruszamy.

– Ma pan coś wspólnego z tymi ekologami? – rzucam do jego szefa, a on odwraca do mnie głowę. Jego oczy jarzą się w świetle kontrolki tablicy rozdzielczej.

– Jestem właścicielem kopalni.

Słyszę głęboki wdech Vangelisa.

– Tej kopalni, która ma zniszczyć środowisko naturalne i otoczenie najważniejszego w Turcji stanowiska archeologicznego? – upewniam się.

– Proszę pani. – Chyba już definitywnie porzucił mówienie do mnie per ty. – Pani się zna na archeologii, ja na wydobywaniu minerałów. Nie podważam pani wiedzy, proszę więc nie podważać mojej.

Jak grzecznie! Niestety nie jestem w nastroju, żeby odwzajemnić się tym samym.

– Właściciel kopalni, który goni studentkę archeologii. Ciekawe.

On jednak nie podejmuje wątku, a ja boję się pytać dalej. Osuwam się z powrotem na oparcie. Tak naprawdę wcale mnie to nie interesuje, ale reguła numer siedemnaście głosi: zbieraj jak najwięcej informacji, zawsze mogą ci się przydać.

SUV jest słabo amortyzowany, wczepiam się w uchwyt nad oknem, bo kierowca nie zwalnia nawet na zakrętach. I cały czas zastanawiam się, czy wykonałam genialne posunięcie, które pomoże mi szybciej odnaleźć złote runo, czy popełniłam największy błąd w życiu.

Pogoń za skarbem wygląda dobrze tylko na filmach. Widzieliście pewnie nieraz: wskakuje się do samochodu, wciska gaz do dechy, potem biegnie po płycie lotniska, samolot, przesiadka, drugi samolot, w obu podają kawę, znowu samochód i już jesteśmy na miejscu. Odległość dzielimy przez średnią prędkość na godzinę i możemy sobie policzyć, z dokładnością do kwadransa, o której dotrzemy na miejsce.

Tak sobie to wyobrażam, kiedy wyjeżdżamy z Boğazkale. I na początku tak jest. Ruszamy z piskiem opon. Drogę do Ankary pokonujemy w niecałe trzy godziny, chociaż w przeciwną stronę jechaliśmy z Walentyną i Michałem ponad pięć. SUV-y nie słyną z miękkiego zawieszenia, a Turcja z dróg o dobrej nawierzchni. Pod koniec jazdy ramiona bolą mnie od wczepiania się w oparcie z przodu, jakbym łopata wykopała sobie grób.

W Ankarze czeka prywatny samolot, co mnie cieszy z trzech powodów: nie dotyczy nas strajk celników, nie muszę robić żadnych numerów z kanapką i folią aluminiową, żeby przemyścić złotą plaketkę, a trzeci powód do radości powinien być dla was najbardziej oczywisty: mój paszport jest albo w plecaku Martina, albo w jednym ze śmietników w Ankarze. Możemy spokojnie przejść przez lotnisko i nikt nie zawraca nam głowy. Ciekawe, czy każdy rosyjski bankier posiada taką władzę?

Mam jeszcze czwarty powód, żeby się cieszyć: prywatnym samolotem jest szybciej, nie obowiązują nas rejsowe godziny. Same plusy.

Tylko jaką cenę zapłacę za tę luksusową podróż, kiedy okaże się, że w Orchomenos nie ma Walentyny i nigdy jej tam nie było? Cóż, podobno trzeba uczyć się od klasyków, więc pomyślę o tym jutro.

W Atenach na lotnisku czeka kolejny SUV. Ruszamy na północ. W Grecji pobudowali autostrady, kierowca dociska gaz, ruch jest minimalny, momentami przekraczamy dwie stowy, więc w Orchomenos jesteśmy w godzinę. Nie muszę tłumaczyć, gdzie jechać, greckie ministerstwo kultury szarpnęło się na brązowe drogowskazy z białymi literami. Pokazują kierunek do muzeum położonego obok skarbcza Miniasza i do cytadeli z epoki brązu, kawałek dalej, na wzgórzu. Tylko ten pośpiech był całkiem niepotrzebny, bo jest środek nocy – o tej porze nie da się nic zobaczyć ani na wykopaliskach, ani w muzeum. Mimo to wysiadam z samochodu. Goryl chce mnie zatrzymać, ale szef daje mu znak i pozwala mi iść. Podchodzę do bramy zamykającej wejście na dziedziniec muzeum. W świetle sodowej lampy widzę, że jest pomalowana na jasny kolor, ale nie potrafię powiedzieć jaki. Szarpnię bramę, chociaż wiem, że jest zamknięta. Staję na palcach, a potem próbuję zajrzeć przez szczelinę między metalem a murem, by wypatrzeć jakikolwiek promień światła. Dobrze wiem, że to idiotyczne, bo nawet jeśli Martin jest w środku, to

pewnie z latarką z wąskim promieniem, a poza tym okna magazynów nie wychodzą na dziedziniec. Magazyny w muzeach archeologicznych z zasady w ogóle nie mają okien.

Podchodzę do siatki, która ogradza stanowisko. Tam też panuje ciemność, w ruinach nie widać światła latarki ani nawet płomyka zapałki. Mogłabym przeskoczyć przez płot i mimo wszystko sprawdzić, czy gdzieś się nie ukrywa, ale w ten sposób osiągnęłabym tylko jedną z trzech rzeczy: złamałabym nogę, ktoś by mnie zauważył i wezwał policję albo wpadłabym w pułapkę zastawioną przez Martina. Bo nie sądzę, żeby tak łatwo odpuścił sobie grę w Argonautów...

Obejmuję się ramionami i sama przed sobą tłumaczę, że to z zimna, bo tutaj też wieje lodowaty wiatr. A, jest jeszcze jedna rzecz: nie wiem, gdzie szukać złotego runa.

Tak, dobrze zrozumieliście. Jazon przywiózł złote runo do domu, czyli właśnie tu, do Orchomenos. W podzięce za szczęśliwy powrót z wyprawy powiesił runo w gaju Zeusa Lafistiosa. Święty gaj świętym gajem, ale w starożytności też trafiali się złodzieje i złote runo pewnie długo tam nie powisało. Poza tym, jak już się domyśliliście, starożytnego gaju dawno nie ma, został wycięty w pień setki lat temu. Albo nawet tysiące.

No więc założmy, że powiesił je tam na trochę, potem zdjął i zabrał. Dokąd?

Dzisiaj Orchomenos to dziura. Urząd miasta, dwa banki, pięć aptek i kilka supermarketów, które „super” mają tylko w nazwie, a w środku tak mało miejsca, że właściciel wystawia większość towarów na chodnik. Naprawdę trudno uwierzyć, że kiedyś to była metropolia, ale to prawda, mury cytadeli z epoki brązu otaczają teren na oko dwa razy większy od dzisiejszego miasteczka. Siedziba króla, a gdzie król, tam i pałac.

Pałac w Orchomenos został odkopany prawie w całości na początku lat siedemdziesiątych. Gdyby wtedy odnaleziono złote runo, byłby wielki szum – prasa, radio, telewizja (może nawet już kolorowa). Pewnie szarpnęliby się na nowe muzeum i złote runo stałoby w centralnej gablocie, oświetlone ze wszystkich stron, nawet od tyłu. Do Orchomenos waliłyby tłumy turystów, żeby je obejrzeć. No, dzisiaj pewnie byłoby mniej ludzi, bo nie takie rzeczy można zobaczyć na YouTubie bez wychodzenia z domu, ale i tak bym o tym wiedziała. Wiedziałyby też Konstantinos i każdy, kto przynajmniej przez rok studiował archeologię.

Czyli to nie pałac. Nie mam czego szukać na jego terenie.

Z tych samych przyczyn nie jest to pozostała część cytadeli. Co prawda nie odkopano jej w całości (jeśli wybranie ziemi z wykopu cztery na cztery metry zajmuje co najmniej dwa archeologiczne sezony, to policzcie sobie, ile tysięcy potrzeba, by przekopać cytadelę o powierzchni kilku hektarów), ale w Grecji, jak wszędzie, archeolodzy borykają się z problemem nielegalnych wykopalisk i kradzieży zabytków (hm). Ścigają się ze złodziejami, kto pierwszy znajdzie

przynajmniej kilka srebrnych rzymskich monet. Dlatego większość stanowisk bada się wykrywaczami metali, tak jak to zrobił Vangelis w Hattusas. Cytadelę w Orchomenos przebadano podczas wykopalisk w pałacu w latach siedemdziesiątych.

Pozostaje tylko jedna możliwość: Skarbiec Miniasza.

Jak większość rzeczy w archeologii Skarbiec Miniasza został tak nazwany dla zmyłki: to w ogóle nie był żaden skarbiec ani – najpewniej – żadnego Miniasza. Nazwa jednak brzmi fajniej niż „grób tolosowy nieznanego zmarłego”, więc się przyjęła. To ogromny grobowiec z kopułą (która dawno się zawaliła) o średnicy kilkunastu metrów, wzniesiony z kamiennych bloków większych niż ja sama, na planie koła. Problem w tym, że też już został odkopany.

Pracował tam mój stary znajomy, Heinrich Schliemann. Tak, ten sam, który zniszczył pół Troi i kazał sfalszować (co prawda w czystym złocie) najświetniejszą biżuterię świata, diadem Heleny. Schliemann był łasy na złoto. Gdyby odkopał złote runo, na pewno zanotowałby to w swoim dzienniku i pochwaliłby się publicznie...

Albo może nie.

Kiedy pracował w Orchomenos, miał już za sobą aferę ze skarbem Priama. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim znalazł w Troi kilka kilogramów złota w kolczykach, naszyjnikach i diademach. Najświetniejszy skarb starożytności. Fajne odkrycie, tylko więcej z tym było kłopotu niż radości. Schliemann ukrył skarb przed robotnikami i nie zameldował o nim władzom tureckim, chociaż miał taki obowiązek. Połowę złota wywiózł z kraju nielegalnie, drugą połowę ukrył. Zrobiła się z tego wielka afera, a urzędnik, który miał nadzorować wykopaliska (czytaj: patrzeć mu na ręce), poszedł siedzieć na długie lata. Schliemannowi odebrano pozwolenie na prowadzenie wykopalisk, i żeby dostać je ponownie, musiał wyskoczyć z kilku ładniejszych naszyjników i broszek, a i tak do końca życia miał kłopoty z turecką biurokracją.

Nie, nie zaryzykowałby czegoś takiego drugi raz. Jeśli znalazł w Orchomenos złote runo, zawinął je w koc (wersja z szalem jego żony Sofii wykorzystana przy skarbie Priama okazała się za bardzo naciągana) i po cichu zaniósł do domu, a potem ukrył w magazynie, razem z tonami odkopanej ceramiki i innych drobiazgów tak, by nie rzucało się w oczy. I by zawsze mógł po nie wrócić – gdy nadejdą lepsze czasy i urzędnicy nie będą już zabierać człowiekowi z trudem odkopanego złota, żeby wystawiać je w gablotach muzealnych dla turystów.

Tylko że lepsze czasy nie nadeszły, Schliemann zmarł, a złote runo może nadal leżeć w magazynie w miejscowym muzeum. Być może owinięte w ten sam koc. Czyli powinnam przeszukać dokładnie magazyny muzealne, ze szczególnym uwzględnieniem starych, zasnutych pajęczynami skrzyń, których nikt nie przestawiał od stu lat, i zetlałych koców. Robota na kilka dni.

Jedyne, co mnie pociesza, a wierzcie mi, to naprawdę powód do radości, to sytuacja Martina. W odróżnieniu ode mnie, nie jest archeologiem, tylko antykwariuszem, a chyba już wam mówiłam, że w tym środowisku antykwariusze nie cieszą się wielką sympatią. Ujmując rzecz bardziej precyzyjnie, wszyscy patrzą na nich spode łba, bo nie lubią, jak handluje się zabytkami. Zgadnijcie więc, kto ma większe szanse wkupić się w łaski miejscowych naukowców z muzeum i dostać do magazynów. Brawo, zgadliście. Po raz pierwszy od początku tej gry szanse są wyrównane, nawet lekko przechylają się na moją korzyść.

Chyba że Martin już tu był i wszystko załatwił podczas tych kilkudziesięciu godzin przewagi nade mną. Na przykład za pomocą wysokiej łapówki dla jakiejś muzealnej sprzątaczkii. Łapówki, na którą mnie nie stać.

Stoję z palcami wczepionymi w metalowe oczka siatki. Przytomnieję dopiero, kiedy za plecami słyszę kroki, i dobry humor od razu mi mija. Zanim wezmę na spytki miejscowych, muszę jakoś łagodnie przekonać faceta w garniturze, że z Walentyną to była pomyłka i żeby nie zabijał nas od razu, tylko puścił wolno.

Odwracam się. Jeden z bandziorów pokazuje, bym wróciła do samochodu. Kiedy grzecznie wsiadam do środka, mężczyzna z przedniego siedzenia przechyla lekko głowę w moją stronę. W mroku nie widzę wyraźnie jego twarzy, tylko zarys.

– To tutaj? – pyta.

– Złote runo? Tak, gdzieś tutaj. Najprawdopodobniej...

– I Walentyna będzie go tu szukać?

Nie mam pomysłu, jak delikatnie poruszyć wątek „Walentyny tu nie ma, nigdy nie było i nigdy nie będzie”, więc wzruszam tylko ramionami i mówię:

– Myślę, że tak.

– Ona raczej nie spaceruje w takich miejscach po nocy. Wrócimy tu jutro rano.

W odróżnieniu od Walentyny, Martinowi ciemność nie przeszkadza, może pojawić się tu w każdej chwili. Powinniśmy na wszelki wypadek zaparkować przed bramą muzeum i czekać do świtu. Chcę zaprotestować na głos, ale umieram ze zmęczenia. Ostatnim porządnym posiłkiem, jaki pamiętam, jest śniadanie w domu wykopaliskowym Vangelisa, które pochłonęłam niemal dwadzieścia cztery godziny temu. Podczas wyścigowej jazdy do Ankary nigdzie się nie zatrzymywaliśmy, a w samolocie nie było jedzenia z wyjątkiem owocowych batonów, choć to i tak lepiej niż w liniach rejsowych. Zjadłam cztery i potem długo walczyłam z mdłościami. Muszę coś zjeść i pospać przynajmniej do świtu. Najlepiej w łóżku, a nie na tylnym siedzeniu SUV-a. Dlatego ostatecznie nie protestuję, mówię tylko:

– Chcę jeszcze coś zobaczyć.

– Po ciemku?

– To mi zajmie tylko chwilę. To parę metrów stąd.

Mężczyzna zastanawia się, w końcu kiwa głową. Wysiada i idzie za mną. Jeden goryl oczywiście też, drugi zostaje przy samochodzie.

Niewiele widzę w ciemności, latarnie oświetlają tylko popękany asfalt i zaśmiecone pobocza, a kilka kroków dalej kamienne płyty. Reflektory zamontowano dopiero przed Skarbcem Miniasza, całkiem ładnie wydobywają z mroku fasadę. Na wypadek, gdyby zaplątał się tu w nocy jakiś turysta i chciał sobie strzelić fotkę na Instagrama.

Nie mogę podejść bliżej, tutaj też drogę zagrażają płot i brama, ale z odległości kilku metrów widać nawet lepiej. Ogromny kamienny blok nad wejściem nie jest gładki, dekorują go dwa rzędy zygzaków.

Które wyglądają jak zęby.

Zęby smoka...

Z hotelem jest tak: jeśli nie chcecie zwracać na siebie uwagi i wolicie, żeby nikt was nie zapamiętał (praktyczne zastosowanie reguły numer pięć), możecie wybrać mały, szemrany pensjonat gdzieś na obrzeżach miasta, taki z pokojami na godziny, gdzie łatwiej kupić działkę niż śniadanie. Albo możecie zameldować się w dużym, luksusowym hotelu w centrum. Facet w garniturze najwyraźniej jest zwolennikiem opcji numer dwa. Bardzo inteligentnie, bo o ile w luksusowych hotelach widuje się ekscentrycznych milionerów w brudnych dżinsach i dziwnych ubraniach (czyli takich jak moje, kupione na bazarku w Ankarze), o tyle w szemranych hotelikach na przedmieściach rzadko pojawiają się goście w garniturach droższych niż pełne wyposażenie wszystkich pokoi plus łazienek na korytarzu. A takich gości wszyscy zapamiętują. Opcja z luksusowym hotelem jest co prawda droższa, ale to chyba nie zajmuje wysokiej pozycji na liście priorytetów kogoś, kto ma własny odrzutowiec.

Vangelis, który ostatni raz powiedział coś jeszcze w Boğazkale, nic nie mówi też, kiedy przechodzimy przez recepcję ani kiedy boy prowadzi nas do pokoi. Przecież powinien się cieszyć. Za chwilę będzie sobie leżał w miękkim (oby) łóżku, a nie w płytkim grobie. Ocaliłam mu tyłek, a on się dąsa. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Dostajemy wspólny pokój (na szczęście z dwoma łózkami) – pewnie po to, żeby łatwiej było im nas pilnować. Z tego samego powodu jeden z goryli sprawdza okno. Niepotrzebnie, to siódme piętro, a ja boję się wysokości. Gdybym miała stąd zwiewać, to tylko drzwiami. Nawet nie wykorzysttałabym moich umiejętności posługiwania się wytrychem – wszędzie są magnetyczne karty. Musiałabym tylko wymyślić, jak wyminąć bandziora, który pewnie będzie stał na korytarzu przez całą noc.

Ale nie zamierzam zwiewać. Nie po to namęczyłam się, przekonując ruskiego bankiera, że musi zawieźć mnie do Grecji. No i nie zapominajmy: nadal jestem bez paszportu, a w portfelu mam tylko siedemdziesiąt euro z groszami, po Petrosie.

Zdejmuję buty i skarpetki. Te ostatnie chętnie bym wyrzuciła, ale zanim rozwiążę problem ubrań, namaczam je w umywalce. Plądruję barek, zjadam jednego batona i dopiero wtedy przychodzi mi do głowy, że w takim hotelu musi być *room service*. Pytam Vangelisa, czy coś chce. Kiedy kręci przecząco głową, zamawiam obiad dla jednej osoby, chociaż minęła już północ. Dobry hotel można poznać też po tym, że nikt niczemu się nie dziwi.

Czekając na jedzenie, biorę prysznic i rozwieszam skarpetki na ręczniku w łazience. Słyszę głosy pod drzwiami, a potem pukanie. Gdy otwieram, kątem oka widzę bandziora opartego o ścianę, tak jak myślałam. Odbieram tacę z rąk

pokojówki i rozkładałam się na łóżku. Vangelis patrzy na talerze i przełyka ślinę. Proponuję mu połowę, ale twierdzi, że nie ma apetytu. Błąd. Trzeba jeść, jak jest okazja, bo nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się następna. Reguła numer piętnaście.

– Simona, o co tutaj chodzi?

Już o to pytał. Jeśli nie potrafiłam mu odpowiedzieć w Bożazkale, skąd ten pomysł, że uda mi się tutaj? Przełykam kęs mięsa i zagryzam chlebem. Zawsze to jakiś pretekst, by milczeć.

– Dlaczego tu jesteśmy?

Jego głos balansuje na granicy hysterii, więc odsuwam od siebie tacę i podchodzę do minibaru. Lista cen na drzwiach lodówki pokazuje, jak bardzo hotelarze oderwani są od rzeczywistości. Jednak naszego gospodarza na pewno stać na wino w cenie eleganckiej damskiej torebki z włoskiego domu mody. Gdy proponuję Vangelisowi kieliszek, wrywa mi z ręki całą butelkę. Nie szkodzi, na drugą też z pewnością stać tajemniczego mężczyznę w drogim garniturze, mężczyznę, którego nazwiska nadal nie znam i pewnie nigdy nie poznam. Wracam więc do jedzenia, podczas gdy Vangelis opróżnia butelkę z gwinta, bo tak jest szybciej. Gdzieś mniej więcej w połowie na jego twarz wracają kolory.

– Simona, po co tu przyjechaliśmy? – pyta jeszcze raz.

Naprawdę nie wiem, co odpowiedzieć. Wybieram pół prawdy.

– Ten facet w garniturze szuka Walentiny. To ta...

– Wiem! – krzyczy, aż upuszczam talerz i sos wycieka na narzutę. – Wiem, kim jest pieprzona Walentina! Twoja pieprzona studentka, która przyjechała do Bożazkale razem z tym pieprzonym facetem, którego zastrzelili ci ludzie. Dzisiaj rano!

Zgadza się z wyjątkiem daty, bo mamy już następny dzień, ale nie będę go poprawiać.

Vangelis zaczyna się trząść. Wycieram serwetką większość sosu, a on znów przysysa się do butelki. Łyka za dużo naraz i krztusi się winem. Kiedy przechodzi mu atak kaszlu, wraca do tematu:

– Simona, musimy się stąd wydostać. Jak najszybciej.

Na pewno nie! Jutro rano mam zamiar zacząć przeszukiwać magazyny, a do tego czasu będzie mi o wiele wygodniej w luksusowym łóżku niż pod mostem. O ile w Orchomenos w ogóle są mosty.

– Musimy stąd uciekać, zanim oni nas zabiją!

– Vangeli – Staram się, żeby mój głos brzmiał łagodnie. – Jesteśmy na siódmym piętrze. Oknem się nie wydostaniemy, a na korytarzu pod drzwiami stoi jeden z nich.

– Poczekamy, aż zaśnie, i się wykradniemy. O trzeciej w nocy na pewno się zdrzemnie.

Tak to się robi z człowiekiem, kiedy ogląda za dużo filmów.



Kręcę głową.

– Vangeli, ich jest dwóch, na pewno będą się zmieniać.

– To, to... To uruchomimy alarm przeciwpożarowy.

– Świetny pomysł. Masz zapalki? Albo zapalniczkę?

Przeszukuje kieszenie, ale oczywiście nie ma. Mimo to nie rezygnuje.

– To zacznijmy krzyczeć, że któreś z nas się rozchorowało, ma skręt jelit.

Tego nie można sprawdzić.

– Vangeli, to nic nie da. Zawiozą nas do szpitala, lekarz powie, że wszystko w porządku, i przywiozą nas z powrotem.

Mój przyjaciel opuszcza ramiona, przechyla znów butelkę, a potem celuje we mnie palcem wskazującym.

– To zadzwońmy na policję. Nie wiem, dlaczego od razu na to nie wpadłem.

– Zrywa się z łóżka i chwyta słuchawkę hotelowego telefonu.

Na to nie mogę pozwolić! Reguła numer dziewięć: żadnych kontaktów z policją!

Wyrywam mu słuchawkę i odkładam na widełki. Vangelis jest zdumiony, jakbym mu zaproponowała seks, i do tego w trójkącie.

– Posłuchaj. – Biorę głęboki wdech. – Nie możemy dzwonić na policję.

– Dlaczego nie?

– Bo... Bo nie. – Mało przekonujący argument. Na niego w każdym razie nie działa. Muszę spróbować czegoś innego. – Bo nas wrobią w zastrzelenie Michaiła w Bożazkale.

– I tak nas w to wrobią. – Patrzy na mnie ponuro. – Facet nie żyje, a my uciekliśmy z miejsca zbrodni.

– Ale nikt o tym nie wie. Ten bandzior poinstruował właściciela pensjonatu, żeby pozbył się zwłok i nikomu nie mówił ani słowa. Moim zdaniem miał mocne argumenty, widziałam twarz właściciela, kiedy mu to wyjaśniał. Na pewno nikt się nie dowie.

Przechylałam moją butelkę i pociągam łyk.

– A jeśli teraz zadzwonisz, będziesz musiał wszystko opowiedzieć, bo inaczej nam nie uwierzą. Sam zobacz, nie wyglądamy na porwanych wbrew woli.

Vangelis spogląda na brudny talerz, plamę na narzucie i dwie otwarte butelki wina.

– Będziesz musiał powiedzieć wszystko, co wydarzyło się w Bożazkale, i na sto procent zostaniemy zamieszani w morderstwo.

Przytłoczony, siada powoli na swoim łóżku.

– Cholera, nie pomyślałem o tym.

Ja też nie. Wpadłam na to dopiero przed chwilą.

– Masz rację, nie możemy dzwonić na policję, ale powinienem przynajmniej zadzwonić na wykopaliska, przeprosić, że tak nagle się zmyłem, i wyjaśnić, że

wrócę za kilka dni. Inaczej nabiorą podejrzeń.

Za kilka dni facet w garniturze powinien nas wypuścić. Przynajmniej na to liczę.

– Koniecznie – przytakuję. – Zwał to na jakąś pilną sprawę rodzinną albo coś takiego.

Vangelis klepie się po kieszeniach, a potem patrzy na mnie z przerażeniem.

– Do diabła, zostawiłem komórkę w pensjonacie w Boğazkale!

– Zadzwoń ze stacjonarnego. – Pokazuję mu podbródkiem telefon. – Facet na pewno łyknie rachunek.

– Nie znam na pamięć numeru. Kurwa! – Siada na łóżku i obejmuje głowę rękami. – Kurwa, kurwa, kurwa!

A ja przypominam sobie, że mam w plecaku komórkę Walentyny. Wyjmuję ją – bateria nadal jest prawie pełna. Zaglądam do galerii zdjęć. Ta dziewczyna robiła sobie selfie dosłownie wszędzie: na lotnisku w Czelabińsku, w zapyziałym hotelu przerobionym z akademika, w autobusie do Arkaim, przy barakach, w jadalni, koło chaty Rudenki. Jest też helikopter i niewyraźny kształt na ziemi, przed załadowaniem na pokład. A potem droga powrotna, Ankara i jazda do Hattusas. Później nie ma już zdjęć, telefon się wyładował i dziewczyna cykała aparatem Michaiła. Który został przy jego ciele...

Nagle ogarnia mnie paniczny strach. Zamykam oczy, głęboko wciągam powietrze i powoli je wypuszczam. Nic to nie da, jeśli będę się bała. Nie uratuję tyłka ani nam, ani Walentinie. I nie znajdę złotego runa.

Vangelis sący wino. Chyba wypił już sporo, bo kiedy się odzywa, jego głos brzmi zadziwiająco spokojnie:

– O co chodzi z tym pierdolonym złotym runem?

Tłumaczenie zajęłoby całą noc, a ja jestem w stanie usnąć podczas jedzenia. Wybieram najkrótszą wersję i przypominam mu, że Walentyna szuka runa, a facet szuka Walentyny, więc wystarczy znaleźć złote runo, by mieć dwa w jednym. Kiedy znajdzie dziewczynę, zostawi nas w spokoju. I wszystko będzie dobrze.

Nie mówię nic o tym, kto tak naprawdę szuka runa. Ta informacja nie jest mu do niczego potrzebna.

– Myślałem, że to jakiś żart.

Ja też tak myślałam, jeszcze tydzień temu, ale od kiedy przez złote runo zginęły dwie osoby, a właściwie trzy, jeśli policzyć Michaiła, mam wrażenie, że to jednak poważna sprawa.

Wycieram chlebem resztki sosu i odstawiam na podłogę talerz, właściwie nie trzeba już go myć. Wypijam jeszcze pół kieliszka wina i wyciągam się na łóżku. W głowie mi szumi.

– I ta twoja Walentyna szuka runa w Orchomenos?

– O rany – wzdycham. – To nie jest moja Walentyna. Już prędzej twoja, tobie

się podobała.

Vangelis nie komentuje.

– Jesteś Grekiem, takich rzeczy chyba uczycie się w podstawówce. – Ze zmęczenia niewyraźnie wymawiam głoski. – Jazon przywiózł złote runo do Grecji, do Orchomenos i zostawił je w świętym gaju Zeusa Lafystiosa.

– W świętym gaju? Chcesz szukać złotego runa w świętym gaju? Zwariowałaś?

– Przecież nie na drzewie. – Układam się na boku. Oczy zamknęłam już wcześniej. – Na pewno wykopał je Schliemann, jeszcze w dziewiętnastym wieku, i ukrył gdzieś w magazynach muzealnych. – Próbuję znaleźć wygodniejszą pozycję. Nie powinnam narzekać, to najlepsze łóżko, w jakim śpię od tygodnia, tylko poduszka jest za twarda. – Właściwie to dobrze się składa, że tu jesteś – mruczę. – Na pewno masz jakieś znajomości, będzie szybciej.

– Słuchaj, to niemożliwe. Ta cała Walentina nie może szukać tutaj złotego runa. Bo Orchomenos to nie jest...

Mówi coś jeszcze, ale odpływam.

Nie wiem, co mnie budzi, może światło. Wieczorem nie pomyślałam o zaciągnięciu zasłon. Zresztą to bez znaczenia. Vangelis już wstał, widzę rozgrzebane łóżko. Nie słyszę go w łazience, może poszedł na śniadanie. Ciekawe, jak przekonał goryla pod drzwiami, żeby go wypuścił? Nie słyszałam żadnych głosów, ale byłam tak zmęczona, że nie usłyszałabym też strzałów z broni maszynowej. Sięgam pod łóżko, wyciągam z plecaka komórkę Walentyny i sprawdzam czas. Po szóstej. Spałam tylko pięć godzin, ale odpocznę sobie w grobie. Dzisiaj czeka mnie coś ważniejszego do zrobienia.

O tej porze muzeum ciągle jest zamknięte, i dobrze. Chyba już wam mówiłam o regule numer piętnaście: jedz, jak tylko masz okazję. A jeśli tą okazją nie jest kontynentalne śniadanie w dobrym hotelu, to sama nie wiem, co nią jest.

Biorę szybki prysznic, obiecuję sobie wpaść do hotelowego butiku po szczoteczkę do zębów, zgarniam plecak i otwieram drzwi. Korytarz jest pusty, co mnie trochę dziwi, ale nie niepokoi, chociaż pewnie powinno. Wbrew temu, co wcześniej mówiłam, zakładam, że bandzior też człowiek, nie wytrzymał tylu godzin na służbie i usnął gdzieś w kącie. A może poszedł z Vangelisem coś zjeść? Błędne założenie, za które później zapłacę. Ruszam przed siebie i oglądam się co chwilę, bo dywan tłumi kroki. Najwyraźniej jednak goście luksusowych hoteli nie wstają o tej porze.

Nie korzystaj z windy, jeśli są schody – to kolejna reguła, chyba już osiemnasta. Windy zazwyczaj są koszmarnie powolne i nie da się z nich uciec. Schodzę do jadalni. Jest pusta, jeśli nie liczyć starszego pana w dresie, który pewnie nie może spać, i małżeństwa z niemowlęciem; ci z kolei pewnie chętnie by sobie pospali, ale dziecko im nie daje. Nie ma Vangelisa ani naszej obstawy, jednak jestem zbyt głodna i nie zamierzam się nad tym zastanawiać przed drugą kawą. Z talerzem podchodzę do szwedzkiego stołu i nakładam sobie wszystkiego z górką. Z chęcią zjadłabym jajecznicę, ale widzę tylko pusty podgrzewacz. Do jadalni zagląda pokojówka, pokazuję jej na miga, co chcę, a ona daje znać, że zaraz przyniesie. Zabieram wszystko do stolika i wędruję po kawę.

Kolejna reguła, numer dziewiętnaście, brzmi: jeśli nie możesz porządnie się wyspać, to się najedz. Nie jestem lekarzem ani biologiem, trudno mi to wytłumaczyć, ale to zawsze działa. Rzucam się na śniadanie i z pełnymi ustami tylko kiwam głową w podziękowaniu pokojówce. Jajecznica jest przepyszna: lekko ścięta i posolona dokładnie tak, jak lubię. Dlatego kartkę zauważam dopiero, kiedy odstawiam na bok talerz.

Niewielki biały kawałek papieru, złożony na cztery, łatwy do ukrycia w dłoni. Rozprostowuję papier i czytam: „Za pięć minut w schowku sprzątaczek obok windy”. Nie rozpoznaję charakteru pisma, więc nie wiem, czy to Vangelis

postanowił zabawić się w szpiega, czy ktoś mnie z kimś pomylił. Dopijam kawę. Dumam przez chwilę nad karteluszkiem, ale nie potrafię niczego wymyślić. Wstaję i zarzucam plecak na ramię.

Na korytarzu nie ma nikogo. Tuż obok windy widzę nieoznakowane drzwi. Nie robię sobie większych nadziei, kiedy ciągnę za klamkę, ale są otwarte. W środku panuje ciemność. Chwilę trwa, zanim udaje mi się namacać na ścianie kontakt. W schowku nie ma nic interesującego. To znaczy jest masa interesujących rzeczy, tylko raczej z punktu widzenia sprzątaczk, a nie złodziejki zabytków. I ani śladu życia. Chociaż nie, to przecież Grecja, na pewno są karaluchy.

Chcę wrócić do jadalni na jeszcze jedną kawę i zastanowić się nad swoimi sprawami. Muszę w końcu jakoś przekonać faceta w garniturze, żeby nas wypuścił, i wymyślić, jak przegrzebać magazyny muzealne. Ale ktoś mnie popycha i wpadam na wiadro z mopem, na szczęście plastikowe, więc nie robi hałasu, kiedy się przewraca. Mało brakowało, aby przy okazji zwała się na mnie piramida środków czyszczących, w białych okrągłych pudełkach z niebieskimi napisami, spiętrzona na półce przy bocznej ścianie. Z trudem łapię równowagę i się odwracam.

Za mną stoi Walentina.

Uważam się za osobę, którą niełatwo zadziwić, ale teraz otwieram usta i nie wiem, co powiedzieć. Wpatruję się w nią dobrą minutę. Ona wykorzystuje ten czas, żeby uchylić znowu drzwi i wyjrzeć na korytarz. Potem zamyka je i przekręca klucz w zamku.

Wygląda dobrze. Zupełnie nie jak ktoś ścigany przez faceta w drogim garniturze i dwóch bandziorów, i na pewno nie jak ktoś, przez kogo zginął Michaił. Ma spódnice z jasnego zamszu, przed kolana oraz kurtkę bejsbolówkę z czegoś, co raczej nie jest poliestrem, już prędzej jedwabiem. Walentina rewanżuje mi się taksującym spojrzeniem, ale ja niestety ciągle chodzę w ciuchach z bazaru w Ankarze sprzed dwóch dni, a poranny prysznic wiele nie pomógł.

– Nie wiem, czy wiesz – mówię w końcu zamiast „dzień dobry” i „co się z tobą działo?” – ale szukają cię jeden facet i jego cyngle. Na twoim miejscu postarałabym się znaleźć daleko stąd, bo ci ludzie są niebezpieczni i chyba naprawdę im zależy, żeby cię znaleźć.

W tym momencie pluję sobie w brodę. Po co ją ostrzegłam?! Przecież ten facet na pewno łatwiej by nas wypuścił, gdybym złapała ją teraz za włosy i kazała się ujawnić. A tak ona znowu zwieje, a on będzie niezadowolony. Już widziałam, co robi, jak jest niezadowolony.

Wyrzucam sobie w myślach od idiotek, gdy Walentina przystawia ucho do drzwi. Z korytarza nie dobiegają żadne dźwięki.

– Wiem – szepcze.

Odginam się do tyłu, żeby rozprostować plecy obolałe po wczorajszej podróży.

– Ja to wszystko bardzo dobrze wiem – powtarza.

– To może mnie oświeć, o co chodzi, bo ten facet terroryzuje nas bronią. I do tego... – Gryzę się w język w ostatniej chwili. Może wiadomość, że jej chłopak został zabity strzałem w głowę, powinien jej przekazać ktoś inny i gdzieś indziej, a nie akurat ja, w schowku na szczotki.

Dziewczyna znów nasłuchuje, a potem nachyla się w moją stronę.

– Pamięta pani, co mówiłam wtedy w kiblu?

Na miły Bóg! Nie pamiętam nawet, kiedy ostatnio przespałam całą noc, a ona mnie pyta o jedną z rozmów?

– O tym, że dorabiam jako prostytutka i mam bogatego sponsora.

A, to pamiętam.

– Więc on jest...?

Kręci głową.

– Kłamałam. To znaczy nie całkiem, trochę. Nie dorabiam jako prostytutka i Aleksandr to nie jest mój sponsor. To... mój mąż.

Szczęka mi opada i nie potrafię ukryć zdziwienia. Walentina czeka, aż przetrawię tę informację.

– Na początku było tak, jak mówiłam. U nas w Moskwie mądra dziewczyna wie, jak się zakręcić koło milionera. Wystarczy pożyczyć od koleżanki dobrą sukienkę i szpilki i posiedzieć w knajpie na Rublowce. Jeśli fajnie wygląda, zawsze się ktoś dosiądzie...

– Nie jestem pewna, czy mnie to interesuje – rzucam, ale ona nie dostrzega mojego zniecierpliwienia albo bardzo dobrze udaje.

– Jeden facet przedstawia cię drugiemu, drugi trzeciemu... I w końcu ktoś przedstawił mnie Aleksandrowi. A ten akurat się rozwodził.

– Głupio byłoby nie wykorzystać okazji – podpowiadam.

– No właśnie! – Walentinę cieszy moje zrozumienie. – Na początku było wspaniale. Ogromny dom na Rublowce, sukienki, zakupy... Tylko że ja naprawdę nie jestem taka, nie wytrzymałam tego.

– I zwiłaś.

– No nie całkiem. Jeszcze przed ślubem studiowałam archeologię. Bo mnie to naprawdę interesuje!

Nie wiem, czemu próbuje mnie przekonać, ale nie przerywam.

– Aleksandr zgodził się, żebym kontynuowała studia. To nawet było fajne, jak mnie szofer podwoził jaguarem na zajęcia, bo jaguar to ten nasz mniejszy samochód...

Daję znak ręką, żeby się streszczała.

– Ale nie chciał słyszeć o wyjazdach... Ani o wykopaliskach. Aleksandr chce mieć żonę na miejscu, na każde skinienie.

Unoszę dłoń.

– No dobrze, rozumiem. Najpierw chciałaś być żoną-trofeum, a potem zmieniłaś zdanie. Twój Aleksandr bardzo się przejął twoim zniknięciem.

– On jest właścicielem tej firmy, która chce otworzyć kopalnię koło Hattusas.

– Tak, zdążyłam się zorientować.

– Jak tylko zobaczyłam transparenty i nazwę, od razu wiedziałam, że on gdzieś tam jest i że muszę jak najszybciej uciekać, bo przyjechał po mnie.

– No i miałaś rację. – Coś mi się przypomina. – Ale teraz jesteśmy w Grecji, setki kilometrów od Hattusas. Jak mnie tu znalazłaś?

– No przecież ma pani moją komórkę – dziwi się, że nie rozumiem tak prostej rzeczy. – Zarejestrowaną w programie wyszukującym zgubiony albo skradziony aparat. Pewnie tak samo Aleksandr znalazł mnie w Hattusas.

Na korytarzu słysząc kroki. Walentyna gasi światło. Przez chwilę stoimy bez ruchu w kompletnej ciemności, staram się nie oddychać. Kroki zatrzymują się tuż obok schowka, a potem słysząc brzęknięcie dzwonka windy i szelest rozsuwanych drzwi. Minutę później dziewczyna ostrożnie wygląda na korytarz. W wąskiej smudze światła widzę błysk jej rozszerzonych źrenic i łańcuszka, który znika w dekolcie. Korytarz jest pusty. Walentyna zamyka drzwi i z wahaniem zapala światło. Wtedy przychodzi mi coś do głowy. Pstrykam włącznik i znowu otacza nas ciemność.

– Tak będzie lepiej – mówię. – Pod drzwiami może być szpara.

Walentyna kiwa głową, a przynajmniej tak przypuszczam, bo słyszę poruszenie.

– Miałaś rację, ten twój Aleksandr rzeczywiście przyjechał po ciebie. I bardzo mu się nie spodobało, że cię nie zastał. Więc – biorę wdech – zastrzelił twojego chłopaka.

– Michaiła? – Znowu słyszę ruch w ciemności.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Może niekontrolowanego szlochu albo milczącego przerażenia, jednak na pewno nie tego, co słyszę.

– To nie był mój chłopak, tylko ochroniarz od Aleksandra.

Chyba się przesłyszałam.

– Ale przecież...

Zastanawiam się, jak to możliwe, że gdy zwiła od męża, ochroniarz nie przywiózł jej z powrotem albo przynajmniej nie zaraportował, gdzie jest. I sama sobie szybko odpowiadam na to pytanie: ochroniarza można przekupić, a w razie potrzeby przespać się z nim. Sądząc z tego, jak Michaił patrzył na Walentinę, to był właśnie ten drugi przypadek.

– Hm, no tak. W każdym razie Michaił nie żyje.

Jedwabna bejsbolówka lekko szeleści, jakby dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Aleksandr ma mnóstwo ochroniarzy. Jeden więcej, jeden mniej nie robi różnicy.

Czuję, jak ogarnia mnie chłód, chociaż w schowku na szczotki zaczyna robić się duszno od naszych oddechów. Przesuwam się bliżej do ściany, pod którą, o ile dobrze zapamiętałam, stoi półka z piramidą środków czyszczących.

– Czegoś nie rozumiem – mówię powoli. – Skoro było ci tak źle i uciekłaś, to co tu właściwie robisz?

Słyszę, jak pociąga nosem.

– Bo ja go... ja go tak naprawdę Kocham! Nie chcę od niego odejść! Tylko nie mogę tak dalej żyć. – Zaczyna szlochać i w ogóle już jej nie interesuje, czy ktoś na zewnątrz usłyszy.

Ciekawe, czy to rzeczywiście miłość, czy po prostu kończy się jej kasa. Robię jeszcze krok i dotykam ręką półki. Delikatnie, nie chcę, by piramida pudełek się zwała. Jeszcze nie.

– Nie wiem... nie wiem, co zrobić. Po prostu nie wiem.

Rany boskie, ona chyba nie oczekuje ode mnie, że jej powiem. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to rada, by następnym razem, gdy zechce pobyc kilka dni sama, nie brała ochroniarza. Chyba że naprawdę zatrudniają ich zbyt wielu.

Na korytarzu znowu rozlegają się kroki. Słyszę w ciemności przyspieszony oddech Walentyny. Tym razem słychać bzyczenie odblokowanego zamka w pokoju niedaleko, a potem trzaśnięcie drzwiami.

– Muszę już iść – szepcze dziewczyna.

A ja muszę zdobyć dowód, że tu była. Coś, co będę mogła pokazać Aleksandrowi.

Słyszę, jak Walentyna porusza się w ciemności i naciska kłamkę. Wyciągam puszkę z najniższego rzędu piramidy. Schowek jest mały, nie ma jak się uchylić przed spadającymi puszkami. Unoszę rękę i osłaniam głowę, ale i tak obrywam. Walentyna bardziej, bo nie spodziewała się uderzenia. Słyszę jej krzyk nisko przy podłodze, pewnie upadła.

Teraz muszę działać szybko. Kucam. Jedną ręką znajduję jej ramię, wsuwam dłoń pod pachę i próbuję podciągnąć do góry, a drugą zrywam jej z szyi łańcuszek i wsuwam do kieszeni. Złoty krzyżyk na końcu łańcuszka drapie mnie w palec.

Kiedy obie już stoimy, macam po ścianie i zapalam światło. Dziewczyna przyciska dłoń do twarzy. Z satysfakcją zauważam duży czerwony ślad po uderzeniu obok jej lewego oka.

– Cholera jasna! – klnę, nawet nie muszę udawać, jedna z puszek trafiła mnie w kolano. – Co za idiota to tak poustawiał!

Walentyna bez słowa dotyka śladu obok oka, a potem reszty twarzy. Wyjmuje z plecaka lusterko i sprawdza, czy nie leci jej krew. Boję się, że zauważy brak łańcuszka, ale chyba za bardzo ją boli.



– Przydałby się lód – mówię. – U mnie w pokoju jest barek.

– Muszę już iść. Teraz to naprawdę muszę. – Kręci głową i chowa lusterko.

Uchyła drzwi na kilka centymetrów, waha się przez moment i zamyka je z powrotem.

– Pani doktor, chciałam jeszcze zapytać... Czy wie pani już, gdzie jest złote runo?

Czuję, jak napinają mi się mięśnie karku. Wiem, ale na pewno nie powiem tego byle studentce, prywatnie luksusowej żonie bandziora, a służbowo wtyczce Konstantinosa wynajętej do pilnowania, żebym chodziła na krótkiej smyczy.

– Czeka mnie jeszcze sporo pracy – odpowiadam.

Walentina nie ma nic do dodania, więc sprawdza jeszcze, czy droga wolna, a potem wymyka się ze schowka. Tak po prostu. A ja ciągle stoję oszołomiona i zastanawiam się, po co ona w ogóle tu przyszła.

Wracam do pokoju, bo jest dopiero parę minut po siódmej, tak wcześnie nie otwierają muzeum. Na korytarzu nadal pusto, a Vangelisa wciąż nie ma. Kładę się na łóżku, ale nie zasypiam. Podkładam ręce pod głowę i myślę.

Pieprzyć Walentinę i jej męża. Niech sami grają w tę grę. Ja mam tylko jedno zadanie (oprócz przekonania Aleksandra, żeby zajął się czekającą gdzieś tu na niego żoną, a nas wypuścił) – dostać się do muzeum, wejść do magazynów i znaleźć zabytki odkryte przez Schliemanna w Skarbcu Miniasza, grobowcu ozdobionym wzorem smoczyczych zębów. Pewnie trzymają je w drewnianych skrzyniach, jak w Troi, zamkniętych dopasowanymi wiekami i nieruszanych od stu pięćdziesięciu lat, bo nigdy nie ma pieniędzy na skatalogowanie i konserwację. Trzeba po prostu przejrzeć zawartość tych skrzyń i tyle. Do tego potrzebuję dwóch rzeczy. Po pierwsze muszę docisnąć Vangelisa, żeby znalazł kogoś znajomego. Wiem dobrze, co tutejsze muzea myślą o wpuszczaniu do magazynów osób, które nie spędziły ostatnich pięciu lat, po osiem godzin dziennie (z uwzględnieniem sobót, ale z wyłączeniem niedziel i świąt państwowych oraz religijnych) na zdobywaniu najrozmaitszych pozwoleń. Ale ponieważ to jest Grecja, po znajomości da się wszystko załatwić. Jednak najpierw muszę go znaleźć. Nie wiem, gdzie się podziewa i dlaczego tak długo go nie ma.

Chwytam plecak, otwieram drzwi i zderzam się z Aleksandrem. Za jego plecami widzę na korytarzu bandziora, nie wiem już którego, mylą się mi.

Pieprzyć Walentinę i jej męża – łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. On najwyraźniej nadal uważa, że pomogę mu znaleźć żonę po tym, jak dała drapaka, bo nudziło jej się w luksusowej willi. A ja, choć widziałam dziewczynę przed pół godziną, nadal nie wiem, gdzie ona się znajduje.

No dobrze, trzeba będzie coś wymyślić.

Zaciągnę go do muzeum i na miejscu „znajdę” łańcuszek, który mu pokażę na dowód, że Walentyna tam była. I że lada chwila pojawi się znowu. Albo powiem mu, że sama dała mi ten łańcuszek z prośbą o przekazanie mężowi. Cokolwiek. Zastanowię się nad tym później, na razie muszę znaleźć runo, a jeszcze wcześniej Vangelisa.

Aleksandr przeprosza i gestem zaprasza z powrotem do pokoju. Co to za wersal? No proszę, nagle jego cyngiel przestał popychać mnie lufą pistoletu.

Nie czekam, aż wyjaśni. Mam zamiar przejąć inicjatywę, zanim coś się spieprzy.

– Musimy jechać do muzeum. Niedługo otwierają.

Nie chcę wyciągać komórki Walentyny, by sprawdzić godzinę, bo boję się, że rozpozna aparat, ale pewnie już po ósmej.

– I tam będzie Walentyna? – Głos mu lekko drży, chociaż może tylko tak mi

się wydaje.

– O tak, na pewno.

– No to ruszajmy.

Aleksandr odwraca się do drzwi, a cyngiel czeka, aż wyjdę za nim. Zarzucam plecak na ramię i wyglądam na korytarz. Pusto, nikogo nie ma. Vangelisa też nie. Nie ma go również w samochodzie, tak samo jak drugiego cyngla.

– Nie wiem, gdzie twój ochroniarz zabrał Vangelisa, ale bez niego nie dostaniemy się do magazynów muzealnych. W każdym razie nie wcześniej niż za kilka lat, a o ile dobrze zrozumiałam, chciałbyś wcześniej znaleźć Walentinę – zwracam się do Aleksandra poirytowanym głosem. Pomijam fakt, że mnie też się spieszy jak jasna cholera.

Mężczyzna poprawia krawat, a potem spinki przy mankietach.

– Nigdzie go nie zabrał – mówi w końcu. – Anatolij zniknął w nocy. Bez śladu.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nie do końca rozumiem, jakie stosunki panują między rosyjskimi bankierami a ich goryłami. Może w tym środowisku wolno brać niezapowiedziany urlop, na przykład dla poratowania zdrowia nadszarpniętego podczas zabijania ludzi w centralnej Anatolii. Naprawdę tego nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nieobecność bandziora jest mi nawet na rękę, bo zawsze to lepiej, gdy celuje do mnie z pistoletu jedna osoba, a nie dwie.

Tylko gdzie, do jasnej cholery, podział się Vangelis?! Próbuję to sobie naprędce poukładać w głowie. Bandzior spod drzwi zniknął w nocy, Vangelis obudził się wcześniej, zorientował, że go nie ma, i... Tutaj są dwie opcje: albo poszedł rozprostować kości i czeka na nas w muzeum, albo zwiął.

Niestety ta druga jest o wiele bardziej prawdopodobna.

Trochę mnie dziwi, że uciekł beze mnie. Co prawda mógł być w szoku. Mógł też wściec się na mnie, że wrobiłam go w przymusowy przyjazd do Grecji. Tak, jest co najmniej kilka powodów, by zmyć się bez pożegnania.

Czarno widzę szansę dostania się bez niego do muzealnych magazynów, ale mimo wszystko postanawiam spróbować. Reguła numer cztery: zawsze trzeba próbować, nawet na łożu śmierci.

Wrzesień w Grecji to piękny miesiąc. Słoneczko świeci, choć upał już minął, powietrze staje się przejrzyste, wieje chłodny wiatr. Szkoda, że nie mam czasu rozkoszować się pięknem przyrody. Zresztą śmierdzi tu od wyziewów z rur wydechowych (hotel jest przy głównej ulicy), a warkot motorynek zagłusza śpiew ptaków.

Cyngiel siada za kierownicą, a Aleksandr koło mnie, z tyłu. Jest zdenerwowany, dotyka co chwilę węzła krawata. Przez ułamek sekundy przychodzi mi do głowy, że zniknięcie jego człowieka i Vangelisa to sprawka Martina, jednak

odganiem tę myśl. Wpadam w paranoję. Martin jest tylko antykwariuszem, a nie supermanem, nie dałby rady uzbrojonemu osiłkowi.

Chyba...

Żadne z nas nie odżywa się przez całą drogę, która zresztą nie trwa długo.

Wszystkie greckie muzea, małe, duże i średnie, są do siebie podobne. Brama z kutego metalu (wszędzie ten sam wzór), dziedziniec wykładany marmurowymi płytami (śmiertelnie śliskimi w czasie deszczu, a i przy słonecznej pogodzie trzeba uważać, gdzie się stawia nogi) i ciężkie oszklone drzwi, zabezpieczone fikuśną kratą, we wzór analogiczny do tego na bramie. W hallu dominuje jasnoszary marmur (podłoga plus zazwyczaj kolumny) i paskudny kolor farby (ściany). Całość ma zapewne przypominać starożytny grecki dom, ale sprawia jedynie, że odwiedzający cieszą się, że żyją w dwudziestym pierwszym wieku.

Postanawiam nie bawić się w próbę zdobycia pozwolenia. Jak już mówiłam, trwałoby to latami, a i tak najpierw odesłaliby mnie do Aten, do ministerstwa. Byłam tam kiedyś. Nie wiem, na jaki kolor pomalowano korytarze, bo szczelnie wypełniał je tłum, a nad głowami ludzi wisiały kłęby papierosowego dymu. Spędziłam tam tydzień, z długimi przerwami na posiłki i sen (ministerstwo zamykali o trzynastej). Przez ten czas udało mi się jedynie dowiedzieć, w jakich godzinach można złożyć wniosek.

Tym razem nie mam na to chęci ani czasu. Spróbujemy więc na bezczelnego.

Wszystkie greckie muzea łączy nie tylko podobny wystrój, ale także układ wnętrza. Do magazynów można się dostać na dwa sposoby – przejść przez ekspozycję i nacisnąć klamkę odpowiednich drzwi, zamaskowanych w ścianie i zabezpieczonych alarmem albo strażnikiem (to już zależy od budżetu muzeum) lub znaleźć wejście od tyłu, zazwyczaj bez wykładanego marmurem dziedzińca (pracownicy muzeum nie powinni co chwila łamać nóg, bo to za drogo kosztuje), za to z tym samym wzorem kraty na drzwiach. Tam także czuwa strażnik, ale to tylko człowiek, zwłaszcza grecki strażnik. Musi pójść do toalety, napić się kawy czy poplotkować z koleżanką. Gdy już się go minie, wystarczy sprawiać wrażenie właściwej osoby na właściwym miejscu, a jeszcze lepiej nieść w rękę plik dokumentów i co chwilę na niego zerkać. W plecaku nie mam żadnych papierów (ukradł je ten pieprzony Martin), ale zaabsorbowaną swoimi sprawami, cholernie ważną panią profesor to ja naprawdę potrafię świetnie zagrać.

Mówię Aleksandrowi, że najpierw pójdę sama. Ku mojemu zdziwieniu nie protestuje, wsuwa tylko palec pod kołnierzyk, jakby krawat go dusił.

Przed drzwiami próbuję przybrać wygląd Bardzo Ważnej Osoby. Niestety, za biurkiem ustawionym w hallu dokładnie naprzeciwko wejściowych drzwi siedzi strażnik. Jak przymurowany. Czyta gazetę, ale płachta papieru nie jest na tyle duża, a wiadomości na tyle absorbujące, by mnie nie dostrzegł. Mówi coś do mnie, szybko i bełkotliwie. Nie rozumiem ani słowa. Rozkładam ręce, a wtedy strażnik

pokazuje wyjście – muszę obejść budynek dokoła. Dodaje coś jeszcze, z czego wyłapuję dwa słowa: *kleisto*, czyli zamknięte oraz wypowiedziane bardzo dobitnie *ochi* – nie.

No tak, niezwykle ważne i zaabsorbowane swoimi sprawami panie profesor w greckich muzeach rzadko noszą kwieciste szarawary, powyciągane podkoszulki i kamizelki z poliestru. I jeszcze rzadziej narzucają na to wszystko brudne męskie polary – wolą garsonki i buty na obcasach. Czyli ten numer nie przejdzie. Trzeba było wziąć ze sobą Aleksandra w tym jego garniturze spokojnie przewyższającym ceną wszystko, co cały zespół pracowników muzeum ma na sobie. No trudno, spróbuję głównym wyjściem jako mało rozgarnięta turystka.

Strażnik znów opada na krzesło i zasłania się gazetą, a ja obchodzę budynek dokoła, ostrożnie stąpając po płytach dziedzińca. Jestem tak skupiona na tym, by się nie poślizgnąć, że zauważam kartkę dopiero, kiedy po raz drugi czy trzeci bezskutecznie próbuję otworzyć drzwi. Wisi dokładnie na wysokości mojego nosa. Niedawno musiało padać, angielskie litery są lekko rozmyte, ale ciągle czytelne.

„Z powodu kompleksowych prac remontowych muzeum jest nieczynne. Planowane otwarcie w 2020 roku”.

Kurwa, nawet nie dali żadnego „przepraszamy”!

Dopiero teraz dostrzegam, że trzy z czterech ścian dziedzińca obstawione są rusztowaniami, a zalepione folią okna pochłapane farbą. Remont! Remont, który będzie trwał tyle, że przez ten czas mogliby zburzyć muzeum i postawić tu wieżowiec!

Biegnę z powrotem do bramy, zapominam o ryzyku złamania nogi. Mijam SUV-a, z którego wysiada Aleksandr. Nie zwracam na niego uwagi i dopadam do tylnych drzwi. Na mój widok portier podrywa się z krzesła. Daję mu znak, że chcę tylko o coś zapytać, ale potrzebuję chwili, by odzyskać oddech. Wreszcie udaje mi się wykrztusić:

– Czy remont obejmuje też magazyny?

Portier kręci głową, nie rozumie. Gorączkowo próbuję sobie przypomnieć, jak mówi się magazyn po grecku. *To magazi* znaczy sklep, musi być jakoś inaczej. O, już wiem, *apothiki*. Za cholerę nie pamiętam, jak jest „remont”, może uda się bez tego.

– *Apothikies*, czy w nich też jest remont?

Mężczyzna odpowiada coś, czego jednak z kolei ja nie rozumiem.

Przeklinam (po cichu, większość przekleństw ma charakter międzynarodowy) i próbuję jeszcze raz, a on przekrzywia głowę na bok.

– Wszystko *kleisto* – mówi. – Zamknięte. Renowacja.

Obracam się na pięcie i wychodzę bez słowa. Wracam na dziedziniec, gdzie siadam na ławce, opieram łokcie na kolanach i łapię się za głowę. Czyli to by było na tyle, jeśli chodzi o złote runo. Muzeum jest zamknięte i takie pozostanie przez

najbliższych kilka lat. Zabytki pewnie rozmieszczono w różnych, losowo wybranych (to znaczy takich, w których było miejsce) magazynach w całym kraju. W życiu do nich nie dotrę! I to naprawdę niewielka pociecha, że Martin też.

Pada na mnie cień. O rany, znowu Aleksandr. Jakbym miała mało problemów! Muszę jeszcze jakoś wyłgać się z tej historii. Może raz, dla odmiany, powiem prawdę. Wiem, wiem, reguła numer dwa: pół prawdy i pół kłamstwa są lepsze niż cała prawda, ale jestem zmęczona. Powiem mu, że Walentina puszcza go w trąbę, chociaż jest jeszcze szansa, bo dziewczyna wciąż nie podjęła ostatecznej decyzji, czy dać długą. Lepiej niech zostawi mnie w spokoju i zajmie się nią. I pokażę temu palantowi łańcuszek jako dowód zmiennych uczuć jego ukochanej. Sięgam do kieszeni, żeby go wyjąć, i zamieram w połowie gestu.

Jasnoszare marmurowe płyty na dziedzińcu są gładkie. Jest jeszcze wcześniej, promienie słoneczne padają nieco ukośnie. Z mojego miejsca na ławce widzę każdą plamę. Wstaję wolno i podchodzę do drzwi wejściowych do muzeum. Plama na samym progu to prawie doskonałe kółko o lekko nierównych brzegach. Ciemnobrązowa. Schylam się i dotykam jej palcem. Już zaschła, ale nawet bez skrobania paznokciem poznaję, że to krew. Druga jest mniej więcej pośrodku dziedzińca. Trzecia przy bramie. Aleksandr idzie krok w krok za mną, a jego cyngiel za nim.

Są ludzie, którzy spędzają całe życie na badaniu, w jaki sposób tryska krew. Na podstawie kształtu plamy potrafią wskazać zranioną część ciała. Gwoli jasności – ja do nich nie należę. Mimo to widzę, że plama jest zbyt równa, brzegi zbyt okrągłe. Nikt, kto krwawi i ucieka lub szuka pomocy, nie zostawia takich idealnych śladów. Pojedynczych dużych plam, bez żadnych dodatkowych rozprysków, smug ani kropel. Ktoś pozostawił te ślady specjalnie. Ktoś, kto wiedział, że tu przyjdę. Wiem kto, chociaż wzdragam się, by powiedzieć to głośno.

Przed bramą asfalt jest stary i porowaty, jednak bez trudu znajduję następną plamę. Kolejną na niskim fundamencie parkanu, a potem na kamieniu. Za moimi plecami Aleksandr mówi coś do bandziora, słyszę ich kroki. Nie odwracam się, nie odrywam wzroku od ziemi. Po paru krokach znam już cel – co prawda byłam tu tylko raz, ostatniej nocy, ale widziałam zdjęcia zrobione za dnia. Trawa na niskim wzgórzu wokół Skarbca Miniasza była na nich zielona, ale teraz, we wrześniu, już zdążyło wypalić ją słońce. Do środka wchodzi się przez *dromos*, wąski korytarz między dwiema ścianami. Tu plamy krwi są słabiej widoczne, wsiąkły w ziemię, ale ostatnią, na wielkiej kamiennej płycie progu, widzę jak na dłoni. Nad wejściem ciągle spoczywa ogromny głaz, a na nim widnieją wyryte zęby smoka. Przyspieszam, kiedy pod nim przechodzę. To, że trzyma się trzy tysiące lat z okładem, nie oznacza, że pewnego dnia nie runie. We wnętrzu otaczają mnie ściany z wielkich bloków kamiennych, dobrze zachowane tylko przy wejściu, w innych miejscach bloki pospadały. Tam, gdzie niegdyś była kopuła, świeci teraz

ostre słońce, cienie zdążyły się już wyostrzyć. To tu Schliemann prawie na pewno znalazł złote runo.

Ale ja nie znajduję złotego runa.

Tylko Vangelisa.

Starożytni Grecy nie składali ofiar z ludzi. Nie i już. Chociaż zamykali kobiety w domach i dawali im jedynie odrobinę więcej praw niż żywemu inwentarzowi, uważali się za wynalazców demokracji i cywilizacji. A ludzie cywilizowani zabijają tylko na wojnie (tutaj Grecy mieli dużo do powiedzenia), w żadnym wypadku nie zarzynają nikogo na ołtarzach ofiarnych. Jeśli ktokolwiek to robił, to inni, barbarzyńcy. Nieokrzesani i niecywilizowani, którzy się nie myli i pili wino bez dodatku wody, na przykład Scytowie, i mieszkali tam, gdzie dopiero byłam, na stepach. Ci, co setnemu pojmanemu nieprzyjacielowi podrzynali gardło nad naczyniem, a w zebranej krwi zanurzali miecze. Poza tym odcinali zabitym ręce, pili krew pokonanych na polu bitwy, zdejmowali skalpy i jeszcze zabijali służących i niewolników, gdy umarł ktoś ważny. I tak dalej, i tak dalej. Ale to byli barbarzyńcy, Grecy tego nie robili.

Z jednym wyjątkiem.

W Grecji zarzynano ludzi na ołtarzach tylko tutaj – w Orchomenos, w gaju Zeusa Lafystiosa. Bo Lafystios to Pożeracz. Pożeracz ludzi.

Od ofiary ludzkiej zaczyna się historia złotego runa, jak zapewne pamiętacie. To właśnie tutaj, w gaju Zeusa król Atamas chciał zabić Fryksosa i Helle. Kochany tatuś, nie ma co. Dzieci uciekły, gdy bogini Nefele zesłała im barana o złotym runie.

Vangelis miał mniej szczęścia. Dla niego historia złotego runa zakończyła się w Orchomenos.

Leży na boku, z dłonią pod policzkiem i nogami ugiętymi w kolanach. Wygląda, jakby spał, ale nikt nie sypia w kałuży krwi, nawet jeśli ta częściowo wsiąkła już w piasek. Dopiero kiedy podchodzę bliżej, widzę poderżnięte gardło. To musiało się stać tutaj, w tym miejscu, plama krwi jest ogromna. Klękam i dotykam jego czoła. Bez sensu. Ma taką samą temperaturę jak kamienie.

Siadam obok, podciągam kolana pod brodę. Zamykam oczy.

Kiedyś zgubiliśmy się na wzgórzach na Melos, chociaż to mała wyspa. Przedzieraliśmy się przez kolczaste krzaki, miałam ramiona podrapane do krwi. Vangelis poszedł do apteki i kupił pięć buteleczek środka dezynfekcyjnego w spreju, zaciągnął mnie do tawerny, wlał we mnie pół litra wina i dopiero potem popsikał zadrapania.

Innym razem, kiedy w Stambule staliśmy w kolejce do Hagii Sophii, Vangelis udawał dziennikarza i pytał ludzi, jak im się podoba przeróbka byłego kościoła na siedzibę prezydenta. Nikt nie roześmiał mu się w twarz i chodził potem zły, że nie udał mu się żart.

Byliśmy też razem w Wiedniu. Vangelis wlaź na wieżę katedry Świętego Stefana (sam, bo ja się boję wysokości) i spuścił stamtąd balonik z przywiązanymi



życzeniami z okazji moich urodzin. Balonik nigdy do mnie nie doleciał, bo go porwał wiatr, a Vangelis zapłacił dwieście euro grzywny i do końca pobytu musiałam mu fundować wszystkie posiłki.

Przeżyliśmy razem jeszcze więcej przygód, wesołych i smutnych.

Był dla mnie jak brat.

A teraz leży w kałuży krwi, w grobowcu z zębami smoka.

Oczy mnie palą, ale nie spływa z nich ani jedna łza. Zaciskam dłonie w pięści, chcę poczuć ból, kiedy paznokcie wbijają się w skórę. Chcę w ogóle poczuć jakikolwiek ból. Ale czuję tylko wściekłość. Tak potężną, że nie mogę oddychać, a oczy przysłania mi czerń. Mrugam i zmuszam się, żeby spojrzeć jeszcze raz na ciało Vangelisa. Jeszcze jeden, ostatni raz. A potem odwracam głowę.

Będę płakać, obiecuję ci to, Vangeli. Będę opłakiwać siebie samą i pustkę w moim życiu. Pustkę, którą do tej pory wypełniały twój olśniewająco biały uśmiech, głupie żarty i zwykła troskliwość.

Będę płakać. Ale jeszcze nie teraz.

Gra o złote runo się nie skończyła.

III

**MEDEA**

Aleksandr wyszczekuje krótkie polecenie i cyngiel chwyta mnie za ramię, zmuszając do wstania. Ciągnie w kierunku wyjścia, chociaż nie musi robić tego siłą, sama przyspieszam, bo wiem, że trzeba stąd zniknąć. Nie biegniemy. Reguła numer siedem brzmi: nigdy nie biegnij, i Aleksandr najwyraźniej ją zna. Idziemy energicznym krokiem, nawet niezbyt szybko, po prostu byle dalej od Skarbca Miniasza, który teraz jest grobem Vangelisa.

SUV stoi na podjeździe. Nikt nie próbuje nas zatrzymać, bo nikogo nie ma w zasięgu wzroku. Już po sezonie, pierwsi turyści, jeśli w ogóle, pojawią się koło południa.

Przejeżdżamy główną ulicą Orchomenos. Bandzior kieruje się znakami na autostradę. Czarny SUV ani przez chwilę nie przekracza dozwolonej prędkości, jedziemy dokładnie tyle, ile trzeba. Prujemy w kierunku Aten. Słońce świeci, niebo jest błękitne, a promienie złote, bo to już wrzesień i kąt padania jest inny. Zamykam oczy i natychmiast je otwieram. Pod powiekami mam obraz głębokiej podłużnej rany na szyi Vangelisa.

Aleksandr sięga do przodu, do schowka, ale nie wyjmuje z niego mapy, chusteczek do nosa ani gumy do żucia, tylko pistolet. Odwraca się i mierzy we mnie. Jego ochroniarz trzyma obie dłonie na kierownicy i nie odrywa oczu od szosy.

– Gdzie jest Walentyna?!

– Pieprz się! – Wściekłość znowu zaciska mi gardło.

Palce niemal bieleją mu na kolbie.

– Gdzie ona jest?!

Nie wiem, kurwa! I naprawdę mnie to nie obchodzi. Nie jestem w nastroju na prowadzenie darmowej terapii małżeńskiej, opowiadanie o rozterkach Walentyny czy udowadnianie, że naprawdę tu była. To już nie mój problem.

Zamykam oczy i myślę o tym, jak złoto zmienia ludzi. Martin był kiedyś całkiem fajnym facetem. Okej, miał sporo wad. Na przykład śpiewał pod prysznicem i lubił śmieciowe jedzenia (które potem spalał w siłowni, więc wychodziło na zero). Był jednak normalnym mężczyzną, naukowcem, biznesmenem, a nie krwiożerczą bestią, która morduje i torturuje, by wygrać wyścig do złotego runa. Wygrać jakąś pieprzoną grę w Argonautów.

Tak, złoto zmienia ludzi. Niewykluczone że czasem zmienia kogoś w anioła. Martin akurat stał się potworem.

Mam tego dosyć. Mam dosyć gry, w której giną ludzie, tej zabawy w bieganie z jednego końca świata na drugi, a kogo dotknę, na tego bęc. Kogo poproszę o pomoc, ten umiera. Na kogo spojrzę, ten może już zacząć pisać testament.

Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek w całym moim życiu wypowiem takie zdanie, serio, nie w żartach. Ale mówię: mam dosyć. Już nie chcę znaleźć złotego runa. Już nie chcę złota! Słyszycie, ludzie? Simona nie chce złota. Może jest chora? Słyszysz, Martin? Nie chcę już tego pieprzonego złotego runa! Weź je sobie, bardzo proszę.

Jedyne, czego chcę, to twojej głowy. Chcę się zemścić za śmierć Vangelisa.

Niestety nie wiem jak. Nie mam broni, poza tym nie potrafię strzelać. Nie umiem znaleźć jednego człowieka wśród siedmiu miliardów (z hakiem) mieszkańców kuli ziemskiej, a nawet gdybym go znalazła i ukradła komuś broń (na przykład Aleksandrowi, kraść przecież potrafię), czy umiałabym strzelić Martinowi w twarz?

I to jest moment, by zadać sobie jeszcze jedno pytanie: czy gdybym go zabiła, byłaby to wystarczająca zemsta?

Pograżona w tych rozmyślaniach nie zauważam zmiany w zachowaniu Aleksandra. Dopiero kiedy się odzywa, widzę, że opuścił dłoń z pistoletem i już we mnie nie celuje.

– Gdzie ona jest? – pyta jeszcze raz, cicho.

Jestem wściekła, że zakłócił moje myśli o zemście, więc nie odpowiadam cichym głosem. Przeciwnie, drę się na całe gardło.

– A gdzie jest twój ochroniarz?! Ten, który stał pod drzwiami w hotelu, który miał nas pilnować! Który miał, do kurwy pierdolonej nędzy, pilnować Vangelisa! – Walę ręką w oparcie jego fotela i Aleksandr się odsuwa. Patrzy na drogę przed maską SUV-a, ale nie znajduje tam odpowiedzi. Lekko wzrusza ramionami. – Stać cię, kurwa, na garnitur za moją trzyletnią pensję, a nie stać cię na jednego głupiego ochroniarza, który będzie tam, gdzie mu każesz i kiedy mu każesz?!

– Anatolij zostanie ukarany. – Słyszę suchą odpowiedź.

Pewnie już został, Martin go obezwładnił, a najprawdopodobniej po prostu zabił, zanim zabrał się za Vangelisa. Niewielka pociecha. Nie mogę powstrzymać łez. Całą twarz mam mokrą. Pociągam nosem. Dłonie trzęsą mi się jak u narkomana na ostrym głodzie, chociaż przyciskam je do kolan.

Aleksandr długo milczy, zanim zadaje mi kolejne pytanie:

– Jesteś z nią w zмовie? Zaplanowałyście to wszystko razem? Uzgodniłyście to już w Hattusas, tak? Że mnie tu ściągniesz i opowiesz, jak to szuka złotego runa właśnie w Orchomenos, żeby wykorzystać sytuację i zrobić mnie w morderstwo.

Wytrzeszczam na niego oczy, jednak on najwyraźniej nie żartuje. Czeka na odpowiedź.

– Nie – cedzę powoli. – Nie jestem w żadnej, kurwa, zмовie. Z żadną, kurwa, Walentiną ani z nikim innym. Z nikim się nie umawiałam, żeby cię zrobić w morderstwo. Ani w nic innego.

– Kłamiesz.

Często to robię, ale nie tym razem.

– Będziesz tego żałować.

Już żałuję. Żałuję tak bardzo, że bardziej nie mogę. Że dałam się wciągnąć w tę grę i że wrobiłam w nią Vangelisa... Przełykam ślinę, by powstrzymać napływające łzy, a Aleksandr podnosi rękę z pistoletem.

– Jeśli mi nie powiesz prawdy, zabiję cię.

A proszę, kurwa, bardzo! Przynajmniej ten koszmar się skończy.

Nie odpowiadam, w ogóle nic nie mówię. Niczego nie widzę przez łzy. Nawet tego, że po chwili chowa pistolet do schowka i sadowi się w fotelu z powrotem twarzą do kierunku jazdy.

Myślę, myślę o zemście.

I po kilkunastu minutach mam już nawet jakiś plan.

Przy drodze pojawia się coraz więcej reklam i sklepów z częściami samochodowymi, elektryką, wtryskarkami, meblami i sukniami ślubnymi oraz coraz więcej domów normalnych ludzi. To znaczy takich, co nie kradną zabytków, nie szukają złotego runa i przez których nie giną przyjaciele.

Wjeżdżamy do miasta. Kierowca rozmawia z Aleksandrem po rosyjsku – nie wiem, o czym, ale po chwili włącza nawigację na desce rozdzielczej i kierujemy się w głąb miasta. Chmury przesłoniły słońce, a gdy na szybie pojawiają się drobne kropelki, bandzior musi włączyć wycieraczki. Ludzie w Grecji cieszą się, kiedy po lecie przychodzi pierwszy deszcz. Zazwyczaj jest ulewny, zmywa kurz z chodników i z kwiatów na balkonach. Ja też się cieszę, patrząc przez okno na strugi wody, bo na północny wschód od Aten są wielkie kamieniołomy marmuru.

Zaraz wam wyjaśnię, jaki to ma związek z tym, że jadę w niewiadomym kierunku, uwięziona w samochodzie z uzbrojonymi ludźmi.

Nie znam dobrze Aten, ale to miejsce rozpoznaję: plac Omonia, na którym wystają nielegalni imigranci szukający pracy. Kiedyś byli to Polacy, potem Afrykanie, a teraz Syryjczycy. Zawsze tkwią w tych samych miejscach, chociaż plac jest duży. Kilku schowało się przed deszczem pod daszkiem kiosku, tylko jeden nie ruszył się z miejsca, ale osłania głowę gazetą. Z tego, co widzę na nawigacji, bandzior zamierza objechać plac dokoła. Po drodze jest sporo świateł, a Ateny nie słyną z perfekcyjnej synchronizacji ruchu ulicznego, dlatego co chwilę się zatrzymujemy. Przy trzecich światłach chodnik się poszerza. Właściciele kawiarni otworzyli markizy i chociaż leje, przy stolikach jest tłum. Z tyłu zaczyna się labirynt małych, jednokierunkowych uliczek. Nie znam dobrze Aten, jednak tutaj trafiłabym wszędzie z zamkniętymi oczami. Często tu bywałam. Vangelis mieszka... mieszkał niedaleko, jakieś pięć minut na piechotę.

Czekam, aż światła przed nami zmienią się na żółte. Kiedy przeskakują na zielone, chwytam klamkę drzwi. Jestem przekonana, że będą zablokowane, ale zgodnie z regułą numer cztery zawsze trzeba próbować, nawet na łożu śmierci. To nawet może być tym razem, jeśli nie uda mi się uciec, pewnie mnie zastrzelą. Klamka jednak ustępuje, a ja pcham drzwi. Aleksandr odwraca się do tyłu, ale ja nie czekam, co będzie dalej. Wypadam na chodnik i od razu tracę równowagę, bo marmurowe płyty są cholernie śliskie.

No więc z tymi kamieniołomami jest tak: marmur z Hymetu na północny wschód od Aten nie jest biały i piękny, nie taki, z jakiego wykuwano kiedyś rzeźby, tylko szary, kiepskiej jakości. Nadaje się do robienia zlewozmywaków (dlatego w Atenach tylko zamożni ludzie kupują kuchenne zlewy ze stali nierdzewnej) i na płyty chodnikowe. Ale marmur, nawet ten szary i kiepskiej jakości, jest gładki, o wiele gładszy niż cement, z którego robi się chodniki

w innych krajach.

Chwytam się najbliższego stolika i dźwigam na nogi. Biegnę zygzakiem między amatorami kawy i tłustych greckich tyropit i choć daleko mi do sprintu, już wiem, że się uda. Na nogach mam trapery z rowkowanymi podeszwami, za to goniący mnie ochroniarz (nie oglądam się, ale słyszałam trzask drzwi i trąbienie zablokowanych za SUV-em samochodów) eleganckie trzewiki na gładkiej skórzanej podeszwie. A marmurowe płyty przy pierwszym deszczu, kiedy mokry brud tworzy na nich warstwę smaru, są śliskie jak lodowisko, i to zaraz po przejeździe wyładzarki.

Zakładam, że nie będzie do mnie strzelał na zatłoczonej ulicy. Mogę się oczywiście mylić, ale i tak nie mam kiedy tego przemyśleć. Lawiruję między stolikami, upadam jeszcze tylko raz (kelner chce mi podać rękę, ale to naprawdę nie jest moment na flirt) i skręcam za róg najbliższego budynku. Wpadam pod kolumnadę, chodnik jest tu suchy, co oznacza, że mogę przyspieszyć, tak samo jak bandzior. Przebiegam wzdłuż warsztatów z zaciągniętymi metalowymi żaluzjami i błyskawicznie odrzucam myśl o schowaniu się w cuchnącym kontenerze na śmieci. A potem wpadam do supermarketu.

To grecki supermarket, tu nie marnuje się miejsca na szerokie alejki, przez które można wygodnie przejechać wózkiem. Wózek w ogóle by się nie zmieścił, nawet dwie osoby z koszykami z trudem mogą się tu minąć. Lady chłodnicze i półki ustawione są jak w labiryncie, a do tego sklep ma jeszcze dwa piętra. Wątpię, czy goryl w ogóle będzie mnie tu szukał, ale jeśli tak, może szukać długo. Ukrywam się na pierwszym piętrze (drugie to zbyt oczywisty wybór) między stosem multipaków papieru toaletowego a górą mopów. Czekam. Nad słuchuję. Niewiele to daje, wokół kręci się mnóstwo osób. Wśród odgłosu kroków staruszek w czerni, matek z rozwrzeszczanymi dziećmi i ateńskich hipsterów w mokasynach i z podwiniętymi nogawkami spodni (za to bez bród) nie da się rozpoznać stąpania faceta z bronią. Mimo to czekam, a on się nie pojawia. Zgubiłam go!

Dopiero teraz mogę złapać oddech. Zdyszana po biegu i z emocji siadam na posadzce, opuszczam głowę między kolana i wciągam powietrze w płuca najgłębiej, jak się da.

Ponieważ to Grecja, gdzie nie dotarła jeszcze znieczulica, a tematy do plotek są zbyt cenne, żeby przepuścić okazję (a ja w tych ciuchach wyglądam jak uchodźczyni po długiej i ciężkiej przeprawie do Europy), zatrzymuje się przy mnie ubrana na czarno staruszka. Nie rozumiem niczego, co mówi, ale sens jest jasny: pyta, czy dobrze się czuję. Zapewniam, że tak, ale albo babcia nie zna angielskiego, albo uznaje to za wymówkę. Zatrzymuje ruchem dłoni przechodzącą młodą kobietę i już we dwie debatują, co ze mną zrobić. Nie czekam, aż dołączą pozostali kupujący. Uśmiecham się i odchodzę kilka kroków, w stronę półek z kuchennymi ręcznikami. Kobiety rozmawiają jeszcze przez chwilę, nie spuszczając mnie z oka.

W końcu dochodzą do wniosku, że nie zasłabnę ani nie umrę, więc nie będzie o czym opowiadać sąsiadkom. Rozchodzą się, każda w swoją stronę. Na szczęście nikt inny mną się nie interesuje.

To dobrze, bo teraz muszę znaleźć Martina. Wcześniej w samochodzie myślałam, że to będzie trudne, a nawet niemożliwe. Jednak jak się nad tym zastanowić, to zadanie powinno być proste. Wystarczy wariant tego, co zmyśliłam na użytek Aleksandra. Tylko że tym razem prawdziwy.

Powiedziałam mu, że Walentina będzie tam, gdzie złote runo. Teraz to samo, co do najdrobniejszego szczegółu, mogę zastosować do Martina. Kiedy znajdę złote runo, znajdę Martina. I wtedy się zemszczę.

Burczy mi w brzuchu. Od śniadania minęło już kilka godzin, a adrenalina powoduje szybsze spalanie. Poczekam jeszcze trochę, a potem zejść na parter, kupię sobie bułkę albo jogurt. Przy skromnym jedzeniu pieniędzy Petrosa starczy na kilka dni. O dach nad głową też nie muszę się martwić, mogę się schronić w mieszkaniu Vangelisa: nie mam co prawda kluczy, ale spinki do włosów owszem. Tam spokojnie zastanowię się, gdzie szukać runa.

Nie, nadal nie wiem, gdzie ono jest. Miało być w Orchomenos i niewykluczone że tam było, przynajmniej do momentu, kiedy na czas remontu wywieziono wszystkie zabytki. Teraz może być wszędzie, w każdym muzeum Grecji. To jest słaby punkt mojego planu.

Zamykam oczy, przyciskam palce do powiek i znowu widzę Vangelisa z dłonią wsuniętą pod policzek i otwartą raną na gardle. Nie mogę powstrzymać łez. Szukam po omacku chusteczki w kieszeni, chociaż jestem prawie pewna, że nic mi już nie zostało.

I wtedy zaciskam palce na łańcuszku.

No tak, zamierzałam go dać Aleksandrowi, tylko nie zdążyłam. I o ile nie znajdzie mnie tu za papierem toaletowym (a gdyby miał mnie znaleźć, to już by to chyba zrobił), raczej mu nie dam. Może powinnam sprzedać ten krzyżyk? Jest jeszcze złota blaszka z Arkaim w plecaku, ale z nią lepiej poczekać i znaleźć kupca, który zapłaci tyle, ile będę chciała. Krzyżyk Walentyny wyglądał na złoty, może nawet z prawdziwymi rubinami. Na pewno dałabym radę wytargować stówę albo nawet dwie. Nie znam co prawda w Atenach żadnych paserów, ale tu, przy placu Omonia, powinnam znaleźć kogoś, kto kupi go ode mnie prosto z ulicy. Tylko najpierw muszę się upewnić, że to złoto. Lepiej sprawdzić u jakiegoś jubilera, może nawet wystawi certyfikat lub sam odkupi ode mnie wisiołek. To żaden zabytek, nic nielegalnego, mogę go bez pozwolenia odsprzedać komu chcę i jak chcę.

Wyjmuję łańcuszek. Próbuję sobie przypomnieć, czy po drodze mijałam jubilera. Chyba nie. Nawet nie wiem, jak to się mówi po grecku, nie będę mogła zapytać, muszę pospacerować ulicami, aż natknę się na warsztat i...



Złoto błyska pomiędzy moimi palcami, a ja zamieram.  
Z łańcuszka nie zwisa krzyżyk, który widziałam na szyi Walentyny.  
Tylko ząb rekina.

Gwałtownie odwracam się od sterty kuchennych ręczników papierowych. Na mój widok ubrana na czarno staruszka (może inna niż poprzednio, a może ta sama) robi znak krzyża, ma minę, jakby chciała splunąć, ale powstrzymywała ją wrodzona kultura osobista. Tak, wiem, nie pachnę jak róża, a wyglądam jeszcze gorzej. Ale teraz mam inne problemy. Szukam po kieszeniach kwiecistych spodni. Nic. Sprawdzam kamizelkę i dopiero na końcu polar Petrosa. Wreszcie znajduję złożoną na cztery karteczkę. Rozprostowuję ją.

„Za pięć minut w schowku sprzątaczek obok windy”.

Kucam i grzebię w plecaku. Już myślę, że ją zgubiłam, ale jest na dnie – kartka ze zdjęciami byków i słowami „zęby smoka”.

Rozkładałam obie kartki na kolanie, żeby porównać litery. Informacja na świstku z hotelu w Orchomenos zapisana jest po angielsku, na kartce z bykami litery to cyrylica, ale widzę, że Walentyna zawsze tak samo wyciąga ogonki i stawia poprzeczne kreski. Nawet się nie pofatygowała, by zmienić długopis.

Schodzę na parter i rozglądam się, ale nigdzie nie widzę bandziora. Wolnym krokiem wychodzę z supermarketu. W komórce Petrosa znajduję numer, który i tak znam na pamięć.

– Konstantine, to ja.

– Ty, moja droga? A dlaczego dzwonisz z komórki Petrosa?

Długo by tłumaczyć. Mamroczę coś, że z mojej jest za drogi roaming.

– Strasznie długo się nie odzywałeś. Już zacząłem się niepokoić. Znalazłeś złote runo?

– Jeszcze nie. Konstantine...

– Słucham cię, moja droga.

– Jak się nazywa ten facet?

– Facet?

– No, ten twój kupiec od złotego runa. Ten, który ci podpowiedział, że powinnam porozmawiać z Rudenką.

– Już ci mówiłem, moja droga.

– Był zły zasięg. Powiedz jeszcze raz.

Zdziwiony Konstantinos mówi dokładnie to, co spodziewam się usłyszeć.

– To nie był żaden facet, tylko kobieta. Przedstawiła się jako Woronowa.

Milczę przez chwilę, a potem rzucam:

– Muszę już kończyć.

– Ale pamiętaj, moja droga, zadzwoń do mnie, jak tylko...

Rozłączam się i ruszam powoli tam, skąd przyszedłam, a konkretnie – uciekłam.

SUV-a nie ma już na ulicy. To w sumie oczywiste, nawet w Atenach nie można parkować na środku drogi. Jednak duży samochód od razu rzuca się w oczy. Bez trudu dostrzegam go po drugiej stronie placu, zresztą też w niedozwolonym miejscu.

Podchodzę ostrożnie, skradam się między kioskami i kolumnami podcieni. Nie chcę, by mnie od razu zastrzelili. W ogóle nie chcę, by mnie zastrzelili, bo mam im coś ważnego do powiedzenia. Aleksandr okazuje się bardziej spostrzegawczy niż cyngiel, powinien przemyśleć jeszcze raz politykę kadrową. Unoszę obie ręce. Chyba nie strzeli do kogoś, kto z dłońmi w górze idzie w jego kierunku? W każdym razie nie bez pytania, o co chodzi.

Pozwalają mi podejść. Pozwalają mi nawet wsiąść na tylne siedzenie i zatrzaskać za sobą drzwi. Dopiero potem kierowca do mnie celuje, a Aleksandr słucha uważnie, kiedy pytam:

– Jak masz na nazwisko?

– Może mi coś wyjaśnisz?

– Najpierw powiedz, jak masz na nazwisko.

Zastanawia się przez chwilę i w końcu wyciąga do mnie dłoń. Bez pistoletu.

– Przepraszam, nie było dobrej okazji. Aleksandr Woronow.

W micie o Argonautach pojawia się wielu napakowanych testosteronem mężczyzn. W sumie pięćdziesięciu, bo tyłu chłopu potrzeba było, żeby wiosłować Argo. Wszyscy młodzi, wszyscy skłonni do wypitki, bitki i gwałcenia. Już o nich pisałam. Ale najważniejszą postacią mitu jest kobieta, córka Ajetesa, Medea, szczęśliwym zrzędzeniem losu (szczęśliwym tylko dla Jazona, choć i tak później tego pożałował) czarodziejka. To ona podpowiedziała mu, jak poradzić sobie z ziejącymi ogniem bykami i wojownikami, którzy wyrosli z zasianych zębów smoka, a potem pomogła uciec przed gniewem Ajetesa, gdy ten wkurzył się (naprawdę trudno się dziwić), że Jazon tak łatwo zdobył złote runo. A kiedy Ajetes ścigał Argo swoim okrętem, zabiła przyrodniego brata Apsyrtosa, poćwiartowała jego zwłoki i wrzuciła do morza. To znacząco opóźniło pogoń, bo ojciec chciał zebrać szczątki syna i należycie go pochować. Już w Grecji Medea podstępem namówiła córki króla Peliasa (mało znaczący królik, tyle że zabił rodziców Jazona), by ugotowały własnego ojca. Potem jeszcze otruła Koryntosa (innego króla, też mało znaczącego), a kiedy już Jazon ją porzucił (bo chyba dotarło do niego, że życie z taką kobietą to nie raj) i chciał ożenić się z dziewczyną imieniem Glauke, Medea podarowała nowej narzeczonej szatę ślubną, która zaczęła się palić. Zginęli wszyscy goście weselni, a Medea (w końcu czarodziejka) uciekła na wozie zaprzężonym w skrzydlate węże. A, i według jednej z wersji mitu, po drodze zabiła jeszcze swoje dzieci ze związku z Jazonem.

Tak, tę dziewczynę stać było na wiele i wszystko wskazuje na to, że Walentina chciałaby jej dorównać.

Tak więc kilka rzeczy się zmieniło, a właściwie wszystko.

Nie chcę już odnaleźć Martina, by zemścić się na nim za Vangelisa. Chcę odnaleźć Walentinę i zemścić się za Martina. I za Vangelisa. I za Rudenkę. I za Petrosa. I nawet za tego biednego, pieprzonego Michaiła. Zamierzam dokopać tej Medei z bożej łaski tak, żeby do końca życia nie zdołała usiąść na tyłku!

Nie zmieniła się tylko gra. Gra w Argonautów, w poszukiwaczy złotego runa. Gra, w której chodzi nie tylko o zdobycie głównej nagrody, ale też, a może przede wszystkim o to, żeby wykończyć innych graczy, i to najlepiej metodami inspirowanymi starożytnym mitem.

Do tej pory myślałam, że grę wygrywa Martin. Myliłam się. On już przegrał dawno temu, zapewne w Ankarze.

Próbuję sobie przypomnieć tamten dzień, minuta po minucie.

Przyjechaliśmy, zameldowaliśmy się w hotelu, spaliśmy do popołudnia. Martin był ze mną przez cały czas. Zanim poszliśmy z Walentiną i Michaiłem do muzeum, zamknęłam w sejfie paszporty i papiery Rudenki. Kiedy zidentyfikowałam relief, ustaliliśmy, że jedziemy do Hattusas, ale najpierw mieliśmy coś zjeść. Również wtedy Martin był cały czas w zasięgu mojego wzroku. Potem poszłam do łazienki, a kiedy wróciłam, nie było już ani jego, ani Michaiła...

Bez trudu mogę sobie wyobrazić, jak daje się obezwładnić profesjonalnemu ochroniarzowi, i to chyba dobremu, skoro przydzielono go do opieki nad ukochaną żoną szefa (choć nie dostatecznie dobremu, by nie dać się potem zabić). Przechodzi mnie dreszcz, gdy przypominam sobie, co powiedział mi kiedyś Martin: „żeby zabrać mi ten wisiołek, musisz mnie zabić, a najlepiej jeszcze przedtem torturować”.

Czy Michaił torturował go, by wydobyć z niego kod do sejfu? A może nie musiał, bo znał hotelowy trick, który pozwala kierownikowi otworzyć drzwiczki, jeśli turysta zapomni, jak zaprogramował panel? Nigdy się nie dowiem.

Podejrzywałam Martina o oszustwo, manipulację i podwójne morderstwo. Właściwie potrójne, licząc Vangelisa. Teraz mi przykro, chociaż wiem, że jemu jest już wszystko jedno. Przykro mi jak cholera, bo dałam się nabrać dziewczynie, która nie ma nawet doktoratu! Wszystko wskazuje na to, że w tej chwili w grze prowadzi Walentyna. To ona (pewnie rękami Michaiła) zabiła Petrosa i zamęczyła Rudenkę, kiedy nie chciał powiedzieć, gdzie jest złote runo. Znalazła mnie i zadzwoniła do Konstantinosa (to oczywiście, że przedstawiła się nazwiskiem męża, na wypadek gdyby Konstantinos zechciał sprawdzić, czy stać ją na zapłacenie honorariów nawet za dziesięć złotych run). A potem wysłała mnie do pieprzonego Arkaim, gdzie zadbała o to, by osobiście się mną opiekować i być w pobliżu, kiedy usłyszę, co ma mi do przekazania umierający ojciec.

Do tego momentu wszystko jest jasne, ale kilku rzeczy nie rozumiem.

Po co napisała na kartce ze zdjęciami byków „zęby smoka”? Dlaczego zależało jej na wyjeździe do Ankary, a potem do Hattusas? Po co miałam rozwiązać zagadkę, która nie była żadną zagadką, tylko fałszywym tropem? I dlaczego znalazła mnie w hotelu w Orchomenos? Po co opowiedziała historyjkę o smutnym życiu w złotej klatce na Rublowce? I dlaczego zabiła Vangelisa? W czym jej przeszkadzał? No, powiedzcie mi, w czym?

Sama sobie odpowiadam – wcale nie musiał jej w niczym przeszkadzać. Walentyna jak Medea chciała opóźnić pogoń. Co prawda nie poćwiartowała mojego przyjaciela, ale na pewno tylko z braku czasu. Może chciała po prostu wysłać nas do więzienia? Za każdym razem, kiedy czytam mit o złotym runie, mam wrażenie, że Medea po prostu dobrze się bawiła i mordowała głównie dla frajdy. Najwyraźniej Walentyna też ma sporo uciechy z gry w Argonautów. Pewnie dlatego wydobyła z torturowanego Rudenki treść dzieciennego wierszyka,

wymyślonego przez moją matkę, i odpowiednio przygotowała kartkę, by naprowadzić mnie na właściwy trop w muzeum w Ankarze. A tak naprawdę to zmylić, bo Walentina lubi się pobawić w kotka i myszkę.

I nagle robi mi się słabo, ponieważ wszystko układa się w całość. Chciała pojechać do Hattusas, by spotkać Vangelisa i wyciągnąć z niego informację o tym, gdzie jest runo.

Pamiętacie jeszcze, co powiedział Rudenko? „Zęby smoka”. Ustaliliśmy, że ten tekst poddał mu Martin, podczas tortur wdrukował mu go w pamięć. To już nieaktualne. Stała za tym Walentina. Ale Rudenko powiedział coś jeszcze: „Simona, jedź do domu. Jedź do domu Vangelisa” czy jakoś tak. Najpierw myślałam, że chodzi o dom wykopaliskowy w Hattusas, później, że o Grecję w ogóle, ponieważ dla Vangelisa to kraj rodzinny, dom, tak samo jak Orchomenos było domem Argonautów. Teraz jednak wydaje mi się, że Rudenko miał na myśli coś innego – prawdziwy dom Vangelisa, jego mieszkanie przy ulicy Charilaou Trikoupi w Atenach, pod numerem dziewięćdziesiątym siódmym. Pięć minut piechotą od supermarketu, w którym ukrywałam się przed bandziorem.

Potrząsam głową. Aleksandr przygląda mi się uważnie, a ja dalej myślę.

Vangelis nie wiedział, gdzie jest złote runo. Nie miał bladego pojęcia, bo inaczej powiedziałby mi o tym, jeśli nie w Hattusas, to na pewno wtedy, gdy siedzieliśmy w SUV-ie, zanim Aleksandr wywiózł nas do Ankary. Zamiast tego spytał mnie tylko, czy wierzę, że runo jest prawdziwe... Nie musiał wcale wiedzieć, że wskazówka ukryta jest w jego mieszkaniu. W „domu Vangelisa”, miejscu, które znam jak własne, choć przecież nigdy nie robiłam tam rewizji. Nie szperałam mu po kątach ani nie przeglądałam papierów na jego biurku. Informacja o złotym runie musi gdzieś tam być!

Czy Walentina już ją znalazła?

Czy zamordowała Vangelisa, kiedy już jej wszystko powiedział?

Czy dlatego, że nic nie chciał powiedzieć?

– Czekam na wyjaśnienia – syczy Aleksandr, a ja nie wiem, od czego zacząć. Postanawiam od początku.

– Walentyna szuka złotego runa.

– Już to słyszałem!

– Tym razem naprawdę.

Widzę niedowierzanie w jego oczach, jednak nie sięga do schowka na rękawiczki, a to już dobry znak.

– Wtedy, w Hattusas, tego nie wiedziałam. Mogłam tylko przypuszczać – dodaje szybko. – Chciałam...

Głęboki wdech, długi wydech i jeszcze jeden wdech. Prawda pół na pół z kłamstwem jest lepsza niż same kłamstwo – tak głosi moja reguła numer dwa. Ale tym razem decyduję się na całą prawdę. Bo choć reguła numer jeden mówi: nie ufaj nikomu, muszę mu zaufać.

– Chciałam tylko dostać się jak najszybciej do Grecji.

Aleksandr kiwa głową. Wiedziała, że to inteligentny facet. Gdyby był głupi, nie miałby SUV-a, garnituru droższego od samochodu i ochroniarzy na pęczki. Chociaż – patrząc na to z innej strony – całkiem mądry nie może być, skoro ma Walentynę.

– Kłamiesz – odpowiada. – Cały czas tylko kłamiesz.

Do diabła, jednak wcale nie jest inteligentny!

– Po co miałabym kłamać? Uciekłam i mogliście mnie szukać do usranej śmierci w półmilionowym mieście. Dlaczego miałabym teraz tu przychodzić i opowiadać zmyślane historie?

Aleksandr wpatruje się we mnie, nawet nie mruga.

– Masz w tym jakiś cel. Chcesz mojej pomocy. Po raz kolejny zamierzasz mnie do czegoś wykorzystać.

Czyli jednak jest inteligentny.

– Tak – przyznaję i opowiadam mu całą historię.

Bez szczegółów, nie wspominam o kradzieży plakietki ani o tym, jak uprawiałam z Martinem seks w krzakach. O wyprawie do Arkaim. O zaginięciu Petrosa. O poszukiwaniach Rudenki. O jego okrutnej śmierci. O grze w Argonautów. O informacji, którą przekazał mi Rudenko. O tym, jak pogoniłam za fałszywym tropem do Ankary. Jak znalazłam relief i uznałam, że złote runo jest w Hattusas. Jak poprosiłam Vangelisa o pomoc. Jak myślałam, że całą grę zaaranżował Martin. Jak próbowałam go wyprzedzić w wyścigu do złotego runa. I o tym, że to wszystko wymyśliła Walentyna. Nie tylko wymyśliła, ale także wprowadziła w czyn. Precyzyjny plan, zrealizowany w stu procentach.

Aleksandr długo się zastanawia. Nie patrzy na mnie, tylko na chodnik, na

wciąż jeszcze rozłożone markizy, chociaż przestało już padać, i na ludzi pijących kawę.

– Twierdzisz, że wymyśliła sobie grę opartą na tych jej archeologicznych studiach?

Przytakuję i przełykam ślinę, bo Aleksandr odwraca głowę i patrzy na mnie poważnym wzrokiem.

– To nawet do niej pasuje. Więc gdzie jest to złote runo?

– Nie wiem. – Na jego skroniach nabrzmiewają żyły. Szybko dodaję: – Rudenko kazał mi pojechać do domu. Do domu Vangelisa.

– Tego twojego przyjaciela, którego... – Nie kończy. Ja też nie.

– I tam mają być wskazówki?

– Według Rudenki tak.

– A Walentina je odnalazła?

– Nie wiem. – A potem przypominam sobie Vangelisa, na boku, z dłonią wsuniętą pod policzek. – Prawdopodobnie tak.

Aleksandr znowu się zamyśla, ale w końcu mówi:

– No to jedźmy. Gdzie to jest?

– Kilka przecznic stąd.

Podaję im adres i kierowca wstukuje go w nawigację. Co prawda Vangelis mieszka naprawdę blisko stąd, ale jest tu pełno jednokierunkowych uliczek, po których bez końca krąży się w kółko. Chcę dojechać jak najszybciej.

Docieramy tam pięć minut później. Nie ma gdzie zaparkować, SUV ledwo mieści się za znakiem zakazu zatrzymywania się i postoju, między kontenerem na śmieci, rachitycznym drzewkiem (chyba pomarańczowym, nie znam się na botanice) i podcieniami sąsiedniego domu z filarami oklejonymi ulotkami wyborczymi i wysprejowanymi w antyrządowe hasła. Pół samochodu wystaje na jezdnię.

Oszklone drzwi na parterze są zamknięte na zamek. Nie muszę nawet wyjmować wsuwki z włosów, wystarczy mocniej nacisnąć. W windzie mogą się zmieścić tylko dwie osoby. Aleksandr każe gorylowi wejść po schodach i ten rusza na czwarte piętro z dłonią wsuniętą pod klapę marynarki. Ostrożność to nie jest głupia cecha. Jeśli Walentina już tu była, mogła zostawić niespodziankę, na przykład kolejną pułapkę.

Czuję, jak tętno mi przyspiesza i wcale nie dlatego, że łamię regulę numer osiemnaście (nie korzystaj z windy, jeśli są schody), ani dlatego, że w ciasnej kabinie muszę przytulić się do Aleksandra, żeby w ogóle zamknąć drzwi. Zapach jego wody kolońskiej coraz bardziej mi się podoba, ale nie chcę teraz o tym myśleć. Boję się tego, co mogę zastać na górze.

Winda podskakuje kilka razy – za każdym serce wędruje mi do gardła. Na czwartym piętrze wychodzę z kabiny pierwsza. Korytarz wygląda normalnie, jak

w klasycznym greckim domu: szara lamperia, marmurowa wykładzina na podłodze i słaba żarówka pod sufitem. Ani śladu Walentyny, ale umówmy się: jest za dobra, by zostawiać ślady. Kiedy ostrożnie podchodzę do drzwi mieszkania Vangelisa, Aleksandr idzie za mną, a w studni klatki schodowej słyszę kroki bandziora. Nie czekam, aż do nas dołączy. To wielki błąd.

Wsuwam spinkę do włosów w zamek i serce podchodzi mi do gardła jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe. Ktoś wepchnął do dziurki od klucza gumę do żucia. Od razu oblewam się potem i wysycha mi gardło. Przypominam sobie, jak Walentyna ciamkała gumą, a mnie chciało się od tego rzygać. Zostawiam spinkę w zamku i odsuwam się o krok. Boję się głębiej odetchnąć. Nie znam się na bombach i wyrafinowanych pułapkach, tylko na studiowaniu starych dzienników wykopaliskowych, znajdowaniu w magazynach cennych przedmiotów i wynoszeniu ich tak, żeby nikt nie zauważył.

Aleksandr pyta, co się dzieje. A bandzior jest dopiero na trzecim piętrze, gdy otwierają się drzwi mieszkania obok.



Na progu jednak nie pojawia się ani Walentina, ani Anatolij, którego najpewniej w Orchomenos przekonała, by pomógł jej w grze, a konkretnie w poderżnięciu gardła Vangelisowi. Tylko starsza pani, ubrana od stóp do głów w czerń, wzorem wszystkich greckich staruszek. Kiedyś zastanawiałam się, czy one rzeczywiście noszą żałobę po różnych członkach rodziny, czy po prostu nie chcą, żeby zawracać im głowę. Ta tutaj wygląda na drugi przypadek. Lustruje od góry do dołu najpierw mnie, a potem Aleksandra.

– *O kyrios Vangelis den einai spiti.*

– Tak, wiem – odpowiadam po angielsku. – Przebywa na wykopaliskach. Jestem jego przyjaciółką.

Staruszka przeświewa mnie spojrzeniem jak skanerem. Najwyraźniej nie wypadam dobrze.

– *Ti thelis?*

„Czego chcesz?”. Żadnego „pani”, to nie Wersal, tylko Ateny.

Szczerze? Kilku rzeczy: chcę znaleźć wskazówki, gdzie jest złote runo, a także Walentinę, która też go szuka, żeby przywalić jej z pięści prosto w twarz – za Martina i Vangelisa. To na początek, potem się zobaczy. A poza tym chcę wyciągnąć z szafy Vangelisa jakieś czyste ubrania, bo gdy opieram się o ścianę, moje zaczynają się już do niej przyklejać. Jak się nosi ciuchy z najnowszego wiejskiego żurnala środkowej Anatolii, to w europejskim mieście wszyscy gapią się na ulicach, a reguła numer pięć głosi: nie wychodź przed szereg, nie wyróżniaj się! Dlatego jak najprędzej muszę zdobyć jakieś dzinsy. Tego jednak jej nie mówię, bo na grecką staruszkę działa tylko jedno.

– Też jestem archeologiem, akurat przyjechałam na stypendium do Aten. Vangelis zadzwonił do mnie, bo zostawił w lodówce jedzenie. *Tyropitakia* i *makaronia me kima*, od jego mamy. – Lecę na skrzydłach fantazji. – Zapomniał wyjąć przed wyjazdem i teraz obawia się, że się zepsuje.

Nie wiem, ile ona rozumie z mojego wykładu, jednak nazwy potraw na pewno. Jej twarz od razu łagodnieje. Żadna grecka babcia nie dopuści, by zmarnowało się jedzenie albo by, nie daj Boże, trzeba je było wyrzucić. Staruszka cofa się o krok i pyta, czy mam klucz:

– *Echeis kleidi?*

Wszystko jest na dobrej drodze.

Niestety istnieje jeszcze prawo Murphy’ego. Jeśli coś może się spieprzyć, to się spieprzy.

I się pieprzy.

Na piętrze pojawia się ochroniarz Aleksandra z pistoletem w dłoni i automatycznie podnosi go, celując w kobietę. Oczy babci robią się okrągłe jak

spodki, trwa to ułamek sekundy, a potem staruszka zaczyna krzyczeć. Podnoszę dłonie do uszu, ale wibrujące dźwięki bez trudu przenikają przez tkanki miękkie. Greckie kobiety słyną z tego, że głosem tłuką szyby w mieszkaniach i witraże w cerkwiach. Staruszka wycofuje się i zatraskuje drzwi, ale drewno wcale nie stanowi przeszkody dla dźwięków o tej częstotliwości. Dochodzi do mnie trzask i krzyk o nowym natężeniu, z czego wnoszę, że otworzyła okno i teraz drze się na całą ulicę.

Nie znam greckiego, więc nie wiem, czy wzywa pomocy, czy po prostu miota na nas przekleństwa. To w sumie bez znaczenia, bo przez wznoszący się i opadający wrzask słyszę na schodach tupot nóg należących do co najmniej dwóch osób, a może trzech. Mężczyzn, do tego w ciężkich butach.

Bandzior odwraca się i przyjmuje pozycję strzelniczą, Aleksandr rozgląda się w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale przecież jesteśmy na najwyższym piętrze. Podbiegam do windy i naciskam guzik, właściwie to walę w niego pięścią, bo kabina reaguje w zwolnionym tempie. To stara winda i nie ma takiego guzika, który pozwala szybciej zamknąć drzwi. Muszę czekać i słuchać tupotu, krzyków, a potem odgłosu wystrzałów. Klękam i obejmuję głowę ramionami. Kiedy wreszcie drzwi zaczynają się zasuwają, coś je blokuje. Aleksandr przytrzymuje je ramieniem, żeby wcisnąć się do środka. Podobnie jak ja przed chwilą wali w przycisk parteru, choć nic to nie daje, szybciej nie będzie. Jak na złość drzwi zatrzymują się w połowie i jakieś dwa do trzech lat później, a przynajmniej tak mi się wydaje, rozsuwają się znowu i dopiero wtedy zasuwają. Słysząc huk wystrzałów, powietrze śmierdzi, jakby ktoś rozpylił gaz. Kiedy winda rusza, Aleksandr podaje mi dłoń i pomaga wstać. Przez całą drogę na dół nie puszcza mojej ręki. Czekamy jak w blokach startowych, aż winda dotrze na parter i drzwi się otworzą. Wtedy wypadamy na chodnik, który blokuje radiowóz z białym napisem ASTYNOMIA/POLICE na drzwiach. Dostrzegam jeszcze mandat za szybą źle zaparkowanego SUV-a, ale nic więcej, bo Aleksandr ciągnie mnie na drugą stronę ulicy.

Z domu za nami dochodzi więcej wrzasków, do staruszki musiały dołączyć inne babcie siedzące o tej porze w domu. Skręcamy w przecznicę za najbliższym śmietnikiem, a potem znów za eleganckim, neoklasycznym budynkiem, utrzymanym w kolorze piaskowego beżu, pokrytym graffiti do wysokości wzrostu rosnącego mężczyzny. Znowu mży. Chodnik jest gładki, jakby ktoś wylał na niego oliwę z oliwek, Aleksandr ślizga się na podszewkach swoich skórzanych pantofli. Przy domu podpartym stemplami i oklejonym ostrzeżeniami, że może się zawalić po trzęsieniu ziemi (które miało miejsce chyba ze czternaście lat temu, a dom ciągle stoi), upadam i uderzam kolaniem w marmur. Boli. Mój towarzysz ciągnie mnie do góry. Ma rację, to nie jest dobry moment, by rozczulać się nad sobą. Policjanci na pewno mają buty na gumie, dostosowane do chodników.

Wypadamy na trójkątny placyk, tuż obok kina. Byłam tu kiedyś z Vangelisem na strasznie nudnym filmie, z którego nie zrozumiałam ani słowa... Odpędzam wspomnienia. Biegniemy między kawiarnianymi stolikami a skrzynkami piwa i coli ustawionymi obok kiosku. Na dźwięk syren oglądam się i wpadam z rozpędu na stolik brodatych hipsterów. Z blatu spadają szklanki piwa, a szkło rozsypuje się na chodniku.

– *Siga, re!* – krzyczy jeden brodac.

Aleksandr odpycha go i ciągnie mnie dalej, ale wyszarpuję się z jego uścisku. Bo przypomina mi się, co mówił Vangelis o swojej dzielnicy – dzielnicy anarchistów, którzy przecież z definicji nie przepadają za policją. Ci przy stołku zdecydowanie na takich wyglądają. A organa ścigania pewnie darzą ich podobnym uczuciem.

Podejmuję błyskawiczną decyzję.

– Pomóżcie nam, goni nas policja! – Patrzę brodaczowi prosto w oczy, a on uważnie mi się przygląda.

Strasznie długo to trwa, syrena jest coraz bliżej. Kiedy już myślę, że facet nie zna angielskiego i lepiej biec dalej, kiwa głową. Wykrzykuje do swoich kumpli coś, czego nie rozumiem, i następuje ogólna mobilizacja. Drugi hipster, w swetrze w fioletowe romby, wyciąga komórkę, niski chudy chłopak, dla odmiany bez brody, podbiega do knajpy z wejściem zasłoniętym metalową żaluzją, pomalowaną w psychodeliczne wzory, i wali w nią pięścią. Syreny są już za rogiem, kiedy żaluzja podnosi się z łoskotem i brodac wpycha mnie do środka.

– Chodź! – krzyczę do Aleksandra. – Oni nam pomogą. Nienawidzą policji.

Waha się, ale tylko przez ułamek sekundy. W końcu nie na darmo dorobił się SUV-a, garnitur, cyngli i złotych spinek do mankietów. Rozumie, że jak nie ma czasu na dyskusję, to nie ma. Pochyla głowę i wbiega do ciemnego wnętrza. Potyka się o stos krzeseł, które wpadają pod żaluzję i blokują ją. Syrena jest już tak głośna, że nie słyszę żadnych innych dźwięków. Przez prześwit pod żaluzją, którą brodac na próżno próbuje opuścić, widzę błękitne błyski na chodniku. Coś uderza w blachę. Cofam się o krok i dobrze, bo za chwilę trafia w nią butelka, rozpryskuje się szkło. Syrena nagle cichnie i wtedy rozlegają się krzyki, a do środka wciska się smród rozpylanego gazu. Chudemu chłopakowi bez brody ścieka z czoła strużka krwi, ale to chyba nic poważnego, nawet nie zadaje sobie trudu, by ją otrzeć. Razem z brodaczem szarpie się z krzesłem blokującym żaluzję, jednak nawet we dwóch nie dają rady. Śmierdzi coraz bardziej. Uderzenia w blachę zaczynają przypominać grad. Lustruję wnętrze restauracji, ale jest za ciemno, a ja mam zwężone źrenice od wpatrywania się w jasny prześwit. Zanim się rozszerzą, ktoś szarpie mnie za ramię.

– Nie możecie tu zostać! – krzyczy chłopak. – Zaraz wejdą do środka!

Sądząc z odgłosów, na placyku toczy się już regularna bitwa. Gdy gość

z brodą ciągnie mnie na tyły knajpy, w panującym mroku nie zauważam stołu i kant blatu wbija mi się w brzuch. Za mną coś wali się z łoskotem, pewnie to Aleksandr próbuje znaleźć drogę.

– Co to za ludzie? – Słyszę jego głos.

– Lepiej się pospiesz, później pogadamy!

Jednak nasz wybawca najwyraźniej zna angielski lepiej, niż przypuszczałam, i w dodatku uważa, że na mały wykład zawsze znajdzie się czas.

– Jesteśmy anarchistami z Exarchii. Na pewno o nas słyszeliście. – Zawiesza głos. Być może czeka na oklaski. Żadne nie rozbrzmiewają, więc dodaje z lekkim zawodem w głosie. – Nikt nie będzie nam mówił, co mamy robić w naszym mieście.

– Dokładnie tak! – wpada mu w słowo chłopak. – E-xar-chia! E-xar-chia!

Brodacz go szturcha i chudy od razu cichnie.

– A wy skąd jesteście?

– Z Rosji – odpowiadam, zanim Aleksandr zdoła mnie powstrzymać. I wiem, co robię.

– O, z Rosji, *towariszczi!* – Chłopakowi zupełnie nie przeszkadza, że *towariszcz* ma na sobie ciuchy, na które on sam musiałby pracować półtora życia. Ja wypadam o wiele bardziej wiarygodnie, w kupionych w Ankarze kwiecistych szarawarach prezentuję się jak rosyjska wieśniaczka z dziewiętnastowiecznych obrazów. – Witajcie w Grecji! Udzielimy wam wszelkiej koniecznej pomocy.

– Widzisz! – Szarpię Aleksandra za kłapy marynarki. – No to chodź!

– Leonid został tam w budynku.

Na pewno mu nie pomożemy, jeśli damy się aresztować policji w samym środku bitwy z anarchistami. Chyba nie muszę tego mówić, sam powinien wiedzieć.

– Chodźcie, chodźcie, *towariszczi* – pogania chłopak. – Zawieziemy was w bezpieczne miejsce.

– Nigdzie nie idę! – oznajmia twardo Aleksandr. Oczy przyzwyczyły mi się już do ciemności i widzę, że spleta ręce na piersi. – Na pewno nie z tymi błaznami.

O, nieładnie. Chłopaki ratują mu tyłek, a facet wybrzydza. Nie bardzo mam wyjście, coś muszę z tym zrobić, bo jeśli on nie chce iść z anarchistami, to będzie musiał pójść z policjantami, a bez niego będzie mi o wiele trudniej znaleźć Walentinę.

– Nie ufam im – marudzi dalej i zaczyna mnie już irytować. Ja też im nie ufam, patrz: reguła numer jeden. W tej grze nie można ufać nikomu, bo to źle się kończy. Akurat on, puszczony w trąbę mąż, powinien to wiedzieć najlepiej. Ale chłopak ma rację, tutaj zostać nie możemy. W tej sytuacji pozostała mi jedynie reguła, której też wypadałoby nadać numer, ale już się pogubiłam: nie ma to jak prowokacja.

– To zostań tu, dopóki się to nie skończy. Ja idę z nimi. Chcę jak najszybciej znaleźć Walentinę – rzucam i odwracam się na pięcie.

Nie mam czasu wymyślić bardziej wyrafinowanego zagrania. Najwyraźniej jednak dopisuje mi szczęście, bo ktoś wali pięścią w opuszczoną w trzech czwartych żaluzję i krzyczy po grecku. W szparze pojawia się światło latarki i omiata stos przewróconych krzeseł. Aleksandr obraca się wokół własnej osi i błyskawicznie podejmuje decyzję. Rusza za brodaczem, który wrzeszczy, żebyśmy się pospieszyli, i sam biegnie zygzakami między sprzętami. Przeciskam się za nim przez półotwarte drzwi, uderzam w nie biodrem, a w ciasnym, ciemnym korytarzyku, gdzie nie widzę nawet własnych nóg, spadam z dwóch schodków. Brodacz zapomniał uprzedzić, że tam są. Kiedy wybiegamy na zewnątrz, muszę zmrużyć oczy, chociaż na dworze nadal jest pochmurno. Na małym podwórku rośnie uschnięta do połowy palma. Chłopak zauważa moje spojrzenie.

– Pasożyt przywleczony z Egiptu – wyjaśnia w biegu. – Jakiś bogaty idiota sprowadził sobie drzewka na ślub córki, a razem z nimi małego robaczka, który zjada teraz wszystkie palmy w Attyce. Szybciej, policja zaraz tu będzie!

Jego towarzysz otwiera kolejne drzwi i wbiega do środka. Jest jeszcze jeden korytarz, schodki (tym razem uważam i macam stopą podłogę, zanim zrobię krok) i kolejne wyjście, a tam pomiędzy śmietnikami stoi małe czerwone clio. Brodacz otwiera je kluczykiem, bo ten model nie ma centralnego zamka, a potem podbiega do rogu ulicy, ostrożnie wystawia głowę i natychmiast ją cofa.

– Szybko! – krzyczy i pędzi do auta.

Wskakujemy na tylną kanapę, a chłopak dopycha przedni fotel, przygniatając Aleksandrowi kolana. Ruszamy co najmniej siedemdziesiątką, o milimetry mijając zaparkowane po obu stronach wąskiej uliczki samochody. Siedzący za kierownicą brodaty hipster nawet nie drasnął lusterek (a nie, przepraszam, tylko lewego, prawe jest urwane). Dojeżdżamy do głównej ulicy i włączamy się w ruch. W ogóle tu nie widać, że kilka przecznic dalej toczy się bitwa z policją.

Nie taki miałam plan. Zamierzałam w domu Vangelisa szukać informacji o złotym runie i Walentinie, która prawdopodobnie już u niego była i wszystko wie. Szansa na to, że ją odnajdę i dokopię jej, maleje z każdą chwilą. Nie chciałam uciekać przed policją, gnieść się na tylnym siedzeniu poobijanego renaulta i jechać w nieznaną z grupą niedomytych (choć ten za kierownicą używa niezłej wody kolońskiej) anarchistów.

Gdy wyjeżdżamy z centrum, mżawka przechodzi w deszcz, ściemnia się. Brodacz włącza światła i przyspiesza. Po obu stronach dwupasmówki jest więcej reklam i warsztatów wulkanizacyjnych, musimy być na dalekich przedmieściach. Zaczynam się zastanawiać, czy to pułapka zorganizowana przez Walentinę. Trochę mało prawdopodobne: musiałaby przewidzieć, że staruszka zacznie krzyczeć, policjanci będą akurat wypisywać mandat, a anarchiści spotkają się na piwie. Co

więcej, musiałaby zgrać to wszystko w czasie. Ale to utalentowana dziewczyna, nie mogę tego wykluczyć.

– Dokąd jedziemy? – pytam w końcu.

– Nie ma powodu do obaw, *towariszcz*. – Kierowca łapie moje spojrzenie w lusterku. – Znajdziecie schronienie u mojego kamarada.

O rany, teraz dopiero zaczynam się bać! Ale niepotrzebnie, jak się okazuje.

*Kamarad* mieszka w dwupiętrowym niewielkim domu. Na parterze, piętro nad nim urzęduje brat z żoną i niemowlęciem (słyszę przebijający przez sufit wściekły ryk), a dwa piętra wyżej – mama i tata. Gdyby Walentyna chciała nas zwabić w pułapkę, raczej nie szukałaby wielopokoleniowej kamienicy.

Siadam sztywno na sofie w salonie, Aleksandr wciska się w fotel. Na każdej płaskiej powierzchni: poręczach fotela, półkach etażerki i szczycie wciśniętego w kąt pianina, leżą haftowane serwetki. Każdą chroni od kurzu cienki płatek przezroczystej folii. Na kanapie jest jeszcze więcej haftów w postaci poduszek. W wazonie na telewizorze tkwi bukiet suszonych kwiatów, a na ścianie obok wiszą zdjęcia całej rodziny.

Nie pasujemy do tego wnętrza. O mnie to w ogóle szkoda gadać, ale nawet garnitur Aleksandra nie wygląda już tak ładnie – pozbawiony jednej spinki od mankietu, z przekrzywionym krawatem, który w końcu i tak ląduje w kieszeni.

Mama kamarada puka do drzwi, wsuwa głowę i konferuje z synem, a kiedy po chwili wraca z obiadem, moja wdzięczność pikuje pod sufit. Po jedzeniu Aleksandr wyjmuję komórkę, jednak zanim zdąży nacisnąć wyświetlacz, brodacz wrywa mu ją z ręki.

– Zwariowałeś, *towariszcz*?! Chcesz, żeby nas namierzyli?

Nie bardzo wiem, jak mieliby to zrobić. Nawet najlepsze służby nie wpadłyby na to, by powiązać jego numer (zapewne zastrzeżony) z ateńskimi anarchistami. Gdy chłopak oddaje mu telefon, Aleksandr posłusznie go wyłącza i wkłada do kieszeni. A mnie nagle coś się przypomina. Komórka Walentyny w moim plecaku! Skoro dzięki niej znalazła mnie w Orchomenos, równie dobrze może znaleźć mnie tutaj!

Wyszarpuję z plecaka aparat i wyłączam go, po chwili namysłu wyjmuję jeszcze baterię. Aleksandr przygląda mi się, ale nic nie mówi. Mam przecucie, że i tak jest już za późno. Za oknem widzę jedynie dom po drugiej stronie i latarnię. Nikt się nie czai, nikt nie mierzy z broni, w ogóle nikogo nie ma. Wcale mnie to nie uspokaja, więc żeby przestać o tym myśleć, sięgam po gazetę leżącą na stoliku. Na pierwszej stronie widnieje zdjęcie minojskiego pierścienia. Według artykułu, który tłumaczy mi chudzielec, zaledwie kilka dni temu pewien wnuk znalazł go na strychu dziadka. Hm, ciekawe. Szkoda, że mnie przy tym nie było.

– Co wy porabiacie w Grecji, *towariszczi*? – zagaduje chłopak. – Przyjechaliście na wiec?

Jaki wiec, do cholery? Nie mogę kłamać, kiedy nie mam żadnych danych.

Kręcę głową.

– Jesteśmy archeologami.

– A, archeolodzy! Słyszałeś, *Andoni*? – Odwraca się do brodacza.

– Archeologia jest skażona imperialną ideologią – mruczy Andonis.

– Trochę jest – przyznaję. – Ale nie całkiem. Teraz są nowe nurty badawcze...

– Kopiecie za imperialistyczne pieniądze!

Jeśli o mnie chodzi, pieniądze na wykopaliska wcale nie muszą pochodzić z grantów fundacji bogatych przemysłowców. Mogą być ze zbiórki przeprowadzonej wśród robotników w fabryce, ale ci jakoś nie kwapią się do zrzutki.

– Bogacze dyktują wam swój punkt widzenia, a wy to potem publikujecie w naukowych czasopismach jako obiektywną prawdę.

Moim zdaniem bogacze mają głęboko gdzieś, co i gdzie publikują archeolodzy. W ogóle najlepiej sprawdzają się jako kupcy na ukradzione przeze mnie zabytki. Tego już jednak nie mówię głośno, tylko sugeruję mu, żeby się odpieprzył.

Andonis się obraża i odwraca plecami, a później w ogóle wychodzi z pokoju. Bardzo mnie to cieszy, jestem zbyt zmęczona przeżyciami ostatnich dni, żeby dyskutować z idiotą. Chłopak i *kamarad* naradzają się po cichu, a potem mówią, że powinniśmy poczekać z powrotem do centrum. Dopiero za parę godzin wszystko się uspokoi. Obiecują po nas wrócić i obaj się ulatniają.

No to czekamy. Opieram się wygodnie na kanapie, podkładam pod głowę haftowaną poduszkę i podkulam nogi. Układam się na boku. Aleksandr siedzi pochylony w fotelu, opierając przedramiona na kolanach. Co chwilę zerka na zegarek albo przygląda włosy.

Kiedy zamykam oczy, pod powiekami widzę wyraźnie Vangelisa z wielką raną na szyi.

– Bardzo mi jej brakuje. – Słyszę nagle i prawie podskakuję. Musiałam przysnąć.

Jestem półprzytomna, ale mimo to zastanawia mnie, dlaczego bogaty rosyjski biznesmen, właściciel drogich ciuchów, drogiego samochodu i drogich ochroniarzy, z pewnością też drogiego domu, pełnego drogich kolekcji, posiadacz drogiego pakietu akcji i wielu innych drogich rzeczy – po prostu facet, który ma wszystko, mówi z żalem o kimś, kto puścił go w trąbę, a przy okazji zamordował kilku moich przyjaciół i znajomych. Dopiero po chwili dociera do mnie, że właśnie dlatego. W końcu każda dziewczyna potrafi wystroić się za pieniądze męża, ale nie każdą stać na ułożenie planu łączącego znajomość greckiej mitologii z wiedzą na temat tortur i zabójstw. I wprowadzenie go w życie. Bogatego bankiera musi kręcić

taka drapieżna żonka.

– Walentyna jest wyjątkowa. Drugiej takiej nie ma na całym świecie.

Tu się zgadzamy. Tylko że ja to raczej widzę w sensie negatywnym.

– Nie byłem dla niej dobrym partnerem. Chciałem ją mieć na własność.

No tak, pewnie tak samo jak garnitury, samochody i akcje.

– Ale ona nie jest zwykłą żoną-trofeum. Wtedy tego nie widziałem, a teraz może być za późno.

– Na pewno jeszcze nie – mamroczę i zastanawiam się, jak do tego doszło, że najpierw musiałam wysłuchiwać małżeńskich rozterek Walentyny, a teraz wyrzutów sumienia jej męża. Czy w nocy ktoś wytatuował mi na czole „darmowa pomoc psychologiczna”?

– Ty jej nie znasz tak dobrze, jak ja. – Mężczyzna prostuje się w fotelu i przesuwa obiema dłońmi po włosach. – Ona zawsze chciała czegoś więcej niż tylko pieniędzy. Ona potrzebuje silnych wrażeń.

Dlatego morduje ludzi na prawo i lewo? Niezły pretekst.

– A nasze życie na Rublowce jest dla niej zbyt nudne. Ona się tam marnuje, rozumiesz? – Patrzy na mnie, jakby rzeczywiście oczekiwał odpowiedzi, ale żeby pokiwać głową, musiałabym ją oderwać od poduszki, więc tylko niewyraźnie coś mruczę. – Co mówisz?

– Ta twoja Walentyna zabiła cztery osoby. Chyba rzeczywiście się nudziła.

– Nie rozumiesz. Na pewno zrobiła to w obronie własnej.

Siadam na sofie i biorę głęboki wdech. Już nie chce mi się spać. Z chęcią bym mu odpowiedziała, ale nie wiem co. „Serio?”, „Nie sądzę”, „Jedynę zagrożenie, jakie mogło ją spotkać ze strony Vangelisa, to zaproszenie na kawę” – żadna z tych odpowiedzi nie wydaje mi się przekonująca.

– Walentyna jest wyjątkowa – mówi dalej Aleksandr. – Kiedy ona sobie coś postanowi, na pewno zrealizuje cel, choćby... – urywa, ale wiem, co chce powiedzieć. „Choćby po trupach”. To akurat prawda.

– Posłuchaj. – Próbuję zebrać myśli. – Wiem, że mówimy o twojej żonie, i tak dalej, ale to morderczyni, niebezpieczna wariatka.

Aleksandr gwałtownie podrywa głowę. Unoszę obie ręce w obronnym geście i zaczynam jeszcze raz, delikatniej:

– Wymyśliła sobie, że znajdzie złote runo, które prawdopodobnie wcale nie jest mitem, jak wszyscy sądzili do tej pory. Chwała jej za zdolności dedukcyjne i wybitną pracę badawczą. Tylko potem napotkała pierwszą trudność, kiedy Rudenko nie chciał jej powiedzieć o runie. Większość archeologów w takiej sytuacji poleciałaby do biblioteki i przekopała się przez źródła...

– Walentyna to nie jest większość.

– Tak, zdążyłam już się zorientować. Zrezygnowała z pracy badawczej, bo prościej było wydobyć z Rudenki te informacje torturami oraz sprzątnąć, dosłownie



sprzątnąć z drogi osoby, które miały ze mną coś wspólnego. – Sama słyszę, że tłumaczę mu to jak dziecku. A on słucha jak dziecko. Patrzy w podłogę i nie przerywa. – A do tego mnie wyrolowała!

Aleksandr podnosi głowę. W jego wzroku maluje się „tu cię boli” tak wyraźne, jakby powiedział to głośno.

Tak, tu mnie boli! Studentka przechytrzyła panią doktor. Jakaś lalunia w ciuchach z mediolańskich butików okazała się sprytniejsza ode mnie, naukowca z doktoratem i wieloletnim doświadczeniem. I to obejmującym nie tylko badanie zabytków, ale także ich kradzież, do cholery! Powinnam była zorientować się wcześniej. Ta cała historia – napalony na złote runo Konstantinos, gadający zagadkami Rudenko, znikający Petros, nagle demoniczny (a przecież zawsze tak pocziwy) Martin – była zbyt piękna, by mogła być prawdziwa.

– Nie mogę dopuścić, żeby po tych wszystkich morderstwach Walentina wzięła runo pod pachę i odeszła tanecznym krokiem w stronę zachodzącego słońca, jak w filmie z happy endem. I ty też nie powinieneś do tego dopuścić!

On nie odpowiada. Znowu przesuwając dłońmi po włosach, a potem wraca do poprzedniej pozycji, z łokciami opartymi na kolanach. Po kilku minutach głowa opada mi na poduszkę. Patrzę w to samo miejsce na podłodze, w które wpatruje się ciągle Aleksandr, ale nie dostrzegam niczego ciekawego. A kiedy zamykam oczy, znowu przychodzi do mnie Vangelis...

Nagle budzi mnie szarpnięcie za ramię. Za oknem jest tak samo ciemno jak wcześniej. To chyba ciągle ta sama noc, bo Andonis ma na sobie tę samą koszulę, a chudy chłopak ten sam sweter, a poza tym ten pierwszy jest tak samo obrażony, a drugi tak samo pełen entuzjazmu jak wcześniej.

– Już czas jechać, *towariszczi* – mówi.

Nie mam siły zwlec się z sofy, ale brodacz otwiera drzwi. Aleksandr, przytomny i z podkrążonymi oczami, jakby nie przespał ani minuty, podaje mi rękę. Przestało padać i zerwał się lodowaty wiatr. Trzęsę się z zimna w moich cienkich, kwiecistych spodniach, bo długo trwa, zanim silnik się rozgrzewa, a dmuchawa zaczyna tłoczyć ciepłe powietrze. Za to później znowu odpływam w drzemkę.

– Dokąd was zawieźć? – pyta chłopak, kiedy jesteśmy już na głównej ulicy.

– Do domu... Do domu Vangelisa – bełkoczę ze zmęczenia. – Wiecie... Wiecie, gdzie to jest?

Kierowca przytakuje i odwraca się, a ja znów zamykam oczy. Vangelis z podciętym gardłem pojawia się tym razem tylko na ułamek sekundy. A później już nikt nie przeszkadza mi spać.

Tego ranka też budzę się o świcie. Tym razem nie w hotelowym łóżku, tylko na tylnym siedzeniu zaparkowanego samochodu. Chwilę trwa, zanim przypominam sobie, gdzie jestem. Anarchiści mieli nas zawieźć do domu Vangelisa, żebym mogła znaleźć wskazówki i dotrzeć do złotego runa, a tym samym do Walentyny. I zrobić jej coś bardzo, ale to bardzo złego.

Ziewam i trę zaspane oczy, kiedy nagle dociera do mnie, że nie słyszę klaksonów, pisku opon ani w ogóle żadnych odgłosów miasta. Szybko odrywam dłonie od twarzy i zatyka mnie z wrażenia. Akropol płonie. W każdym razie tak to wygląda, kiedy wzgórze oświetlają promienie wschodzącego słońca.

Stoimy na wąskiej uliczce obok klasycystycznej kamienicy, prawie w ogóle niepomazanej graffiti. Przed sobą, na wzgórzu, widzę świątynię Ateny Polias, zawieszoną w przezroczyście porannym powietrzu, poniżej stopnie widowni teatru Dionizosa. Tylko nie ma domu Vangelisa.

Andonis, który ciągle wygląda na obrażonego, siedzi za kierownicą. Obok, na przednim siedzeniu pasażera chłopak, a Aleksandr z tyłu, koło mnie. Żaden z nich nie jest zdziwiony, że stoimy akurat tutaj.

– Ja też lubię tu przychodzić, gdy mam czas – mówię. – Podziwiać zabytki, arcydzieła minionych wieków i tak dalej. Tak się jednak składa, że teraz akurat nie mam czasu. Prosiłam, żebyście zawieźli nas do domu Vangelisa.

– No i jesteśmy – odburkuje brodac.

Boże, jak ja nienawidzę rozmawiać z idiotami. Ciągle im trzeba wszystko tłumaczyć.

– To nie jest jego dom. Vangelis mieszka... mieszkał w Exarchii.

– No coś ty! – oburza się chłopak, który też chyba wcześniej się zdrzemnął, bo przeciąga się, jakby był we własnym łóżku.

– Zapewniam cię – cedzę słowa.

– Gdyby mieszkał w Exarchii, nie byłoby tej afery ze zburzeniem domu.

Potrząsam głową. Może ciągle śpię i śnię?

– Jakiej afery? – pytam w końcu.

– Nie słyszałaś? Naprawdę? Było chyba we wszystkich serwisach informacyjnych na całym świecie.

Skoro są anarchistami, nie powinni wierzyć reżimowej telewizji, poza tym internet też podobno kontrolują wielkie korporacje. Ciśnie mi się to na usta, ale postanawiam milczeć, co chłopak interpretuje po swojemu.

– O rany! – mówi do Andonisa. – Ona naprawdę nie słyszała. – I odwraca się do mnie. – Kiedy zbudowali nowe muzeum Akropolu, chcieli zburzyć ten dom, bo zasłania zwiedzającym widok na wzgórze. No i wybuchła straszna afera, bo to własność Vangelisa. Bronił się, że to też zabytek. Ja tam nie wiem, kiedy go

zbudowali, chyba jeszcze w dziewiętnastym wieku, więc jest dość stary. No, ale jakby nie patrzeć, młodszy niż Akropol, dlatego ministerstwo...

Nie słucham go dalej, tylko wysiadam, mijam róg domu i wychodzę na deptak. Aleja biegnie prosto na wschód, słońce razi w oczy. Będzie piękny dzień. Marmurowe płyty chodnika są wilgotne nie od deszczu, tylko od porannej rosy. Przyglądam się fasadzie dziewiętnastowiecznego domu. Jednak jest graffiti, przy bramie ktoś wysprejował *eat the rich*.

Za sobą słyszę trzaśnięcie drzwi – chłopak też wysiada.

– Pewnie, od frontu to ładny domek, ale nowe muzeum Akropolu jest całe oszklone, wiesz, chodzi o to, by jednocześnie oglądać płaskorzeźby Partenonu i patrzeć na sam Partenon. Rozumiesz, taka koncepcja artystyczna.

Sama nie wiem, czy rozumiem.

– A ten dom stoi prawie dokładnie na linii muzeum–Akropol, co trochę przeszkadza podziwiać widoki. Zwiedzający nie widzą tego eleganckiego frontu, tylko tył. Zamiast Akropolu mogą podziwiać majtki Vangelisa suszące się na sznurku.

– Majtki Vangelisa?

Chłopak daje krok do tyłu, jakbym była niebezpieczna.

– No o Vangelisie to chyba słyszałaś, nie? – mówi ostrożnie. – *Rydwany ognia*, Oscar za muzykę i tak dalej.

*Rydwany ognia!* Kasetą, którą Rudenko miał w swoim przedpotopowym magnetofonie z muzyką skomponowaną przez Vangelisa. Nie, nie mojego przyjaciela Vangelisa Paschalidisa, tylko Vangelisa Papatthanassiou, znanego kompozytora.

Dom Vangelisa!

Jakie to wszystko proste (gdy już wiadomo o co chodzi)! Rudence wcale nie chodziło o mieszkanie na czwartym piętrze kamienicy w Exarchii, tylko o słynny dom zasłaniający widok na Akropol – widok z nowo wybudowanego (za ciężkie pieniądze) muzeum, które ma dostatecznie dużo miejsca, by pomieścić całą odkopaną do tej pory kolekcję rzeźb z Akropolu. I dużo więcej zabytków. Oprócz wielkich sal wystawowych są tam też wielkie magazyny, a w nich może spokojnie zmieścić się kolekcja z Orchomenos (malutkiego przy tym gigancie), dopóki nie skończy się remont.

Nie oglądam się, żeby podziękować brodacowi ani nawet chudemu chłopakowi, chociaż należą im się podziękowania. Gdyby nie oni, przetrząsałabym zakurzone szpargały w mieszkaniu mojego przyjaciela i próbowałabym doszukać się ukrytego znaczenia w papierach na jego biurku, ubraniach w szafie i niezakręconej tubce kremu do golenia w łazience – ale i tak się nie oglądam. Okrążam dom Vangelisa i przyklejony do niego budynek, po czym idę prosto do muzeum.

Perfekcyjne zgranie w czasie – na moich oczach strażnik otwiera kluczem

bramę i wita nas po grecku:

– *Kalos ilthate!*

Aleksandr idzie za mną. Rozpoznaję jego kroki, słyszę, jak rozmawia przez telefon po rosyjsku. Może próbuje się zorientować, ilu ochroniarzy mu jeszcze zostało. Kiedy przekraczamy dziedziniec, pcham mocno drzwi do hallu. Przed kasą musimy poczekać, aż panienska poprawi makijaż. Sprzątaczkę ciągle jeszcze przecierają mopami podłogę.

Wreszcie z biletem w dłoni przechodzę przez bramki. Za mną idzie Aleksandr, chowając telefon do kieszeni. Muszę uważać, żeby nie pośliznąć się na wilgotnych płytach, nigdzie nie ma tabliczki z ostrzeżeniem. Strażnik dopiero zapala punktowe lampy podświetlające rozmieszczone na parterze rzeźby ze stoków Akropolis. Omijam starannie płyty z grubego szkła umieszczone na samym środku posadzki, przez które widać teren wykopalisk archeologicznych piętro niżej. Nienawidzę uczucia, że stąkam w powietrzu.

I czuję, jak ogarnia mnie rozpacz.

Tak, odszyfrowałam wreszcie wiadomość Rudenki. Tak, dziękuję, tatusiu, już wiem, gdzie znajduje się złote runo. Tylko szkoda, że nie zostawiłeś mi bardziej szczegółowej wskazówki. Nowe Muzeum Akropolu to największe muzeum w Atenach, mieści dziesiątki tysięcy zabytków, jak nie setki, a jego magazyny są legendarne. Nawet gdybym zdołała się do nich dostać, potrzebowałabym kilkadziesiąt lat na ich przegrzebanie. Ludzie nie żyją tak długo.

Idę powoli i z każdym krokiem coraz bardziej dociera do mnie, że to koniec. Mogę tylko pogapić się na ładne zabytki, pofantazjować, jak to by było ukraść złoty diadem albo pierścień z jednej z gablot. Mogę przyjrzeć się zabezpieczeniom, nawet ułożyć jakiś plan, którego i tak nigdy nie zrealizuję – to muzeum słynie nie tylko ze wspaniałych zabytków, wielkich magazynów i czystych podłóg, ale też z nowoczesnych systemów alarmowych.

Rudenko mógł mieć rację, złote runo może gdzieś tu być. Tylko że ja go nigdy nie znajdę.

Pytanie, czy znajdzie je Walentina... I tak chwilowo zależy mi wyłącznie na niej, na tej pieprzonej Medei. I na tym, by zobaczyć, jak powija się jej noga.

Skąd mam wiedzieć, czy rozszyfrowała zagadkę Rudenki i dotrze tutaj? A jeśli tak, to kiedy? Powinnam codziennie przychodzić tu po otwarciu i zostawać do zamknięcia? Karmić się nadzieją, że wmaszeruje głównym wejściem, a ja nie przegapię jej w tłumie zwiedzających, skoro pięć minut po otwarciu do kasy już stoi kolejka, która wije się w hallu i wychodzi na zewnątrz? Spoglądam na Aleksandra, może on coś wymyśli.

Nie, chyba jednak nie.

Patrę prosto przed siebie, nie podziwiam rzeźb, nie rozglądam się za kamerami, tylko powoli idę w stronę schodów. Mam zamiar wejść na pierwsze

piętro, potem na drugie i obejrzeć starannie całą kolekcję, zabytek po zabytku. Zajmie mi to pewnie cały dzień.

Staram się odwlec ten moment, ale i tak wiem, że nadejdzie: będę musiała stąd wyjść. Zjeść coś za resztkę pieniędzy Petrosa, a potem w ambasadzie zmyślić bajeczkę o tym, że jestem obrabowaną turystką, podpisać się na zeznaniu, poprosić o pożyczkę na jedzenie i hotel do czasu, aż wystawią mi tymczasowy paszport, oraz o dodatkową kasę na bilet lotniczy. Wrócić do domu bez złotego runa, bez skopania tyłka Walentinie, tylko z obrazem Vangelisa z podciętym gardłem, który pojawia się za każdym razem, kiedy przysmykam oczy.

Aleksandr coś do mnie mówi, ale go nie słucham. W wymiętym garniturze, bez jednej spinki od mankietu i bez krawata, bez cyngli, SUV-a i pistoletu w schowku na rękawiczki wydaje mi się mniej groźny. Właściwie nawet mi go żal. Może zanim stanę w kolejce do ambasady, wpadnę z nim na kawę, może nawet wezmę od niego numer telefonu... Dotyka mojego ramienia, a ja zamykam oczy. Ten moment też próbuję odwlec: kiedy będę musiała powiedzieć mu, że moje plany diabli wzięli.

Aleksandr szarpie mnie za ramię, wcale nie jest delikatny. Rozmyśliłam się, nie wezmę jego numeru, nie lubię nachalnych facetów. Odwracam się, by mu to powiedzieć, ale on nie patrzy na mnie, tylko na wielki poster na ścianie.

„Orchomenos Schliemanna. Wystawa czasowa, zabytki przeniesione z Muzeum Archeologicznego w Orchomenos”.

Zasycha mi w ustach.

Na dole plakatu widnieje dopisek: „Galeria wystaw czasowych. Parter” oraz strzałka dla tych mniej rozgarniętych.

Gdzieś obok dzwoni telefon. Dzwoni i dzwoni, nikt nie odbiera. Aleksandr patrzy na mnie, ale moja komórka ma inny dzwonek. No tak, tylko ona pewnie do dziś raduje złodzieja w Czelabińsku (chyba że ją sprzedał). To dzwoni telefon Petrosa.

Wyjmuję go z plecaka i popełniam ten sam błąd, co na początku tej historii – nie patrzę na numer, tylko od razu naciskam zieloną słuchawkę.

– O, to ty, moja droga? Nie mogłem się dodzwonić na twój numer i pomyślałem, że spróbuję na Petrosa. Jak tam złote runo? Znalazłaś je już?

Nie i nigdy nie znajdę, jeśli będziesz mi przeszkadzał!

Rozłączam się bez słowa, a telefon od razu zaczyna znowu dzwonić. Wyciszam go i wrzucam z powrotem do plecaka.

– Nic ważnego – odpowiadam na pytające spojrzenie Aleksandra. – Nie, to nie była Walentina. Kolega, hm... kolega z pracy, może poczekać.

W galerii wystaw czasowych nie ma okien, jedyne źródło światła stanowią lampy w gablotach. Gabloty są pomalowane na szaro, w tym samym kolorze jest też wyściełające je sukno, a ładne punktowe oświetlenie wydobywa z mroku

zabytki. Bardzo gustownie.

Czytam uważnie informacje przy wejściu: przeniesiono tu zabytki z muzeum z Orchomenos zamkniętego na czas remontu, unikalna okazja obejrzenia wszystkich obiektów, do tej pory niedostępnych w magazynach, z wykopalisk prowadzonych na stanowisku w latach... bla, bla, przez niemieckiego archeologa Heinricha Schliemann, odkrywcy Troi, i tak dalej, i tak dalej.

Wszystkich obiektów.

Do tej pory niedostępnych w magazynach.

Wszystkich!

Nie muszę się skradać, przebierać za kogoś innego i majstrować w zamkach spinkami do włosów, bo wszystkie zabytki są wystawione w gablotach, specjalnie dla mnie!

Maksymalnie skupiona idę wzdłuż ścian szybkim krokiem, rejestruję, co widzę. Mijam tony ceramiki, inskrypcje, stele i narzędzia – same nudy. Za przepierzeniem zaczyna robić się ciekawiej: gablota pełna bursztynu, paciorki, płytki, koła (nie wiadomo do czego). Obok kolejnej witryny stoi wiadro z kratką do wyciskania mopa. Trochę wody rozlało się na posadzkę, uważam, by się nie poślizgnąć. W gablocie jest miedź. Igły, miedziany drut, zawieszki, groty strzał, pierścionki, kolczyki, miedziane naczynia, inne groty (większe, więc chyba włóczni), fragment rzeźby (pusta w środku stopa, a raczej jej część, palce i fragment sandała), trójzab, gwoździe, miniaturowe koło... A wśród tych wszystkich spinek, drutów i zawieszek jeden ingot.

Jeden.

Nie jest ze złota.

Jest... Tak, zgadliście.

Z miedzi.

Zaglądam do każdej z gablot, a potem przechodzę dokoła jeszcze raz. Chcę mieć pewność, że niczego nie przegapiłam. Aleksandr stoi pośrodku galerii i patrzy, jak się miotam. Jak szukam złotego runa, ingotu, sztaby w kształcie baraniej skóry zrobionej ze złota.

I nie znajduję.

Wracam do gabloty z bursztynem, gdzie jest naprawdę wspaniała kolekcja. Największa, jaką do tej pory widziałam, a myślałam, że widziałam już wszystko. Bursztynowe kolie, bransolety, zawieszki, koła nawleczone na drut, które nie wiadomo do czego służyły, płytki i dyski. Bursztynowe bogactwo, pewnie cenniejsze niż złoto, bo ten dziwny materiał w kolorze miodu Grecy musieli sprowadzać z dalekiej Północy.

Starożytny bursztyn jest kruchy i matowy, ma spękaną powierzchnię, niczym ziemia w czasie suszy, ale kiedyś, przed trzema tysiącami lat, lśnił jak słońce, jak pokryta złotem barania skóra z mitu o Argonautach. Jak złote runo.

Stukam w szkło. Nie włącza się żaden alarm, tylko sprzątaczką z mopem wychyla się zza kolumny i przygląda mi się uważnie. Pewnie sprawdza, czy nie kradnę wiadra. Aleksandr podchodzi bliżej.

– Nie chciałbym ci przeszkadzać, ale chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie.

No naprawdę, niektórzy mężczyźni mają o sobie wysokie mniemanie! Trochę cię taki postraszy pistoletem i potem myśli, że masz mu się ze wszystkiego tłumaczyć do końca życia.

– Jest tu złote runo? – dopytuje się. – Miało tu być.

– Nie – cedzę. – Nie ma. Jak widać.

– To gdzie jest Walentina?

– Nie wiem.

– Chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie – powtarza. – Okłamałaś mnie w Boğazkale i nakłoniłaś, bym przywiózł cię do Grecji...

No, to nie było do końca tak. To Aleksandr kazał na moich oczach zabić Michaiła i groził śmiercią albo utratą części ciała mnie i Vangelisowi, jeśli mu nie zdradzimy, gdzie jest Walentina. Czego więc się spodziewał? Że poświęcę rzepkę kolanową i powiem prawdę?

– Twierdziłaś, że złote runo będzie w Orchomenos i że Walentina właśnie tam będzie go szukać...

– Szukała! – przerywam mu, a sprzątaczką znowu wygląda zza gabloty. Zniżam głos. – Była tam. I z pomocą twojego ochroniarza zamordowała Vangelisa!

Na czole Aleksandra nabrzmiewa żyła. Łapie moje spojrzenie, pociera ją dłonią i mówi:

– Potem kazałaś się zawieźć do Aten, do mieszkania twojego kumpla, gdzie

też niby miały być wskazówki.

To nie ja go wiozłam zamkniętym SUV-em i nie ja kazałam bandzirowi z pistoletem gonić go po śliskich chodnikach.

– Potem przez ciebie musiałem uciekać przed policją, razem z podejrzanymi typami...

No naprawdę! Czy to ja zaparkowałam w niedozwolonym miejscu? Czy to ja biegałam po schodach z pistoletem w ręku, strasząc miejscowe staruszki?

– A na końcu okazało się, że nie chodzi o twojego kumpla, tylko o innego Vangelisa, jakiegoś kompozytora. Przywlekłaś mnie do muzeum.

Nikt mu nie kazał za mną iść!

– Więc gdzie jest złote runo? I gdzie jest Walentina?!

Dokładnie w tym momencie w moim plecaku znowu brzęczy komórka. Nawet nie muszę zerkać na wyświetlacz, by wiedzieć, kto dzwoni.

– Konstantine, nie bardzo mogę teraz rozmawiać...

– Dzwoniła klientka – przerywa mi ostrym tonem. – Pytała, kiedy mogę dostarczyć jej złote runo. Masz coś dla mnie czy nie?

Tylko złą wiadomość. Nabieram powietrza w płuca.

– Konstantine, nie ma złotego runa.

– Co? – Musi być bardzo zdziwiony, normalnie spytałby: „słucham, moja droga?”.

– Nie ma, po prostu nie ma. Nigdy nie istniało. Ona cię nabrała. – A przy okazji też mnie. Oraz Petrosa, Rudenkę, Martina i Vangelisa. Przełykam ślinę. – Pogadamy później, dobrze? Bo teraz naprawdę nie mog...

– Daj mi Petrosa.

Przechodzi mnie dreszcz. On jeszcze nie wie, że Petros już nigdy z nim nie porozmawia. Nie wie też nic o Rudence, o Martinie i Vangelisie...

Odchrząkuję.

– Nie ma go tutaj.

– Lepiej niech szybko do mnie zadzwoni. Przekaż mu to. – I rozłącza się bez pożegnania.

Wpatruję się jeszcze chwilę w wyświetlacz, a potem chowam telefon do kieszeni.

To już koniec.

Złotego runa nie ma. Nigdy nie było. Dokładnie tak, jak zawsze uważałam. Szkoda tylko, że nie uparłam się przy moim zdaniu i dałam przekonać się Konstantinosowi. Co prawda nie miałam wyboru – gdybym się nie zgodziła, oganiałabym się teraz od zalotów strażniczek w więzieniu w Stambule. Za to Petros, Martin i Vangelis nadal by żyli.

Ale to już nieważne, bo to koniec.

Koniec.



Próbuję pozbierać myśli i zastanowić się, co powinnam zrobić. Po pierwsze, pozbyć się Aleksandra. Po drugie, pójść do ambasady. W brudnych ciuchach wyglądam żałośnie, ale w tym przypadku to akurat dobrze. Po trzecie, przygotować sobie dokładnie, co mam tam powiedzieć. Nie zapomnieć przy tym o forsie i nie dać się splawić, bo zawartość portfela starczy mi góra na jedną noc, i to w podrzędnym hoteliku, bez jedzenia. Po czwarte...

– Czy ja dobrze zrozumiałem? – Aleksandr syczy mi nad uchem, przerywając moje rozmyślenia o planie dnia. – Nie ma złotego runa? Nie istnieje?

Brzmi groźnie, ale już się go nie boję. Pistolet przepadł razem z SUV-em, a facet raczej nie udusi mnie gołymi rękami w środku galerii w państwowym muzeum. W odpowiedzi wzruszam więc tylko ramionami.

– To gdzie jest Walentyna? – pyta.

Znów dostaje taką samą odpowiedź. Rzuca się na mnie, jakby chciał mną potrzasać, ale rozmyśla się w ostatniej chwili i odchodzi kilka kroków. Potem odwraca się.

– Czy ona o tym wie? Że złote runo nie istnieje?

Tym razem powstrzymuję się przed wzruszeniem ramion.

– Teraz musisz już szukać sam.

Chwyta mnie za ramię.

– Może lepiej popytaj na uczelni – sugeruję, a on zaciska mocniej palce. Nie podoba mi się wyraz jego twarzy.

Od strony drzwi słychać stukot obcasów na marmurowej posadzce. Aleksandr błyskawicznie mnie puszcza i poluzowuje kołnierzyk koszuli. Zaczyna przemierzać salę wielkimi krokami – raz w jedną, raz w drugą stronę.

Rozcieram ramię, na pewno będę miała siniaki. Stukot obcasów przybiera na sile. No tak, turyści zaczynają się schodzić. Najwyższy czas stąd spadać.

Odwracam się do wyjścia. Akurat w chwili, kiedy do galerii wchodzi Walentyna.

Za takie szpilki z błękitnej skórki chętnie zamordowałabym kogoś niesympatycznego. Idealnie pasują do granatowej sukienki i szafirowej ramoneski z irchy. Pozbyła się już plecaka i teraz trzyma w zgięciu łokcia torebkę. Albo to bardzo znany model z bardzo znanego domu mody, albo ja jestem ślepa. W sumie Walentyna wygląda jak anioł. A ochroniarz, ten sam, który zniknął w Orchomenos, i który wyciąga właśnie zza pazuchy pistolet – jak diabeł.

Aleksandr zamiera, a jego żona delikatnie i uroczo się uśmiecha. Na szpilkach nie może stawiać dużych kroków, dlatego podchodzi powoli.

– Dzień dobry, kochanie.

To raczej nie do mnie, chociaż mówi po angielsku. Żadne z nas nie odpowiada.

– Spóźniłam się trochę. Nie mogłam przecież pokazać ci się z nieuczesanymi włosami.

Teraz dostrzegam, że kosmyki ma trochę krótsze, a kolor bardziej intensywny. Taka fryzura wymaga czasu, ale nie wątpię, że ochroniarz z pistoletem mógł skłonić dowolnego ateńskiego fryzjera do otwarcia salonu o świcie.

– Szukałeś mnie?

Aleksandr nadal milczy.

– Tak słyszałam. Musiałam na chwilkę gdzieś pojechać i coś załatwić, ale już się nie martw. Wróciłam i jestem przy tobie.

Mrugam, bo nie wierzę własnym oczom. On chyba też nie, przeciera je dłońmi, a jego wierna zoneczka zwraca się do mnie:

– Gdzie jest złote runo?

Kiedy Aleksandr daje krok w jej stronę i mówi coś po rosyjsku, ona rzuca mu groźne spojrzenie i tupie lekko nogą.

– Kochanie, nie bądź niegrzeczny. Nie wszyscy tutaj rozumieją po rosyjsku. Na przykład twoja nowa przyjaciółka chyba nie zna tego języka. – Patrzy prosto na mnie i Aleksandr chrząka.

– Wala, to nie jest wcale żadna moja nowa...

– Naprawdę? To co tu z nią robisz? I dlaczego jeździsz z nią po Turcji i Europie?

– Wala, ja wcale z nią nie...

Walentyna odwraca się i piorunuje go wzrokiem.

– Ja wszystko wiem! Nie próbuj niczego przede mną ukrywać.

– Wala, kochanie, jesteś dla mnie jedyną kobietą na całym... – Aleksandr nie kończy, tylko przygląda dłońią włosy.

Dziewczyna nagle się uśmiecha, a potem głaszcze go po policzku.

– Wiem, kotku, wiem. Tak sobie tylko żartowałam. Ale mówmy po

angielsku. Chcę, by Simona na pewno wiedziała, że nie jest twoją przyjaciółką.

Aleksandr wzdycha i na wszelki wypadek zmienia temat.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

– Ależ kotku, ty też wiedziałeś, gdzie mnie szukać, kiedy byłam w Hattusas, prawda? – Jej głos twardnieje. – Myślałeś, że tylko ty potrafisz wyśledzić moją komórkę, a ja twojej nie?

– Wala, skarbie, posłuchaj... – zaczyna się tłumaczyć, ale natychmiast milknie, gdy tylko Walentina unosi dłoń.

Ochroniarz stoi z tyłu z lufą skierowaną do dołu. Ile mu zajmie podniesienie jej i wycelowanie we mnie?

A dziewczyna patrzy mi w oczy.

– W której gablocie?

– W żadnej gablocie! – odpowiadam ze złością. Popełniam błąd, pewnie zaraz ją wkurzę i ochroniarz podniesie broń. Nic mnie to nie obchodzi.

– Jak to: w żadnej?

– A tak to. Źle to wszystko wymyśliłaś. Trzeba było bardziej uważać na wykładach.

Na jej twarz wypływa rumieniec, który pokrywa szyję, po chwili sięga policzków, a na końcu czoła. Nie pasuje do jej karnacji. Dolewam więc oliwy do ognia.

– Jak zrobisz doktorat, to ci wyjaśnię bardziej szczegółowo, a na razie musisz uwierzyć na słowo komuś z wyższym tytułem naukowym. Komuś, kto przeznaczą mniej czasu na zakupy, a więcej na badania.

Okej, wiem, że przegięłam. Nawet gdybym nie wiedziała, wystarczyłby rzut oka na Walentinę. Gdyby spojrzenie mogło rozszarpać gardło, snująca się gdzieś tu z mopem sprzątaczką ścierałaby już z podłogi moją krew.

– Kłamiesz – syczy Walentina. – Rudenko wyraźnie powiedział...

– Rudenko niczego nie powiedział wyraźnie, nie miał na to siły. Spróbuj kiedyś sama nie jeść przez dłuższy czas, to zobaczysz, jak to jest. – Czuję, że mnie też napływa krew do twarzy. Na szczęście, w odróżnieniu od Walentyny, dobrze wyglądam w czerwonym. – Powiedział „zęby smoka”. Dobrze wiesz dlaczego. Sama mu to włożyłaś w usta. Patrzył w agonii na te słowa wypisane na ścianach, więc nic dziwnego, że nasunęły mu się na usta, kiedy wreszcie ktoś się pojawił. Sama wydobyłaś z niego, pewnie torturami, treść dziecinnego wierszyka i sama pociągnęłaś mocniej stosowne cyfry na kartce z bykami z Hattusas. Kto jak kto, ale ty chyba powinnaś wiedzieć, że złotego runa nie ma.

– Przecież potem Rudenko powiedział...

– Żebym pojechała do domu. Po prostu chciał mnie ostrzec. Chciał, bym wycofała się z tej gry, póki jeszcze czas.

– Powiedział „dom Vangelisa”. Sama słyszałam.

– Majaczył, halucynował, wszystko jedno. Na podstawie jednego słowa wypowiedzianego przez umierającego człowieka nie można budować teorii. Tego was na uniwersytecie nie uczyli?

Walentina wygląda jak burak. To nie jest elegancki *look*.

– Złote runo...

– Złote runo to mit – wzdycham. – Ile jeszcze razy będę musiała komuś to tłumaczyć? Sta-ro-żyt-na baj-ka.

– To nie bajka! – Tupie obcasem w marmurową posadzkę, tym razem z całej siły. Powinna uważać, szpilka może się złamać.

– Ależ tak. – Jestem bardzo spokojna, aż sama się temu dziwię. Mój głos wcale nie drży, kiedy mówię: – Dla tej bajki zabiłaś Vangelisa, Martina, Petrosa, Rudenkę. – Robię przerwę na wdech, bo to długa wyliczanka. – I przez ciebie zginął Michaił.

Czekam na jej odpowiedź, ale chyba mogę czekać tak do samej śmierci, bo Walentina wzrusza tylko ramionami. Odwracam się do Aleksandra. Nie wiem, na co liczę, ale to i tak nieważne, bo on wpatruje się właśnie w swoją żonę jak wąż w fakira. Kiedy znowu na nią zerkam, rozumiem dlaczego. Ona też trzyma w ręku broń.

No kurwa, ile oni mają tych pistoletów? Zupełnie jak w filmie o kowbojach. Szybko przestaje mi być do śmiechu, bo dziewczyna celuje prosto w środek polarowej bluzy po Petrosie.

– Złote runo to nie bajka! I ty je dla mnie znajdziesz albo umrzesz jak twój kochanek i twój przyjaciel. A zresztą, kto ich tam wie, który był kim. – Jej ręka drży ze złości. Nie znam się na broni palnej i nie mam pojęcia, jak mocno trzeba nacisnąć, by pistolet wystrzelił, ale kłykcie palca wskazującego, tego na spuście, są alarmująco białe. Ostrożnie przełykam ślinę, boję się wykonać gwałtowniejszy ruch. – Mów, gdzie jest złote runo – syczy. Nie przypomina już anioła. Raczej zmiję.

Nagle ogarnia mnie złość. Nawet nie próbuję nad nią zapanować.

– Pani doktor – dodaję. – Mówi się, proszę, niech pani powie, pani doktor. Tego też cię nie nauczyli, jak zwracać się do wyższych stopniem pracowników naukowych?

Palec na spuście bieleje jeszcze bardziej, a ja zaciskam pięści. Podobno to nie boli. To znaczy, jeśli kula trafi prosto w serce. Ustaje krążenie i mózg umiera, zanim świadomość przyswoi ten fakt. Gorzej, jeśli trafi gdzieś obok – wtedy agonia może potrwać długo.

Mam to gdzieś. Niech mnie już zastrzeli i da mi święty spokój!

Stoję naprzeciw Walentynie, której drży ręka z pistoletem, i słyszę za sobą ciche kroki. Nie poruszając głową, próbuję spojrzeć na Aleksandra. Powoli przesuwa się do przodu. Bardzo powoli. Podchodzi do Walentyny i pozwala, by

lufa oparła mu się o pierś.

– Odłóż to, maleńka – mówi miękko.

Przymykam oczy. Widok człowieka przeszyciego kulą jest średnio przyjemny nawet na filmach, a co dopiero w realu.

– Wala, po co ci to pieprzone złote runo? – Jego głos szeleści jak jedwab, który chętnie miałabym na sobie zamiast łachów z Ankary. – Po co ci taki stary, śmierdzący zabytek?

Walentina odpycha go wolną ręką. Ale nie strzela. Oddycham z ulgą i znów otwieram oczy.

– Ty mnie nie rozumiesz – mówi płaczącym tonem. – Nigdy mnie nie rozumiałaś. Dla ciebie liczy się tylko kasa.

– To nieprawda, maleńka. – Aleksandr znowu daje krok do przodu i znowu dotyka piersią lufy. – To nieprawda i dobrze o tym wiesz. Liczysz się tylko ty. Tylko ty.

– Jasne. Jako dekoracja. Za kilka lat i tak wymienisz mnie na młodszą!

– *Wala, ja nigdy...*

– Powiedziałaś: po angielsku! I nie kłam. Dobrze wiem, jaki jesteś. Taki sam jak wszyscy faceci! – Odwraca się do mnie. – A teraz powiedz mi, gdzie jest złote runo.

Nie odpowiadam od razu. Myślę, dodaję dwa do dwóch.

– Od początku go szukałaś, prawda? – mówię w końcu. – Na uczelni jesteś znana pod panińskim nazwiskiem, ale kiedy zadzwoniłaś do Konstantinosa, przedstawiłaś się nazwiskiem męża, Woronowa. To ty znalazłaś Rudenkę...

– Za dużo gadał – wchodzi mi w słowo. – Może i mieszkał w chacie na końcu świata, ale każdemu, kto do niego przyjechał, opowiadał o złotym runie. To była jego obsesja. Pod koniec życia nie zajmował się już wykopaliskami w Sintaszcie, interesowało go tylko jedno.

– Pod koniec życia – powtarzam. – To znaczy pod koniec, który ty bardzo przyspieszyłaś.

– To nie moja wina, że nie chciał mi niczego powiedzieć.

– Nie twoja wina...

– No tak! Kiedy przyjechałam do niego pierwszy raz z Michałem, pytałam po dobroci.

– Dopiero za drugim razem zdecydowałaś się go torturować? – Robię wszystko, by mój głos brzmiał spokojnie, ale nie wychodzi mi to. Najwyraźniej odpowiedź jest dla niej zbyt oczywista, bo milczy. – A ja? Skąd się o mnie dowiedziałaś?

– Jesteś słynnym archeologiem, na uczelni czytamy twoje publikacje.

– Nie, skąd dowiedziałaś się, że jestem córką Rudenki?

– To znaczy już po tym, jak zobaczyłam zdjęcia, którymi wytapetował

chatę? – prycha.

No tak, głupie pytanie.

– Znalazłaś Rudenkę. Nie chciał ci zdradzić, gdzie jest złote runo, więc postanowiłaś ściągnąć mnie do niego, by powiedział to nigdy niewidzianej córce. Potem doszłaś do wniosku, że bardziej mnie zmotywujesz, jeśli wpleciesz w to wszystko okrutną grę w Argonautów. Dlatego torturujesz Rudenkę jak króla Fineusa, a Petros znika jak Hylas. Przy okazji, pytam z czystej ciekawości, co zrobiliście z jego ciałem?

– O to powinnaś była zapytać Michaiła, kiedy jeszcze żył.

– Stracona okazja. Zresztą Petros tylko by wam przeszkadzał. Ale Martin...

– Profesorem van der Nootenem też zajął się Michaił.

– W czym on wam przeszkadzał? Mogliście go przecież po prostu zostawić w Arkaim.

Zadałam kolejne głupie pytanie. Zniknięcie Martina w Ankarze było świetną zmyłką. Dzięki temu przez dłuższy czas myślałam, że to on jest moim przeciwnikiem, i pozwoliłam jej wykonać następny ruch... Podnoszę wzrok i patrzę jej prosto w oczy.

– Dlaczego kazałaś zabić Vangelisa? On nie był ci potrzebny jako zmyłka ani jako ilustracja mitu. Więc dlaczego? Wszystko po to, by znaleźć złote runo?

– Żeby dokonać słynnego odkrycia! – Policzki Walentyny robią się czerwone. – Żeby nie być tylko dekoracją w willi na Rublowce!

Aleksandrowi błyszczą oczy, kiedy ją obejmuje.

– Wala, ty jesteś... Cudowna!

Ona kręci głową, ale już nie odpycha dłoni, która wędruje po jej talii.

– Niczego nie rozumiesz. Złote runo to mój projekt, tylko mój.

– Tak, maleńka.

– Ty masz swoje banki, akcje i kopalnie, a ja nie mam nic. Nie mogę cały czas tylko siedzieć w domu albo chodzić na zakupy.

Gdyby ktoś mnie pytał, to chyba jednak może – na to wskazuje zatrzęsienie jej ciuchów. Ale oboje zachowują się, jakbym zniknęła z powierzchni ziemi.

– Tak, maleńka. To jasne, że nie możesz.

– A studiować archeologię to każdy potrafi.

– Nie, kochanie, nie każdy. Do tego trzeba być naprawdę inteligentnym.

Dobry tekst, ale nie działa. Walentyna nakręca się coraz bardziej.

– Złote runo to jest coś, rozumiesz? Największe odkrycie archeologiczne wszech czasów. Ja go chciałam dokonać! Ja!

Nie do końca samodzielnie.

– Wszystko sobie zaplanowałam i wszystko szło jak z płatka, dopóki ty się nie pojawiłeś i wszystkiego nie zepsułeś. – W jej oczach pojawiają się łzy. Mam nadzieję, że zrobiła wodoodporny makijaż. – I do tego... – pociąga nosem –

zgubiłam moją komórkę, w której miałam wszystko, wszystkie zdjęcia, dokumentację każdego etapu mojego projektu. To przez ciebie! Gdybyś nie wpadł tak nagle do Hattusas...

Odruchowo sięgam po plecak i zatrzymuję rękę w połowie gestu. Przypominam sobie Walentinę trzaskającą fotki helikoptera z zagłodzonym Rudenką. Ale i tak jest za późno, Aleksandr daje znak swojemu świeżo odzyskanemu bandzirowi i ten zrywa mi z ramienia plecak, a potem podaje szefowi. Ten wyławia komórkę i wręcza Walentinie.

– Oj, kochany! – Dziewczyna piszczy z radości. – Znalazłeś ją dla mnie! – Cmoka go w policzek i przerzuca zdjęcia. – Zobacz, muszę ci to pokazać... – W podnieceniu zapomina o grzeczności (halo, nadal tu jestem!) i przerzuca się na rosyjski.

Kiedy Aleksandr pochyla głowę nad wyświetlaczem, sięgam po plecak, który wcześniej rzucił na podłogę. Cyngiel nie robi nic, by mi przeszkodzić, a Walentyna wciąż szczebiocze, pokazując mężowi kolejne kadry. Ten przysuwa się jeszcze bliżej i głaszcze ją po pupie.

– Wala, *lubow*... – mówi czułym tonem.

Jego żona od razu podnosi głowę. Patrzy na mnie.

– Mielіśmy mówić po angielsku – przypomina.

– Tak, kochanie, posłuchaj...

– Już ci się znudziły moje zdjęcia?

– Nie, kotku, skąd. Tylko pomyślałem, że zamiast oglądać je tak na stojąco, zaszyjemy się w jakimś hotelu...

Walentyna nie odrywa spojrzenia od moich oczu.

– Zaraz, tylko najpierw dokończę mój projekt. – Daje krok w moją stronę i znowu wyciąga pistolet.

To już zaczyna się robić nudne.

– Gdzie jest złote runo?

No właśnie, mówiłam: nudne.

Zbielały kłykieć znowu znajduje się na cynglu, a lufa dokładnie naprzeciwko mnie. Cofam się i zawadzam stopą o wiadro z wodą. Dlaczego akurat w tej chwili nie może się tu pojawić jakaś sprzątaczką?

– Wala, *lubow*...

– Po angielsku!

– Waleńka, posłuchaj. Tutaj naprawdę nie ma tego całego runa.

– A skąd ty możesz wiedzieć?!

– Słyszałem, jak ona – Aleksandr patrzy na mnie – mówiła to komuś przez telefon, zanim przyszedł. Raczej nie kłamała.

Dłoń z pistoletem opada o kilka centymetrów i zaraz znowu się podrywa.

– Nie możesz wiedzieć, czy to prawda.

– Waleńka, posłuchaj. Szukaliśmy tego runa wszędzie, bo wiedziałem, że jak znajdę runo, znajdę i ciebie. – Dziewczyna opuszcza pistolet. – Naprawdę go tu nie ma. Może go w ogóle nigdzie nie ma.

– Na pewno gdzieś jest! – Kiedy tak tupie nogą, wygląda jak rozzłoszczone małe dziecko (na obcasach). – Musi gdzieś być.

– Wala, pojedźmy do Paryża. – Walentyna odrywa ode mnie wzrok i spogląda na męża. – Schowaj ten pistolet do torebki i chodźmy stąd. Samolot czeka na lotnisku.

– Teraz?

– No tak, teraz. Przecież zawsze mówiłaś, że chcesz zobaczyć w Luwrze Nike z Samotraki. Wpuszczą nas po godzinach, wiem, do kogo zadzwonić w tej sprawie. Spokojnie obejrzysz sobie wszystko sama, bez tłumów, a potem zjemy kolację... Gdzie tylko będziesz chciała.

Walentyna tylko kręci głową.

– Mówiłam. Mówiłam, że ty mnie w ogóle nie rozumiesz. Nadal nie wiesz, jak ważny jest mój projekt.

– Waleńka, rozumiem – zapewnia gorliwie Aleksandr. – Twój projekt to mistrzostwo świata. To nie twoja wina, że to pieprzone runo nie istnieje. – Zastanawia się przez moment, a potem dodaje: – Wiem, co zrobimy! Napiszesz o tym książkę. Rewelacyjną pracę naukową. A ja ci ją wydam, na kredowym papierze, z mnóstwem ilustracji. Zatrudnimy najlepszych...

Walentyna prychnęła.

– W świecie naukowym liczą się tylko publikacje wydane przez uznane wydawnictwa.

– Co to za problem? Powiesz mi tylko, które wydawnictwo cię interesuje, a ja do nich zadzwonię.

Dziewczyna w zamyśleniu pociera nos. Kolba pistoletu drapie ją w skroń, więc chowa go do torebki.

– Pomyśl o tym, maleńka. Będziesz słynna. Będziesz miała znakomitą publikację i czas, by wymyślić nowy projekt. Przecież masz masę pomysłów, prawda?

Walentyna w zamyśleniu kiwa głową.

– Tylko już ode mnie nie uciekaj, pozwól sobie pomóc. Pomyśl tylko, jaka to będzie zabawa, kiedy razem będziemy szukać skarbu.

Ja też o tym myślę i przechodzi mnie dreszcz. Razem mają szansę zamordować jeszcze więcej osób.

– Chodź, omówimy to wszystko w Paryżu, na kolacji.

Walentyna klaszcze w dłonie, jakby wręczył jej właśnie torebkę od Diora (co zapewne zrobi w Paryżu).

– Na wieży Eiffla!



– Dobrze, kochanie, będzie wieża Eiffla, a potem jeszcze pójdziemy na zakupy. Przydałoby ci się coś nowego.

– Oj, tak – mruczy jak kotka. – Podobno w Paryżu są genialne butiki z bielizną. Tylko tam pójde sama, a potem pokażę ci w hotelu, co sobie wybrałam.

Aleksandr ją przytula, odgarnia włosy i całuje w szyję, a dziewczyna się pręży. Zaczynam się czuć trochę jak na peep-show. Zerkam na cyngla, który stoi nieruchomo na rozstawionych nogach. Pewnie nie takie rzeczy już widział.

– No to chodźmy, maleńka, nie ma na co czekać. – Aleksandr całuje ją prosto w usta.

– Drapiesz! – woła Walentyna ze śmiechem. – Najpierw prysznic.

Robię krok w ich stronę.

– Przepraszam, że przeszkadzam w tak podniosłej chwili – mówię. – Ale chyba o czymś zapomnieliście. – Oboje patrzą na mnie zdziwieni. – Ona zabiła pięć osób.

Ona wzrusza ramionami, a on wygląda po prostu na zirytowanego, że mu zawracam głowę takim drobiazgiem. Patrzą na mnie jeszcze przez chwilę, a potem znowu wracają do całowania.

Potrząsam ramieniem Aleksandra. Puszczą Walentinę. Teraz jest naprawdę wkurzony.

– Czego chcesz? – pyta niegrzecznie.

– Twoja żona zabiła pięć osób. Mojego... mojego znajomego Petrosa, ojca, byłego... kolegę i bliskiego przyjaciela. Poza tym przyczyniła się do śmierci Michaiła.

– Michaił był tylko ochroniarzem – prostuje, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

– Ona. Zabiła. Pięć. Osób. – Bardziej dobitnie nie potrafię już tego ująć.

– No i co z tego? – irytuje się Walentyna.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– Aleksandr, idziemy. Nie mamy tu nic do roboty. – Ciągnie go za ramię, a on wyciska na jej ustach jeszcze jeden pocałunek. W ogóle mu nie przeszkadza, że stoję kilka centymetrów od niego i się gapię.

– Sekundę, maleńka – mruczy. – Jeszcze jedna sprawa. O czymś zapomniałem.

Puszczą jej talię i podchodzi do cyngla, który nawet na chwilę nie zmienił pozycji.

– *Wot, sobaka!* – Spluwa mu pod nogi.

O, czyli jednak przydało mi się jedyne słowo, jakie znam po rosyjsku. Dalej już nie rozumiem, mogę się domyślić, że zirytowała go zdrada ochroniarza. Krzyczy, a potem bez ostrzeżenia wali go w szczękę.

Dobrze uszyty garnitur maskuje figurę, ale Aleksandr musi mieć niezłe

mięśnie, bo cyngiel traci równowagę, zatacza się kilka kroków do tyłu, ślizga na rozlanej wodzie z wiadra i całym ciężarem wali na oszkloną gablotę. Szyba pęka, widzę odłamki wirujące w powietrzu. Zabytki z gabloty wypadają na podłogę. Potem przez chwilę nie dzieje się nic, jakby zacięła się taśma filmowa. Tylko koszula i marynarka mężczyzny, który leży nieruchomo na podłodze, czerwienieją od krwi.

A, czyli jednak mają alarm. System chyba nie do końca jest sprawny, zaczyna działać dopiero po minucie, za to efektownie – zatykam uszy i pewnie dlatego nie słyszę krzyków ani tupotu. Kiedy podnoszę głowę, galeria jest pełna ludzi. Trochę trwa, zanim ktoś wpada wreszcie na pomysł, by wyłączyć syrenę. Wcześniej widziałam tylko, jak ci wszyscy ludzie wokół nas poruszali ustami. Teraz słyszę ich krzyki: „Co tu się dzieje?!”, „O Boże!” i „Jak to się mogło stać?!”. Niska brunetka w dżinsach klęka przy leżącym mężczyźnie, kobieta w garsonce ogląda uważnie gablotę. Przy wejściu klębią się kasjerki, turyści i chyba wszyscy strażnicy z całego muzeum. Co chwilę ktoś podchodzi bliżej, by obejrzeć szkło na podłodze. Robi się ciasno. Walentyna przytula się do Aleksandra.

To byłby idealny moment na kradzież w innej sali. Mogłabym wynieść, co chcę, nikt by się nie zorientował. No, ale trudno. Zsuwam plecak z ramienia i naciągam rękawy polaru Petrosa na dłonie, chociaż w muzeum wcale nie jest zimno. Wykorzystuję tłok, żeby zrobić coś, co planowałam już od dłuższej chwili. Później wam powiem co. Chyba że sami już się domyśliliście.

Cyngiel się porusza. Jęczy, podnosi dłoń do twarzy i ściera krew. Kilka odłamków szkła spada mu z włosów na podłogę. Kobieta w garsonce krzyczy i macha ręką, by wszyscy się cofnęli. Chyba nie chodzi jej o rannego, tylko o to, że ktoś może niechcący zdeptać drobniejsze zabytki. Kiedy udaje jej się wreszcie odegnąć gapiów pod przeciwległą ścianę, odwraca się do Aleksandra, który wciąż obejmuje Walentinę.

– Co tu się dzieje?!

Ten puszcza talię żony, ale nadal trzyma ją za rękę.

– To skandal! Rażące zaniedbanie przepisów bezpieczeństwa. Złożę skargę w ministerstwie! – krzyczy, ale niełatwo zakrzyczeć Greczynkę. Znowu zatykam uszy, a mimo to słyszę każde słowo.

– Zniszczyliście gablotę! Bezcenne zabytki walają się po podłodze! Za to grozi odpowiedzialność karna! – Trochę przesadza, ochroniarz wpadł na witrynę z brązowymi narzędziami, bransoletkami i ingotem. Takie coś znajduje się na co drugich wykopaliskach.

– Mój pracownik poślizgnął się na wilgotnej posadzce! – nie przestaje Aleksandr. – To muzeum jest niebezpieczne. Proszę zobaczyć, jest cały we krwi! Mógł sobie coś uszkodzić, trzeba wezwać pogotowie.

Gdybym nie знаła go już kilka dni, pomyślałabym, że naprawdę przejmuję się zdrowiem swojego człowieka. Kobieta w garsonce ogarnia wzrokiem przewrócone wiadro i rozlaną wodę. Rozgląda się, ale sprzętaczka zniknęła. Waha się, ale wie, że nie może przyznać mu racji. Podobnie jak ja potrafi ocenić drogi garnitur, nawet wymięty i brudny. Faceci w takich garniturach zazwyczaj mają

dobrych prawników, a ci wykorzystują każdą okazję, by wywalczyć porządne odszkodowanie. Dlatego postanawia zmienić temat. Pochyla się nad rannym, który w międzyczasie zdążył usiąść. Z kilkunastu drobnych ranek na jego twarzy wypływają strużki krwi, ale poza tym chyba nic mu nie jest.

– Jak się pan czuje? Wezwę karetkę. Musi pana zbadać lekarz. – Daje znak głową i brunetka w dzinsach wyciąga komórkę.

Cyngiel próbuje podźwignąć się z podłogi, a kobieta ściska go za ramię i zmusza, by usiadł. Potem prostuje się i zaczyna wydawać rozkazy. W ogóle nie potrzebuje tlenu, mówi przez kilka minut na bezdechu. Gdy kończy, personel muzeum rozbiega się na wszystkie strony, a ona uśmiecha się miło do turystów i tłumaczy, że miał miejsce wypadek i że galeria będzie przez kilka godzin zamknięta. Na szczęście temu panu nic poważnego się nie stało, zresztą zaraz przyjedzie pogotowie. Dwie kobiety w białych laboratoryjnych fartuchach i bawełnianych rękawiczkach zaczynają ostrożnie podnosić rozrzucone zabytki. Przysuwam się bliżej i dotykam miedzianego ingotu. Pod koniuszkami palców czuję chropowaty, zimny metal.

– Proszę tego nie ruszać! – Słyszę krzyk i prostuję plecy.

Staję oko w oko z kobietą w garsonce i przedstawiam się jej. Ona wie, kim jestem. Każdy archeolog na świecie wie, czym się zajmuję. To znaczy oficjalnie. O tym, z czego naprawdę żyję, nikt nie ma pojęcia i niech tak pozostanie.

– Doktor Brenner! – wykrzykuje. – Ogromnie się cieszę, że w końcu mogę panią poznać. Szkoda, że w takich okolicznościach.

Sama też się przedstawia, Maria Ioannou, dyrektorka muzeum. Czyli w Atenach ktoś drugi po Bogu, a w pewnych okolicznościach może się nawet przesunąć na pierwsze miejsce.

To dobrze, bardzo dobrze.

Ciągle jeszcze nie wiecie, dlaczego mnie to cieszy?

– Doktor Brenner, powinna była pani uprzedzić mnie o wizycie. Przygotowalibyśmy dla pani kilka naszych najciekawszych obiektów.

– Niestety, jak pani widzi, jestem prosto z wykopalisk – udaje mi się wtrącić. To wyjaśnia mój strój, a dyrektorka się rozluźnia. Tak, archeolożka, która przyjechała z wykopu, nawet taka słynna jak ja, ma prawo niechlujnie wyglądać.

Kobieta w fartuchu podaje mi parę rękawiczek.

– Nie co dzień gościmy u nas tak wybitną specjalistkę jak pani, doktor Brenner. Może chciałaby pani pooglądać te zabytki z bliska, skoro jest okazja?

Wyjaśniłabym, że nie zajmuje się brązem tylko złotem, ale to tylko przedłuży dyskusję. Dziękuję (średnio wylewnie), naciągam rękawiczki (za ciasne) i schylam się nad zwitkiem miedzianego drutu, dwiema obręczkami i kilkoma blaszkami. Na jednej z nich wybito nawet ciekawy wzór, ale nie dostałabym za to od kolekcjonera więcej niż kilkaset euro – szkoda zwracać sobie głowę.

– Skoro ma już pani rękawiczki, proszę mi pomóc, doktor Brenner. –  
Konserwatorka schyla się nad miedzianym ingotem. – Strasznie to ciężkie.

Wygląda na taką, której nie zaszkodziłyby nawet tydzień ostrej diety, a ja nie jadłam śniadania. Ingoty ważą zazwyczaj między dwadzieścia a trzydzieści kilo. Owszem, są ciężkie, ale nie aż tak, by dobrze odżywiona kobieta nie dała rady jednego podnieść. Wzdycham (po cichu, nie należy psuć układów z personelem muzeum, bo nigdy nie wiadomo, czy nie przydadzą się w przyszłości) i kucam przy ingocie.

Cholera jasna, bezsenna noc, ganiecie się z policjantami, podróż i w ogóle cała ta pieprzona gra w Argonautów zupełnie pozbawiły mnie sił! Nie mogę nawet unieść z jednej strony, żeby wepchnąć pod spód palce dla lepszego chwytu. Czuję się jak na zawodach w podnoszeniu ciężarów. Konserwatorka znowu powtarza „ostrożnie” – tyle wiem i bez niej. Ingotowi co prawda nic się nie stało po upadku z ponad metra (wysokość gabloty), więc pewnie nic mu też nie będzie, jeśli wypuszczę go z rąk, ale mógłby zmiażdżyć mi stopę. W końcu udaje mi się chwycić z jednej strony, a konserwatorce z drugiej. Na jej specjalne życzenie nie łapię za wydłużone rogi („mogłyby się odłamać, doktor Brenner!”), tylko w miejscu, gdzie ingot jest najgrubszy. Podnosimy go z wysiłkiem, a Ioannou, wyrwana z zamyślenia, podsuwa nam wózek. Opuszczamy ingot na najwyższą półkę.

Odwracam się i widzę, że Walentina wpatruje się we mnie. Jej zaciśnięte wargi są całkiem białe.

Teraz ona dodaje dwa do dwóch.

Pogotowie przyjeżdża zadziwiająco szybko, może sanitariusze mieli przerwę na pierwszą poranną kawę gdzieś obok muzeum. Mierzą rannemu ciśnienie, świecą mu po oczach małą latarką i rozmawiają przez chwilę z Ioannou. Potem jeden wychodzi i po chwili wraca z noszami na kółkach. Mężczyzna protestuje, bezskutecznie, nie ma nawet siły, by usiąść. Ioannou wyjaśnia, że sanitariusze stwierdzili lekki wstrząs mózgu i chcą go przez kilka godzin poobserwować w szpitalu, a potem prosi Aleksandra, żeby przetłumaczył to swojemu pracownikowi. Ten macha tylko ręką i jego ochroniarz zostaje szybko przypięty pasami do noszy. Dobry moment, by rozejrzeć się za pistoletem, jednak albo poleciał gdzieś dalej i sprzątaczkę będą miały później ubaw, albo cyngiel ukrył go pod ubraniem i zabawa zacznie się dopiero w szpitalu. Mnie w każdym razie przy tym nie będzie.

Wygląda na to, że Aleksandr i Walentyna też się zbierają. Patrzą na mnie zdziwieni, gdy daję im znak, by się zatrzymali, po czym podchodzę do dyrektorki.

– *Kyria Ioannou*, to jest studentka uniwersytetu moskiewskiego, Walentyna Julianowa. A nie, przepraszam, Woronowa.

Walentyna nie kryje zdumienia. Otwiera usta, co nie wygląda elegancko, gdy przedstawiam ją Ioannou, a ta ściska jej dłoń. Oczywiście druga osoba po Bogu ma gdzieś studentki, ale skoro ta konkretna studentka jest ze mną, może poświęcić jej choć ułamek sekundy.

– Proszę wezwać ochronę – dodaję na tym samym wydechu. – Ta dziewczyna ukradła cenny zabytek.

Walentyna znowu otwiera usta, a Ioannou bezwiednie imituje jej minę. Parsknęłabym śmiechem, ale muszę się skoncentrować.

– Trzeba przeszukać jej torebkę, tylko ostrożnie. Ma broń – dodaję jeszcze i milknę. Teraz Ioannou sama sobie poradzi.

Dyrektorka zamyka usta, a krwawy rumieniec wpełza na jej policzki. Wciąga głęboko w płuca powietrze.

Już wam chyba kiedyś mówiłam, że archeolodzy uważają kradzież zabytków za największą zbrodnię przeciwko ludzkości. Wspominałam o tym, prawda?

Kobieta kiwa ręką na strażnika, mówi coś po grecku i pokazuje torebkę Walentyny.

– Nie macie prawa nas rewidować! – syczy Aleksandr.

– Może i nie, ale policja owszem. – Ioannou wyjmuję z kieszeni komórkę.

– Sasza, to absurd. – Walentyna daje krok do przodu. – Proszę bardzo, możecie sobie szukać, ile chcecie. – I rzuca torebkę na podłogę.

Torebka, za którą chętnie zabiłabym kogoś niemiłego, nie ma suwaka, tylko zatrzask, więc rozpina się od uderzenia i wszystko się wysypuje. Kilka szminek

firm, na które rzadko mogę sobie pozwolić, dwa pudry, dwie paletki cieni do powiek, chusteczki higieniczne, trzy paczki gumy do żucia w trzech różnych smakach, portfel i milion drobiazgów noszonych zazwyczaj przez kobiety.

Wszyscy pochylamy się nad zawartością torebki i widzimy coś, czego jednak kobiety zazwyczaj nie noszą, a konkretnie dwie rzeczy.

Pierwszą jest pistolet.

A drugą... Tego już się chyba sami domyśliliście?

Wiecie już, co zrobiłam, kiedy wszyscy tłoczyli się przy stłuczonej gablocie i porozrzucanych zabytkach? Nie? To przecież był jedyny logiczny sposób, by zemścić się na Walentinie za Vangelisa, Martina, a nawet za Petrosa i mojego świniętego ojca. O Michaile już nawet nie myślę.

Teraz już chyba wiecie?

Wsunęłam jej do torebki złotą blaszkę z wizerunkiem dwóch Scytów i runa. Blaszkę, którą ukradłam w Arkaim. Leży na samym dnie, między puderniczką od Guerlaine'a a błyszczkiem, którego marki nie potrafię na pierwszy rzut oka rozpoznać.

– To... To... to nie moje. To jakaś pomyłka. Nigdy tego nie widziałam – jąka się Walentyna.

Nie kłamie. Nawet w Arkaim nie mogła tego widzieć, ukradłam blaszkę pierwszej nocy.

Ioannou nachyla się niżej, potem klęka, chociaż wąska spódnica garsonki podjeżdża jej nad kolana. Ale czego prawdziwy archeolog nie zrobi dla wiedzy! Zdejmuje z szyi zawieszoną na smyczy kartę magnetyczną, delikatnie odsuwa nią puderniczkę, błyszczyk i jedną z paczek gumy. Złota blaszka pięknie kontrastuje z szarą marmurową podłogą. Kobieta wyciąga dłoń, ale Walentyna jest szybsza. Schyla się błyskawicznie i chwytą plakietkę.

Aleksandr szarpie ją do tyłu, ale już za późno. Już zostawiła swoje odciski palców na złocie, z którego ja wcześniej wytarłam moje rękawem polaru – tak, wtedy gdy wyjmowałam plakietkę z plecaka.

Ioannou wyrywa się z osłupienia, wystukuje na ekranie komórki numer, po czym odwraca się tyłem do nas i przez chwilę cicho rozmawia. Kiedy się rozłącza, przypominam sobie o aparacie Petrosa. Wyjmuję go i szybko strzelam kilka ujęć rozsypanej torebki Walentyny i jej samej, z blaszką w dłoniach. W samą porę, bo Ioannou każe jej to odłożyć i dziewczyna odrzuca plakietkę na posadzkę, jakby złoto sparzyło jej palce.

– Skąd pani wiedziała? – pyta mnie dyrektorka.

Wzruszam ramionami.

– Byłyśmy razem na konferencji w Arkaim. Już tam ją podejrzewałam. – Wyciągam z plecaka pogiętą wizytówkę Giennadija. – To kurator miejscowego muzeum. Proszę go zapytać.

Ioannou podnosi dłoń gestem „przepraszam na chwilę” i wyjmuje z kieszeni zakietu telefon. Rozmowa trwa nie dłużej niż dwie minuty.

– Doktor Giennadij Kozlew potwierdził, że z ośrodka w Arkaim skradziono złotą plakietkę z przedstawieniem dwóch Scytów wyprawiających baranią skórę. W tym samym czasie ośrodek opuściła pani Walentina Woronowa.

– To absurd! – rzuca ze zniecierpliwieniem Aleksandr i ciągnie żonę za sobą. Strażnik, któremu szefowa dała znak, ustawia się między nimi a drzwiami.

– Sasza, załatw to – prosi dziewczyna płaczącym głosem i Aleksandr podchodzi do Ioannou tak blisko, że nie słyszę, co do niej mówi.

Za to słyszę odpowiedź, bo kobieta robi krok do tyłu i z oburzenia podnosi głos:

– Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, ale my tutaj, w Grecji, poważnie traktujemy ochronę dziedzictwa kulturowego! Za jego kradzież i zniszczenia są bardzo surowe kary.

Zastanawiam się, czy na pewno stałam wszystkie odciski palców z plakietki, dlatego dociera do mnie tylko końcówka zdania Aleksandra, kiedy mówi coś o adwokacie.

– Może pan dzwonić nawet do samego prezydenta – odpowiada mu dyrektorka. – Będę zdziwiona, jeśli usłyszysz pan coś innego.

Rumieniec Walentyny pełźnie po szyi i wypływa na twarz, ale dziewczyna nie mówi już ani słowa. Wie równie dobrze jak ja, że jej mąż to załatwi – łapówką albo groźbą – i nie będzie musiała spędzić w areszcie nawet pół godziny. Ale wie też, równie dobrze jak ja, że wiadomości w światku archeologów rozchodzą się błyskawicznie. I że to koniec jej kariery.



Później jest dokładnie tak, jak sobie wyobrażacie.

Ioannou wszystko opowiada policji. Jedna z mundurowych zabezpiecza leżącą na podłodze torebkę. Zabrania jej dotykać, dopóki nie przyjadą technicy od odcisków palców i tak dalej. Ustawia dookoła torebki małe słupki i rozciąga taśmę. Dyrektorka pokazuje rozbitą gablotę. Nie rozumiem wszystkich słów, ale gesty są jasne: pyta, czy w międzyczasie będzie można uprzątnąć szkło i zabezpieczyć cenne zabytki. Policjantka się zgadza. Podczas tej dyskusji dwóch innych policjantów wyprowadza Walentinę. Aleksandr biegnie za nimi i krzyczy, dopóki jeden z nich nie odwraca się i nie grozi mu łamanym angielskim, że jego też aresztuje. Aleksandr milknie, ale nadal idzie szybkim krokiem za żoną. Przed wyjściem obraca się jeszcze i patrzy mi prosto w oczy:

– Znajdę cię nawet na końcu świata. Możesz już zacząć sobie wyobrażać, co się z tobą stanie.

Przełykam ślinę, ale nie spuszczam wzroku z Walentyny. Kiedy jej mąż mi grozi, ona patrzy nieruchomo w jeden punkt.

Na miedziany ingot.

Wyjmuję telefon dopiero później, kiedy wreszcie udaje mi się wydostać z muzeum. Jest zamknięte dla zwiedzających: na drzwiach wisi napisana odręcznie kartka, a przed wejściem stoi kilka osób z nosami przyklejonymi do przyciemnianej szyby, usiłując zajrzeć do środka. Nie odpowiadam na pytania, mówię *kali sas mera* strażnikowi, który rygluje za mną drzwi, i idę w stronę Akropolu. Nie zamierzam się tam jednak tłoczyć z tysiącami innych turystów, podchodzę do wejścia na teren teatru Heroda Atticusa, macham strażnikowi przed nosem uczelnianą legitymacją i wspinam się na marmurowe stopnie. Słońce pali. Ten wczorajszy deszcz to jednak nie był początek jesieni.

– No nareszcie, moja droga. – Słyszę w słuchawce po pierwszym dzwonku. – Co to za bzdura z tym złotym runem, że go nie ma...

– Posłuchaj, Konstantine... – Nie wiem, jak mu to powiedzieć. – Złote runo nie istnieje. To tylko mit, bajka, zmyślona historia. – Dotykam dłonią kamienia, na którym siedzę. Parzy. – Mit oparty prawdopodobnie na bursztynie.

– Simona, za chwilę stracę cierpliwość.

Skoro Konstantinos jest w tej chwili kilkaset kilometrów ode mnie, to niby czemu miałabym się go bać?

– Zechcesz mi to wszystko wyjaśnić pełnymi zdaniami?

– Jest dokładnie tak, jak ci mówiłam na początku. Bursztyn, elektron, dziwny materiał z dalekiej, egzotycznej Północy. Ani kamień, ani metal, więc zapewne magiczny, a do tego bardzo rzadko spotykany w Grecji. Na tyle rzadko, że można było ułożyć o nim bajkę. Wyglądał jak złoto, lśnił jak złoto, tylko był o wiele cenniejszy.

I było to dawno temu. Dzisiaj można by go sprzedać kolekcjonerowi za sumę nieprzekraczającą ceny obiadu w dobrej knajpie przy odrobinie szczęścia – dla dwóch osób. Ale już nie dla trzech.

– Bursztyn? Złote runo to bursztyn?

Nie dotarło do niego?

– Tak, Konstantine.

– Jesteś pewna?

– Tak, Konstantine.

– Moja droga...

Teraz ja zaczynam się niecierpliwić. Na słońcu jest mi za gorąco.

– Kazałeś mi pojechać na koniec świata, do jakiegoś stepowego zadupia? Pojechałam. Kazałeś mi porozmawiać z Rudenką? Porozmawiałam. Potem zrobiłam jeszcze mnóstwo innych rzeczy z własnej inicjatywy, rozwiązałam zagadkę, byłam w dwóch krajach, straciłam wszystkie moje rzeczy, na które – przez ciebie – wywaliłam majątek na lotnisku. I... – Przełykam ślinę. Nie, nie

powiem mu, że straciłam kogoś, kto był dla mnie ważniejszy niż wszystkie pieprzone runa tego świata. – W każdym razie naprawdę to sprawdziłam. Jestem pewna, pewna w stu procentach. ZŁOTE. RUNO. NIE. ISTNIEJE. Ona cię oszukała.

Chociaż to nie do końca prawda. Sama też w to wierzyła.

Konstantinos nie pyta kto. Zapada cisza. Trwa bardzo długo. W końcu słyszę:

– No patrz, a sprawiała takie dobre wrażenie.

– Może i tak. Przed chwilą policja wyprowadziła ją z muzeum, za kradzież. Nie sądzę, żebyś teraz chciał sprzedawać jej zabytki. Mogłaby ci nie zapłacić.

Wzdycha, pewnie szacuje straty. W sumie nie są wielkie, wykosztował się tylko na bilety, Petrosa i mój. I na śniadanie na lotnisku, ale było paskudne.

– Dobrze, moja droga, wierzę ci. Skoro mówisz, że złotego runa nie ma, to go nie ma. W takim razie mam dla ciebie następną propozycję...

– To chyba będzie musiało poczekać.

Opowiadam mu o mężu Walentyny, który obiecał znaleźć mnie choćby na końcu świata i który ma dość pieniędzy, by to zrobić.

– Chyba będzie lepiej, jeśli zaszyję się gdzieś na jakiś czas i poczekam, aż mu przejdzie. Nie będę ryzykować.

Konstantinos milczy przez dłuższą chwilę.

– Chyba masz rację, moja droga. Tak oczywiście będzie też lepiej dla naszych interesów.

Oczywiście! Martwi się tylko o to, by nikt nie odkrył kanałów, jakimi upłynnia zabytki.

– Jak już dojdiesz do wniosku, że droga wolna, to zadzwoń do mnie. Bo mam na oku bardzo ciekawy naszyjnik.

– Jasne, Konstantine. Zadzwonię, na pewno.

– No dobrze – znowu wzdycha. – To daj mi jeszcze Petrosa.

– Już ci mówiłam. Nie ma go tutaj. Może sam się z tobą skontaktuje.

Raczej nie, ale tego Konstantinos nie musi dowiadywać się ode mnie.

Rozłączam się. Promienie słońca pieką mnie w kark, pewnie będzie czerwony, ale ciepło tak przyjemnie rozleniwia. Przysmykam oczy i opieram się o kamienie.

Czeka mnie mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Wizyta w ambasadzie, nowy paszport, pożyczka, potem jakiś hotel. Muszę wreszcie wziąć prysznic i porządnie się wyspać. Potrzebne mi też nowe ciuchy, nie mogę paradować po europejskim mieście w kwiecistych szarawarach ze środkowej Anatolii. No i obiad, wielki grecki obiad z trzech dań. I wreszcie muszę napić się kawy.

Tak, mam dużo do roboty. Ale jeszcze trochę posiedzę sobie w słońcu. Bo to

już właściwie jest koniec tej historii.

## Epilog

W grudniu w Atenach z pogodą bywa różnie. Przy odrobinie szczęścia można trafić na kilka słonecznych dni, takich po dwadzieścia kilka stopni i z białymi obłoczkami na błękitnym niebie, ale jak się ma pecha, to leje. A grudniowy deszcz w Atenach to opad ciągły, często trwający tydzień albo dłużej, bez przerwy.

Ja mam pecha. Choć jeśli popatrzeć na to z drugiej strony, to jednak dopisuje mi szczęście. W czasie deszczu ludzie przemykają po ulicach, byle szybciej schronić się w suchym miejscu. Zasłaniają się kapturami, parasolami i w ogóle nic ich nie interesuje. Nikt się nikomu nie przygląda. Wystarczy iść szybkim krokiem i kulić ramiona – anonimowość gwarantowana. A w muzeum wszyscy chodzą w płaszczach, wszędzie widać krople wody z parasoli i w ogóle panuje większe niż zazwyczaj zamieszanie. No i jeszcze w czasie deszczu ludzie są wkurzeni. Albo chce im się spać i myślą tylko o kolejnej kawie, albo irytują ich mokre stopy w butach – tak czy inaczej nie mogą skupić się na pracy. Strażnicy mniej uważają na zwiedzających, a o pozostałym personelu muzeum w ogóle można zapomnieć. Dlatego nie przejmuję się deszczem, zwłaszcza że przede mną sporo do zrobienia.

Przed wszystkim potrzebna mi walizka na czterech kółkach, naprawdę dobrej firmy. Taka, która nie rozwali się od razu. Kilkaset euro w błoto. A zresztą może nie w błoto, może jeszcze potem mi się przyda. Poza tym soczewki koloryzujące. Najlepiej kilka kompletów w różnych odcieniach. Ubrania już mam. Niczym się nie wyróżniają i nie da się ich łatwo zapamiętać. Przydałoby się jeszcze zrobić coś z włosami. Nic tak nie zmienia wyglądu jak inny kolor, ale nie znoszę peruk, łatwo się przekrzywiają. Na razie więc ograniczę się do zmiany fryzury. Za pierwszym razem ściągnę włosy w ciasny kok, za drugim rozpuszczę je do ramion, a potem zobaczymy. Przy moim mysim blondzie wystarczy zmiana oświetlenia albo jaskrawa apaszka na szyi i będą wyglądały inaczej. Może na końcu ufarbuję je na całkiem inny kolor, na przykład platynowy. Muszę też kupić bilet na prom. Tylko nie wiem jeszcze, kiedy popłynę. Poza tym w grudniu morze bywa wzburzone, czasem promy po kilka dni stoją w portach. Właściwie rozsądniej byłoby lecieć samolotem, ale nawet ja nie potrafię wymyślić, jak przejść przez lotniskową kontrolę z ingotem ważącym sześćdziesiąt kilo.

Bo chyba już zgadliście, że wróciłam po złote runo, prawda?

Nie? Naprawdę muszę wam wszystko tłumaczyć, jak dzieciom?

Miedź, liczba atomowa dwadzieścia dziewięć, ma gęstość osiem przecinek dziewięć grama na centymetr sześcienny. Prawie dziewięć kilo na decymetr sześcienny. Przeciętny miedziany ingot zawiera tych decymetrów między dwa a trzy, czyli waży od dwudziestu do trzydziestu kilo.

Na razie łapiecie?

Dobrze, to słuchajcie dalej.

Złoto, liczba atomowa siedemdziesiąt dziewięć, jest prawie dwa razy gęstsze: dziewiętnaście przecinek pięć grama na centymetr sześcienny. Decymetr sześcienny złota waży prawie dwadzieścia kilo.

Teraz się skupcie, żebym nie musiała powtarzać.

Jeśli złoty ingot jest tej samej wielkości, co miedziany, musi mieć tyle samo decymetrów sześciennych – to logiczne.

Mam nadzieję, że nadażacie.

Złoty ingot będzie ważył prawie dwa razy więcej niż miedziany, który podnoszę sama (nie bez wysiłku). Podczas gdy ten z czystego złota, pokryty tylko na wierzchu warstewką miedzi, ledwo udźwigną dwie osoby.

Złote runo, złoty ingot z Orchomenos, który jest dokładnie tu, gdzie powiedział Rudenko, obok „domu Vangelisa”. Największe archeologiczne odkrycie ostatniego stulecia. A może i poprzedniego? Nigdy nie lubiłam być skromna.

Najważniejszy jest rekonesans. Zanim podejmę jakiegokolwiek kroki, wmieszam się w tłum turystów i po prostu starannie obejrzę sobie wszystkie zabezpieczenia. Wkładam prochowiec, spinam włosy, wkładam szarozielone szkła. Moglibyście gapić się na mnie godzinę, a potem i tak nie potrafilibyście powiedzieć, jak wyglądam. Przychodzę pół godziny po otwarciu, bo wtedy do kasy zawsze stoi kolejka. Nie ma szansy, by kasjerka mnie zapamiętała. Przechodzę wolnym krokiem przez hall. Wystawa czasowa o Orchomenos ciągle jest otwarta. Najważniejsze to ustalić, czy złote runo wsadzono z powrotem do witryny, czy znajduje się w magazynie.

Staję z boku i robię kilka zdjęć. Wszyscy turyści je robią, nie chcę się wyróżniać. Dostrzegam ją, kiedy opuszczam telefon.

Nie zadała sobie trudu, żeby ubrać się w bardziej maskujący strój. Ma na sobie płaszcz z błękitnej wełny i granatowe kozaki. Za jej czerwoną torebkę pozwoliłabym sobie wyrwać trzonowe zęby. W sumie to też jest jakiś sposób – każdy świadek opíše strój, ale nie będzie wiedział, jak Walentina naprawdę wygląda. A wygląda inaczej niż przed trzema miesiącami, kiedy widziałam ją ostatni raz. Zapuściła włosy i ufarbowała je na czarno. Nie wiem, czy też wpadła na numer z soczewkami koloryzującymi, stoję za daleko, a ona ma na nosie okulary.

Chowam się za postument z moschoforosem i dalej ją obserwuję. Walentina robi kilka zdjęć komórką, sprawdza rezultat na wyświetlaczu i wsuwa aparat do kieszeni, po czym rusza w stronę galerii Orchomenos.

Błyskawicznie myślę, co zrobić. Zadzwoić do dyrektorki muzeum? Odejść, żeby mnie nie zauważyła? Czy pójść za nią i po prostu jej przywalić?

Nie chcę tego, ale nie mogę się powstrzymać: odczuwam coś na kształt uznania – za wytrwałość. Postanowiła, że zdobędzie złote runo, zrobi wszystko, by

je zdobyć. Choćby miała za to trafić do piekła.

Zupełnie jak ja.

Zaciskam dłonie w pięści. Powinnam jej nienawidzić, a nie podziwiać. Zabiła mojego najlepszego przyjaciela, byłego kochanka i ojca. Dlaczego więc ukradkiem, jak dobry złodziej, w mojej głowie pojawia się myśl, że przydałaby mi się taka współniczka? Przecież moja reguła numer jeden mówi wyraźnie: nie ufaj nikomu, a ja staram się skrupulatnie stosować do moich reguł. I dlatego ciągle chodzę na wolności.

Co nie znaczy, że długo jeszcze.

## Posłowie

Złote runo nie istnieje. A przynajmniej nic mi nie wiadomo, żeby miało być inaczej. To tylko mit, jak mówi Simona – starożytna bajka. Ale wyobraźcie sobie, że to jednak prawda. I że złote runo ciągle czeka na odkrycie...

Myślałam o tym wielokrotnie, kiedy przejeżdżałam trasę, którą w powieści podróżuje Simona. Co prawda nie w tej samej kolejności i nie za jednym razem, ale odwiedziłam wszystkie te miejsca. Dlatego możecie być pewni, że wyglądają tak, jak je opisałam. Oczywiście czasami musiałam nagiąć rzeczywistość do akcji powieści, wybaczcie. Zatem w Sintaszcie nie ma chaty pustelnika (ale odbyłam lot helikopterem jak Simona i okazał się równie koszmarny). Skarbiec Miniasza w Orchomenos nie jest dekorowany wzorem zębów smoka i w ogóle znajduje się daleko od muzeum. Które nie jest w remoncie. I to chyba wszystko, nie przypominam sobie więcej grzechów.

Pamiętacie *Chciwość*, pierwszą część przygód Simony Brenner? Była zaplanowana jako skok w bok od stabilnego i rokującego na przyszłość związku z Mariem Yblem. Jednorazowa akcja: tajna przyjemność pisarki, która próbuje sił w nowym gatunku. To Ani Luboń zawdzięczacie fakt, że powstała część druga. Ja zawdzięczam Ani to, że stałam się pisarką-bigamistką i muszę teraz żyć z dwoma głównymi bohaterami, Simoną i Mariem, a jak wiecie, oboje są nieznośni.

Często pytacie, czy „pożyczam” sobie bohaterów z życia. Nie, ale lubię „pożyczać” prawdziwe imiona. I tak przyjaciel Simony Vangelis Paschalidis zawdzięcza imię i nazwisko moim wspaniałym przyjaciółom Vangelisowi Tsingiaouoglou i Kostasowi Paschalidisowi. Z kolei Marsha Cunningham dostała imię po Marshy Levine, wybitnej badaczce historii konia, o niebo sympatyczniejszej niż jej książkowa wersja (swoją drogą, gdyby nie Marsha, nie wiem, czy w Arkaim nie straciłabym życia). Pozostała zbieżność nazwisk i w ogóle wszystkiego jest całkowicie przypadkowa.

Agnieszka Krawczyk, moja Zbrodnicza Siostrzyczka, zgodnie z naszą siostrzyczkową tradycją, była pierwszą czytelniczką powieści i wytknęła mi bezlitośnie każdy błąd. Druga czytelniczka, Karolina Macios, pozamiatała to, czego nie zdołała zamieść Agnieszka – Karolino, dziękuję zwłaszcza za pomoc w miejscach, w których doszłam do ściany i waliłam w nią głową. Wojciechowi Orlińskiemu dziękuję za wyjaśnienia, jak to jest z tymi skanerami na lotniskach. Jeśli coś przekreśliłam, to nie jego wina, tylko moja. Adamowi Pluszce dziękuję za cierpliwość. Hannie i Krzysztofowi Grudzińskim – za wiarę we mnie. Mojej cudownej, szalonej Rodzinie dziękuję za to, że każdego dnia ściągają mnie z powrotem na ziemię.

A Tobie, Czytelniku, dziękuję za to, że ze mną jesteś.



